

~ MICHAEL J. ~
SULLIVAN

RÓŽA I CIERŇ



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1. Bitwa na Moście Wjazdowym

Rozdział 2. Albert Winslow

Rozdział 3. Rada Amratha

Rozdział 4. Duch z wysokiej wieży

Rozdział 5. Po przyjęciu

Rozdział 6. Dom i karczma

Rozdział 7. Pani Kwiatów

Rozdział 8. Nowy miecz

Rozdział 9. Szkarłatna Ręka

Rozdział 10. Elegant i troll

Rozdział 11. Nowy strażnik

Rozdział 12. Jesienna gala

Rozdział 13. Stangret, lady i pijacy

Rozdział 14. Zdrajcy

Rozdział 15. Rose

Rozdział 16. Lord najwyższy konstabl

Rozdział 17. Kapelusze z piórem

Rozdział 18. Zmiatacz

Rozdział 19. Pożar

Rozdział 20. Przykre skutki

Rozdział 21. Nazajutrz

Rozdział 22. Powrót do domu

Rozdział 23. Hilfred

Rozdział 24. Róża i Cierń

Rozdział 25. Gość

Słowniczek terminów, nazw i imion

O autorze

Michael J. Sullivan

RÓŻA I CIERNÍ

Tom drugi
Kronik Riyrii

Przełożyła Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2018

Tytuł oryginału: *The Rose and the Thorn*

Copyright © 2013 by Michael J. Sullivan

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dominik Broniek

Opracowanie graficzne okładki: Dark Crayon

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wydanie II

ISBN 978-83-66065-39-0

Warszawa 2018

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej:

pan@drewnianyrower.com

--000--(̄)̄--000--

Rozdział 1

Bitwa na Moście Wjazdowym

Reuben powinien był uciec, kiedy tylko giermkowie wyszli z twierdzy zamkowej. Spokojnie zdążyłby znaleźć schronienie w stajni, ograniczając nękanie z ich strony do rzucania jabłkami i wyzwiskami, ale zmyliły go ich uśmiechy. Sprawiali wrażenie przyjaznych, niemal rozsądnych.

– Reuben! Ej, Reuben!

Reuben? Nie Gnojarz? Nie Troll?

Wszyscy giermkowie go przezywali. Żadne z przezwisk nie było przyjemne, ale on też miał przezwiska dla nich, przynajmniej w myślach. „Pieśń Człowiecza”, jeden z ulubionych poematów Reubena, wymieniał starość, chorobę i głód jako Trzy Zmory Ludzkości. Gruby Horace był ewidentnie głodem. Willard o ziemistej i dziobatej twarzy chorobą, a starość przypadła Dillsowi, który jako siedemnastolatek był z nich najstarszy.

Na widok Reubena skręcili w jego kierunku jak stadko drapieżnych gęsi. Dills trzymał wgnieciony hełm rycerski; przyłbica unosiła się i opadała, kiedy nim kołysał. Willard niósł ochraniacze do walki. Horace jadł jabłko – co za niespodzianka.

Nadal mógł dotrzeć do stajni przed nimi. Tylko Dills miał jakąkolwiek szansę wygrać z nim w wyścigu. Reuben przeniósł ciężar ciała, ale się zawahał.

– To mój stary ekwipunek do treningów – powiedział przyjaźnie Dills, jakby ostatnie trzy lata w ogóle się nie przydarzyły, jakby był

litem, który zapomniał, co się robi z królikiem. – Ojciec przysłał mi nowy zestaw, więc bawiliśmy się trochę z tym.

Podeszli i teraz już było za późno na ucieczkę. Otoczyli go, ale nadal się uśmiechali.

Dills wyciągnął hełm, w którym odbijało się jesienne słońce i z którego zwisały skórzane paski.

– Nośłeś kiedyś coś takiego? Przymierz.

Reuben spojrział na Dillsa zbity z tropu.

To bardzo dziwne. Dlaczego są dla mnie mili?

– Chyba nie wie, co się z tym robi – powiedział Horace.

– Śmiało! – Dills wepchnął mu hełm w ręce. – Niedługo dołączysz do straży zamkowych, prawda?

Rozmawiają ze mną? Od kiedy?

Reuben nie odpowiedział od razu.

– Ehm... No tak...

Dills uśmiechnął się szerzej.

– Tak myślałem. Nie masz zbyt wielu okazji, żeby poćwiczyć walkę, co?

– Kto by trenował ze stajennym? – Horace mówił niewyraźnie, bo przeżuwał.

– No właśnie – przytaknął Dills i zerknął na czyste niebo. – Piękny jesienny dzień. Szkoda siedzieć w czterech ścianach. Pomyślałem, że chętnie nauczyłbyś się paru manewrów.

Każdy z nich miał drewniany miecz do ćwiczeń, a Horace przyniósł też dodatkowy.

To się dzieje naprawdę? Reuben przyjrzał się ich twarzom, szukając podstępu. Dills sprawiał wrażenie urażonego jego brakiem wiary, a Willard przewrócił oczami.

– Myśleliśmy, że chciałbyś przymierzyć rycerski hełm, zwłaszcza że nigdy takiego nie będziesz nosił. Myśleliśmy, że docenisz taką okazję.

Za ich plecami starszy giermek Ellison wyszedł z zamku i usiadł na ocembrowaniu studni, żeby popatrzeć.

– Będzie zabawnie. Będziemy się zmieniać. – Dills znowu wepchnął hełm w ręce Reubena. – Dzięki ochraniaczom i hełmowi nic ci się nie stanie.

Willard się nachmurzył.

– Słuchaj, staramy się być mili. Nie bądź dupkiem.

Chociaż było to naprawdę dziwne, Reuben nie dostrzegł żadnej złośliwości w ich oczach. Uśmiechali się w sposób, w jaki zwykle uśmiechali się do siebie – szeroko i nonszalancko. Sytuacja nabierała pewnego sensu w głowie Reubena. Po trzech latach znęcanie się nad nim przestało być nowością i atrakcją. Ponieważ jako jedyny był ich rówieśnikiem i nie należał do arystokracji, w naturalny sposób stał się ich celem, ale czasy się zmieniały i wszyscy dorastali. To był gest pojednawczy, a zważywszy, że Reuben nie zdobył ani jednego przyjaciela, odkąd tu przybył, nie mógł sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Wziął wypchany szmatami hełm i wsunął na głowę. Mimo szmat był za duży i wisiał luźno. Reuben podejrzewał, że coś jest nie tak, ale nie miał pewności. Nigdy nie nosił żadnej zbroi. Ponieważ miał zostać zamkowym gwardzistą, oczekiwano, że ojciec go wyszkoli, ale nigdy nie znalazł na to czasu. To sprawiało, że oferta giermków była nęcąca; pokusa przeważała podejrzania. Miał szansę nauczyć się czegoś o walce i szermierce. Już za tydzień będą jego urodziny, a kiedy skończy szesnaście lat, dołączy do szeregów straży zamkowej. Z racji niewielkich umiejętności w walce będzie wysyłany do najgorszych zadań. Jeśli giermkowie mówili poważnie, to może nauczy się czegoś, czegokolwiek.

Trójka obwiązała go ciężkimi warstwami ochraniaczy, które krępowały jego ruchy; Horace dał mu zapasowy drewniany miecz.

I wtedy zaczęło się lanie.

Bez słowa ostrzeżenia wszyscy trzech giermkowie uderzyli mieczami w głowę Reubena. Metal i szmaty absorbowwały większość siły uderzenia, ale nie wszystko. Wnętrze hełmu miało szorstkie, odsłonięte metalowe krawędzie, które rozcinały skórę i dźgały w czoło, policzek, ucho. Reuben uniósł miecz w nieudolnej próbie obrony, ale niewiele widział przez przyłbicę. Mając uszy zatkane szmatami, ledwie słyszał stłumiony śmiech. Jedno uderzenie wytrąciło mu miecz z rąk, a drugie trafiło go w plecy, powalając na kolana. Potem już zaczęło się poważne bicie. Ciosy zasypały jego uwięzioną

w metalu głowę, kiedy Reuben zwinął się w kłębek.

Wreszcie napastnicy zaczęli zwalniać i w końcu odstępili. Reuben usłyszał ciężkie dyszenie, sapanie i kolejne śmiechy.

– Miałeś rację, Dills – powiedział Willard. – Gnojarsz jest o wiele lepszy od manekina do ćwiczeń.

– Przez chwilę, bo manekin nie zwija się w kłębek jak dziewczucha. – W głosie Dillsa zadźwięczała pogarda.

– Za to on piszczy przy każdym trafieniu.

– Jeszcze komuś chce się pić? – zapytał Horace, nadal dysząc.

Słyszając, że się odsuwają, Reuben odetchnął i rozluźnił mięśnie. Szczeka mu zdrętwiała od zaciskania zębów, całe ciało bolało go od bicia. Leżał jeszcze chwilę, czekając i nasłuchując. Przez hełm na głowie był odcięty od świata, ale bał się go zdjąć. Po kilku minutach ucichły nawet stłumione śmiechy i wyzwiska. Zerknął przez szparę i zobaczył tylko pomarańczowe i żółte korony drzew kołyszące się na popołudniowym wietrze. Przekrzywił głowę i zobaczył Trzy Zmory pośrodku podwórza. Chłopcy napełnili kubki wodą ze studni i usiedli na wozie z jabłkami. Jeden rozcierał rękę od miecza i zataczał nią szerokie kręgi.

Złanie mnie do nieprzytomności musi być wyczerpujące.

Reuben zdjął hełm i chłodne powietrze musnęło jego spocone czoło. Zdał sobie sprawę, że to wcale nie był hełm Dillsa. Pewnie walał się gdzieś po dziedzińcu, gdzie go znaleźli. Reuben powinien był się domyślić, że Dills nigdy w życiu nie pozwoliłby mu włożyć czegoś swojego. Otarł twarz i nie zdziwił się, widząc krew.

Usłyszał, że ktoś podchodzi, uniósł więc ręce, żeby zasłonić głowę.

– To było żałosne. – Ellison stanął nad Reubenem, zajadając jabłko, które ukradł z wozu kupca.

Nikt nie powiedziałaby mu złego słowa, a już z pewnością nie kupiec. Ellison był starszym giermkim, chłopcem, którego ojciec miał największe wpływy. To on powinien zapobiegać takiemu znęcaniu się.

Reuben nie odpowiedział.

– Nie zawiązano dostatecznie ściśle ochraniaczy – ciągnął Ellison. – Oczywiście przede wszystkim chodzi o to, żeby w ogóle nie oberwać.

Znowu ugryzł jabłko i przeżuł kęs z otwartymi ustami. Kawalki

mięszu poleciały mu na pierś, plamiąc tunikę. On i Zmory nosili takie same stroje, niebieskie z bordowymi dodatkami i złotym sokołem rodu Essendon. Przez plamę od soku z jabłka wydawało się, że sokół płacze.

– Ciężko cokolwiek zobaczyć w tym hełmie.

Reuben zauważył, że kawałek zwiniętego materiału, który wypadł na trawę, jest czerwony od jego krwi.

– Myślisz, że rycerze widzą więcej? – zapytał Ellison z ustami pełnymi jabłka. – Walczą na koniach, a ty miałeś na sobie tylko hełm i trochę ochraniaczy. Rycerze noszą pięćdziesiąt funtów stali, więc się nie tłumacz. Na tym polega problem z ludźmi twojego pokroju: zawsze znajdą jakąś wymówkę. Nie dość, że jako paziowie musimy znosić poniżenie, jakim jest praca ramię w ramię z wami, to jeszcze musimy wysłuchiwać waszych wiecznych narzekań. – Ellison zaczął mówić wyższym głosem, udając dziewczynę. – „Potrzebuję butów, żeby nosić wodę zimą. Nie dam rady sam porąbać całego drzewa”. – I już własnym głosem dodał: – Powód, dla którego nadal upierają się, żeby szlachetnie urodzeni młodzieńcy musieli znosić upokorzenie, jakim jest sprzątanie stajni, zanim staną się prawdziwymi giermkami, całkowicie mnie przerasta, ale żeby jeszcze znosić zniewagę, jaką jest praca razem z kimś takim jak ty, zwykłym wieśniakiem i bękartem, to już po prostu...

– Nie jestem bękartem – powiedział Reuben. – Mam ojca. Mam nazwisko.

Ellison roześmiał się i kawałki jabłka wyleciały mu z ust.

– Masz nawet dwa, jego i jej. Reuben Hilfred, syn Rose Reuben i Richarda Hilfreda. Twoi rodzice nigdy się nie pobrali i to czyni cię bękartem. A kto wie, ilu żołnierzy zabawiała twoja matka przed śmiercią. Wiesz, pokojówki lubią się zabawiać. To same dziwki. Twój ojciec był po prostu na tyle dumny, żeby uwierzyć, kiedy mu powiedziała, że jesteś jego synem. To jasno ukazuje głupotę mężczyzny. Zakładając więc, że nie kłamała, jesteś synem idioty i...

Reuben uderzył w Ellisona całym ciałem, przewracając go na plecy. Usiadł i zamachnął się, trafiając starszego chłopca w pierś i twarz. Kiedy Ellison uwolnił rękę, Reuben poczuł ból na policzku. Teraz on

leżał na plecach i cały świat wirował. Ellison kopnął go w bok z dostateczną siłą, żeby złamać mu żebro, ale Reuben prawie tego nie poczuł. Nadal miał na sobie ochraniacze.

Ellison wyciągnął miecz. Metal opuścił pochwę z głośnym brzęknięciem. Reuben ledwie zdążył chwycić miecz do ćwiczeń, który zostawił na trawie. Uniósł go w samą porę, żeby uchronić się przed utratą głowy, ale stal Ellisona przecięła drewno na pół.

Reuben uciekł.

To była jedyna przewaga, jaką miał nad nimi. Więcej pracował i wszędzie biegał, podczas gdy oni robili niewiele. Nawet obciążony ochraniaczami był szybszy i bardziej wytrzymały od sfory ogarów. Mógłby biec całymi dniami, gdyby zaszła taka potrzeba. Mimo to nie był dość szybki i Ellison zdołał wymierzyć ostatni cios w jego plecy. Uderzenie tylko pchnęło Reubena do przodu, ale kiedy już znalazł się w bezpiecznej odległości, odkrył głębokie rozcięcie, które przeszło przez wszystkie cztery warstwy ochraniaczy, tunikę i nawet nieco skóry.

Ellison próbował go zabić.

* * *

Reuben przez resztę dnia ukrywał się w stajniach. Ellison i pozostali nigdy tam nie przychodzili. Koniuszcy Hubert miał skłonność zaganiać do pracy każdego chłopca z zamku, nie zważając na różnicę między synem hrabiego, barona czy sierżanta straży. Pewnego dnia może będą lordami, ale w tej chwili byli paziami i giermkami, a jeśli idzie o Huberta, byli tylko plecami i rękami do unoszenia łopat. Zgodnie z oczekiwaniami Reubena zagoniono go do uprzątnięcia łajna z boksów, co było lepsze niż stawienie czoła ostrzu Ellisona. Plecy go bolały, tak samo jak twarz i głowa, ale krwawienie ustało. O mały włos nie zginął, nie zamierzał więc narzekać.

Ellison był po prostu wściekły. Gdy już się uspokoi, znajdzie inny sposób, żeby okazać swoje niezadowolenie. Razem z innymi giermkami zastawią pułapkę i zbiją go, najpewniej kijami, ale tym

razem bez ochraniaczy i hełmu.

Reuben zatrzymał się, wrzuciwszy łopatę gnoju na wóz i pociągnął nosem. Dym z palonego drewna. W kuchni palono drewnem cały rok, ale jesienią dym pachniał inaczej, bardziej słodko. Reuben wbił łopatę, przeciągnął się i spojrzał w górę na zamek. Prawie już skończono dekorować go z okazji jesiennej gali. Świąteczne flagi i wstęgi powiewały na masztach, kolorowe latarnie zwieszały się z drzew. Chociaż galę urządzano co roku, w tym świętowano podwójnie – dodatkowo z okazji mianowania nowego kanclerza. To znaczyło, że obchody musiały być większe i wspanialsze, zatem udekorowano zamek wewnątrz i od zewnątrz dyniami, tykwami i wiązkami zbóż. Kiedy pojawił się problem zbyt małej liczby krzeseł, bele słomy wniesiono do wszystkich sal. Przez ostatni tydzień farmerzy przywozili jej pełne wozy. Zamek wyglądał naprawdę świątecznie i chociaż Reuben nie został zaproszony, wiedział, że to będzie wspaniałe przyjęcie.

Jego spojrzenie powędrowało ku wysokiej wieży, która ostatnio stała się jego obsesją. Królewska rodzina rezydowała na wyższych piętrach zamku, gdzie niewielu mogło wejść bez zaproszenia. Najwyższy punkt zamku przewyższał resztę budowli raptem o kilka stóp, ale w wyobraźni Reubena wieża niemal dosięgała nieba. Zmrużył oczy, myśląc, że może dostrzeże jakiś ruch, kogoś przechodzącego obok okna. Niczego nie zobaczył, ale z drugiej strony niewiele działo się tam za dnia.

Z westchnieniem wrócił do półmroku stajni. Właściwie lubił wygarniać gnój z boksów. W chłodne dni latało niewiele much, a łajno było przeważnie suche, wymieszane ze słomą uzyskiwało konsystencję starego chleba albo ciasta i prawie nie śmierdziało. Prosta, niewymagająca myślenia praca dawała mu poczucie spełnienia. Poza tym lubił towarzystwo koni. Ich nie obchodziło, kim jest Reuben, jakiego koloru ma krew albo czy jego matka poślubiła jego ojca. Zawsze witały go, rżąc, i pocierały chrapami o jego pierś, kiedy znalazł się w pobliżu. Z nikim innym nie wolałyby bardziej spędzić jesiennego popołudnia – z jednym wyjątkiem. A wtedy, jakby wystarczyło pomyśleć, żeby spełniło się marzenie, błysnęła mu

bordowa suknia.

Widok księżniczki w drzwiach stajni zaparł Reubenowi dech w piersi. Zawsze zamierał na jej widok, a nawet jeśli był w stanie się poruszać, poruszał się niezgrabnie – jego palce głupiały, nie potrafiły wykonać najprostszego zadania. Na szczęście nigdy nie oczekiwano, że odezwie się w jej obecności. Wyobrażał sobie, że wtedy w porównaniu z językiem jego palce wydałyby się niezwykle zwinne. Obserwował księżniczkę od lat, widywał przelotnie, kiedy wsiadała do powozu albo witała gości. Polubił ją od pierwszego wejrzenia. Było coś w sposobie, w jaki się uśmiechała, w śmiechu, który pobrzmiwał w jej głosie i często poważnym wyrazie twarzy, co sprawiało, że wydawała się starsza, niż była w rzeczywistości. Wyobrażał sobie, że nie jest zwykłym człowiekiem, lecz jakąś baśniową istotą, ucieleśnieniem naturalnej gracji i piękna. Rzadko mógł ją zobaczyć, co czyniło te okazje specjalnymi, ekscytującymi chwilami jak widok jelonka o świcie. Kiedy się pojawiła, nie mógł oderwać od niej oczu. Miała prawie trzynaście lat i była równie wysoka jak matka. Jednakże coś w sposobie chodzenia i przesuwania bioder, kiedy za długo stała w jednym miejscu wskazywało, że jest już bardziej damą niż dziewczynką. Nadal była chuda i drobna, ale się zmieniła. Reuben marzył, że pewnego dnia będzie stał przy studni, kiedy ona pojawi się na dziedzińcu sama i spragniona. Oczami duszy widział, jak nabiera dla niej wody i nalewa jej do kubka. Uśmiechnęłyby się i być może podziękowałyby. Kiedy oddawałaby pusty kubek, ich palce zetknęłyby się przelotnie; przez jedną chwilę czułby ciepło jej skóry i po raz pierwszy zaznałby radości.

– Reuben! – Ian, stajenny, uderzył go w ramię szpicrutą. Dość mocno, żeby uderzenie zapiekło i zostawiło ślad. – Przestań marzyć i bierz się do roboty.

Reuben bez słowa wrócił do przerzucania gnoju. Przyswoił już sobie dzisiejszą lekcję i trzymał spuszczoną głowę, nabierając warstwy zaschłego gnoju. Księżniczka nie mogła go widzieć w boksie, ale za każdym razem, gdy wrzucał gnój na wóz, migąła mu przelotnie w drzwiach. Miała na sobie nową bordową suknię z caliskiego jedwabiu, którą dostała na urodziny wraz z koniem. Dla Reubena

Calis był miejscem mitycznym, krainą gdzieś daleko na południu wypełnioną dżunglą, chochlikami i piratami. Musiała być to magiczna ziemia, ponieważ materiał sukni mienił się, kiedy księżniczka szła, a kolor podkreślał barwę jej włosów. Jako najnowsza suknia doskonale pasowała. Co więcej, pozostałe sukienki uszyto dla dziewczynki, a ta była przeznaczona dla kobiety.

– Wasza Wysokość weźmie Tamaryszka? – Głos Iana rozległ się gdzieś w okolicach głównego wejścia do stajni.

– Oczywiście. To piękny dzień na przejażdżkę, nieprawdaż? Tamaryszek lubi chłodne dni. Może wtedy pogalopować.

– Matka Waszej Wysokości prosiła, żeby panienka nie galopowała na Tamaryszku.

– Trucht jest niewygodny.

Ian spojrział na nią pytająco.

– Tamaryszek to rumak z Maranonu, Wasza Wysokość. On nie truchta, on kłusuje.

– Lubię wiatr we włosach – mówiła z werwą, uporem, który wywołał uśmiech u Reubena.

– Matka Waszej Wysokości wolałaby...

– Jesteś królewskim stajennym czy piastunką? Bo może powinnam powiedzieć Norze, że jej usługi nie są już potrzebne.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość, ale matka panienki...

Księżniczka minęła stajennego i weszła do stajni.

– Ty, tam...! Chłopcze! – zawołała.

Reuben przerwał skrobanie. Patrzyła prosto na niego.

– Potrafisz osiodłać konia?

Zdołał skinąć głową.

– To osiodłaj dla mnie Tamaryszka. Weź damskie siodło z zamszu. Wiesz które?

Reuben znowu skinął głową i rzucił się wykonać polecenie. Ręce mu się trzęsły, kiedy zdejmował siodło z wieszaka.

Tamaryszek był pięknym kasztankiem sprowadzonym z królestwa Maranonu. Tamtejsze konie słynęły z doskonałej krwi i nadzwyczajnego wyszkolenia, dzięki czemu wyjątkowo wygodnie się na nich jeździło. Reuben wyobrażał sobie, że tak król opisał ten

prezent swojej żonie. Wierzchowce z Maranonu słynęły również z szybkości, jak zapewne opisał podarunek swojej córce.

– Dokąd Wasza Wysokość się wybierze? – spytał Ian.

– Myślałam, że pojedę do Mostu Wjazdowego.

– Wasza Wysokość nie może jechać sama tak daleko.

– Ojciec podarował mi tego konia, żebym jeździła, i to nie tylko po dziedzińcu.

– W takim razie będę towarzyszył Waszej Wysokości – uparł się stajenny.

– Nie! Twoje miejsce jest tutaj. Poza tym, kto podniesie alarm, gdybym nie wróciła?

– Jeśli ja nie mogę, to niech Reuben jedzie z Waszą Wysokością.

– Kto?

Reuben zamarł.

– Reuben. Chłopak, który siodła konia.

– Nie chcę żadnego towarzystwa.

– Albo ja, albo on, bo inaczej żaden koń nie zostanie osiodłany, a ja pójdę od razu do matki Waszej Wysokości.

– Dobrze. Wezmę... Mówiłeś, że jak się nazywa?

– Reuben.

– Naprawdę? A ma jakieś nazwisko?

– Hilfred.

Westchnęła.

– Wezmę Hilfreda.

* * *

Reuben nigdy dotąd nie jechał konno, ale nie zamierzał żadnemu z nich o tym mówić. Nie bał się niczego poza tym, że wygłupi się przy księżniczce. Znał dobrze wszystkie konie i wybrał Melancholię, starszawą karą klacz z białą gwiazdą na czole. Jej imię odpowiadało temperamentowi, a ten z kolei odzwierciedlał jej wiek. Melancholię siodłano dla dzieci, które chciały przejechać się na „prawdziwym” koniu, babciom i korpulentnym ciotkom. Mimo to serce mu waliło jak

młotem, gdy klacz ruszyła za Tamaryszkiem, co zrobiłaby nawet, gdyby nie miała Reubena na grzbiecie.

Minęli bramę zamkową i wjechali do Medfordu, stolicy królestwa Melengar. Reuben nie otrzymał szczególnej edukacji, ale uważnie słuchał i wiedział, że Melengar jest jednym z najmniejszych ośmiu królestw Avrynu – największego z czterech ludzkich państw. Wszystkie cztery kraje – Trent, Avryn, Delgos i Calis – tworzyły kiedyś jedno imperium, ale to było dawno temu i nie miało już żadnego znaczenia dla nikogo poza skrybami i historykami. Ważne zaś było to, że Melengar był szanowany, zamożny i żył w pokoju od pokolenia albo i dłużej.

Zamek królewski stał w centrum miasta. Oblegały go otaczające fosę wozy straganiarzy, z których sprzedawano wszelkiego rodzaju jesienne owoce, warzywa, pieczywa, wędzone mięsa, wyroby skórzane i jabłecznik, podawany zarówno na zimno, jak i na ciepło, mocny i słaby. Trzech skrzypków wygrywało wesołą melodię obok obróconego kapelusza położonego na pniaku. Pomniejsi arystokraci w pelerynach lub opończach przechadzali się ceglanyimi ulicami, dotykając zręcznie zrobionych błyskotek. Ci zamożniejsi przejeżdżali powozami.

Oni dwoje przejechali prosto szeroką ceglana aleją, mijając posąg Tolina Essendona. Rzeźba była większa niż naturalne rozmiary, a pierwszego króla Melengar ukazano niczym boga na ogierze, chociaż wieść gminna niosła, że nie był szczególnie dużym mężczyzną. Możliwe, że artysta chciał oddać wielkość Tolina, a nie tylko jego wygląd, ponieważ bez wątpienia człowiek, który pokonał Lothomada, władcę Trentu i podniósł Melengar z ruiny po wojnie domowej, był niemal równie wielki jak sam Novron.

Nikt nie zatrzymywał ani nie zadawał pytań Reubenowi i Ariście, kiedy przejeżdżali, ale wielu kłaniało się albo dygało. Kilka głośnych rozmów ucichło, kiedy nadjechali i wszyscy się na nich gapili. Reuben był tym zakłopotany, ale księżniczka sprawiała wrażenie całkowicie nieświadomej. Podziwiał ją za to.

Kiedy już opuścili miasto i wyjechali na drogę, Arista przyśpieszyła do truchtu. W każdym razie jego koń truchtał i był to nieprzyjemny,

podskakujący chód, przy którym miecz od Iana uderzał Reubena w udo. Tak jak Ian wspomniał, koń księżniczki nie truchtał. Tamaryszek kłusował, jakby nie chciał pobrudzić sobie kopyt ziemią.

Jechali drogą i w miarę jak Reuben czuł się coraz pewniej w siodle, coraz szerzej się uśmiechał. Był sam na sam z nią, z dala od Ellisona i Trzech Zmor, jechał konno i miał miecz. Tak powinno wyglądać życie mężczyzny. Tak mogło wyglądać jego życie, gdyby urodził się arystokratą.

Reubenowi było pisane pójść w ślady ojca, Richarda, i służyć królowi jako zbrojny. Zacznie od służby na murach albo przy bramie i jeśli będzie miał szczęście, kiedyś otrzyma bardziej prestiżową pozycję, tak jak ojciec. Richard Hilfred był sierżantem w królewskiej gwardii i należał do straży przybocznej króla i jego rodziny. Taka pozycja wiązała się z przywilejami, umożliwiała na przykład zapewnienie miejsca synowi, który nie otrzymał żadnego szkolenia. Reuben wiedział, że powinien być wdzięczny za tę możliwość. Żołnierze w królestwie, w którym panuje pokój, prowadzili wygodne życie, ale na razie jego pobyt w zamku Essendonów był jak najdalszy od wygodnego.

Za tydzień w swoje urodziny przywdzieje barwy ciemnej czerwieni i złota. Nadal będzie najmłodszy i najśłabszy, ale nikt go już nie nazwie wyrzutkiem. Odnajdzie swoje miejsce. Tyle że tym miejscem nigdy nie będzie koński grzbiet podczas swobodnej przejażdżki drogą z prawdziwym mieczem u pasa. Reuben wyobraził sobie życie błędnego rycerza przemierzającego bezdroża wedle własnego uznania w poszukiwaniu przygód i sławy. To była przyszłość giermków, ich nagroda za podkradanie jabłek i pobicie Reubena.

Ta jazda mogła być najwspanialszym wydarzeniem w jego życiu. Było późne jesienne popołudnie, pogoda – idealna. Niebo miało niebieski kolor, jaki zwykle widuje się zimą, a drzewa – wiele z nich nadal zachowało liście – były barwne, jakby las płonął, tylko zastygł w czasie. Strachy na wróble z głowami z dyń strzegły brązowych łodyg kukurydzy i jesiennych ogrodów.

Odetchnął świeżym powietrzem; jakimś cudem wydawało się jeszcze słodsze.

Kiedy wyjechali na drogę, księżniczka się obejrzała.

– Hilfred? Myślisz, że widzą nas tutaj?

– Kto, Wasza Wysokość? – zapytał zdumiony i wdzięczny, że głos mu się nie załamał.

– Och, sama nie wiem. Ktoś, kto mógłby nas obserwować... Straże na murach albo ktoś, kto na przykład odłożył robótkę, żeby wspiąć się na wschodnią wieżę i wyjrzeć przez okno?

Reuben się obejrzał. Wzgórze i drzewa przesłoniły miasto.

– Nie, Wasza Wysokość.

Księżniczka się uśmiechnęła.

– Cudownie.

Pochyliła się mocniej nad grzbietem Tamaryszka i zacmokała. Koń zerwał się do galopu i popędził drogą.

Reuben nie miał wyjścia – musiał pojechać za nią, trzymając się siodła obiema rękami. Melancholia dzielnie próbowała dotrzymać kroku Tamaryszkowi, ale zwykła dziewiętnastoletnia klacz nie miała szansy z siedmioletnim rumakiem z Maranonu. Księżniczka i jej wierzchowiec szybko zniknęli mu z oczu, a Melancholia przeszła w kłus, a potem zaczęła iść stępa. Boki falowały jej ciężko i nic, co robił Reuben, nie było w stanie zmusić jej do przyśpieszenia. W końcu poddał się i westchnął sfrustrowany.

Spojrzał na drogę bezradnie. Zastanawiał się, czy nie porzucić Melancholii i nie pobiec, ponieważ w tej chwili byłby w stanie biec szybciej, niż jechał konno. Nie wiedział, co robić. A jeśli księżniczka spada? Gdyby tylko Melancholia potrafiła galopować tak szybko, jak biło mu serce.

Gramoląc się na szczyt następnego wzniesienia, dostrzegł księżniczkę. Nadal siedziała w siodle. Zatrzymała się przy Moście Wjazdowym, który znaczył przejście między królestwem Melengararu i sąsiednim królestwem Warric. Dostrzegła go, ale nie zamierzała uciekać.

Na jej widok jego panika zniknęła. Księżniczka była bezpieczna. Kiedy Reuben zobaczył ją na koniu nad rzeką, uznał, że to nie przejażdżka była najwspanialszą chwilą jego życia, ale właśnie ten moment.

Arista była piękna, ale nigdy nie wyglądała równie pięknie jak w tej chwili. Siedziała w siodle wyprostowana, wiatr rozłożył jej wspaniałą suknię na boki i zad konia. Jej długi cień sięgał ku Reubenowi, gdy zachodzące słońce oblewało ich oboje światłem, migocząc na grzywie Tamaryszka i jedwabnej sukni w taki sam sposób, w jaki lyskało na powierzchni rzeki. Ta chwila była darem, niewysłowionym cudem, cudem nie do pomyślenia. Przebywanie sam na sam z Aristą Essendon o zachodzie słońca, gdy ona była odziana w suknię dorosłej kobiety, a on był konno i uzbrojony w miecz jak prawdziwy mężczyzna, jak rycerz – to była idealna, wymarzona chwila.

I zniszczył ją tętent kopyt.

Grupa jeźdźców wypadła spomiędzy drzew na lewo od Reubena. Cała trójka popędziła ku niemu. Myślał, że zderzą się z nim, ale w ostatniej chwili skręcili i śmignęli obok niego, tylko peleryny załopotwały za nimi. Wystraszyli Melancholię klacz z szarpnięciem zboczyła z drogi. Nawet gdyby Reuben był świetnym jeźdźcem, miałby kłopot z utrzymaniem się w siodle. Zaskoczony i niezaznajomiony z ruchami koni spadł i wylądował na płask na plecach.

Wstał, kiedy jeźdźcy podjechali do księżniczki i okrążyli ją, śmiejąc się i pogwizdując. Reuben nie należał jeszcze do straży zamkowej, ale Ian nie bez powodu dał mu miecz. To, że było ich trzech, nie miało znaczenia. Fakt, że jego umiejętności w posługiwaniu się mieczem można było w najlepszym wypadku opisać – nawet gdyby sam miał je opisać – jako żenujące, w najmniejszym stopniu go nie powstrzymał.

Wyciągnął ostrze i popędził w dół ze wzniesienia, a kiedy dotarł do jeźdźców, krzyknął:

– Zostawcie ją!

Śmiechy ucichły.

Dwóch nieznajomych zsiadło z koni i wyciągnęło miecze. Wypolerowana stal zabłysła w niskim słońcu. Kiedy tylko ich stopy uderzyły o ziemię, Reuben zdał sobie sprawę, że to zaledwie chłopcy, trzy, może cztery lata młodsi od niego. Ich rysy były tak podobne, że musieli być braćmi. Ich broń nie przypominała szerokich tasaków straży zamkowej ani krótkich mieczy giermków. Była delikatna, miała wąskie klingi i ozdobne gardy.

– Jest mój – oznajmił największy z chłopców i Reuben ledwie uwierzył w swoje szczęście, gdy pozostali dwaj nie włączyli się do walki.

Bronić księżniczkę przed zbirami, nawet jeśli to tylko dzieci, na jej oczach stanąć w obronie jej czci, być tym, który ją ocali... Wielki Mariborze, nie mogę zawieść... Nie teraz!

Chłopiec podszedł zbyt nonszalancko, co zastanowiło Reubena. Był niższy o dobre pięć cali i chudy jak łodyga kukurydzy. Wiatr wiał mu zza pleców, więc z trudem powstrzymywał czarne włosy przed wpadaniem do oczu, kiedy podchodził do Reubena z szerokim uśmiechem na twarzy.

Kiedy znalazł się na odległość miecza, przystanął i ku zdumieniu Reubena ukłonił się. Potem wyprostował się i przeciął klingą powietrze w tę i z powrotem. Ostrze zadźwięczało. Wreszcie stanął na przygiętych nogach z drugą ręką za plecami.

A potem zaatakował.

Jego szybkość była niepokojąca. Czubek wąskiej klingi trafił Reubena w pierś, nie rozcinając skóry, ale zostawiając rozcięcie w koszuli. Reuben zatoczył się do tyłu. Chłopiec naparł, przesuwając stopy w przedziwny sposób, jakiego Reuben nigdy dotąd nie widział. Jego ruchy były płynne i pełne gracji, jakby tańczył.

Reuben zamachnął się mieczem.

Chłopak nawet nie drgnął. Nie uniósł broni, żeby sparować cios. Zaśmiał się tylko, gdy miecz przeciął powietrze o cal od niego.

– Myślę, że mógłbym tu stać przywiązany do pala i nadal nie zdołałbyś mnie trafić. Dama powinna znaleźć sobie lepszego obrońcę.

– To nie jest jakaś tam dama. To księżniczka Melengar! – krzyknął Reuben. – Nie pozwolę wam jej skrzywdzić.

– Doprawdy? – Chłopak zerknął przez ramię. – Słyszeliście? Pojmaliśmy księżniczkę.

Idiota ze mnie. Reuben miał ochotę przebić się mieczem.

– Cóż, nie zamierzamy jej skrzywdzić. Ja i moi towarzysze rozbójnicy zbeczczymy ją, poderżniemy jej gardło i na koniec rzucimy dziewczkę do rzeki!

– Przestań! – krzyknęła Arista. – Jesteś okrutny!

– Nie, wcale nie jest – odezwał się ten, który nie zsiadł z konia. Miał na sobie opończę z kapturem, a ponieważ słońce zachodziło, Reuben nie widział jego twarzy. – Ale zachowuje się jak dureń. Moim zdaniem powinniśmy zatrzymać ją dla okupu i zażądać jej wagi w złocie!

– Doskonały pomysł – uznał młodszy z dwóch braci, który już schował broń do pochwy, wyjął kawałek sera z torby i podał siedzącemu wierzchem, ten zaś odgryzł kawałek.

– Po moim trupie – oznajmił Reuben i znowu rozległy się śmiechy.

Reuben jeszcze raz zaatakował. Przeciwnik zbił na bok cios, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

– Tym razem było odrobinę lepiej. Przynajmniej istniała szansa, że może mnie trafisz.

– Mauvin, przestań! – krzyknęła księżniczka. – On nie wie, kim jesteś.

– Wiem! – odkrzyknął chłopak o potarganych włosach i zaśmiał się. – To dlatego to taka pyszna zabawa.

– Powiedziałam, żebyś przestał! – zażądała księżniczka, podjeżdżając.

Chłopiec znowu się roześmiał i zaatakował nisko, celując w stopy Reubena. Tamten nie miał pojęcia, jak zablokować taki cios. Opuścił miecz, a strach sprawił, że odruchowo cofnął stopy. Stracił równowagę, padł na twarz i wbił miecz w ziemię. Przeturlał się na plecy i z trudem wstał, a wtedy zobaczył, że chłopak trzyma oba miecze. Znowu wszyscy się roześmiali. Wszyscy z wyjątkiem Aristy.

– Przestań! – krzyknęła. – Nie widzisz, że on nie potrafi posługiwać się mieczem? Nie ma nawet pojęcia, jak jeździć konno. To służący. On tylko rąbie drewno i nosi wodę.

– Chciałem tylko trochę się zabawić.

– Może dla ciebie to jest zabawne – wskazała Reubena – a on naprawdę myśli, że chcecie mnie skrzywdzić. On się nie bawi.

– Naprawdę? Bo jeśli to prawda, to jest żaloszny. Serio, jeśli tylko na tyle go stać, to czemu, na Maribora, Lawrence wysłał tę fajtlapę jako twoją eskortę? Prawdziwy rozbójnik zabiłby go pierwszym uderzeniem, ty byłabyś uwiązana do jego konia, a list z żądaniem okupu już zostałby wysłany do zamku.

Księżniczka się skrzywiła.

– Gdybyście byli prawdziwymi rozbójnikami, Tamaryszek i ja zostawilibyśmy was w chmurze kurzu. Kaszlelibyście i pluli pyłem, podczas gdy my pogalopowalibyśmy w siną dal.

– Wątpię – odparł chłopak na koniu.

– Tak? – Księżniczka pochyliła się i szepnęła coś do ucha Tamaryszka.

Rumak skoczył chyżo jak łania i pocwałował Południową Drogą z powrotem do miasta.

– Łapać ją! – krzyknął chłopiec siedzący na koniu.

Ponaglił wierzchowca i popędził za księżniczką.

Potargany chłopak rzucił Reubenowi miecz. Potem razem z bratem dosiadł konia i pojechał za uciekającą księżniczką, która zgodnie z zapowiedzią zostawiła ich wszystkich w chmurze kurzu.

W jednej chwili Reuben został sam. Jedyłą jego pociechą była świadomość, że księżniczce nic nie grozi. Arista najwyraźniej знаła tę trójkę, co tylko pogłębiło jego upokorzenie. Jedyłą gorszą rzeczą od tego, że został pokonany przez młodszego chłopca i wyśmiany na oczach księżniczki, był fakt, że to ona stanęła w jego obronie.

Nie widzisz, że on nie potrafi posługiwać się mieczem? Nie ma nawet pojęcia, jak jeździć konno. To służący. On tylko rąbie drewno i nosi wodę.

Reuben stał chwilę, patrząc na gasnące światło i obserwując czarne chmury przewalające się jak kurtyna przesłaniająca scenę. Łzy spłynęły mu po policzkach. Nigdy nie płakał, chociaż wiele razy dostał łanie. Przywykł do bólu, wyzwisk, ale to było coś innego. Reuben zawsze podejrzewał, że jest do niczego. Teraz stracił wszelkie wątpliwości. Kimkolwiek tamci byli, żałował, że go nie zabili, wtedy przynajmniej nie musiałby żyć ze wstydem.

Otarł twarz brudnymi rękami i rozejrzał się znowu. Kiedy nadeszła noc, mgła uniosła się nad rzeką, światła zamigotały w odległych domach na farmach. Melancholia zniknęła. Albo pobiegła za tamtymi, albo po prostu wiedziała, że czas wracać do stajni.

Reuben Hilfred wsunął pożyczony miecz do pochwy i wrócił piechotą do domu.

* * *

Był zmęczony, kiedy dotarł na miejsce. Zajrzał do stajni i zobaczył, że Melancholia i Tamaryszek stoją już bezpiecznie w swoich boksach. Złamano mu serce, pobito, zagoniono go do ciężkiej pracy w stajni, a potem zmuszono do przejścia kilku mil piechotą po zmroku – Reubenowi zostało niewiele siły. Mimo to przystanął w połowie dziedzińca, żeby spojrzeć na zamek... I na wieżę.

Piękny jesienny dzień zamienił się w okropną jesienną noc. Wraz ze wschodem księżyca, który przesłoniły ciemne chmury, zerwał się wiatr. Czarne wiedźmowate palce drzew poruszały się gwałtownie na tle mrocznego nieba, liście odrywane od ich członków latały nad dziedzińcem. Noc była zimna, pochodnie migotały na wietrze. W nocach w porze żniw było coś, co niepokoiło Reubena. Wrażenie bliskości śmierci przenikało wszystkie zakamarki, a niedługo spadnie śnieg podobny do całunu okrywającego nieboszczyka. Myśląc o tym, spojrzął na wieżę. Spodziewał się sygnału w jej oknie, jednak nie zapłonęło w nim światło.

Ogarnęła go znajoma mieszanka uczuć – niewątpliwie ulga, ale i rozczarowanie.

Wszedł cichaczem do koszar, gdzie powitało go chrapanie kilkudziesięciu mężczyzn. Noszone za dnia buty teraz wietrzyły się, ich odór dołączył do smrodu potu i stęchłego piwa. Reuben z ojcem zajmowali osobny pokój, ale nie były to żadne luksusy. Kiedyś był to schowek, ledwie zmieściły się tam dwa łóżka i stół. Zanim Reuben zjawił się na zamku, był to przywilej, nagroda, jaką ojciec otrzymał za służbę u króla.

Lampa nadal płonęła, kiedy wszedł.

– Chcesz kolację? – spytał ojciec.

Ani słowem nie spytał, gdzie był. Ojciec nigdy o to nie pytał i dopiero niedawno Reuben zaczął dostrzegać, że to dziwne. Ojciec leżał na łóżku, buty już zdjął, pas z mieczem, kolczugę i tunikę schludnie odłożył na półkę i wieszaki. Pasek i trzy skórzane sakiewki, które zawsze przy nim nosił, leżały obok łóżka – nieodmiennie

w zasięgu ręki. Reuben wiedział, że w jednej ojciec nosił pieniądze, a w drugiej osełkę, ale nie wiedział, co jest w trzeciej. Richard Hilfred leżał z jedną ręką ugiętą tak, by osłaniała oczy. Każdej nocy spał w tej samej pozycji. Nie golił się przez kilka ostatnich dni i ciemny zarost, gęsty jak najeżone futro, pokrył mu policzki i brodę. Włosy, kiedyś czarne jak węgiel, pokryły się odrobiną srebra. Reuben był ciemnym blondynem, co sprawiło, że przypomniał sobie w tej chwili słowa Ellisona na temat jego matki.

– Nie jestem głodny.

Ojciec opuścił rękę i spojrzał na niego, mrużąc oczy.

– Co się stało?

Pytanie? Od kiedy?

– Nic. – Reuben usiadł na łóżku świadom ironii, że kiedy raz ojciec zainteresował się nim, on nie chciał z nim rozmawiać.

– Skąd masz ten miecz?

– Co? – Zapomniał o broni. – Ach, Ian kazał mi go wziąć.

– Dokąd?

Cztery pytania z rzędu. Zainteresowanie, troska czy po prostu zbliżają się moje urodziny?

Ojciec zawsze był nerwowy o tej porze roku. Urodziny Reubena to był jedyny dzień, kiedy Richard odwiedzał go, kiedy jeszcze Reuben mieszkał z ciotką – raz w roku, zawsze bez wyjątku. Ojciec nigdy go nie objął, zwykle na niego wrzeszczał, a w jego oddechu było czuć alkohol. Gdy ciotka umarła i ojciec zabrał go na zamek, Reuben płakał. Niewiele mu brakowało do dwunastych urodzin i Richard Hilfred uznał, że syn jest za duży na łzy. Spuścił mu lanie. Reuben nigdy więcej nie zapłakał, aż do tego wieczoru, kiedy księżniczka odjechała, zabierając ze sobą jego nadzieje.

– Księżniczka nalegała na przejażdżkę – wyjaśnił Reuben. – Ian kazał mi ją eskortować.

Ojciec usiadł. Łóżko pod nim zatrzeszczało. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił, tylko patrzył i w końcu Reuben poczuł się nieswojo.

– Trzymaj się od niej z dala, słyszysz?

– Nie miałem wyboru. Ona...

– Nie chcę słyszeć żadnych wymówek. Nie zbliżają się do niej,

jasne?

Reuben skinął głową. Już dawno temu nauczył się nie sprzeczać z ojcem. Sierżant Richard Hilfred przywykł do radzenia sobie z niezdyscyplinowanymi ludźmi. Wydawał rozkaz i był on wypełniany albo sypały się zęby. Tak się dbało o dyscyplinę w szeregach straży, w koszarach i w ich małym pokoju.

– Arystokraci są niebezpieczni – ciągnął ojciec. – Są jak dzikie zwierzęta i zwrócą się przeciwko tobie. Nie można im ufać. Dla nich jesteśmy jak robactwo. Czasem mogą się z nami bawić, ale kiedy się znudzą, zmiążdżą nas.

– W takim razie czemu należysz do straży przybocznej króla? Przebywasz z nimi cały dzień.

Ojciec popatrzył na niego dziwnie, a Reuben zastanawiał się, czy zbliża się lanie. Ojciec jednak skrzywił się w zamyśleniu, nie z gniewu.

– Bo chyba kiedyś byłem taki jak ty. Wierzyłem im, ufałem. Poza tym nie ma lepszej pracy na tym zamku, może z wyjątkiem funkcji osobistego strażnika członka królewskiej rodziny. Wtedy uzyskujesz dostęp do wszystkiego i jesteś traktowany z szacunkiem. Jednakże nigdy nie zostałem wybrany, więc stałem się zaklinaczem węży. Wiem, jak sobie z nimi radzić, jak trzymać szlachetnie urodzonych tuż za łbem, żeby nie mogli ukąsić.

– Jak to robisz?

– Nie dając im nigdy powodu, żeby mnie zauważyli. Jestem cieniem. Jestem niewidzialny i cichy jak krzesło albo drzwi. Jestem tam, żeby ich strzec, ale póki nie ma zagrożenia, moim zadaniem jest nie istnieć. Ty zaś dałeś się zauważyć, i to przez samą księżniczkę. Miło się z nią jeździło? Wszyscy w mieście widzieli, jak podskakujesz w siodle z bronią mężczyzny u pasa i piękną dziewczyną u boku? Czułeś się jak jeden z nich?

Reuben nic nie powiedział, wbił tylko wzrok w podłogę.

– Widzę, jak na nią patrzysz. Jest ładna i będzie jeszcze ładniejsza, ale mądrzej byś postąpił, gdybyś już teraz wyłupił sobie oczy. Wyjdzie za mąż za rok albo dwa. Amrath nie będzie długo czekał. Potrzebuje sprzymierzeńców i wyda ją, póki jest młoda i najcenniejsza. Zostanie wysłana do Alburnu albo Maranonu. Może dlatego kupił jej konia,

żeby pokochała nowy dom. To nie ma znaczenia. Ona nie jest osobą, jest walutą jak złoto czy srebro i król wyda ją, żeby zdobyć większą władzę lub zabezpieczyć granice. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem na nią spojrzysz. Pragnąc jej to jak kraść z jego kufrów. Za to zabija się ludzi, nawet arystokratów.

Reubenowi nie podobała się ta rozmowa i wolał zmienić temat.

– Tego wieczoru nie zapaliło się światło w wieży.

Ojciec patrzył na niego chwilę, żeby dać mu odczuć, że mówił poważnie, a potem zapytał:

– I co z tego?

Położył się. Poruszał się powoli, jakby był obolały. Starzał się i to zaczynało rzucać się w oczy.

– Nic. Pomyślałem, że to dobry znak, prawda?

– To tylko pokój w wieży, Rue. Ludzie czasem wnoszą do pokoi świece.

– Tyle że wcześniej zawsze było tam ciemno, oprócz tych nocy, kiedy spłonęła lady Clare i potem, kiedy zmarł kanclerz. Widziałem.

– No i?

– Mówi się, że śmierć przychodzi trójkami.

– Kto tak mówi?

– Ludzie. – Reuben odpiął miecz i powiesił go obok broni ojca. Nie poczuł dumy, że wreszcie może to zrobić. – Zastanawiałem się, no wiesz, co tam działo się na górze, kiedy widziałem światło.

Pochylił się, żeby zdjąć buty, a kiedy podniósł wzrok, ojciec znowu mu się przypatrywał.

– Nie zbliżaj się do tej wieży, rozumiesz?

– Tak jest, sir.

– Mówię poważnie, Rue. Jeśli usłyszysz, że kręciłeś się gdzieś w pobliżu, zleję cię gorzej niż giermkowie.

Reuben spuścił wzrok.

– Wiesz o tym?

– Masz ślady na twarzy, krwawą smugę na plecach tuniki i rozcięcie na koszuli. Kto inny? Nie martw się – dodał, gasząc lampę – w przyszłym tygodniu zostaniesz strażnikiem na zamku.

– A w czym to pomoże?

– Dostaniesz kolczugę zamiast koszuli.

Rozdział 2

Albert Winslow

Kobieta z miotłą wyskoczyła na nich i jak nikt inny przypominała Hadrianowi czarownicę. Pozlepiane czarne włosy rozsypywały się w szorstkich lokach tak, że było jej widać tylko jedno oko i czubek nosa. Chłopska spódnica przeszkadzała jej w ucieczce z zarośli i była tak porozdzierana i poplamiona błotem, że Hadrian był pewien, że kobieta przewróciła się więcej niż raz.

– Stać! Pomocy! – zawołała rozpaczliwie, jakby obaj z Royce'em pędzili drogą.

A prawda była taka, że jechali konno w tempie nieco szybszym od spacerowego. Hadrian ściągnął wodze i zatrzymał się, Royce zaś jeszcze przez chwilę jechał dalej, zanim obejrzał się zaciekawiony. W ciągu minionego roku Hadrian dość często widywał tę minę. Wiedział z doświadczenia, że zdumienie zamieni się w irytację, kiedy tylko Royce zrozumie, że Hadrian zatrzymał się, żeby wysłuchać, czego chce stara kobieta. Potem pojawi się grymas. Hadrian nie był pewien, co oznaczał – może rozczarowanie? Potem Royce przewróci oczami z nieskrywaną pogardą, następnie frustracja ujawni się w skrzyżowaniu rąk. Wreszcie wraz z naciągnięciem kaptura nadejdzie gniew. To, że Royce zakłada kaptur, zawsze było złym znakiem, jak futro jeżące się na grzbiecie wilka. Ostrzeżeniem – zwykle jedynym, jakie ktokolwiek otrzymywał.

– Musicie mi pomóc – powiedziała stara kobieta, brnąc przez zarośla i gramoląc się z rowu na drogę. – W mojej stodole jest jakiś

obcy człowiek. Śmiertelnie mnie przeraził.

– W stodole? – spytał Hadrian, zerkając ponad kobietą i nie widząc stodoły.

Royce i Hadrian podróżowali na północ Traktem Namiestnika niedaleko Colnory. Przez cały ranek mijali różne gospodarstwa i chaty, ale od jakiegoś czasu nie widzieli niczego takiego.

– Mamy z mężem gospodarstwo tuż za zakrętem. – Kobieta wskazała w górę drogi.

– Skoro masz męża, to czemu on nie zajmie się nieznajomym?

– Kochany stary Danny wyjechał. Wybrał się do Vernesu sprzedać wełnę z naszych owiec. Nie wróci przez co najmniej miesiąc. Ten człowiek w mojej stodole to pijany wariat. Jest nagi, przeklina i się miota. Pewnie ugryzł go chory pies. Boję się podejść do stodoły, a muszę nakarmić bydło. Nie wiem, jak to zrobić. Na pewno mnie zabije, gdy tylko wejdę do środka.

– Pierwszy raz go tu widzisz?

Kobieta pokiwała głową.

– Jeśli mi pomożecie, jeżeli wypędzicie go z mojej ziemi, dostaniecie porządny posiłek. Wy dwaj i wasze konie. Nawet zapakuję wam trochę jedzenia na drogę. Jestem dobrą kucharką, naprawdę.

Hadrian zsiadł z konia i zerknął na przyjaciela.

– Co robisz? – spytał Royce.

– To zajmie tylko minutkę – odpowiedział Hadrian.

Royce westchnął. To był nowy sygnał.

– Nie znasz tej kobiety. To nie twój kłopot.

– Wiem.

– To dlaczego jej pomagasz?

– Bo ludzie tak robią. Pomagają sobie. Gdybyś zobaczył człowieka z wbitym strzałą leżącego na drodze, to zatrzymałbyś się, prawda?

– Oczywiście – odpowiedział Royce. – Każdy by się zatrzymał. Ranny to łatwa ofiara. No, chyba że już z siodła widzisz, że ktoś inny zabrał mu sakiewkę.

– Co? Nie! Nikt nie obrabowałby rannego człowieka i nie zostawiłby go, żeby umarł.

Royce pokiwał głową.

– No nie, masz rację. Gdyby miał sakiewkę i ty byś mu ją zabrał, to najlepiej, żebyś potem poderżnął mu gardło. Zbyt wielu ludzi wylizuje się po ranie od strzały. Sam mnie tego nauczyłeś. Nie ma sensu ryzykować, że potem będzie się mścił.

Stara kobieta spojrzała na Royce'a przerażona.

Tym razem to Hadrian westchnął.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Wychowały go wilki.

Royce skrzyżował ręce i spiorunował go wzrokiem.

– Nie powinienem był ci o tym mówić.

– Posłuchaj, jest piękne popołudnie, a nam się nie śpieszy. Poza tym zawsze narzekasz na moją kuchnię. Na pewno bardziej ucieszy cię jej posiłek. Pogadam tylko chwilkę z tym gościem. – Szeptem dodał: – To pewnie jakiś biedak, który rozpaczliwie szukał schronienia. Założę się, że jeśli tych dwoje porozmawia, na pewno zdołamy wymyślić jakieś rozwiązanie. Pewnie uda się to tak załatwić, żeby płaciła mu za pomoc w gospodarstwie podczas nieobecności męża. On zyska parobka, a on strawę i dach nad głową. Co więcej, my dostaniemy ciepły posiłek, więc wszyscy skorzystają.

– A kiedy ten dobry uczynek zakończy się katastrofą, posłuchasz mnie następnym razem i dasz ludziom samodzielnie zajmować się własnymi problemami?

– Pewnie, ale nic się nie stanie. To tylko jeden gość. Nawet jeśli całkiem mu odbiło, myślę, że poradzę sobie z pijanym dzikim lokatorem.

Jesień była deszczowa, więc czekała ich błotnista droga. Spadłe liście skrywały kałuże, drzewa zamieniły się w czarne szkielety, śpiewające ptaki były nieliczne. Hadrianowi zawsze najbardziej ich brakowało, kiedy spadały liście, a wiosną był zaskoczony ich powrotem, bo zapominał o tym, jak świergoczą.

Zgodnie z zapowiedzią za zakrętem znajdowało się gospodarstwo, o ile można było to miejsce tak nazwać. Wszystkie farmy, które wcześniej mijali, miały schludne pobielone chaty kryte strzechą, pięknie odcinające się na tle czerwieni i żółci. Przy każdej ciągnęły się pola ze złotą pszenicą lub jęczmieniem gotowym do zżęcia. Farma kobiety składała się z rozpadającej się chałupy z podniszczonych

desek i z przekrzywionym płotem. Podnosząc się w strzemionach, Hadrian nie dostrzegł nigdzie obsianego pola.

– Stodoła stoi kawałek stąd, w dole. – Kobieta wskazała kierunek. – Widać dach. Jeśli chcecie, podsypię waszym koniom trochę ziarna i dam wody, a potem zacznę gotować.

– Mówisz, że to tylko jeden człowiek? – upewnił się Hadrian, zsiadając z konia i idąc za kobietą.

Skinęła głową.

Hadrian, który już miał u pasa dwa miecze, zdjął przytroczony do siodła espadon. Przełożył pendent przez ramię, by wielki miecz zawisł mu na plecach. Tylko w taki sposób można było go nosić. Espadon to broń rycerska, której powinno używać się, siedząc w siodle. Gdyby nosił go u pasa, czubek broni włókłby się po ziemi.

– Sporo stali jak na jednego pijanego głupka – zauważyła kobieta.

– Siła przyzwyczajenia.

Royce też zsiadł z konia, stając na ziemi prawą stopą, lewą stawiając ostrożniej. Otworzył torbę i zaczął w niej grzebać. Kobieta odczekała, aż skończy. Potem po kolejnych, ostatnich już podziękowaniach zabrała konie do domu, zostawiając Royce'a i Hadriana na podwórku.

Studnia z kamienną cembrowiną stała pośrodku placu między domem i budynkami gospodarczymi, a w dole stoku przycupnęła stodoła. Całość była potwornie zarośnięta wysoką do kolan trawą i dmuchawcami. Royce przystanął na chwilę i przysiadł na fundamencie czegoś, co było kiedyś małym budynkiem – najpewniej kurnikiem, bo było za małe na coś innego. Uniósł lewą nogę i przyjrzał się. Hadrian widział rząddek dziurek w miękkiej skórze.

– Jak twoja stopa? – spytał.

– Boli.

– Dobrze cię chwycił.

– Przegryzł but.

– Tak, to wyglądało na bolesne.

– To dlaczego mi nie pomogłeś?

Hadrian wzruszył ramionami.

– To był pies. Słodki psiak. Co miałem zrobić? Zabić niewinne

zwierzę?

Royce przekrzywił głowę, mrużąc oczy z powodu wieczornego słońca, żeby przyjrzeć się przyjacielowi.

– To żart?

– To był szczeniak.

– To nie był szczeniak i zżerał mi nogę.

– Aha, ale ty wpakowałaś się do jego domu.

Royce zmarszczył brwi i opuścił nogę.

– Sprawdźmy tego twojego ogra, który wpakował się do stodoły.

Ruszyli trawiastym stokiem ozdobionym mnóstwem białych i żółtych polnych kwiatów, które kołysały się na delikatnym wiateryku. Pszczoły nadal pracowały, bucząc między stokrotkami i kwiatami dziczalej marchewki. Hadrian się uśmiechnął. Przynajmniej ktoś uczciwie pracował na tej ziemi. Zbliżyli się do stodoły i odkryli, że jest w nie lepszym stanie niż chata.

– Wiesz, nie musiałeś go wyrzucać przez okno – powiedział po drodze Hadrian.

Royce, który nadal skupiał się na stopie, podniósł wzrok.

– A co twoim zdaniem miałem zrobić? Podrapać za uszami tego małego potwora, który przeżuwał palce moich stóp? A gdyby zaczął szczekać? Wtedy dopiero zrobiliby się bałagan.

– Dobrze, że tuż pod oknem była fosa.

Royce przystanął.

– Była?

Teraz Hadrian się skrzywił. W takich chwilach nigdy nie miał pewności, czy Royce mówi poważnie, czy żartuje. Pracowali razem od prawie roku, ale nadal próbował zrozumieć nowego partnera. Jedno było pewne – Royce Melborn był najciekawszą osobą, jaką kiedykolwiek poznał, ale i najtrudniejszą do rozgryzienia.

Doszli do stodoły, którą zbudowano z drewna i kamienia, a pokryto strzechą. Całość się przekrzywiła, okap opierał się o pień starego klonu. Brakowało desek z oszalowania, a w niektórych miejscach nie było strzechy. Dwuskrzydłowe drzwi stały otwarte, ale wewnątrz Hadrian widział tylko ciemność.

– Halo?! – zawołał. Pchnął drzwi, żeby otworzyły się szerzej,

i zerknął do środka. – Jest tam kto?

Royce'a już nie było za jego plecami. Często znikał w takich chwilach. Był bardziej wprawny w skradaniu się i chętnie wykorzystywał Hadriana jako hałaśliwy sposób odwrócenia uwagi.

Nikt nie odpowiedział.

Hadrian wyciągnął miecz i wszedł do środka.

Wnętrze stodoły wyglądało jak każde inne, jeśli pominąć to, że wskazywało na poważne zaniedbanie oraz fakt, że niedawno ktoś tu zamieszkał – dziwna kombinacja. Obwisły stryżek był pełen gnijącego siana. Kilka widocznych narzędzi zardzewiało i pokryło się pajęczynami.

Przez dziury w dachu i ścianach wpadało dość światła, żeby oświetlić mężczyznę, który spał na kupie siana. Chudy i niesamowicie brudny był odziany jedynie w koszulę nocną. We włosach miał trawę, a jego twarz niemal całkowicie zniknęła pod nieokiełznanymi kołtunami brody. Zwinął się w kłębek, a stary worek pełnił funkcję koca. Miał otwarte usta i głośno chrapał.

Hadrian schował broń i delikatnie kopnął go w bosą stopę. W odpowiedzi rozległ się pomruk i mężczyzna ułożył się wygodniej. Kolejne szturchnięcie sprawiło, że zamrugał. Na widok Hadriana usiadł i spojrzał, mrużąc oczy.

– Kim jesteś?

– Nazywam się Hadrian Blackwater.

– Czego sobie życzysz, mój dobry panie? – Nieznajomy mówił z dykcją bardziej wyrafinowaną, niżby sugerował jego wygląd.

– Zostałem przysłany przez panią, która jest właścicielką tego gospodarstwa, by się dowiedzieć, co robisz w jej stodole.

– Obawiam się, że nie rozumiem. – Mężczyzna jeszcze mocniej zmrużył oczy.

Ładnie mówił, ale geniuszem to on nie był.

– Zacznijmy od twojego imienia. Kim jesteś?

Mężczyzna wstał, otrzepując siano z koszuli.

– Jestem wicehrabia Albert Tyrus Winslow, syn Armeta.

– Wicehrabia? – Hadrian się roześmiał. – Piłeś?

Mężczyzna wyraźnie posmutniał, jakby Hadrian zapytał go

o zmarłą żonę.

– Gdyby tylko było mnie na to stać. – Nagle olśnienie rozjaśniło oblicze Alberta nadzieją. Znowu otrzepał koszulę z siana. – To naprawdę jedyne, co mi zostało, ale jest uszyta z najdelikatniejszego płótna. Sprzedam ją za ułamek jej wartości. Wystarczy jeden srebrny tenent. Jedna mała moneta. Masz taką?

– Nie potrzebuję koszuli nocnej.

– Ach, ależ dobry człowieku, możesz ją sprzedać. – Albert splunął na brudną smugę i potarł palcami materiał. – Gdyby ją porządnie uprać, wyglądałaby pięknie. Spokojnie dostałbyś za nią dwa, może trzy srebrniki. Z pewnością podwoiłbyś zarobek.

– Jest sam. – Royce zeskokczył ze stryszku, lądując na ziemi obok nich i nie robiąc przy tym prawie żadnego hałasu.

Albert stłumił okrzyk i zatoczył się do tyłu, patrząc z przerażeniem na partnera Hadriana. Jego reakcja nie była nietypowa – większość ludzi bała się Royce'a. Był niższy od Hadriana i nie nosił widocznej broni, ale mimo to wyprowadzał ludzi z równowagi. Warstwy czerni i szarości oraz kaptur nie pomagały. Jednakże prawdziwe źródło zagrożenia, które sprawiało, że tylko najodważniejsi nie cofali się o krok, kryło się w fakcie, że Royce był naprawdę niebezpieczny. Ludzie to wyczuwali, czuli na nim zapach śmierci tak samo, jak wyczuwa się na żeglarzu zapach soli albo kadzidła na kapłanie.

– Teraz rozumiem... Przyszliście mnie okraść, zgadza się?! – wykrzyknął Albert. – To się przejechaliście. – Spojrzał pod nogi i wydał z siebie dziwny odgłos, żalony śmiech. – Nie mam nic... Absolutnie nic. – Padł na kolana i zaczął płakać. – Nie mam dokąd pójść – zakwilił. – Co prawda ta stodoła zapewnia niewiele lepszą osłonę niż klon, o który się opiera, ale zawsze to jakiś dach nad głową i można się tu wygodnie przespać.

Royce i Hadrian popatrzyli na niego.

– Zatem to jest ten twój straszny ogr? – zapytał kpiąco Royce.

– Skoro potrzebowałeś tylko miejsca do snu, to czemu groziłeś żonie farmera?

Albert otarł twarz i spojrzał zdumiony.

– Komu?

– Kobiecie, która jest właścicielką tego gospodarstwa. Dlaczego nie zapytałeś jej, czy możesz się tu przespać?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Starej wiedźmowatej kobiecie? Mieszka w domu na wzgórzu. Mówi, że jej groziłeś.

Albert popatrzył na Hadriana, a potem na Royce'a, jakby próbował rozgryźć zagadkę.

– Nikt tu nie mieszka. Nie widziałeś domu? Śpię tutaj, bo dom to stara rudera. Podłoga całkiem przegniła, a pod krokwiami jest gigantyczne gniazdo os. To gospodarstwo od lat stoi opuszczone. Każdy głupiec się zorientuje.

Royce spojrział na Hadriana, który szybko wyszedł ze stodoły i wbiegł po stoku.

Słońce zniknęło za linią drzew, rzucając długie cienie na pola i dom. Zgodnie z opisem Alberta dom był kompletną ruiną. W kuchni wyrosło już spore drzewko. Co bardziej niepokojące, nigdzie nie było widać ich koni. Zgarbiony wrócił do stodoły, gdzie Royce zbierał drewno na ognisko.

– Widzisz? – powiedział Royce. – Powiedziałem ci, że to nie skończy się dobrze. Zniknęła, zgadza się? Miła pani, której chciałeś pomóc, uciekła, zabierając ze sobą nasze konie i wszystkie nasze rzeczy.

Hadrian padł na zwaloną dębową belkę i skłął pod nosem kobietę.

– Nie wiń jej. To wszystko twoja robota. Praktycznie błagałeś, żeby nas okradła. Następnym razem mnie posłuchasz?

– Nie mogę uwierzyć, że ktoś mógłby tak postąpić. – Hadrian wlepił wzrok w ziemię i kręcił głową.

– Wiem. Dlatego musiałem ci to pokazać.

Hadrian podniósł wzrok.

– Wiedziałeś?

– Oczywiście, że wiedziałem. – Royce wskazał na Alberta. – Jak powiedział, każdy głupiec zorientowałby się, że w tym gospodarstwie od lat nikt nie mieszka. A nie zdziwiłeś się, czemu chowała się przy drodze?

– To dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Bo musiałeś dostać nauczki.

– To kosztowna nauuczka, nie uważasz? Nasza zapłata, sprzęt, nie wspominając o samych koniach.

– To właśnie dostajesz za pomaganie ludziom – powtórzył Royce. – Niczego cię nie nauczyli w Hintindarze? Gdyby wychowano cię jak należy, wiedziałbyś swoje. – Royce odwrócił się do Alberta. – Mam rację? Założę się, że tobie nikt nigdy nie pomógł, co?

– To prawda – potwierdził Albert, nie podnosząc wzroku.

– Jak długo tu mieszkasz?

Albert wzruszył ramionami.

– Może z tydzień.

– Z czego żyłeś?

Wicehrabia skubnął materiał koszuli nocnej na piersi.

– No wiesz, nie zjawilem się tutaj w samej koszuli.

– Sprzedawałeś ubrania?

Skinął głową.

– Na drodze jest spory ruch. Miałem trochę naprawdę ładnych rzeczy. Za sam dublet dostałem dość, żeby kupić całą baryłkę rumu, ale to wystarczyło na kilka dni. Mówiłem poważnie o koszuli. Wyświadczylibyście mi przysługę, gdybyście ją kupili.

– Tylko tyle ci zostało. Co potem zrobisz? Będiesz chodził nago?

Znowu wzruszył ramionami.

– Nie ma sensu niczego po sobie zostawiać. Ojciec mnie tego nauczył.

– Widzisz, ten biedny łajdak umrze tutaj, bez grosza przy duszy, żaloszny. Umrze z głodu. Świat jest okrutnym, bezlitosnym miejscem. – Royce zamilkł, żeby przyjrzeć się Albertowi. – Pewnie został mu niecały miesiąc i nikt nawet nie kiwnie palcem, żeby mu pomóc. Oto jaki jest świat, zimny i obojętny, nawet w najlepszych chwilach.

Hadrian westchnął.

– Tylko próbowałem pomóc.

– Tak, i teraz widzisz, jak bardzo cię potrzebowała. Potrzebowała ratunku przed tym draniem. Popatrz na niego. Oto najprawdziwszy potwór.

– Już dałeś mi do zrozumienia, co chciałeś powiedzieć, Royce.

– Mam nadzieję. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli znowu

przez to przechodzić. Jeszcze nauczę cię twardo stąpać po ziemi.

Royce rozpałił ognisko koło drzwi, żeby dym mógł uciekać, a kiedy ogień był już na tyle duży, żeby wrzucić do niego solidnych rozmiarów kłodę, słońce zaszło i nadeszła noc.

– Masz – powiedział Royce i podał Hadrianowi kawałek solonej wieprzowiny.

– To po to grzebałeś w torbie.

– Powinienem dać ci pogłodować – odparł Royce.

Albert zagapił się na kawałek mięsa i wędrował za nim wzrokiem.

– Ile czasu minęło, odkąd cokolwiek jadłeś? – spytał Hadrian.

– Kilka dni. Zjadłem kawałek chleba, którym ktoś we mnie rzucił. To było... Trzy dni temu. Wczoraj przeżułem kawałek kory, była okropna, ale trochę uspokoiła mój żołądek.

Hadrian podsunął mu kawałek mięsa, co sprawiło, że Royce jęknął i przewrócił oczami.

– Nie przerabialiśmy tego przed chwilą?

– Przecież sam mi je dałeś, nie? Poza tym dopiero co powiedziałeś, że powinienem głodować, a jednak mi je dałeś. Dlaczego właściwie?

– Ponieważ... – Royce się skrzywił. – Och, rób, co chcesz. Mam to w nosie.

Hadrian patrzył, jak Albert odgryza kawałek i przeżuwa, a potem zapytał:

– To jak brzmi twoja historia? Dlaczego znalazłeś się tu w takim stanie?

– Wiem, że przynoszę hańbę arystokracji, ale...

– Poważnie? Naprawdę jesteś szlachetnie urodzony?

– Powiedziałem przecież, że jestem wicehrabia Albert Winslow.

– Myślałem, że wciskasz mi kit.

– A jednak. Dziadek Harlan Winslow stracił rodzinne lenno w zakładzie z królem Warric. Mój ojciec nie sprawił się lepiej. Roztrwonął resztki rodzinnej fortuny na kobiety, hazard i picie. Żaden z nich w ogóle o mnie nie pomyślał, nie zastanowił się, jak mam przetrwać, nie dysponując niczym poza tytułem, który jest mi pętlą na szyi.

– A czemu to? – spytał Hadrian.

Albert odgryzł następny kęs.

– Myślisz, że ktokolwiek wynajmie szlachcica, żeby oczyścił stajnię z łajna albo wybrukował ulicę? – Wyciągnął dłonie. – Nie mam ani jednego odcisku. Nawet gdybym postanowił porzucić tytuł i dumę, nie umiem niczego użytecznego. Jestem jak mleczna krowa, którą klepnięto po zadku i wygoniono z obory, żeby poradziła sobie w lesie. Kurczak, który wrócił w dzicz, żeby samemu się bronić.

– Wątpię, żeby kurczaki kiedykolwiek były dzikie – powiedział Hadrian.

– No właśnie. – Albert spojrział na resztki paska solonej wieprzowiny. – Twój przyjaciel ma rację. To tylko odsuwanie nieuniknione. To marnotrawstwo. Proszę. – Oddał mięso.

– Zachowaj je – odparł Hadrian, przechylając głowę w stronę Royce'a. – Mam dostać nauczkę.

– Och, zamknijcie się obaj. Mam więcej. – Royce wyciągnął następny kawałek zza koszuli i podał Hadrianowi.

– Zatem tak wygląda moja żałosna historia – powiedział Albert. – A wy dwaj? – Spojrział na Hadriana. – Domyślam się, że jesteś jego uczniem?

Hadrian się roześmiał.

– Nie. Jesteśmy... Wspólnikami.

– A czym się zajmujecie?

– Zaopatrzeniem – odpowiedział Royce.

– Jakiego rodzaju?

– Wszelkiego – wyjaśnił Royce.

Albert patrzył na nich przez chwilę, a potem wytrzeszczył oczy.

– Jesteście złodziejami.

– On jest. – Hadrian wskazał Royce'a. – Ja jestem nowicjuszem w tej dziedzinie.

– Naprawdę? A czym się wcześniej zajmowałeś?

Hadrian zastanowił się.

– Zabijałem ludzi.

– Zabójca? – Albert był wyraźnie pod wrażeniem.

– Żołnierz.

– Och. To chyba wyjaśnia trzy miecze. Jak idą interesy?

Najwyraźniej radziliście sobie lepiej niż ja. Co konkretnie robicie? Jesteście kieszonkowcami? Nie, z trzema mieczami prędeż napadacie na ludzi, co? Łapiecie kupców? Czy porywacie dla okupu?

Royce się zaśmiał.

– Co w tym zabawnego?

– Nie robimy żadnej z tych rzeczy – wyjaśnił Hadrian.

– Nie?

– Nie. Kradzież jest... Zła – orzekł Hadrian.

– A jednak jesteście złodziejami, zgadza się? Jesteście, tak?

– Jak powiedziałem, on jest.

– Och, rozumiem. Ty jesteś honorowym żołnierzem... Ale chwileczkę. Dlaczego w takim razie z nim współpracujesz?

– Z tego samego powodu, dla którego ty sprzedajesz koszulę nocną – odparł Royce.

– Dla rumu?

– Rumu? – zdziwił się Hadrian. – A nie chleba?

Albert wzruszył ramionami.

– Na to wydaję całe pieniądze. To pomaga mi oderwać myśli od faktu, że wszystkie pieniądze wydaję na rum. – I szybko dodał: – Zatem czym się zajmujecie, skoro nie okradacie ludzi?

– Przeważnie działamy na zlecenie – odpowiedział Hadrian. – Ludzie, którzy potrzebują pomocy, przychodzą do nas, a my...

Royce warknął.

– Widzisz, jak on myśli? My nie pomagamy ludziom. My ich wykorzystujemy. Powiedzmy... Och, sam nie wiem... – Royce zamachał palcami, jakby próbował wyczarować myśl. – Powiedzmy, i będzie to czysto teoretyczny przykład, że kupiec otwiera sklep naprzeciwko sklepu o ustalonej renomie. Renomowanemu kupcowi, nazwijmy go Bernie, to się nie podoba, więc mówi nowemu, nazwijmy go Andrew, żeby się wynosił. Powiedzmy że Andrew się nie wynosi. Wkrótce rozchodzi się wieść, że jakieś opryszki zdemolowały sklep Andrew i złamały rękę jego żonie. Potem Bernie mówi Andrew, że musi się wynieść, bo następnego razu nie przeżyje.

– Wy jesteście oprychami? – spytał Albert.

– Nie, my... – Royce spojrział na Hadriana – ...my pomagamy

nowemu kupcowi.

– Jak to?

– Zajmuję się twórczym rozwiązywaniem problemów.

– Demolujecie sklep Bernie’ego?

– Nie, bo to doprowadziłoby do śmierci Andrew.

– To co robisz?

– Wynajmuję tych samych oprychów, żeby zdemolowali sklep najbogatszego kupca w mieście, a potem mówię im, że to Bernie wyłożył na to złoto. Następnego dnia zaczyna krążyć ohydna plotka, że stary Bernie przysparza kłopotów konkurencji. Łatwo potwierdzić tę historię z racji pierwszego incydentu. Bogaty kupiec, nazwijmy go Sebastian, ma powiązania; tacy zawsze mają znajomości. Następnego dnia pożar niszczy całkowicie sklep Bernie’ego. Na swoje nieszczęście Bernie ginie w pożarze, bo przypadkiem spał w sklepie przywiązany do łóżka. Pieniądze, które zapłaciliśmy oprychom, to tylko połowa tego, co wypłacił nam Andrew. Resztę bierzemy dla siebie. Jak już wyszkolę Hadriana w sztuce zastraszania, zaczniemy zarabiać więcej.

– Nie powinni byli go zabijać – mruknął Hadrian.

– Widzisz, z czym muszę się męczyć? Kłopot w tym, że nie dostajemy zbyt dużo takich zleceń. Jednak to, co powiedziałeś o okupach, to racja. Można zarobić niezłą sumę, gdyby dorwać odpowiedni cel. Nawet on nie może za bardzo narzekać na tego typu robotę.

– Pozwólcie, że w zamian za posiłek udzielę wam rady – powiedział Albert. – Jesteśmy niemal na przedmieściach Colnory i na waszym miejscu nie robiłbym żadnych tego typu rzeczy w tej okolicy, bo inaczej będzie was ścigał Czarny Diament.

– Czarny Diament? – zapytał Hadrian. – To straż miejska?

Albert zarechotał, a Royce pokręcił głową z miną, jakby Hadrian spuścił spodnie w miejscu publicznym.

– Nie pochodzisz z tych okolic? – spytał wicehrabia.

– Jestem z Hintindaru, małej wioski lennej na południe od Bernum.

– I nigdy nie słyszałeś o Czarnym Diamencie?

– Mało bywałem w tej okolicy. Przez ostatnie lata przebywałem na wschodzie. Wróciłem dopiero rok temu, kiedy poznałem jego. –

Wskazał przyjaciela. – Od tamtego czasu włóczyliśmy się po świecie, ale – zerknął z ciekawością na Royce'a – do tej pory ani razu nie zbliżyliśmy się do Colnory.

– Och – mruknął Albert. – Cóż, Czarny Diament to gildia złodziejska. Nie byle jaka gildia złodziejska. Najpotężniejsza i najrozleglejsza na świecie. Ich główna siedziba znajduje się przy tej drodze w Colnorze. I jak każda gildia złodziejska nie lubi intruzów. Jeśli dowiedzą się, że prowadzicie swoje interesy w okolicy, odnajdą was i poderzną wam gardła. A, zaufajcie mi, dowiedzą się. Czarny Diament to nie jest organizacja, z którą można się zabawiać. Wiadomo, że królowie woleli się przed nią skłonić niż stawić czoło jej gniewowi.

– Mam nadzieję, że dorwą tę kobietę, która ukradła nasze konie – powiedział Hadrian.

– Oni już o niej wiedzą. – Royce rzucił żdźbło żółtej trawy do ognia, gdzie poczerwiano i zwinęło się. – Była z Czarnego Diamentu.

– Co ty...? – Hadrian pokręcił głową. – Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłeś jej zabrać nasze konie i sprzęt.

– Której części zdania „musiałeś dostać nauczkę” nie zrozumiałeś?

– Jesteś wariat, wiesz o tym?

– Pewnie, nie pierwszy mi to mówisz. Jednak dziś wieczorem nic więcej nie zdziałyśmy. Proponuję położyć się i trochę przespać.

Royce wspiał się na stryszek i tam się ulokował. Hadrian patrzył za nim przez minutę zaszokowany, a potem poddał się i ułożył sobie stos siana w pobliżu ognia.

– Naprawdę, czasem przerasta ludzkie pojęcie.

* * *

Noce stały się zimne, a raniem w powietrzu wisiała wilgotna mgła. Royce wstał pierwszy. Znowu rozpał ogień, co zaskoczyło Hadriana, bo nie mieli nic do ugotowania. Najpewniej zrobił to z nudów, kiedy czekał, aż Albert i Hadrian się obudzą. Większość ludzi rozpałaby ognisko dla ogrzania, ale Hadrian nigdy nie zauważył, żeby temperatura wpływała na Royce'a, mróz czy upał.

– Dzień dobry – powiedział Albert, kiedy Hadrian usiadł, zadrżał i przysunął się do ognia.

Hadrian potarł twarz rękami i otarł oczy. Dzień był pochmurny, a dolinę wypełniła gęsta mgła. Lubił takie poranki, ciche i spokojne jak senna drzemka rozleniwionego świata. Przykucnął, żeby się ogrzać, unikając przy tym dymu.

– Zatem dokąd się wybieraliście, nim nieszczęście sprowadziło was tu do mnie? – zapytał Albert.

Leżał obok Hadriana wyciągnięty jak pies przed kominkiem.

– Na północ. Do miejsca zwanego Medford – odpowiedział Hadrian i zaczął otrzepywać siano z koszuli. – Mamy tam z Royce'em przyjaciół, których chcieliśmy odwiedzić. Słyszałeś o tym mieście?

Albert pokiwał głową.

– Stolica Melengaru, siedziba króla Amratha i królowej Ann. Mają dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Ich imiona... Zaczynają się na „A”. Wszystkie imiona Essendonów zaczynają się na „A” – Alric i Arista. Tak, to oni. Bardzo zaprzyjaźnieni z Pickeringami. Widzieliście Blindę Pickering?

Hadrian i Royce pokręcili głowami.

– Prawdziwa piękność, ale jej mąż to porywczy człowiek. Bardzo ją chroni i świetnie włada mieczem. Jeśli będziecie mieli okazję na nią spojrzeć, to zdecydowanie warto.

– Dużo wiesz o tych ludziach – zauważył Royce.

Albert wzruszył ramionami.

– Jestem arystokratą. Dobrze się znamy między sobą. Urządza się tyle przyjęć, balów, uczt. Już nie wspominając o świętach i weselach. I większość z nas jest spokrewniona.

Royce popukał się palcami w usta.

– Arystokraci mają znacznie więcej pieniędzy niż kupcy.

– Nie wszyscy, jak widać. – Albert uśmiechnął się kpiarsko. Zaraz uśmiech mu zrzędł, ale jego oczy zabłysły. – Tak... Tak, w rzeczy samej. I mają też kłopoty, kłopoty, które wymagają twórczego podejścia. Dwór to bardzo interesujące miejsce, bezkrwawe pole bitwy, gdzie plotki mogą zniszczyć życie, a wstyd może się okazać gorszy od śmierci. Wielu zapłaciłoby znaczną sumę, żeby uniknąć takiego

upokorzenia. Albo je spowodować. Cała sztuka polega na tym, żeby odkryć, kto czego potrzebuje, i zaaranżować spotkanie.

Royce pokiwał głową.

– Podejrzewam, że arystokraci nie będą rozmawiali z takimi jak my.

– Oczywiście, że nie. Nigdy w życiu nie znizyliby się do tego, żeby rozmawiać z kimś z pospólstwa, już nie wspominając o kimś o wątpliwej reputacji. Wolą prowadzić interesy ze swoimi. Będzie wam potrzebny pośrednik, przedstawiciel i musi być arystokratą.

– Wielka szkoda, że nikogo takiego nie znamy – powiedział Royce.

– Wiesz... Po strzyżeniu, goleniu i w nowych ubraniach...

– I koniec z rumem – dodał Royce.

Albert się skrzywił.

– Ale...

– Żadnych ale. Możesz tu zostać i umrzeć albo zacząć pracować dla nas. A jeśli będziesz dla nas pracował, to będziesz pracował trzeźwy.

Albert potarł zarosnięty podbródek.

– To powinien być prosty wybór, co?

– A właściwie jak mu to wszystko zapewnimy? – odezwał się Hadrian. – Zapomniałeś, że wszystko straciliśmy? W tej chwili nie jesteśmy w lepszej pozycji niż on.

Royce uśmiechnął się i wstał.

– To szczegóły, tylko szczegóły. Wy dwaj, gotowi do drogi?

– Pewnie będziesz chciał znaleźć tę czarownicę i ją zabić? – zapytał z wyraźnym niesmakiem Hadrian, kiedy zaczęli wspinać się stokiem wśród polnych kwiatów.

– Wiesz – zagadnął go Albert – jak na żołnierza to bardzo nie lubisz zabijania.

– Widziałem tyle śmierci, że starczyłoby na trzy żywoty. Nie cieszy mnie myśl o polowaniu na kobietę ani świadomość, co Royce z nią robi, kiedy ją dopadnie.

– Nie będziemy szukać więdźmy – odparł Royce.

– Naprawdę? – zdumiał się Hadrian. – A co z naszymi końmi i sprzętem?

– Popatrz.

Royce wskazał wzgórze i ruinę domu. Stały tam ich konie uwiązane

do resztek werandy.

– Nie rozumiem – powiedział Hadrian i przebiegł pozostałą odległość, żeby sprawdzić sakwy i siodła. – Wszystko na swoim miejscu.

– Zostały oporządzone i podejrzewam, że także nakarmione i napojone – odpowiedział Royce. – Och, patrz. – Sięgnął w dół i ugiął jedną nogę konia, żeby pokazać błyszczącą podkowę na kopycie. – Świeżo podkute.

– Nie pojmuję. Dlaczego je oddała?

– Podejrzewam, że ona albo ktoś, przed kim odpowiada, przeczytał liścik, który zostawiłem w torbie.

– Zostawiłeś liścik dla gildii złodziejskiej? Co napisałeś?

– Tylko tyle, że to moje konie i mogą przemyśleć sprawę, czy rzeczywiście chcą je zabrać.

Albert i Hadrian popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

– Znają mnie. Zawarliśmy układ. Zostawiają mnie w spokoju... A ja zostawiam w spokoju ich.

– Zostawiasz ich w spokoju? – przedrzeźniał go Albert.

Royce uśmiechnął się do niego i nie był to przyjazny uśmiech. Potem przeszukał torbę i wyjął kawałek pergaminu.

– Co napisano? – zapytał Albert.

– Przyjmij nasze przeprosiny za wszelkie niedogodności – przeczytał Royce i zarechotał. – Suka nie miała pojęcia.

Uniósł pergamin i głośno powiedział:

– Przeprosiny przyjęte.

Albert rozejrzał się nerwowo po drzewach wokół.

– Są tutaj?

– Obserwuję, żeby zobaczyć, co zrobię.

– A co zrobisz? – zapytał Hadrian.

Royce spojrzął na Alberta.

– Myślę, że spróbuję połowić w większym stawie, teraz, kiedy mam lepszą przynętę. Jedziemy do Medfordu?

Wicehrabia obejrzał się na stodołę, a potem spojrzął na brudną koszulę nocną. Pokiwał głową.

– Możesz jechać ze mną – zaproponował Hadrian, przerzucając

nogę przez siodło. A potem zwrócił się do przyjaciela: – Mam nadzieję, że dostałeś nauczkę.

Royce uniósł brew.

– Ja?

Odwiązał konia i go dosiadł.

– Powiedziałeś, że świat jest zimnym, bezlitosnym miejscem.

– Bo jest.

– Powiedziałeś także, że Albert umrze z głodu w tej stodole, że nikt mu nie pomoże. – Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę do wicehrabiego. – Pomóc ci wsiąść, Albercie?

– Pomagam mu tylko ze względu na zysk, jaki może...

– Nieważne. Myliłeś się.

– Nieprawda. Ja...

– Nawet jeśli robisz to z egoistycznych powodów, nadal ratujesz mu życie. To znaczy, że coś dobrego może wyniknąć z pomagania nieznanemu i dowodzi, że świat nie jest taki zły.

Royce się skrzywił. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął i znowu się wykrzywił. Wreszcie naciągnął kaptur i szturchnięciem ponaglił konia do kłusa.

– Jeszcze zrobię z niego człowieka – powiedział Hadrian do Alberta, kiedy ruszyli.

Rozdział 3

Rada Amratha

Krzesło stanowiło problem. Amrath Essendon mógł siedzieć w siodle przez dwa dni bez przerwy i czuć się świetnie, ale po pięciu minutach w krześle czuł się fatalnie. Nie przywykł do siedzenia w bezruchu. Najlepsze dni życia spędził z mieczem w rękę i z krwią na twarzy. Jako władca królestwa żyjącego w pokoju miał niewiele dobrych dni. Zamknięty w szarym pokoju, uwięziony w sztywnym krześle był otoczony przez potężnych ludzi – ludzi, którym nie mógł zaufać.

Percy Braga znowu przemawiał. Amrath zorientował się w równym stopniu po ruchu koronkowych mankietów, co po monotonnym buczeniu jego głosu. Nowy kanclerz miał skłonność do zbyt obfitego gestykulowania i używania zbyt wielu słów. Złe wychowanie i nadmiar edukacji zniszczyły zdolność myślenia. Szkoda, bo był nadzwyczajnym wojownikiem. Nawet gesty w trakcie rozmowy zdradzały jego umiejętności szermiercze. Wyważony krok i ruchy nadgarstkiem przypominały Amrathowi jego najlepszego przyjaciela, Leo Pickeringa. Chociaż obaj byli znakomitymi szermierzami, króla nie zachwycił ich styl walki – za dużo finezji. Taka delikatność mogła robić wrażenie na turnieju w czasie zimonałów, ale na przesiąkniętym krwią polu bitwy Amrath wolał topór.

– W efekcie może dojść do dalszej eskalacji wojny handlowej z Warric – mówił Braga. – Mamy powody wierzyć, że Chadwick z pewnością podniesie cło importowe. Glouston pójdzie za tym przykładem, nie byłby to pierwszy raz. Jeśli do tego dojdzie, stracimy

sto tenentów na każde dwieście zarobionych.

– A wszystko to z powodu kościoła? – Król Amrath bardziej leżał niż siedział w krześle, oklapnięty jak wosk przy żarze.

– To z powodu presji, jaką Kościół wywiera w odwecie za umniejszanie jego wpływów w Melengarze. Uważa, że...

– Nie mów mi o przeklętym Kościele – warknął Amrath. – Ciągle teraz o nim słyszę. Mam tego dość.

– Może powinieneś się zdrzemnąć, Wasza Wysokość – zaproponował Simon Exeter – i zostawić rządy krajem tym z nas, którzy chcą się tym zajmować.

Amrath spiorunował wzrokiem lorda Exetera. Jeśli istniał wizerunek „kłopotów”, to właśnie na niego patrzył. Nawet upór, z jakim Exeter ubierał się tylko w czerń i biel, barwy mundur szeryfa, stanowił prowokację – przypominał wszystkim, że zajmuje urząd najwyższego konstabla. Najbardziej martwiło króla to, że Simon był jego kuzynem, a rodzinne podobieństwo było bardzo duże. Jednakże Simon nie był toporem, nie był też rapierem jak Leo czy Braga. Był pałaszem i to ostrym.

Król oczekiwał wybuchu z jego strony. To było pierwsze oficjalne spotkanie od wyznaczenia nowego kanclerza i Amrath dziwił się, że Simon potrzebował aż tak dużo czasu. Wszyscy lordowie z rodu Exeter byli twardymi mężczyznami. Mieli to we krwi i z tego powodu zawsze bronili Wschodniej Marchii. Idealnie spełniali się w roli bezlitosnych psów strażniczych, ale takie zwierzę wymaga twardej ręki, bo inaczej zwróci się przeciwko panu. Amrath pochylił się tak, że jego krzaczasta broda otarła się o stół.

– Chcesz spróbować położyć mnie do łóżka, Simonie? Myślisz, że jesteś dość twardy?

Simon uśmiechnął się, zanim odpowiedział:

– Zmierzałem tylko do tego, Wasza Wysokość, że musisz bardziej niż do tej pory przejmować się tym, że imperialistyczny Kościół zamienia twoich przyjaznych sąsiadów w naszych wrogów. Dzisiaj to eskalacja wojny handlowej. Jutro to będą żołnierze maszerujący przez Most Wjazdowy, bez wątplenia bardzo pobożni, bardzo wierzący żołnierze, ale zamierzający przetopić tę twoją koronę.

– Jestem w pełni świadomy potencjalnych zagrożeń ze strony Kościoła – odparł król.

– Wszystko temu przeczy. – Simon spiorunował wzrokiem nie króla, ale kanclerza.

Braga zeszywniał.

– Doprawdy nie podobają mi się twoje sugestie.

– Doprawdy nie podobasz mi się ty, lordzie kanclerzu.

– Dość tego, Simonie – warknął hrabia Pickering.

Kochany stary Leo. Amrath złapał się na tym, że uśmiecha się do przyjaciela.

Leo Pickering był jedyną osobą w sali, której Amrath ufał. Jedyną, z którą mógł się napić i nie przejmować się tym, jak bardzo się upije. Przyjaźnili się od dzieciństwa. W młodości niemal rozpętali wojnę z Gloustonem, ale ostatecznie zdobyli rękę pięknej lady Belindy Lanaklin dla Leo. To były czasy. Amrath miał talent do pakowania ich w kłopoty i zawsze ratowanie ich spadało na Leo. Nawet w sali rady przyjaciel nadal strzegł tyłów Amratha, pozostawał zawsze gotową klingą króla.

Simon zwrócił się do Leo z wyrazem zaskoczenia, które mogło być prawdziwe.

– Ze wszystkich ludzi ty pierwszy powinieneś stanąć po mojej stronie. Łańcuch kanclerza powinien przypaść jednemu z nas, mi z racji urodzenia, tobie jako ulubieńcowi króla.

Leo wstał, ale Simon wskazał gestem, żeby siadał.

– Nie ma o co się obrażać. Nie próbuję cię obrazić, nie tym razem. Pewnie, że przeciwstawiłbym się, gdyby Jego Wysokość wybrał ciebie na kanclerza zamiast mnie, i wykorzystałbym twoją przyjaźń z królem przeciwko tobie, ale już prędzej całowałbym ciebie po stopach i osobiście założyłbym ci łańcuch kanclerza, niżbym przełknąłbym ten import z południowego Maranonu, trzeciego syna nierozgarniętego hrabiego w roli naszego kanclerza.

– Lordzie Exeter! – wykrzyknął lord Valin.

Stary szanowany wojownik huknął pięścią w stół.

To nie powstrzymało Simona.

– Ten człowiek był rycerzem Sereta.

– Wiemy o tym, Simonie – odparł Amrath. Mówił znudzony powtarzaniem się w kółko. – Wiedzieliśmy o tym, zanim się zjawił. Wiedzieliśmy o tym też w zeszłym tygodniu, kiedy narzekałeś.

– A czy wiedziałeś też, że starał się o zostanie wartownikiem? Moje najnowsze dochodzenie ujawniło ten sekrecik wczoraj.

Sereci byli zbrojnym ramieniem Kościoła Nyphrona, powszechnie nielubianym przez wszystkich z wyjątkiem najbardziej pobożnych, ponieważ twierdzili, że ich jurysdykcja nie ma granic. Królowie znosili ich wtrącanie się, tak samo jak trybunały obywateli ich królestw, bo w przeciwnym wypadku spadały na nich sankcje ze strony Kościoła. Wartownikami zaś powszechnie pogardzano, nienawidzili ich i bali się wszyscy, w tym monarchowie i nawet wysoko postawieni urzędnicy Kościoła. Byli to oficerowie w armii seretów. Zawsze wyznaczano tylko kilku i wszyscy byli znani jako fanatycy. Legenda głosiła, że pewien wartownik oskarżył raz o herezję króla. Nikt nie śmiał interweniować, kiedy wartownik wymierzył karę śmierci, paląc króla na stosie w środku jego własnego miasta. Najpewniej była to bajka, ale Kościół nigdy jej nie zdementował.

– To prawda? – zapytał Bragę Amrath.

Głowy zwróciły się w stronę kanclerza.

– Jak z całą wyrazistością wskazał to lord Exeter – odpowiedział Braga – jestem trzecim synem hrabiego. Kościół jest chętnie wybieranym azylem, kiedy nie ma się do odegrania roli w przedłużeniu rodu, a moje umiejętności nie pasowały do tych wymaganych od duchownego. Rola rycerza Kościoła Nyphrona była jedną z nielicznych możliwości, do której spełnienia posiadałem stosowne zdolności. Chęć zostania przywódcą to tylko efekt mojego pragnienia wyróżnienia się.

– Jednakże rola wartownika to coś więcej niż tylko awans – wyjaśnił Simon. – Wartownik składa przysięgę, że będzie utrzymywał wiarę w czystości, a ponadto będzie szukał potomka dawnego imperium i odda mu władzę. Coś takiego wymagałoby, żeby wszyscy królowie, w tym Jego Wysokość, zostali pozbawieni korony. – Simon odwrócił się do Amratha. – A mimo to wybrałeś tego człowieka na najwyższe stanowisko w królestwie. Człowieka, który świadomie szukał pracy,

w ramach której pozbawiłby cię tronu.

– Oskarżasz mnie o zdradę? – spytał Braga.

Exeter uśmiechnął się szyderczo, a jego minie dodały wyrazu związane z tyłu włosy i kozia bródka.

– Uważaj, Simonie – ostrzegł go Leo – za chwilę zostaniesz wyzwany na pojedynek, którego nie będziesz w stanie wygrać.

Braga piorunował wzrokiem lorda Exetera.

– Nie będę tu stał i...

– Będziesz robić to, co rozkaże ci król, obaj będziecie!

Amrath wstał, a wraz z nim pozostali. Jego słowa zabrzmiały jak basowy pomruk, który wraz z rozmiarami Essendona, brodą i sprawnością w zapasach przyniosły mu przydomek Niedźwiedzia. Chciał, żeby ta kłótnia się skończyła. Po całym dniu narad pękała mu głowa. Odczekał chwilę, żeby przekonać się, czy któryś z nich chce jeszcze walczyć. Kiedy zapadła cisza, usiadł z powrotem.

– Myślę, że dość się nasłuchałem na dzisiaj. Braga i Leo zostańcie. Pozostali... Zobaczymy się na przyjęciu.

* * *

– Miałem rację co do Exetera – powiedział Amrath.

Wstał, kiedy zostali tylko Braga i Leo. Ponieważ był monarchą, gdy wstawał, wstawali też inni obecni – kolejny powód, dla którego czuł się uwięziony w krześle. Jednakże Leo ignorował ten zwyczaj, kiedy pozostali wyszli, a Braga nigdy nie siadał. Był dziwnym człowiekiem, bardziej ciemnoskórym niż większość, o gęstych, czarnych włosach typowych dla mieszkańców południowego Maranonu. Tamtejsi ludzie byli niemal tak ciemni jak mieszkańcy Calisu z jeszcze dalszego południa, zwłaszcza na wybrzeżach. Był śniady, przystojny i wiecznie w ruchu. Już od samego obserwowania go król czuł się zmęczony. W przeciwieństwie do niego Leo był rozluźniony i swobodny. Kołysał się w krześle, oparł nogi na stole, postukując butami w rytm melodii, która chodziła mu po głowie. Dobry Mariborze, jak on kochał Leo. Amrath już dawno by oszalał, gdyby nie ten człowiek.

– Mówisz do mnie czy do Percy'ego? – spytał Leo.
– Do was obu.
– On chce mojego urzędu – powiedział Braga.
– Gdyby tylko – odpowiedział Amrath. – Rzecz w tym, że on chce mojego urzędu. Nie potrafi tylko wymyślić, jak tego dokonać. Jesteś jedynie celem w tym sezonie.

– Powinienem zrezygnować? Co prawda nie zajmowałem tego urzędu zbyt długo. Dopiero co...

– Nie! – odpowiedzieli jednocześnie Amrath i Leo.

– Jednak lord Exeter ma słuszość. – Braga wskazał Leo. – Hrabia Pickering cieszy się twoim zaufaniem. On powinien być kanclerzem.

Amrath spojrział za okno. Często krążył bezwiednie po sali i zawsze łapał się na tym, że zatrzymywał się przy oknie przyciągany przez świeże powietrze i otwarte niebo.

– To niemożliwe. Widzisz, kłopot z Simonem polega na tym, że chociaż potrafi być skończoną mendą, zwykle ma rację. To dlatego stanowi tak duży problem.

Na zewnątrz król dostrzegł sprzedawcę jabłek, który wyprowadzał wózek przez bramę i wracał na plac Szlachecki. Jakie musi być życie takiego człowieka? Człowieka bez zmartwień i kłopotów? Człowieka, którego kuzyn nie spiskuje przeciwko niemu?

– Zatem owszem, z radością wyznaczyłbym Leo na kanclerza, ale nie mogę, bo jak zauważył to Simon, pojawiłaby się drobna kwestia faworyzowania przyjaciela. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy sobie bliscy. Leo ma najbogatszą prowincję Melengaru, a nie jesteśmy spokrewnieni, nawet nie jesteśmy spowinowaceni. Gdybym oddał mu ten urząd, arystokraci zaraz by...

Amrath wyrzucił ręce do góry w wyrazie frustracji, bo zabrakło mu słów. Bycie królem miało niby oznaczać – powinno oznaczać – że może robić, co zechce. A prawda była taka, że jego życie niewiele się różniło od losu uwięzionego niewolnika żadnych władzy arystokratów. Władca starożytnego imperium novrońskiego miał łatwiej – był bogiem i nikt mu nie czynił wyrzutów.

– Więcej, nie mogę nawet mianować go skarbnikiem albo strażnikiem pieczęci, nie mówiąc już o pozycji kanclerza!

– To czemu nie wyznaczyłeś lorda Exetera na kanclerza? Jest twoim kuzynem i o ile się nie mylę, następnym w kolejce do tronu po twoich własnych dzieciach, zgadza się?

Leo zarechotał.

– Masz całkowitą słuszność.

– Z dwóch powodów – odpowiedział Amrath, odwracając się i pokazując jeden palec. – Po pierwsze z powodu jego obsesyjnej nienawiści do imperialistów. Uważa, że każdy, kto wierzy w spadkobiercę Novrona albo wspiera Kościół Nyphrona, to jego śmiertelny wróg. Jako król u władzy też wolałby, żeby ta fantazja o odnowieniu imperium wygasła. Dobrze mieć w otoczeniu ludzi o poglądach Exetera. Moi przodkowie toczyli wojny, żeby uczynić Melengar wolnym i niezależnym królestwem. Moja korona została opłacona rzekami krwi i myśl, że pewnego dnia imperialiści odnajdą swojego zaginionego spadkobiercę i wszyscy po prostu przed nim uklękną, jest... Cóż, obraźliwa, psiakrew! Kościół wspiera ten toksyczny mit. Teraz wydaje się, że Warric ulega tej pokręconej mentalności. Jeśli najpotężniejsze królestwo Avrynu może ulegnąć temu szaleństwu, to znaczy, że każdy może. Prawda jest taka, że zgadzam się z Simonem. Nie mogę jednak pozwolić na zrobienie sobie wrogów z Clovisa lub jego syna.

– A drugi? – spytał Braga.

– Co? – Król popatrywał to na niego, to na Leo.

– Drugi powód, dla którego nie możesz wyznaczyć Simona na kanclerza.

– Ach... – Król posłał Bradze cierpki uśmiech. – Ponieważ go nienawidzę. To dlatego jest takim wrzodem na tyłku. Naprawdę nie może już bardziej podpaść królowi. Dlatego dokucza mi i rozkoszuje się swoją pozycją najpotężniejszego i najbardziej nielubianego arystokraty w królestwie. A najgorsze z tego wszystkiego jest to – warknął Amrath, znowu wyglądając przez okno – że gdybym miał wdać się w utarczkę z Warric, to nie ma dwóch innych ludzi, których bardziej chciałbym mieć u swego boku, niż Leo i Simon. To prawda, że mnie nie cierpi. To nic osobistego, on wszystkich nienawidzi. Nigdy w życiu nie spotkałem bardziej niezgodnego łajdaka. Ale kocha

królestwo. I nawet jeśli się myli, nawet jeśli jest arogancki i ambitny w sposób, który przekracza granice rozsądku, to pozostaje także niez mordowany w wysiłkach utrzymania bezpieczeństwa Melengarau. To dlatego wyznaczyłem go na najwyższego konstabla. Wyobrażam sobie, że doszło do masowego exodusu złodziei i rzezimieszków w dniu, kiedy to ogłoszono. Nie martw się jednak, gdy już lepiej poznasz Simona, nauczysz się naprawdę nim pogardzać, tak jak pogardzamy nim ja i Leo.

– Nie jestem pewien, czy nadaję się na ten urząd – powiedział Braga. – Nie pochodzę z tego królestwa i jak wspomniał Exeter, byłem rycerzem Kościoła Nyphrona.

– Co jest znaczącym osiągnięciem, jeśli zapomnieć o związanej z tym polityce – zauważył Leo. – Sereci są powszechnie znani ze swych wybitnych osiągnięć.

– Mimo wszystko jestem tu dopiero od roku...

– Percy – przerwał mu łagodnie król – odkąd poślubiłeś Clare, należysz do rodziny.

– Krew ma większą wagę niż papier – odparł Braga.

– Zakładasz, że Simon ma krew. A my do tej pory nie wiemy nawet, czy ma serce – powiedział Leo. – Masz jednak rację i chociaż uważam cię za miłszego od lorda Exetera, to właśnie z racji jego pochodzenia ja i reszta arystokracji poprzemy go, gdyby coś się stało Niedźwiedziowi i jego rodzinie. – Leo zadygotał teatralnie. – Dbaj o zdrowie, Wasza Wysokość.

Król uśmiechnął się szyderczo.

– Tak, dlatego właśnie nie umrę: ponieważ nie chcę przysporzyć ci kłopotów.

– Uznaję to za obietnicę.

Braga spojrział na łańcuch tak, jakby nagle przybrał na wadze.

– Gdyby chociaż Clare żyła... – zaczął.

Zapadło niezręczne milczenie.

Clare była szwagierką Amratha, starzejącą się drugą córką Llewellyna Ethelreda, księcia Rise. Książę za długo szukał dla niej odpowiedniego męża i kiedy zmarł, zapytała, czy mogłaby zamieszkać z siostrą, królową Ann, w Melengarze. Amrath mógł tylko zgadywać,

w jakim stanie był dwór w Aqueście, skoro wnuczka panującego monarchy wolała uciec z własnego domu do sąsiedniego królestwa. Amrath i Ann z radością ją przyjęli, zwłaszcza że była łagodną istotą. Żyła na wygnaniu, była trochę mołem książkowym i skończyła trzydziestkę, wszyscy więc spodziewali się, że pozostanie niezamężna. Wszyscy myśleli, że zestarzeje się w staropanieństwie jako życzliwa ciotka królewskich dzieci, ale wtedy biskup Saldur zapoznał ją z Percym Bragą i wszystko się zmieniło. Clare uznała sztywnego młodego szermierza za czarującego. Miesiącami Amrath i Ann komentowali szeroki uśmiech Clare.

– Bardzo cię kochała i nigdy nie widziałem jej szczęśliwszej niż w dniu, w którym złożyłaś przysięgę kanclerza. Wierzyła w ciebie i ja także w ciebie wierzę. – Amrath odsunął się od okna, poklepał Bragę wielką dłonią po ramieniu i lekko uściskał. – Tylko ty jeden nadajesz się do tej roboty, Percy. Nie ośmieliłbym się dać Simonowi więcej władzy. Nie mogę jej oddać Leo. W gruncie rzeczy to dobrze, że jesteś z Maranonu. Wyróżnienie jakiegokolwiek innego arystokraty wywołałoby rozłamy i plotki, które mogłyby doprowadzić do większych problemów niż tylko posiniaczone ego. Nie masz powiązań, nie jesteś stronniczy. Jako kanclerz będziesz musiał osądzać ich wszystkich, ustalać prawa i prowadzić rejestry. Tylko człowiek bez afiliacji może tego dokonać.

– Tak – wtrącił Leo – tylko osoba równie pogardzana jak ty ma szansę być skutecznym kanclerzem dla naszego niezdyscyplinowanego tłumu arystokratów. Pod tym względem dorównujesz Simonowi. Jako powszechnie nienawidzony możesz swobodnie działać w zgodzie z własnym sumieniem.

– Cudownie – powiedział Braga, ale zdołał się uśmiechnąć.

Amrath klepnął go mocno w plecy i mniejszy mężczyzna aż zatoczył się do przodu.

– To prawda? – zapytał Leo. – Rzeczywiście starałeś się o urząd wartownika?

Braga skinął głową.

– Nie tak łatwo zostać wartownikiem.

– Jak widać nie udało mi się. – Braga złączył ręce za plecami. – Sam

rozumiesz, nie miałem zbyt wielkich perspektyw. A Kościół zajmuje bardziej dominującą pozycję w Maranonie niż tutaj. Czułem, że kiedy zdobyłem Srebrną Tarczę, Złoty Laur i wygrałem Wielki Turniej Szermierczy w zimonalia, rozważą moją kandydaturę. W końcu nie robili mi kłopotów, gdy starałem się o przyjęcie do rycerzy Sereta, ale...

– Co się stało?

– Patriarcha wyjaśnił, że nie okazuję dostatecznej pobożności, żeby zostać wartownikiem.

Amrath się roześmiał.

– To tylko znaczy, że nie jesteś szaleńcem. Przecież wiesz, że wszyscy oni to szaleńcy.

Braga uśmiechnął się do króla, ale to była ta sama uprzejma mina, jaką Amrath często widywał u tych, którzy nie mogli mu zaprzeczyć z racji jego pozycji.

– Kiedy zawiodłem, gdy uznano mnie za niegodnego, nie czułem się już dobrze w czerni i czerwieni. Kiedy odszedłem z zakonu, nie wiedziałem za bardzo, co ze sobą zrobić. Wtedy biskup Saldur zaproponował mi, żebym udał się tutaj. Myślę, że spodziewał się, że przydam mu się w katedrze Mares.

– Sauly miał dobre intencje – powiedział Amrath – ale każdy widzi, że nie nadajesz się na diakona.

– Mam nadzieję, że nadaję się na kanclerza.

– O to się nie martw – uspokoił go król. – Na twoim miejscu bardziej martwiłbym się, jak sobie poradzisz z Leo w tym roku podczas turnieju szermierczego w zimonalia. Zamierzam osobiście to obejrzeć, nieprawdaż? Zobaczę dwóch mężczyzn tańczących ze sobą publicznie.

Leo się skrzywił.

– Nie zwracaj na niego uwagi.

Braga uniósł brwi.

– Przecież to król.

– Tym bardziej.

Rozdział 4

Duch z wysokiej wieży

Reuben postawił kolejne polano i rozrąbał je jednym uderzeniem. Cała sztuka polegała na tym, żeby rozrąbać drewno za jednym zamachem, ale nie wbić siekiery w pień. Nie dość, że wtedy człowiek dodawał sobie pracy, to jeszcze niszczył pień. Czasem słoje i sęki utrudniały mu zadanie; wtedy rąbał korzystając z klinów i obucha siekiery. To była prosta praca. Nabrał dość wprawy, żeby zwykle udawało mu się za pierwszym uderzeniem, i lubił myśleć, że jest w czymś dobry. Jakby na dowód tego, że się myli, w ostatnie uderzenie włożył za dużo siły i siekiera wbiła się mocno w pień. Zostawił ją tak i odrzucił na bok rozrąbane kawałki. Kiedy to zrobił, sięgnął znowu po stary, wygładzony od używania trzonek i zamarł. To ostatni dzień, w którym rąbał drewno. Ta myśl go zaskoczyła. Kiedy popatrzył na pień i zrozumiał, że nigdy więcej nie zamachnie się siekierą, pierwsza drobina rzeczywistości wtargnęła w jego rutynę.

Zostanie żołnierzem będzie awansem. Teraz będzie otrzymywał żołd, który wyda według własnego uznania. Chociaż większości tych zarobków nigdy nie zobaczy, ponieważ pójdą na jego wyżywienie, mundur, broń i zakwaterowanie, co do tej pory pokrywały zarobki ojca. Powinien się cieszyć na myśl o zbliżającym się awansie; wreszcie zostanie uznany za mężczyznę, chociaż wcale się nim nie czuł. Pobili go giermkowie i pokonał dzieciak, a obie rzeczy wydarzyły się tego samego dnia. Nie czuł, że jest godny przywdziać ciemną czerwień i złoto. Nadawał się do otwierania drzwi, noszenia wody i rąbania

drewna. To były zadania, w których się sprawdzał, w których dobrze się czuł, i to mu właśnie odbierano.

Niewidoczny z zamkowych drzwi Reuben rąbał drwa pod dębem, schowany za stosem drewna, kiedy ich usłyszał. Myślał, że burzowe niebo wystarczy, żeby zatrzymać giermków w zamku, by uczyli się tam właściwych manier przy stole, pomagali ubierać się swoim lordom i słuchali opowieści rycerzy. Dźwięk zbliżającego się śmiechu udowodnił mu jego pomyłkę.

– Co my tu mamy? – Ellison obszedł stos drewna, a za nim szły Trzy Zmory. – Gnojarz, jak cudownie. Szukałem cię. – Ellison stanął przed Reubenem, a pozostali ich otoczyli.

Nie miał szansy uciec. Mógł co najwyżej wyszarpnąć siekiere z pieńka, ale ciężka siekiera do drewna była powolną bronią, a wszyscy giermkowie mieli miecze, tym razem metalowe.

– Wieść niesie, że jutro masz zostać zaprzysiężony i wstąpić do straży zamkowej. Pobicie żołnierza służącego królowi wiąże się z pewnymi komplikacjami, więc to moja ostatnia szansa, żeby odpłacić ci się za siniaka.

Reuben dopiero wtedy zauważył mały siny ślad na policzku Ellisona.

– Zła wiadomość jest taka, że pierwszy dzień służby spędzisz w infirmerii.

Ellison wymierzył mu cios w szczękę. Uderzenie zamroczyło Reubena, który zatoczył się i wpadł na Horace'a, a ten zaś pchnął go na ziemię. Reuben kucał przez chwilę oszołomiony, zanim poderwał się i szarpnięciem za trzonek wyrwał siekiere z pieńka. Trzymał ją w obu rękach. Horace złapał go od tyłu w niedźwiedzi chwyt. Reuben nie umiał walczyć, za to potrafił posługiwać się siekierą. Uderzył do tyłu trzonkiem, wbijając go z całej siły w brzuch Horace'a. Duża ręka go puściła, a sam giermek osunął się na kolana. Ellison rzucił się do przodu, ale Reuben spodziewał się tego i zrobił unik, chowając się za Horace'a, który nadal zginał się wpół. Ellison i Horace polecili na ziemię.

Wtedy Willard i Dills wyciągnęli miecze. A kiedy Ellison się podniósł, zrobił to samo.

Reuben zdołał przynajmniej ustawić się plecami do stosu drewna. Teraz cała czwórka stała przed nim.

– Celujcie w nogi i ręce. Nie chcę, żeby kiedykolwiek o nas zapomnieli – powiedział Ellison. – Każdy wytnie na nim swój inicjał.

– Moje imię jest dostatecznie krótkie, żeby wypisać całe – orzekł Dills.

Zbliżyli się, dźgając mieczami, rzucając złe spojrzenia, szczerząc zęby w uśmiechach.

– To zabawa tylko dla zaproszonych czy też każdy może się przyłączyć? – rozległ się znajomy głos.

Zerkając ponad ramieniem Ellisona, Reuben dostrzegł rozczochranego chłopca, który pokonał go na moście – tego, do którego księżniczka zwracała się „Mauvin”.

– Nikt cię tu nie potrzebuje, Pickering, więc idź łapać swoje durne żaby.

– Ej, Fanen! – zawołał chłopak przez ramię w kierunku zamku. – To wczorajszy bohater! Ten, który ryzykował życie dla Aristy. – Spojrzał na Reubena. – W jakie kłopoty wpakowałeś się tym razem?

– Nie twój interes, dzieciaku – warknął Dills.

Na słowo „dzieciak” Mauvin uśmiechnął się szeroko.

Chwilę potem jego młodszy brat obszedł stos drewna. Mauvin zauważył wtedy:

– Nikt z zamku niczego nie zobaczy.

Dokładnie to samo pomyślał Ellison, jak zgadywał Reuben, tyle że teraz Trzy Zmory i Ellison wyglądali na mniej zadowolonych.

– Mam z Gnojarem rachunki do wyrównania – wyjaśnił Ellison. – To nie ma nic wspólnego z wami dwoma.

– Gnojarek? Och, mylisz się. Nazywa się Hilfred i jest naszym przyjacielem – powiedział Mauvin, zaskakując wszystkich, a najbardziej samego Reubena. – Świetnie bawiliśmy się kilka dni temu w czasie sparingu. Hilfredowi nie poszło najlepiej, ale przecież walczył z Pickeringiem. – Chłopiec mrugnął do niego. – Jestem pewien, że znacznie lepiej poradzi sobie z wami, chociaż ma tylko siekiere, a was jest czterech i wszyscy macie miecze.

– Mimo wszystko to niezbyt szlachetne – wtrącił Fanen.

– Zwykle chamstwo, jeśli chcesz znać moje zdanie. – Mauvin nadal uśmiechał się szeroko. – Hilfred, jak śmiesz zgarniać wszystkich giermków dla siebie? Domagam się, żebyśmy z Fanem też mogli się zabawić.

Młodzi Pickeringowie zgodnym ruchem wyciągnęli miecze z elegancką swobodą. Wtedy Dills i Willard obrócili się do nich.

– Któryś z was nie mówił przypadkiem o wycinaniu inicjałów? – spytał Mauvin. Patrząc na Dillsa, dodał: – To będzie zabawne. A żeby odświeżyć ci przytępioną pamięć, jestem synem hrabiego Leopolda Pickeringa z Galilinu, jednego z pięciu lordów statutowych i nikt nie mówi do mnie „dzieciaku”.

– Mauvin? Fanen? – dobiegło wołanie z okolicy zamku.

– Tutaj, Alric, jesteśmy za stosem drewna! – odkrzyknął Mauvin z nutką żalu w głosie.

Alric? – pomyślał Reuben. To niemożliwe.

Chwilę potem zza stosu wyszedł nikt inny jak sam książę Melengar. Był ubrany w piękną, obrębioną ciężką złotą lamówką tunikę z białej satyny ze wspaniałym haftem, długimi rękawami i szerokimi, wywiniętymi mankietami. Przy zamuszowym pasie nie nosił nawet sztyletu, ale Reuben domyślał się, że ozdobiony metalowymi ćwiekami i wspaniałą klamrą pas był wart więcej, niż on i jego ojciec mogli mieć nadzieję zarobić, nawet gdyby obaj dożyli setki.

Wszyscy giermkowie opadli na kolano. Chwilę potem Reuben poszedł za ich przykładem. Żaden z Pickeringów nawet się nie skłonił.

– Co tu się dzieje? – zapytał książę.

Mauvin spojrzał na niego nachmurzony.

– Fanen, Hilfred i ja właśnie zamierzaliśmy się zabawić... Kiedy wszystko popsuleś. Zawsze wszystko psujesz.

Książę patrzył zdziwiony na klęczących giermków, dopóki nie dostrzegł wyciągniętych mieczy.

– Hilfred? – zapytał, a potem odwrócił się i spojrzał w twarz Reubenowi. – Och, bohater bitwy na Moście Wjazdowym! – Spojrzał na giermków i dodał: – Ryzykował życie w obronie mojej siostry przed bandą rozbójników. Nie mówcie mi, że te szumowiny zamierzały

wykorzystać swoją przewagę liczebną nad naszym przyjacielem?

Reuben ledwie wierzył własnym uszom. Książę był trzecim jeźdźcem, który ścigał księżniczkę?

– Właśnie sobie szliśmy, Wasza Wysokość – powiedział Ellison, chowając miecz do pochwy i wstając.

Zrobił krok, ale książę zaszedł mu drogę.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Ellison. – Alric podszedł niepokojąco blisko.

– Nie, Wasza Wysokość, nigdy nie przeszłoby nam przez myśl skrzywdzić twojego przyjaciela.

Alric spojrzał na Reubena.

– Mówi prawdę? Wiesz, że mogę kazać, żeby psy rozdarły go na strzępy? Uwielbiam psy. Zabieramy je na polowania, ale nie wolno im dopaść i pożreć zwierzyny. Zawsze uważałem, że to wielka szkoda, wiesz? Myślę, że ucieszyłyby się z takiej okazji. To mogłoby także okazać się zabawne. Pozwolilibyśmy tym głupcom uciekać i obstawialibyśmy, jak daleko dobiegną, zanim psy ich odpadną.

– Założę się, że Horace nie dotarłby nawet do bramy – odezwał się Mauvin.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Reubena.

Ellison też na niego patrzył; jego twarz zamarła z napięcia, oczy miał wielkie jak spodki.

– Nie zauważyłem żadnego zagrożenia ze strony giermka Ellisona, Wasza Wysokość – odpowiedział Reuben.

– Na pewno? – naciskał Alric i strzepnął mały żółty listek z ramienia Ellisona. – Nie musimy brać psów. – Uśmiechnął się i przechylił głowę w stronę Pickeringów. – Oni z radością daliby im nauczkę, wiesz? Pod pewnymi względami bardzo przypominają ogary do polowań i też nigdy nie mają okazji, żeby kogoś zabić. Odkąd skończyli dziesięć lat, nikt nie jest na tyle głupi, żeby rzucić im wyzwanie.

– Ja byłem, Wasza Wysokość – powiedział Reuben.

To wywołało śmiech Pickeringów i księcia, chociaż Reuben nie wiedział dlaczego.

– Tak, byłeś, nieprawdaż?

– To dlatego jesteś naszym przyjacielem – wyjaśnił Mauvin.

– Nie wiedział, kim jesteśmy – zauważył Fanen. – Nie miał pojęcia, jak dobrymi fehmistrzami są Pickeringowie.

– To nie miałyby znaczenia – odpowiedział Reuben. Nadal krew w nim wrzała od gotowości do walki i nie panował nad językiem. – Gdybym myślał, że chcecie skrzywdzić księżniczkę, i tak stanąłbym do walki.

Na chwilę zapadła cisza, a potem Reuben zobaczył, że Alric się uśmiecha; zerknął na Mauvina i obaj znowu się roześmiali.

– Powiedz mi, Hilfred, jak dobry jesteś w łapaniu żab?

* * *

– Widziałeś, jak Ellison-Penison posikał się, kiedy powiedziałem, że mogę poszczuć go psami? – zapytał księżę, gdy pędzili drogą.

– Ha! Pewnie – odpowiedział Mauvin. – Myślałem, że zemdleje jak dziewczyna.

– Naprawdę możesz wydać taki rozkaz? – zapytał Fanen.

Braci dzielił tylko rok, ale bardzo się różnili. Fanen schludnie zaczesywał włosy, zachowywał swoje myśli dla siebie, a kiedy się odzywał, mówił cicho i trudno było go usłyszeć przez tętent kopyt i wiejący wiatr.

Alric się roześmiał.

– Pewnie. Muszę tylko iść do taty i powiedzieć: „Ej, miałbyś coś przeciwko, gdybym kazał poszczuć psami syna lorda Trevaila?”.

Mauvin zarechotał, jakby tylko on jeden zrozumiał żart. Reuben uznał, że chłopiec po prostu lubi się śmiać. Często to robił.

– Jak myślisz, co powiedziała by twój ojciec?

Alric wzruszył ramionami.

– Nie chciałbym tam być, żeby się dowiedzieć.

Księżę uparł się, żeby Reuben towarzyszył im w wyprawie na bagna, gdzie mieli zapolować na żaby, a nie można odmówić synowi króla. Reuben zresztą wcale nie miał ochoty odmawiać. Mimo upokorzenia poprzedniego dnia odkrył, że lubi całą trójkę. A kiedy uratowali go przed solidnym laniem, więcej niż z radością dołączył do

polowania na żaby – wybrałyby się nawet na polowanie na smoka, gdyby tego zapragnął książę. Reuben dowiedział się, że każdy z chłopców miał małą kolekcję żab na zamku. Mauvin prowadził, bo zebrał osiem, za to kolekcja Fanena, chociaż składała się tylko z pięciu sztuk, była najbardziej zróżnicowana. Alric znajdował się na szarym końcu z czterema żabami. Księżciu pewnie było nie w smak, że Pickeringowie go prześcignęli. Powiedział Ianowi, żeby przyprowadził ich konie i jednego dodatkowego dla ich nowego przyjaciela, Hilfreda. Potem wzięli opończe i po raz drugi w ciągu niecałego tygodnia Reuben wyjechał z miasta w towarzystwie członka rodziny królewskiej.

Pojechali na północ, za Trakt Króla w stronę Wschodniej Marchii. Późnym popołudniem słońce opadło nisko na zachodzie i na farmach w cieniach wzgórz już zapalono lampy. Krowy wracały do obór, dym uniósł się z kominów, kiedy zrobiło się chłodniej. Znajdowali się bitą godzinę od miejskich murów, gdzie farmy stały rzadziej, a wzgórza były porośnięte lasem. Zjechali z drogi w stronę czegoś, co wyglądało jak spory staw otoczony gęstą knieją i mgłą. Chłopcy nazywali to miejsce Bagnem Edgara, ponieważ powiedział im o nim Edgar Stolarz. Najlepsze miejsce na świecie do łapania żab, jak orzekł.

Zsiedli z koni i poprowadzili je kawałek do skraju wody.

– Nie jest trochę za późno, żeby jechać aż tak daleko... Ehm... Wasza Wysokość? – zapytał Reuben.

– Najlepiej łapie się żaby o zachodzie słońca – odpowiedział Alric.

– Dziwi mnie, Wasza Wysokość, że twój ojciec pozwala ci jeździć tak daleko wieczorem bez eskorty.

Książę zarechotał.

– Nie pozwala. Musiałem go zapewnić, że mam strażnika.

– Kogo?

– Ciebie.

– Ale ja jeszcze nie należę do straży!

– Naprawdę? To dziwne, bo kiedy powiedziałem ojcu, że Hilfred zgodził się jechać z nami, nie miał nic przeciwko.

Reuben oniemiał.

– Myślał, że mówisz o moim ojcu!

– Serio? Tak uważasz? – Alric z trudem zachowywał powagę na twarzy. – Wiesz... Możesz mieć rację.

Cała trójka znowu wybuchła śmiechem i śmiali się nawet, kiedy przywiązywali konie do obalonego drzewa przy brzegu stawu, żeby mogły się napić.

– To nie moja wina, wiesz? – rzucił książę. – Arista nie powiedziała nam, jak masz na imię.

– Jeśli ojciec pomyśli, że próbowałem się pod niego podszyć, zabije mnie – zmartwił się Reuben.

– To też nie twoja wina. – Fanen wyciągnął worek na żaby spod siodła. – Nie miałeś pojęcia.

– Mojemu ojcu nie podoba się to, że zadaję się z arystokracją, koniec kropka.

– Dlaczego?

– Uważa, że narobicie mi kłopotów.

– I rzeczywiście! – wykrzyknął Mauvin i wszyscy znowu się zaśmiali. – Masz mądrego ojca.

– Nie ma sensu teraz się tym martwić – powiedział Alric, przerzucając worek przez ramię. – Skoro już tu jesteśmy, złapmy parę żab.

– A co ja mam robić? – zapytał Reuben.

Alric wzruszył ramionami.

– Strzec nas, więc nie zapomnij swojego miecza.

Znowu się roześmiali.

We czterech przebrnęli przez wysoką trawę, wykorzystując obalone pnie jako mostki, przeskakując z kęp trawy na kamienie, zapuszczając się na mgliste moczary.

– Naprawdę fatalnie walczysz mieczem – powiedział Reubenowi Mauvin. – To prawda, co powiedział Ellison? Że jutro zostaniesz zaprzysiężony do służby?

Reuben pokiwał głową.

– Zatem tak wygląda straż na zamku Essendonów, Alric?

– Porozmawiam o tym rano z kapitanem Lawrence'em – powiedział książę tak poważnie, że zaniepokoił Reubena.

– Nie powiesz mu, Wasza Wysokość, prawda?

Alric spojrział na niego i przewrócił oczami.

– Musimy zatrzymać go przy sobie, ten facet jest przezabawny.

– O, motyla noga! – wykrzyknął Fanen zaraz po tym, jak Reuben usłyszał plusk. Obejrzał się i zobaczył, że lewa noga chłopca jest po kostkę w wodzie. – Stopa mi się ześlizgnęła – wyjaśnił z grymasem młody Pickering.

– Musisz popracować nad utrzymaniem równowagi – powiedział Mauvin. – Taki błąd w walce może doprowadzić do twojej śmierci.

Fanen wyciągnął nogę i potrząsnął nią.

– Zaraz no, Hilfred – zwrócił się do Reubena Mauvin – przecież twój ojciec całkiem nieźle radzi sobie z mieczem.

– Mój ojciec walczy doskonale – poprawił go Reuben. – Słynie jako najlepszy szermierz w królewskiej straży obok porucznika i kapitana.

– Mówisz do Pickeringa – przypomniał mu książę. – To jakbyś mówił członkowi rodu czystej krwi koni wyścigowych, że twój ojciec jest najszybszym koniem pociągowym w kraju. Ich ojciec – wskazał braci – jest największym żyjącym szermierzem... świata.

Mauvin uskokzył przed gałęzią.

– Ojciec zaczął nas szkolić, zanim byliśmy w stanie unieść ostrze. Nawet naszą siostrę Lenare, która moim zdaniem nadal jest w stanie pokonać Fanena, chociaż od jakiegoś czasu uważa, że szermierka nie przystoi damie.

– Nie musisz wszystkim o tym mówić, wiesz? – zachnął się Fanen, a przy każdym kroku chlupotało mu w lewym bucie.

– Owszem, muszę, to zabawne.

– Nie za bardzo.

– No dobrze, wasz ojciec jest lepszy od mojego – mruknął Reuben.

– Zupełnie nie o to mi chodziło. To miał być komplement... Że twój ojciec jest niezłym szermierzem...

– To ogromna pochwała z jego ust, zaufaj mi – dodał książę.

– Zatem do czego zmierzasz?

– Cóż... – Mauvin przystanął na chwilę i sprawdził, czy na wpół zatopiona kłoda go utrzyma – Skoro twój ojciec potrafi walczyć mieczem, to czemu ty nie?

Reuben wzruszył ramionami.

– Chyba był zbyt zajęty.

– Ja cię mogę uczyć. – Mauvin przytrzymał się garści wodnych pałek, a potem wbiegł po kłodzie na małą kępkę trawy, która tworzyła wysepkę blisko środka stawu. – O ile nie masz nic przeciwko temu, że będziesz się uczył od kogoś młodszego.

– Ja bym się zgodził – powiedział książę. – Kiedy Mauvin skończył dziesięć lat, pokonał naszego kapitana Lawrence’a w czasie pokazów podczas zimonałów.

– To było dwa lata temu – przypomniał mu Mauvin. – Ojciec mówi, że opanuję pierwszy szczebel tek’chin w tym miesiącu.

– Ładnie.

Wszyscy przyklękli, a Fanen zapalił latarenkę. Słońce już schowało się za lasem, pogrążając ich w cieniu. Wszędzie wokół rozlegało się kumkanie i rechotanie żab.

– Widzę jedną! – szepnął Fanen, wskazując na wodę. – Śmiało, Alric.

– Dzięki. To bardzo szlachetne z twojej strony.

Książę zostawił worek i ruszył ostrożnie z palcami rozczapierzonymi jak pazury atakującego niedźwiedzia. Zakradł się do stawu i szybkim gestem nabrał z chlupotem wody.

– Mam ją!

Cofnął się szybko niosąc coś w dłoniach. Przemoczył tunikę. Fanen podsunął mu worek, a Alric włożył tam zdobycz.

– Teraz mamy tyle samo, przyjacielu – powiedział do Fanena. – Jeszcze jedna i cię prześcignę. Wtedy skupię się na tym, żeby zająć miejsce Mauvina Szalonego na tronie Żabiego Króla.

Najwyraźniej był to jakiś wielki zaszczyt, o którym Reuben nigdy nie słyszał. Możliwe, że nikt poza tą trójką o nim nie słyszał.

– Co to za sztuka? – spytał Mauvin.

– Żaba rogata.

– Mam takie dwie. – Mauvin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Alric nachmurzył się, a potem zwrócił się do Reubena.

– Pozwól, żeby cię uczył szermierki, ale nigdy go nie słuchaj.

Reuben przysiadł na mchu otoczonym przez las pałek i lilii wodnych, obserwując polowanie. zaproponował pomoc, ale usłyszał, że to wbrew zasadom. Nie miał pojęcia, jakie są zasady polowania na

żaby, ale najwyraźniej tak właśnie było. O tej porze jesienią żniwa już się skończyły i niedługo spadnie śnieg. Jednakże Bagna Edgara tętniły życiem, sądząc po różnych odgłosach – szumie drzew, szeleście traw i ogłuszającym kumkaniu i rechotaniu żab. Stolarz dobrze znał ten staw.

Reuben zdumiewał się tą przedziwną odmianą losu. Raptem nieco ponad godzinę temu czekało go pewne lanie, a możliwe, że coś gorszego. Ellison mógł nie żartować, mówiąc o wycięciu inicjałów na jego ciele. Dla nich w zasadzie nie był człowiekiem i nie zasługiwał na współczucie. Teraz zaś był bezpieczny i otoczony przez arystokratów, łapał żaby z księciem Melengarą. Nagle do Reubena dotarło, że ma jedyną w swoim rodzaju okazję.

– Ej, a był któryś z was w pokoju na szczycie wysokiej wieży?

– W nawiedzonej wieży? – spytał Alric, nie odrywając oczu od powierzchni wody, bo czaił się na następną nieuchwytną ropuchę.

– Nawiedzonej?

– Pewnie – odpowiedział książę, skradając się po kępkach i starając się nie wpaść do wody. – Nora co roku późną jesienią opowiada tę historię. Pewnie dlatego, że to wydarzyło się pod koniec jesieni.

– Co takiego?

– Nora mówiła, że to wydarzyło się wiele lat temu, zanim się urodziłem. Dziewczyna, która kiedyś pracowała na zamku, pokojówka, rzuciła się z okna i się zabiła. Weszła na wieżę w samej koszuli nocnej. Postawiła latarnię na parapecie, a potem skoczyła. W wietrzną noc słyhać jej krzyki, kiedy spadała... A potem plask, z jakim uderzyła o ziemię. Znaleziono jej ciało, a raczej to, co z niego zostało, na bruku przed głównym wejściem.

– Fuj! – Fanen podniósł wzrok znad worka na żaby i się skrzywił.

– Dlaczego to zrobiła?

– Kochała mężczyznę, który nie odwzajemniał jej uczuć. I dopiero co urodziła mu dziecko. Tyle że on zarzucił jej kłamstwo. Nie mogła zachować pracy pokojówki, nie miała żadnej rodziny, nie była w stanie zaopiekować się dzieckiem, więc według legendy położyła noworodka na pryczy ojca, a potem weszła na wieżę i skoczyła. Mówią, że jej duch nawiedza wieżę i że jesienią, kiedy już jest zimno,

ale jeszcze nie spadł śnieg, stawia latarnię na parapecie zawsze, kiedy ktoś na zamku ma umrzeć. Mówi się też, że jeśli wejdiesz na górę, kiedy ona tam będzie, uzna cię za kochanka, który ją zdradził, i wypchnie cię przez okno z zemsty.

– Co się stało z dzieckiem?

Mauvin się roześmiał.

– To tylko historia.

– Chociaż rzeczywiście pewna kobieta naprawdę spadła kiedyś z wieży – powiedział Alric.

– Kto?

– Nora zawsze nazywa ją Rose.

* * *

Wrócili późno, bo Alric remisował z Mauvinem i chciał pokonać przyjaciela. Poddali się dopiero, kiedy obaj z Mauvinem wpadli do jeziora, próbując desperacko złapać rzadki okaz w czerwone plamki. Kiedy obaj całkiem przemokli, wizja ciepłego ognia była bardziej kusząca niż tytuł Żabiego Króla.

Chmury pędziły po niebie, przesuając się po twarzy księżycy w pełni, jakby to było światło pod wodą, której powierzchnia bystro płynie. Nadciągała burza i jak zawsze w czasie burzy Reuben czuł się nieswojo. Straże szukały księcia i bramę otwarto, zanim do niej dotarli. Mokrzy, zmarznięci i zmęczeni trzej chłopcy zostawili Reubena bez pożegnania. Zniknęli w twierdzy zamkowej, zostawiając mu odprowadzenie koni i oporządzenie ich przed snem.

Wiatr potrząsał deskami stajni i straszyl zwierzęta, kiedy Reuben zdejmował siodła i szcztokował wierzchowce. Nie był bardzo zmęczony i tylko przemoczył stopy. Przywykł do cięższych dni niż polowania na żaby. A co ważniejsze, chciał odwlec spotkanie z ojcem. Richard Hilfred wiedział o wszystkim, co dzieje się na zamku, i dowie się o tym, że jego syn pojechał z księciem i młodymi lordami Pickeringami. Jeśli Reuben wróci dostatecznie późno, to może ojciec już zaśnie. Dlatego nieśpiesznie wyszcztokował konie i nakarmił je,

zanim wyszedł na pusty dziedziniec.

Wiatr zgasił kilka pochodni, jedną koło studni i dwie przy frontowych drzwiach do twierdzy. Płomienie pozostałych mocno się chygotały. Słychać było charakterystyczne wycie wiatru, kiedy dął między budynkami, wzbijając wiry z liści. Gałęzie dębu, teraz prawie nagie, uderzały o siebie. Drzwi do drewnutni to skrzypiały, to łomotały głośno, a łańcuchy na kołowrotku studni podzwaniały, gdy wiadro się kołysało.

Reuben podniósł wzrok i zobaczył – światło w górnym oknie na wysokiej wieży.

Zapatrzył się. W ciągu ostatniego miesiąca dwa razy widział światło w wieży i za każdym razem ktoś umierał. Najpierw stary kanclerz Wainwright, a potem Clare Braga. Lady zginęła w potwornym pożarze w posiadłości, którą dopiero co król podarował w nagrodę jej mężowi. Reuben zadrżał na myśl o tym. Zgon w płomieniach to musi być najgorszy rodzaj śmierci. Rany i siniaki niespecjalnie go martwiły, ale dotknął raz gorącego czajnika i ból był nieznośny przez wiele dni. Ojciec spoliczkował Reubena, żeby przestał narzekać.

I jeszcze ta historia, którą opowiedział księżę. Pokojówka, kobieta imieniem Rose, która się zabiła. Czy możliwe, że to była... Według ojca matka Reubena zmarła podczas porodu. Jednakże historia księcia wiele wyjaśniała, na przykład dlaczego ojciec rzadko mówił o matce i zawsze miał fatalny nastrój, kiedy zbliżały się urodziny syna. A może po prostu Reuben chciał, by tak wyglądała prawda. Wtedy nie byłby odpowiedzialny za śmierć matki, a światło mogło oznaczać jego matkę, która wraca, żeby mu powiedzieć, że nie jest winny zbrodni, o jaką obwiniał się przez wszystkie minione lata.

Reuben zrobił trzy kroki w stronę zamku, zadzierając głowę, nie odrywając wzroku od okna. Zastanawiał się, czy zdołałby dostrzec widmo matki. Światło zamigotało, jakby ktoś przeszedł między nim a oknem. Reuben wstrzymał oddech i patrzył, a wiatr rozwiewał mu włosy.

Światło zgasło.

Stał z zadartą głową przed frontowymi drzwiami prowadzącymi do zamku, ale nic się nie stało. Czy to znaczyło, że dojdzie do następnej

śmierci? Kto to mógł być? Ktoś na zamku czy gdzieś daleko? Czekał ponad dwa tygodnie na powrót światła i kiedy teraz je ujrzał, poczuł pustkę. Nie rozległ się ścinający krew w żyłach krzyk ani ciało nie spadło na dziedziniec. Noc była jak każda inna. I wtedy, kiedy już miał odwrócić głowę i ruszyć do koszar, jakiś cień wymknął się przez okno.

Gdyby nie blask księżyca, który oświetlał tę stronę wieży, i fakt, że się jej przypatrywał, nie zobaczyłby kobiety w smaganej wiatrem sukni.

Wstrzymał oddech i patrzył zaszokowany. Czy to ona?

Kobieta trzymała się kurczowo parapetu, a stopami szukała oparcia. Znalazła je i opadła na ozdobny gzyms poniżej. Tam się skuliła.

Postawiła latarnię na parapecie, a potem się rzuciła. W wietrzną noc słyhać jej krzyki, kiedy spadała... A potem plask, z jakim uderzyła o ziemię.

Reuben usłyszał tylko płacz.

Kto to jest i co ona robi? Czy to duch? Czy to moja...?

Kobieta powoli przesunęła się po obwodzie wieży do miejsca, gdzie znajdował się mały daszek nad mansardą. Zwiesiła się znowu, sięgnęła stopami ku kalenicy daszku poniżej i przesunęła się kilka cali. I wtedy się ześlizgnęła.

Reuben stłumił okrzyk zgrozy, kiedy patrzył, jak kobieta spada.

Ześlizgnęła się po daszku i z krzykiem spadła na iglicę Czarownej Wieży. Chwytała się rozpaczliwie terakotowych kafelków, zsuwając się.

Reuben podszedł krok, jakby mógł pomóc, ale nie mógł nic zrobić.

Kiedy zjechała do krawędzi, oparła się o nią palcami stóp. Leżała na brzuchu, przywierając do iglicy i płacząc z przerażenia.

Reuben patrzył, zasłaniając usta ręką. Czekał, żeby zobaczyć, co kobieta robi potem, ale nie drgnęła. Leżała, dysząc i jęcząc.

– Pod tobą jest szeroki balkon! – krzyknął Reuben, nie bardzo wiedząc, czy mówi do kobiety, czy do ducha.

To, że przetrwała upadek i trzymała się dachu, wydawało się nadludzkie. Najtrudniejsze miała za sobą, o ile nie planowała samobójstwa. Reuben widział teraz, jak może pokonać resztę

wysokości. Czekał, ale kobieta się nie poruszyła.

– Jesteś bezpieczna... W pewnym sensie. Puść się i nic ci nie będzie. No, chyba że wylądujesz wyjątkowo pechowo.

– Nie mogę! – krzyknęła kobieta, ale wiatr prawie zagłuszył jej słowa. – Nie chcę umierać.

Co ona wygaduje? Przecież dopiero co wyszła przez okno wieży!

– Zaufaj mi. Zsuń się z dachu i opuść się z krawędzi najdalej, jak zdołasz. Nawet jeśli spadniesz, nic ci się nie stanie. Dokładnie pod tobą jest taras.

Minęło kilka minut, zanim zobaczył, że się poruszyła. Przesuwała się w dół, nie wając się spojrzeć. Jej nogi zwisały, szukając jakiegoś oparcia, ale natrafiły tylko na powietrze. W końcu jej ręce nie wytrzymały i spadła, ponownie z krzykiem.

Chociaż on sam spróbowałby zejść inaczej, takie rozwiązanie też podziałało. Upadek był dłuższy, niż się wydawało z miejsca, w którym stał Reuben. Kobieta zniknęła za murem wokół balkonu. Bał się, że mogła coś sobie zrobić, ale wtedy pojawiła się jej głowa.

– Nic ci nie jest?

Pokiwała głową.

– Idź w lewo wzdłuż muru. Znajdziesz tam schody.

Zniknęła mu z oczu.

Światło znowu zapłonęło w oknie wieży i Reuben popatrzył wyczekująco, ale nikt się nie pojawił.

Czekał na dziedzińcu, próbując pojąć, co się właśnie wydarzyło. Jeśli to był duch, to czemu nie rzucił się znowu? Czy nie to właśnie robiły duchy – powtarzały przeszłość, odtwarzając chwilę śmierci w wiecznej udręce? Jeśli nie była duchem, to kim? I dlaczego ktokolwiek wychodziłby przez okno wieży, skoro nie chciał popełnić samobójstwa?

Nie chcę umierać.

To nie miało sensu.

Jedno skrzydło drzwi do twierdzy uchyliło się. Najpierw zobaczył tylko bladą dłoń. Potem ukazała się twarz młodej kobiety.

Nigdy dotąd jej nie spotkał. Była mniej więcej w jego wieku, ale miała umalowaną twarz i nosiła suknię o kroju, jakiego nigdy nie

widział. Strój miał obcisły gorset i dekolt odsłaniający ramiona, przez co bardziej wyglądał jak coś, co kobiety zwykle noszą pod sukniemi. Dziewczyna nadal płakała. Widział łzy na jej twarzy, bo błyszczały i zostawiały ciemne smugi na makijażu.

Wzdrygnęła się, kiedy podszedł.

– Nie zabijaj mnie, proszę. Proszę... Proszę...

– Nic ci nie będzie. Jesteś bezpieczna. Nie skrzywdzę cię.

Spojrzała na niego przerażonymi oczami. Ręce jej drżały.

– Nie zrobiłam nic złego, przysięgam.

– Już dobrze. Powiedz mi tylko, co się stało. Dlaczego wyszłaś przez okno?

– Oni by... Oni by mnie zabili, gdyby odkryli, że tam jestem. Gdyby wiedzieli, że słyszałam, co mówili.

– Kto? Co ty wygadujesz?

Dziewczyna spojrzała na światło w wysokiej wieży.

– Proszę – błagała – musisz mnie ukryć. Nie zrobiłam nic złego.

* * *

Na zamku panowało wielkie poruszenie. We wszystkich oknach płonęły światła, zerwani z łóżek gwardziści szli przez dziedziniec do twierdzy zamkowej. Reuben dał nura z powrotem do drewnutni, gdzie ukrył dziewczynę. To był jego azyl, miejsce, do którego chodził, żeby pobyć samemu. Chociaż tej nocy nie był pewien, jak długo jego mała samotnia pozostanie bezpiecznym miejscem. Na zewnątrz słyszał krzyki, że brama ma zostać zamknięta.

Co się dzieje? Mówią, że śmierć przychodzi trójkami i paliło się światło w wieży...

Odkąd ją tu przyprowadził, dziewczyna siedziała w kucki na sągu kloniny, którą porąbał w zeszłym miesiącu. Widział wyraźnie tylko kawałek jej twarzy oświetlony przez księżycowy blask, który przesączał się przez szpary w drzwiach. Policzki miała opuchnięte i mokre, oczy czerwone i szkliste.

– Słyszysz? Podniesiono alarm. Jeśli chcesz, żebym ci pomógł,

musisz ze mną porozmawiać. Powiedz mi, co się stało – poprosił Reuben.

Skinęła głową, zdołała przełknąć ślinę i odetchnąć.

– Przyszłam na przyjęcie. Przyjęcie-niespodziankę.

– Dla kogo?

– Nie wiem. Nie pytałam.

– Zostałaś zaproszona na przyjęcie i nie wiesz, dla kogo je urządzono?

– Nie zostałam zaproszona. Przyszłam do pracy.

Reuben nie rozumiał. To nie miało sensu. Na zamku nie brakowało służby.

– Jakiego rodzaju...

– Wynajęto mnie, żebym uprzyjemniła czas honorowemu gościowi.

– Hę?

Dziewczyna uśmiechnęła się znacząco.

– Ile masz lat?

– Prawie szesnaście, ale nie rozumiem... Och! – Reuben cofnął się pół kroku, jakby dziewczyna była niebezpiecznym zwierzęciem. – Jesteś...

– Tak.

– Och...

Do głowy nie przychodziło mu nic innego, co mógłby powiedzieć. Z niewieloma dziewczętami rozmawiał. Czasem mówił o pogodzie z Alice, praczką. Była nieco starsza i nigdy nie sprawiała wrażenia zainteresowanej rozmową z Reubenem. I był przekonany, że Grace, która polerowała świeczniki i nosiła wodę ze studni, nawykowo go unika. Czuł się skrępowany w towarzystwie dziewcząt, a to nie była zwykła dziewczyna. To była... Nie potrafił tego nawet pomyśleć.

– Przyjęcie urządzono w wieży, ale jak powiedziałam, to miała być niespodzianka. Schowano mnie więc do szafy. Miałam z niej wyskoczyć, kiedy powiedzą honorowemu gościowi, że ma poszukać w niej prezentu. Kiedy tam siedziałam, przyszło dwóch mężczyzn i zaczęło rozmawiać. Spodziewałam się, że w każdej chwili drzwi otworzą się z hukiem, ale oni tylko gadali. Nie rozumiałam większości tego, co mówili, coś tam o imperialistach i monarchistach, i o tym, że

Melengar będzie w awangardzie.

– Awangardzie czego?

– Nie mam pojęcia. Ale potem jeden z nich powiedział: „Kiedy zabijemy króla, zaczniemy wprowadzać zmiany”.

– Ktoś tak powiedział? – zapytał Reuben, chociaż doskonale usłyszał.

– Powiedział, że zabiją rodzinę królewską. A ja nie mogłam pojąć, dlaczego mówią coś takiego przy mnie. Wtedy zdałam sobie sprawę, że ci dwaj to nie są ci, którzy wsadzili mnie do szafy, i żaden z nich nie wie, że tam jestem. Kiedy usłyszałam, że wychodzą, wiedziałam, że muszę uciekać. Gdyby któryś z nich zjawił się na przyjęciu, zorientowałby się, że słyszałam, co mówili. Musiałam uciekać. Musiałam zniknąć.

– Dlaczego nie zeszłaś po prostu schodami?

– Słyszałam głosy za drzwiami. To mogli być oni. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez okno. Pomyślałam, że zdołam wyjść tamtędy. Myślałam... Ale poślizgnęłam się... – Znowu się rozpłakała.

– Masz pojęcie, kto to mógł być? Posłużyli się jakimiś imionami?

Pokręciła głową.

– Nie, nie słyszałam niczego takiego. Proszę, chcę tylko wrócić do domu.

– Nie możesz stąd wyjść. Bramę właśnie zamknięto.

Pytanie tylko: dlaczego? Może to już się stało? Może dokonano zamachu? Dziewczyna mogła brać w tym udział. Kiedy patrzył na nią, wydawało mu się to niemożliwe, ale w życiu nie pomyślałby też, że uciekłyby przez okno z wieży.

– Coś złego się stało – powiedział jej Reuben. – To dlatego zadzwoniono na alarm. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, możliwe, że właśnie ktoś próbował zabić króla.

Dziewczyna zamknęła oczy i pokręciła głową.

– Pomyślą, że brałam w tym udział. Bo uciekłam, bo wyszłam oknem. A nie brałam. Nic nie zrobiłam. Musisz mi wierzyć.

– Słuchaj, spróbuj się uspokoić, dobrze?

Reuben nie był pewien, do którego z nich mówi. Serce nadal mu biło po tym, jak zobaczył kogoś, kogo wziął za ducha, a kto okazał się

dziewczyną, dziewczyną w kłopotach, którą zajął się jak psią znajdą. Cieszył się, że dotarli do drewni, zanim ogłoszono alarm. Aromat kloniny, tak samo jak zapachy stajni, był znajomy. Tutaj mógł zebrać myśli.

– Pójdę po prostu i powiem im, co się stało.

– Nie! – Złapała go. – Nie rób tego, proszę.

– Jeśli jesteś niewinna, nic ci nie będzie.

– A jeżeli powiesz niewłaściwej osobie?

– Co masz na myśli?

– Jeżeli powiesz jednemu z mężczyzn, którzy planowali zamordowanie króla? Nawet jeśli nie, to jeżeli król nie żyje i pomyślą, że ja to zrobiłam... Nie będą mnie słuchać. Nie uwierzą mi. Chcę tylko wrócić do domu.

Nie mógł pozwolić jej odejść.

Przejechał włosy ręką. Potrzebował dla niej lepszej kryjówki, bezpiecznego miejsca, z którego nie będzie mogła też uciec, na wypadek gdyby kłamała.

– No dobra, oto co zrobimy. Ty zostaniesz tutaj, a ja sprawdzę, co się dzieje. Potem pójdę do mojego ojca. Jest sierżantem w straży królewskiej i jego zadaniem jest chronić rodzinę królewską. Będzie wiedział co robić. Nie martw się, nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się przytrafiło. Musisz mi tylko zaufać.

– Ufam ci, naprawdę. Nie musiałeś mnie ukrywać ani mi pomagać, kiedy schodziłam. Chociaż nie znam nawet twojego imienia...

– Och, tak... Przepraszam. Nazywam się Reuben, Reuben Hilfred. A ty?

– Rose.

Przez chwilę Reuben tylko na nią patrzył.

– Naprawdę?

Skinęła głową.

– A co?

– Ach... Nic. Po prostu... – Sięgnął po jej rękę. Mogła pomyśleć, że próbuje ją pocieszyć, ale Reuben chciał tylko przekonać się, że ona istnieje naprawdę. – Moja matka miała na imię Rose.

Rozdział 5

Po przyjęciu

Sierżant Richard Hilfred wspiał się na wysoką wieżę, przeskakując po dwa stopnie. Żałował, że nie jest w lepszej formie, i skupiał się na oddychaniu, kiedy tylko nie wyobrażał sobie sposobów, na jakie zabije porucznika Wylina.

Dlaczego takie rzeczy muszą dziać się na mojej służbie, kiedy ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność?

Powinien zostać powiadomiony o wszystkim, co dzieje się na zamku. Jak inaczej ma zapewnić bezpieczeństwo rodzinie królewskiej? Wylin, ten skończony palant, nie powiedział mu ani słowa o przyjęciu dla kapitana Lawrence'a. Coś się stało i teraz cały zamek postawiono w stan pogotowia, a Richard wiedział, że na kogoś spadnie wina za to fiasko.

– Barnes! – krzyknął. – Gdzie on jest? Gdzie jest Wylin?

Sierżant Barnes stał w pokoju na szczycie wieży. Tym samym, który fascynował jego syna i w którym Richard czuł się tak nieswojo. Niewiele można było o nim powiedzieć – po prostu okrągłe kamienne pomieszczenie, dawno temu porzucone, bo znajdowało się z dala od reszty zamku, wymagało zbyt długiej wspinaczki schodami, latem było tam gorąco, a zimą lodowato. Porywisty wiatr wpadał przez otwarte okno, unosząc zasłony, które były postrzępione i obszarpane. Jedyne światło padało z latarni stojącej na stole pośrodku. Błat był zastawiony kubkami i przerzedzonymi tacami z wędlinami i serem. W kącie stała beczka *ale*. Poza tym jedynymi meblami były stara szafa

i zakurzone łóżko.

– Nie wiem, gdzie jest porucznik – odpowiedział Barnes. Stał na baczność, przez co Richard miał wrażenie, że tamten kpi sobie z niego.

– Kapitan Lawrence rozkazał mu zamknąć bramę.

Richard już miał coś powiedzieć, kiedy zauważył, dlaczego Barnes jest taki oficjalny. Nie byli sami. Poza blaskiem latarni stał lord Simon Exeter. Jego lordowska mość przystanął w pobliżu okna. Miał na sobie sięgającą ziemi białą pelerynę, a pod nią czarną skórzaną tunikę z kłamrami z przodu, które wyglądały jak szwy – jakby ktoś porozcinał mu klatkę piersiową, a potem ją zaszył. Lord zahaczył kciuki o pas od miecza i patrzył na Richarda z rozbawionym krzywym uśmiechem.

– Wasza lordowska mość. – Richard stanął na baczność.

Nie lubił towarzystwa arystokracji tak samo, jak nie lubił towarzystwa pszczół. Wiedział, że jeśli nie będzie ich nękał, to i one nie będą nękać jego. Niestety Exeter był jak osa – słyszał z tego, że żądlił bez większego powodu albo w ogóle nie mając żadnego.

– Cieszę się, że do nas dołączyłeś. Mam nadzieję, że alarm nie przerwał ci miłych snów. Nie chciałbym, żeby twoje obowiązki na służbie u króla nie dawały ci się wyspać.

Richard ostrożnie dobrał odpowiedź.

– Nie spałem, wasza lordowska mość. Jestem dyżurnym oficerem straży tego wieczoru. Moim obowiązkiem jest zbadać wszelkie potencjalne zagrożenia dla życia króla.

– Rozumiem. Wybacz, jeśli sam przeprowadzę to śledztwo.

– Oczywiście, wasza lordowska mość. Ogromnie będę wdzięczny za wszelką pomoc.

Richard wolałby porozmawiać z Barnesem na osobności, ale jako najwyższy konstabl Exeter był dowódcą sił porządkowych całego Melengar. Każdy szeryf, tak samo jak każdy miejski konstabl, przyjmował od niego rozkazy. Zwykle zajmował się incydentami, które nastąpiły poza murami zamku, ale Richard nie zamierzał spierać się z nim o zasięg jego jurysdykcji. Poza tym Exeter był markizem Wschodniej Marchii i trzecią pod względem wpływów osobą w królestwie, zaraz po królu i kanclerzu Bradze.

– Poinformujmy sierżanta Hilfreda o wydarzeniach, żebyśmy mogli poznać jego opinię, dobrze, Barnes? – powiedział Exeter. – Powtórz mu to, co właśnie mi powiedziałaś.

Barnes się zawahał. Nie chciał patrzeć na żadnego z nich, przeniósł więc wzrok na beczkę i oblizał usta. Barnes należał do starej gwardii, którą Richard nazywał Ludźmi Króla, i był jednym z tych, którzy wzięli udział w stłumieniu Powstania Asperskiego na rok przed wstąpieniem Richarda do straży. Nigdy nie dano mu zapomnieć tego, że ominęło go to wydarzenie. Lawrence był wtedy porucznikiem, a Wylin starszym sierżantem. Richard czuł się wyłączony, kiedy popijali i wspominali kampanię. Według ich opowieści król poprowadził szarżę, ale Richard domyślał się, że to kłamstwo. Arystokraci nigdy nie narażają się podczas bitew. Czekają bezpiecznie na tyłach, aż zwycięstwo stanie się jasne. Potem jeżdżą wokół zmarłych, uśmiechając się z powodu triumfu.

Ludzie króla stanowili zwartą i lojalną grupę. Zrobiliby i powiedzieliby wszystko, byle chronić się wzajemnie, i pewnie z tego powodu Barnes się zawahał. Mimo wszystko trudno było nie ugiąć się w obecności lorda Exetera.

– Porucznik Wylin zaplanował przyjęcie-niespodziankę z okazji urodzin kapitana. Zebraliśmy w kilku pieniądze na prezent, damę do towarzystwa.

– Przeprowadziłeś dziwkę do siedziby królewskiej? – spytał zaszokowany Richard. – Czy Wylin albo kapitan Lawrence wiedzieli o tym?

– Nie, to wszystko załatwiono po cichu. Nikt nic nie wiedział.

– Najwyraźniej, bo ukryliście tę informację zarówno przed strażą królewską, jak i najwyższym konstabłem – powiedział Exeter. – Nawet nie będę mówił, w jak kłopotliwej sytuacji to was stawia. Mów dalej.

– Cóż... Ona zniknęła.

– Jak to „zniknęła”? – spytał Richard.

– Dziewczyna, Rose, zniknęła. Schowaliśmy ją w tej szafie. – Barnes wskazał. – Plan był taki, że powiemy kapitanowi, że księżniczka przestraszyła się, bo zobaczyła ducha... – Barnes zakaszłał nieprzekonująco. Zerknął na Richarda, a potem pod nogi. – W każdym

razie wszystko szło dobrze, dopóki kapitan nie poszedł po prezent, a jej tam nie było.

– Dokąd uciekła? – spytał Richard.

– W rzeczy samej, dokąd? – zapytał Exeter. – Zatem niech to ujmę w prostych słowach, sierżancie Barnes. W tajemnicy przesznuowałaś kogoś do prywatnej siedziby rodziny królewskiej, kogoś, o kim, jak mniemam, nic nie wiesz, i zostawiłaś ją samą, żeby swobodnie wędrowała po zamku? Na co nam fosy, bramy i mury, skoro sami ludzie króla lekceważą obronę zamku?

– To była młoda dziewczyna, miejscowa dziwka. Nie narobi kłopotów.

Exeter uniósł brew.

– A jednak znaleźliśmy się tutaj wszyscy trzej. Myślisz, że w całym zamku ogłoszono stan pogotowia bez powodu? Często przeszukuje się każdą piwnicę i dREWUTNIĘ, bo nie mamy niczego lepszego do roboty? Och, myślę, że już narobiła dość kłopotów.

Nagle coś zastanowiło konstabla.

– Hm... Zwróciłaś jednak uwagę na ciekawą kwestię. Jeśli to tylko błąd w protokole spowodowany przez tępawą i niezdyscyplinowaną straż, to czemu ogłoszono alarm? Jestem przekonany, że nie pierwszy raz nagięto zasady. Sprowadzenie dziewczyny tutaj świadczy o waszej niezdolności do właściwej oceny, a zgubienie jej potwierdza waszą niekompetencję. Jednakże żadna z tych rzeczy nie usprawiedliwia zamknięcia bram zamkowych i zarządzenia poszukiwań na pełną skalę. Zatem czemu kapitan Lawrence kazał opróżnić całe koszary?

– Szczerze mówiąc, wątpię, żeby to planował. Był wściekły, to jasne. Lordowska mość wie, jaki jest kapitan. Najpierw kazał ją znaleźć i wyprowadzić z zamku, ale wtedy biskup Saldur wtrącił się i...

Exeter uniósł rękę, żeby go uciszyć. Przechylił głowę i zerknął na Barnes. To był osobliwy nawyk najwyższego konstabla, który Richard zawsze odbierał jako sygnał zagrożenia, chociaż nie potrafił tego w żaden sposób uzasadnić.

– Biskup Saldur tu był?

Barnes skinął głową.

– Zaproszono go na przyjęcie?

Barnes omal się nie roześmiał, co byłoby chyba pierwszym takim przypadkiem. Richard nigdy nie widział, żeby ktokolwiek śmiał się przy Exeterze, nawet król.

– Nie, wasza lordowska mość. Nie obracamy się w tych samych kręgach towarzyskich, rozumie pan, co mam na myśli. Wpadliśmy na biskupa na schodach, kiedy nieśliśmy przekąski, i jakoś tak wyszło, że przyłączył się do nas.

– I nie uznaliście, że to dziwne?

– Myślę, że był trochę zaciekawiony, widząc, że wszyscy idziemy do wieży w środku nocy. Mnie by to zaciekawilo. W końcu nie mogliśmy powiedzieć biskupowi, że nie może się z nami napić. Szczerze mówiąc, nie paliło mi się do wysłuchiwanie kazania, jakie by palnął, gdyby Rose wyskoczyła z szafy, ale uznałem, że to problem Wylina, nie mój.

– A co biskup Saldur ma do tego, że kapitan Lawrence ogłosił alarm?

– Och, racja. Kiedy kapitan otworzył drzwi do szafy i nikogo tam nie znalazł, zorientował się, że coś jest nie tak. Wtedy powiedzieliśmy mu o Rose, a on orzekł, że trzeba ją znaleźć i zabrać do domu. Wtedy jednak biskup Saldur zaczął gadać i gadać, jaka to poważna sprawa. Mówił o Rose „intruz” i wrzeszczał, że może być szpiegiem albo zabójczynią, albo czort wie kim. Powiedział kapitanowi Lawrence’owi, że jeśli nie podniesie alarmu, to on osobiście pójdzie do Percy’ego Bragi i powie mu, że kapitan naraża życie króla. Narobił zamieszania bez powodu, ale Saldur nie jest żołnierzem i nie rozumie pewnych spraw. Myślę, że kapitan Lawrence zgodził się po części po to, żeby uspokoić biskupa. Poza tym nie chciał podpaść nowemu szefowi.

– I jesteś absolutnie przekonany, że biskup się mylił? Że ta dziewczyna nie stanowi zagrożenia? Gdzie ją znalazłeś? – Exeter znowu spojrzał, przechylając głowę.

– W burdelu w Dzielnicy Dolnej.

– Wynająłeś kapitanowi dziwkę z Dzielnicy Dolnej? – Richard był zbyt zaszokowany, żeby powstrzymać język.

– Och, to nie tak... – Barnes pokręcił głową. – To nowy burdel. Nazywa się Dom Medford. Chociaż mieści się przy ulicy Przekornej, to

naprawdę porządne miejsce, czyste, wręcz z klasą. A Rose to naprawdę słodka dziewczyna. Nigdy w życiu nie zrobiłaby niczego...

– Naprawdę? Zatem powiedz mi, sierżancie, dlaczego jej tu nie ma? Dlaczego ta słodka dziewczyna nie wykonała swojej pracy, nie odebrała zapłaty i nie wróciła do Dzielnicy Dolnej?

Barnes milczał.

Exeter zaczął krążyć po pomieszczeniu pogrążony w zadumie, pociągając się za dolną wargę. Peleryna rozkładała się dramatycznie przy każdym jego obrocie. Richard i zapewne także Barnes uznali, że lepiej nie przeszkadzać mu w namyśle. Stali w milczeniu na baczność. Po kilku minutach Exeter przystanął i zwrócił się do nich.

– Zniknięcie Rose rzeczywiście stanowi zmartwienie i odnalezienie jej powinno być priorytetową kwestią dla królestwa, ale nie z powodów, jakie wskazał szacowny biskup. Podejrzenie, że ta dziewczyna to szpieg albo zabójczyni, jest niedorzeczne. To ty wybrałeś dziewczynę, która tu przyszła, nie odwrotnie. Zgadza się?

Barnes skinął głową.

– Melengar ma wielu wrogów i podejrzewam, że szpiegdy rzeczywiście czają się w wielu miejscach, ale szanse, że znalazłeś jakiegoś przypadkiem w miejscowym burdelu, są absurdalne, tak samo jak szanse, że ktoś dowiedział się o jej wyprawie na zamek, więc przekupił ją, żeby otworzyła drzwi albo ściągnęła strażnika z posterunku.

– Zresztą nie miałaby czasu na nic takiego. Weszliśmy, wybraliśmy ją i przyprowadziliśmy tutaj. Z nikim nie rozmawiała.

Exeter podszedł, aż stanął niemal nos w nos z Barnesem, i spojrzał mu w oczy.

– Jeśli ta dziewczyna należy do spisku, to najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem byłoby stwierdzenie, że Barnes jest zdrajcą.

– O, nie, wasza lordowska mość! Przysięgam, że nie jestem.

Wyglądał, jakby miał zemdleć.

Exeter przyjrzał się jego twarzy, a potem orzekł:

– Jestem skłonny ci uwierzyć. Gdyby taki był twój plan, nie byłoby powodu wymyślać historyjki o tym, że jest prezentem dla kapitana

Lawrence'a. Po prostu ukryłbyś ją na zamku i nikt z nas by się tu nie pojawił. Może wyolbrzymiamy znaczenie tego wydarzenia. Czy to możliwe, że po prostu za długo zwlekaliście z przyprowadzaniem kapitana Lawrence'a, dziewczyna znudziła się, zeszła po schodach i jest już w domu?

Barnes pokręcił głową.

– Kazaliśmy Grishamowi pilnować korytarza na dole. Rozumie pan, żeby miał na oku kapitana. Zauważyłby ją, gdyby zeszła.

Lord Exeter podszedł do okna, wychylił się i spojrział w dół.

– Zatem zostaje tylko jedna możliwość.

– Myśli pan, że wyszła przez okno? – zapytał Richard.

– O ile sierżant Barnes nie myli się albo nie kłamie, nie widzę innej możliwości. A ponieważ nie znaleźliśmy ciała na dole, musiała zejść.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie zszedłby tędy – powiedział Barnes i tym razem zarechotał cicho.

Richard się wzdrygnął.

– Doprawdy? – spytał Exeter. Przeszedł przez pokój i zamknął drzwi. – Myślę, że ktoś bardzo zmotywowany mógłby spróbować. Masz jednak rację. Nie próbuje się czegoś bez dobrego powodu i kto wie, może to nawet niemożliwe, niezależnie od najlepszych starań.

Spojrzał na Richarda.

– Sierżancie Hilfred, wyciągnij broń.

Richard wykonał rozkaz i to samo uczynił lord. Exeter przystawił czubek pałasza do piersi Barnes'a i skinął głową w stronę okna, mówiąc po prostu:

– Spróbuj.

Barnes zerknął na okno i uśmiechnął się niepewnie.

– Nie mówi pan... Nie mówi pan poważnie, wasza lordowska mość.

– Zapewniam, że jak najbardziej. Muszę zorientować się, czy to wykonalne, i dostarczam ci właściwej zachęty.

– Ależ wasza lordowska mość!

– Rób, co ci każę, bo inaczej zabijemy cię tu na miejscu razem z sierżantem Richardem. Możesz też dobrać broń, twój wybór, ale widziałem, jak walczysz, i nie jesteś bardzo dobry. Większą szansę na przeżycie masz, jeśli wyjdiesz przez okno. – Exeter zrobił krok

w lewo, tak że Barnes znalazł się między nim a Richardem. – Jeśli jednak wyciągniesz broń, musisz mieć pewność, że mnie zabijesz. W przeciwnym wypadku powiem królowi, żeby kazał cię poćwiartować. W końcu jestem jego kuzynem.

Exeter rzucił się i ciął. Barnes przesunął się do tyłu w stronę okna z rozcięciem na tunice. Skrzywił się i przycisnął ręce do piersi, sugerując, że Exeter przeciął nie tylko materiał. Wytrzeszczył oczy, patrząc na broń lorda, ale swojej nawet nie tknął.

Gdyby Barnes sięgnął po broń, Richard rzuciłby się do walki. Musiałby – jego zadaniem było chronienie arystokratów na zamku niezależnie od sytuacji. Ponadto nigdy nie przepadał szczególnie za Barnesem. On i pozostali Ludzie Króla zawsze patrzyli na niego z góry, z miną, która mówiła: „Nawet po tylu latach nadal nie jesteś jednym z nas, nie zasługujesz, żeby strzec króla”.

Może dlatego Barnes to zrobił. Nie miał wyboru. Żaden z nich nie miał.

Chwycił się kamienia i wyszedł na parapet. Spojrzał w dół i Richard zauważył, że sierżant się trzęsie.

– Spokojnie, sierżancie – powiedział Exeter. – Jestem niemal przekonany, że pewna młoda dziewczyna, miejscowa dziwka, jak to ująłeś, z powodzeniem stąd zeszła.

Uwaga lorda Exetera raczej nie pomogła. Dysząc ze strachu, Barnes obrócił się, przykucnął i wysunął nogi przez okno, aż oparł się brzuchem o parapet.

– Znalazłem oparcie dla nóg – obwieścił z nagłym zachwytem Barnes.

Richard podejrzewał, że każda dobra rzecz była w tej chwili źródłem ogromnej radości dla Barnesa.

Sierżant wyślizgiwał się dalej, opadał, aż wreszcie widać było tylko jego palce. Wtedy się puścił.

– Udało mi się.

Exeter wychylił się przez okno. Obaj się wychylili. Barnes znajdował się raptem na wyciągnięcie ręki, stał na maleńkim dekoracyjnym gzymsie szerokim na nie więcej niż stopę.

– Idź dalej – rozkazał Exeter.

W świetle księżyca Richard widział szczyt dachu mansardy poniżej i nieco na prawo od nich. Barnes też go zauważył i zaczął przesuwać się po gzymsie, aż znalazł uchwyt dla rąk, dzięki czemu mógł przykucnąć. Znowu usiłował opuścić stopy, ale tym razem nie miał okna, przez które mógłby wychylić resztę ciała. Powiew wiatru omal nie pozbawił Barnes'a równowagi. Richard zastanawiał się, czy sierżant po prostu nie zostanie w tym miejscu do końca nocy. Znajdował się poza zasięgiem miecza Exetera. Lord mógłby jednak rozkazać Richardowi iść za Barnes'em. Gdyby do tego doszło, Richard nie był pewien, co by zrobił. W przeciwieństwie do Barnes'a obstawiał, że jest lepszym szermierzem od Exetera. Na szczęście – przynajmniej dla Richarda – wiatr przestraszył Barnes'a, który desperacko spróbował sięgnąć w dół nogą. Nie miał dość miejsca, więc stracił równowagę i spadł.

Wylądował na daszku mansardy i zsunął się po stromej połaci. Krzyknął, kiedy skończył mu się dach i spadł na iglicę Czarownej Wieży. Dach nie był aż tak stromy, ale dość, żeby sierżant się ześlizgnął. Chwytał się kurczowo terakotowych kafelków, byle się zatrzymać. Nie udało mu się i Richard z Exeterem patrzyli, jak Barnes zsuwa się niczym kropla deszczu i spada na dziedziniec. Na tej wysokości dźwięk był cichy, rozległo się tylko stłumione plaśnięcie. W żadnej mierze nie był to odgłos, jaki kojarzy się ze śmiercią człowieka.

– No i proszę – powiedział Exeter – rozstrzygający dowód, że ktoś mógłby wyjść przez to okno. – Spojrzał na miecz Richarda. – Możesz już go schować.

Richard nie był pewien, czy to taka dobra rada, ale pod baczny spojrzeniem lordowskiej mości schował broń.

– Teraz więc wiemy w jaki sposób. Pozostaje tylko dowiedzieć się dlaczego. Człowiek wyszedłby przez to okno tylko wtedy, gdyby uznał, że nie ma żadnej innej możliwości. – Zamilkł i spojrzał na Richarda. – Ale tego nie muszę ci chyba mówić, prawda?

Richard zaczerwienił się z gniewu i był to jedyny sposób, w jaki mógł to uczucie uzewnętrznic.

– Jednakże w przypadku tej dziewczyny, tej nowej Rose... Zabawne, że mają tak samo na imię, co?

Richard nie uznał tego za zabawne.

– Możemy chyba uznać, że jak sierżant Barnes bała się o swoje życie. Tylko kto jej zagrażał i dlaczego?

Exeter znowu wyjrzał przez okno. W dole garstka ludzi zebrała się wokół ciała Barnesesa.

– Prawie mu się udało, co? Gdyby złapał się krawędzi, to z łatwością mógłby zeskoczyć na taras. Myślę, że ona nadal żyje. – Lord spojrział w kierunku bramy. – Pewnie uciekła z zamku, zanim ktokolwiek się zorientował, że zniknęła. Pewnie już wróciła do Domu Medford.

– Możemy zapytać Kellsa o dziewczynę. Stał na bramie – odpowiedział Richard. – Jednak zajrzałem do niego po drodze tutaj i zameldował, że nikt nie opuszczał zamku po zachodzie słońca.

Exeter uśmiechnął się krzywo.

– Nikt też nie widział, jak opuszczała ten pokój.

Najwyższy konstabl ruszył do schodów.

– Co mam napisać w raporcie na temat Barnesesa? – zatrzymał go pytaniem Richard.

Exeter obrócił się z łopotem peleryny.

– Dokładnie to, co nastąpiło. Barnes pokazywał, w jaki sposób dziewczyna uciekła, w trakcie poślizgnął się, spadł i zginął. – Exeter znowu przechylił głowę. – Wiedziałeś, że przeciwstawiłem się przyjęciu cię do królewskiej straży? Twoje umiejętności szermiercze są dobre, ale brak ci lojalności. Gdyby Wylin albo Lawrence byli tu z Barnesem, zaprotestowaliby. Powiedzieliby mu, żeby wyciągnął miecz, i zaryzykowałiby własną karierę, stając przeciwko mnie, ratując jednego ze swoich. Dwóch przeciwko jednemu. Musiałbym się wycofać. Każdy otrzymałby surową reprimendę, bo król nie może pozwolić na otwartą niesubordynację, ale poparłby ich w głębi ducha. Ostatecznie wszystko by się ułożyło. A tak Barnes leży na dziedzińcu jak roztrzaskana torba ze szkłem. Zastanawiam się więc, widząc tak wielką lojalność, czy kiedy przyjdzie czas bronić króla, uczynisz to?

Richard zacisnął zęby.

– Już raz to zrobiłem.

– A rzeczywiście, atak w Pilinie.

– Ocaliłem Jego Wysokość, kiedy wszyscy inni uciekli. Zostałem

i omal nie zginąłem.

– To jednak było dawno temu i nie mogę przestać się zastanawiać... Czy zrobiłbyś to teraz? Może gdyby król okazał większą wdzięczność. Żołnierze w czynnej służbie nie mogą mieć żon, prawda? Podejrzewam, że prosiłeś o uczynienie wyjątku, ponieważ Rose Reuben nosiła już twojego syna. Tak było, prawda?

Exeter znał odpowiedź na to pytanie i Richard nie zawracał sobie głowy jej udzielaniem.

– Wydaje się, że to taka mała cena, zwłaszcza kiedy okazałeś taką odwagę, a jednak odmówiono ci. Król potrzebuje żołnierzy, którzy siedzą w koszarach i są zawsze gotowi, a gdyby uczynił wyjątek dla jednego... Jestem pewien, że jasno ci to wyłożył, kiedy odmówił.

Richard stał wyprostowany, starając się nie okazywać emocji. Nauczył się tego w ciągu ostatnich szesnastu lat.

– A kiedy odmówił, twoja lojalność wobec Rose została poddana próbie. Mogłeś wycofać się ze służby i ożenić się z nią, zając się przyszłym synem, zacząć gdzieś nowe życie. Ale bardziej zależało ci na awansie na sierżanta niż na Rose i swoim bękarcie. Odrzuciłeś ją. – Exeter poprawił pelerynę, która zsunęła mu się z ramienia po gwałtownym obrocie. – I, rzecz jasna, co jej wtedy zostało? Kiedy wiadomo było już o jej stanie, straciła pracę, a nie mając mężczyzny, który zapewniłby jej byt, co mogła zrobić? Pewnie mogłaby znaleźć starą akuszerkę z krzywą gałęzią, żeby uwolniła ją od brzemia, które na nią zrzuciłeś. Jednak nie zrobiła tego. To się nazywa lojalność. Zarekomendowałbym przyjęcie Rose Reuben do straży królewskiej bez chwili wahania. Co jej powiedziałaś, kiedy wróciła z dzieckiem i raz jeszcze poprosiła cię o pomoc? Zaproponowałeś jej pieniądze? Podejrzewam, że odesłałeś ją z niczym. Mógłbym docenić chociaż to, że po śmierci Rose wysłałeś dziecko do swojej siostry, ale zrobiłeś to raczej z poczucia winy i wstydu, prawda? Szkoda, że nie zaproponowałeś jej tego wcześniej. Oceniam mężczyznę po jego wyborach, a ty po raz kolejny udowodniłeś, że cenisz swoją pracę wyżej niż cokolwiek innego. Stając przeciwko mnie, zaryzykowałbyś swoją pozycję i Barnes zapłacił za to, tak samo jak kiedyś Rose. Może więc skup się na swojej pracy, a ja zrobię to samo. Idź chronić króla,

a ja znajdę zaginioną Rose z Domu Medford.

Exeter wyszedł z pokoju. Jego kroki cichły powoli.

Richard, gdy został sam, podszedł do okna i położył rękę na parapecie. Ten pokój naprawdę był nawiedzony. Przesunął palce po kamieniu i znowu napłynęły mu łzy do oczu. Porwał kubek i podszedł do beczki z piwem, żeby się napić.

Rozdział 6

Dom i karczma

Kopnięciem wybito wiadra spod nóg trzech mężczyzn uwiązanych za szyje do szubienicy. Cała konstrukcja zadrżała od szarpnięcia, a belka ugięła się pod ciężarem.

Royce widział wiele razy wieszanie i zawsze zaskakiwała go cisza. Wiwaty i obelgi milkły. Nikt się nie odzywał, a już z pewnością nie ci, którzy wisieli. Oni tylko cicho trzepotali stopami, co dało się usłyszeć dzięki nagłej ciszy. Royce domyślał się, że nie jest to wyraz szacunku dla uchodzącego życia, a już z pewnością nie dla skazańców. Jeszcze chwilę wcześniej tłum rzucał w nich zgniłymi warzywami. Nie był w stanie tego udowodnić, ale podejrzewał, że cisza wynikała ze wstrząsającej myśli, że pewnego dnia im samym przytrafi się coś podobnego. Widok śmierci, przemiana oddychających, myślących ludzi w trupy sprawiały, że odbierało im mowę. Widzieli samych siebie wiszących na miejscu skazańców i kiedy stopy wierzgały, oni drżeli.

– Przerazające miasteczko – szepnął Hadrian z siodła, kiedy we trzech przejeżdżali przez Dzielnicę Szlachecką.

Minął rok od ich pierwszej wizyty w Medfordzie. Wtedy zjawili się jako uciekinierzy na wozie pławiący się we własnej krwi. Powrót wyprowadzał Royce'a z równowagi, jakby odwiedzał własny grób z nagrobkiem, na którym umieszczono epitafium: ROYCE MELBORN... W KAŻDEJ CHWILI. Musiał jednak wrócić. Zostawił tu coś ważnego.

Ominęli tłum na placu z fontanną i posągiem króla na wspiętym

koniu. Skręcili na lewo od zamku w kierunku Łuku Sklepiarzy i ciągnącego się dalej zakątka rzemieślników. Rodzina kaczek pławała się wśród pałek w fosie, która otaczała szare mury zamku Essendonów. Woda była mroczna i zielona, a na jej powierzchni unosiły się lilie. Royce zwrócił uwagę na dwóch strażników, którzy stali przy bramie ubrani w bordowe kasaki ze stylizowanym złotym sokołem. Kolejnych dwóch stało przy drugim końcu mostu. Kilkunastu chodziło wzdłuż blanków, a ich metalowe hełmy błyszcząły w porannym słońcu. Już przejeżdżając, Royce zauważył dwa punkty na murze, gdzie można się wspiąć i nie zostać zauważonym przez strażę. Może w nocy mieli więcej strażników.

– Byłeś tu już kiedyś, Albercie? – Hadrian zagadnął wicehrabiego, który nadal jechał za nim w siodle.

– Och, tak, wiele razy. Mam dobrego przyjaciela, lorda Darefa, który mieszkał kiedyś przy tej ulicy. – Wskazał ręką. – Zaprosił mnie na ślub siostrzenicy cztery lata temu, kiedy nadal miałem ubrania, i wiosną następnego roku, kiedy musiałem odmówić, bo byłem biedny i biedniałem z każdym dniem. Arystokracja wiecznie urządza przyjęcia i wygląda na to, że zbliża się następne. – Wskazał na sztandary przed bramą zamkową z napisem „Gala kanclerska”. – Czasem myślę, że publicznie to ogłaszają, żeby przypomnieć wszystkim niezaproszonym, jak nędzne jest ich życie.

Szerokie ceglane bulwary ze skrzynkami z kwiatami i fontannami zamieniły się w proste ulice, kiedy przejechali pod Łukiem Sklepiarzy. Turkot wozów na bruku i huk młotków uderzających w drewno lub stal dobiegały ze wszystkich stron. Drzwi do warsztatów były pootwierane. Ludzie wchodzili i wychodzili z drewnem, ciężkimi wiadrami i workami. W przeciwieństwie do Dzielnicy Kupieckiej, która znajdowała się po drugiej stronie zamku, nie było tu szyldów. Większość tutejszych budynków pozostawała anonimowa. Szyldy nie były potrzebne, bo warsztaty wylewały się na werandy i ulice. Liczne koła do wozu opierały się o słupki, a stosy beczulek tworzyły mały las. Szewc rozkoszował się jesiennym słońcem, wystawiwszy warsztat na zewnątrz, gdzie uderzał w obcas buta. Obok rozstawił wieszak z gotowym towarem. Do portu w dole

przybiła rzeczna barka i za pomocą wielokrążków unoszono skrzynie, podczas gdy zawałone sieciami łodzie przemykały na łowisko. Ludzie żwawo się tu poruszali. Pracownicy chodzili szybko, niektórzy wręcz biegli. Kupcy przemykali wśród tłumów robotników. Zwykle byli to masywni mężczyźni w kolorowych ubraniach. Oni nie biegli, a raczej przechadzali się, przystając, żeby przyjrzeć się beczce albo zgiąć but.

– Dobrze jedziemy, prawda? – zapytał Hadrian, kiedy skręcili w ulicę Rzemieślników.

Royce rozejrzył się niepewnie.

– Myślałem, że znacie drogę – zdziwił się Albert.

– Lepiej znamy drogę wyjazdową – wyjaśnił Hadrian. – Kiedy przyjechaliśmy, niewiele widzieliśmy. Prawdę mówiąc, ja byłem nieprzytomny.

– Zgaduję, że przyłapano was na kradzieży?

– Nie całkiem. To znaczy nigdy nas nie przyłapano. Dźgnięto i trafiono strzałą, ale nie złapano. A zadanie wykonywaliśmy gdzie indziej. Tutaj wylądowaliśmy ostatecznie. Szukamy części miasta, którą nazywają Dzielnicą Dolną.

Albert zadygotał.

– Jak się domyślacie, większość czasu spędziłem w Dzielnicy Szlacheckiej i czasem tylko zapuszczałem się do Kupieckiej. Nigdy nie miałem okazji jechać tędy.

– Pamiętam ten warsztat ciesielski. – Royce wskazał budynek. – Z nimi załatwiała większość interesów.

Każda dzielnica miała własną bramę, ale winorośle sugerowały, że nigdy ich nie zamykano. Drogą eliminacji w końcu znaleźli Dzielnicę Dolną i kiedy wjechali do niej, ulice dramatycznie się zwężyły. Budynki wznosiły się po obu stronach jak ściany kanionu. Dwupiętrowe budynki z mieszkaniami na ostatnim piętrze sterczały nad ulicą, rzucając cień na bitą nawierzchnię. Ściany budynków były poplamione i popękane, a zamiast rzemieślników uprawiających swój zawód na ulicy tutaj napotykało się zbitą w grupki biedotę w prowizorycznych ruderach. Nie zrobiono tu rynsztoka, więc mieszkańcom musiała wystarczać ulica, przez co w okolicy panował gryzący smród.

Im dalej jechali, tym gorsze były warunki. Kiedy wreszcie skręcili w ulicę Przekorną, wiedzieli, że dotarli na dno. Budynki były fatalnie zbudowane i przechylały się w jedną albo drugą stronę. Cztery szczury ucztowały na obierkach z jabłek, kościach i nieczystościach wyrzuconych przez okno. Dwa piętra wyżej suszyły się na sznurze ubrania, a nie było sztuki, na której nie widniałyby trwała plama, rozdarcie albo łąta. Na końcu ulicy znajdowały się dwa lokale i nie mogły bardziej się różnić. Po prawej stała Karczma z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”. Gdyby nie fatalnie namalowany szyld z błędem w słowie „ohydny”, łatwo można by ją pomylić z opuszczoną szopą. Po drugiej stronie wznosił się śliczny budynek, równie ładny jak każdy w Dzielnicy Rzemieślników i tak zadbane jak domy przy placu Szlacheckim. Wyglądał jak uroczy domek z szeroką werandą, na której nie zabrakło huśtawki i skrzynek z kwiatami. Szyld nad drzwiami brzmiał po prostu „Dom Medford”.

– Przejechaliście taki szmat drogi dla dziwki? – zapytał Albert, a Royce spojrział na niego ostro.

– Nie nazywaj jej tak, jeśli chcesz przeżyć długie i szczęśliwe życie – ostrzegł go Hadrian, gdy zsiadali z konia.

– Ale to przecież jest burdel, dom publiczny, zgadza się? A skoro chcecie się tu zobaczyć z kobietą, to musi to być...

– Kontynuuj swą myśl, Albercie. – Hadrian przywiązał konia to słupka. – Pozwól tylko, że się odsunę.

– Gwen ocaliła nam życie – powiedział Royce, patrząc na werandę. – Dobijałem się do drzwi. Nawet krzyczałem o pomoc. Tak, ja krzyczałem o pomoc. Nikt się nie przejął. – Royce wskazał Hadriana. – On umierał w kałuży krwi, a ja byłem bliski utraty przytomności. Miałem złamaną nogę, rozcięty bok i świat wokół wirował. A ona zjawiała się i powiedziała: „Już jestem. Nic wam nie będzie”. Umarlibyśmy w błocie i na deszczu, gdyby nas nie przygarnęła, nie opiekowała się nami, aż wróciliśmy do zdrowia. Ścigano nas, mnóstwo ludzi nas ścigało... Mnóstwo wpływowych ludzi... Ale ona tygodniami nas ukrywała i nigdy nie poprosiła o zapłatę ani słowo wyjaśnienia. – Royce odwrócił się do Alberta. – Zatem jeśli raz jeszcze nazwiesz ją dziewczynką, to obetnę ci język i przybiję do piersi.

Albert skinął głową.

– Zrozumiałem.

Royce wszedł po schodach i zapukał w drzwi.

Albert pochylił się do Hadriana i szepnął:

– Puka do...

– On nadal cię słyszy – powstrzymał go Hadrian.

– Serio?

– Jestem niemal pewien. Nie masz pojęcia, ile razy wpakowałem się w kłopoty, zanim się tego nauczyłem. Nigdy nie mów niczego, o czym nie chcesz, żeby się dowiedział.

Drzwi otworzyły się i młoda kobieta powitała ich uśmiechem. Royce jej nie poznał. Może była nowa.

– Witam panów, proszę wejść.

– Rety, to naprawdę ładne i wytworne miejsce – zachwycił się wicehrabia, kiedy weszli do salonu. – Zupełnie jakbym znowu znalazł się w salonie księżny Rochelle. Nigdy nie widziałem... – Urwał i uśmiechnął się do Royce'a. – Domu uciech, który byłby równie czysty i taki... ładny.

– Gwen jest wspaniała – powiedział Hadrian; stał zakłopotany i patrzył na błoto na butach.

Chwilę potem w salonie zjawiała się kolejna dziewczyna.

– Witam panów, nazywam się Jasmine. Czym mogę służyć?

– Przyjechałem zobaczyć się z Gwen – powiedział jej Royce, który był przekonany, że dziewczyna nazywała się Jollin, kiedy był tu ostatnim razem.

– Gwen? – zapytała ostrożnie. – Ach... Gwen nie przyjmuje gości.

– Nie to miałem na myśli. Ach... Nazywam się Royce Melborn. Może nas pamiętasz. Ona, to znaczy wy wszystkie, pomogliście mnie i mojemu przyjacielowi w zeszłym roku. Chciałem jej znowu podziękować i może postawić kolację.

– Och... Ach... Proszę poczekać chwilkę.

Śmignęła na górę.

– Jasmine? – powiedział Hadrian, patrząc za nią. – Nie nazywała się wcześniej Julie?

– Myślałem, że Jollin – poprawił go Royce.

– Pachnie tu jabłkami i cynamonem. – Albert usiadł na jednej z bogato haftowanych kanap.

Hadrian pożyczył mu grube wełniane spodnie i swoją pelerynę. Pod nią nadal nosił brudną koszulę nocną.

– Dziewczyny pachną jeszcze piękniej – zapewnił go.

– Mogę sobie wyobrazić. I jest tu cicho. Zwykle słyszeć trzeszczenie łóżek na piętrze. To wspaniały przybytek. Musi być drogi i popularny, a jednak nigdy o nim nie słyszałem. To nowe miejsce?

Hadrian wzruszył ramionami.

– Byliśmy tu tylko raz.

– Musimy doprowadzić cię do porządku – powiedział wicehrabiemu Royce, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak fatalnie prezentuje się hrabia. Nie chciał, żeby Gwen zobaczyła go pierwszy raz w takim stanie, ale teraz nie miał już wyjścia. – Hadrian, kiedy wezmę Gwen na kolację, myślisz, że może mógłbyś...

Hadrian się roześmiał.

– Co?

– Naprawdę myślisz, że mnie oszukasz?

– Myślałem tylko...

– Chcesz po prostu pobyć z Gwen sam na sam.

Royce chciał zaprotestować, ale Hadrian podniósł rękę.

– Spokojnie. Zajmę się Hrabią Koszulą.

– Wicehrabią.

– A co to za różnica?

– Całe mnóstwo pieniędzy.

Jasmine zeszła znacznie wolniej, niż wbiegła po schodach.

– Ehm... Gwen prosiła, żebym powiedziała panu, że... Nie chce się z panem widzieć.

Royce nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Nie rozumiem. Nie chce... Ale dlaczego? Powiedziałaś jej, że chcę ją zabrać na kolację? Powiedziałaś, że jest ze mną Hadrian? Pójdziemy razem, jeśli tak woli. Nie będziemy tylko we dwoje, jeżeli to stanowi problem.

– Tyle jeśli idzie o golenie i nowe ubrania dla mnie – mruknął Albert.

– Przykro mi, ale wyraziła się bardzo jasno – odpowiedziała dziewczyna. – Nie zobaczy się z panem w żadnych okolicznościach. Naprawdę bardzo mi przykro.

* * *

Hadrian oparł łokcie na stole i zmarszczył brwi, kiedy mebel się zachybotał.

– Nie cierpię, kiedy tak się kolebią.

Siedzieli w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem” po drugiej stronie ulicy Przekornej. Od zewnątrz lokal wyglądał na opuszczony, podobnie jak stodoła, w której znaleźli Alberta, i Hadrian uznał, że w środku nie może wyglądać gorzej. Mylił się.

Cienkie wypaczone deski nierównej szerokości tworzyły ściany, szparami między nimi swobodnie wpadało światło słoneczne i zimne powietrze. Niechlujna ciesielka okazała się zaletą, bo było tu tylko kilka okien, a wszystkie zamknięto, kominek zaś miał kiepską wentylację. Szpary pomagały uciec dymowi i szczurom, które często bywały w spiżarce.

– Minęliśmy... Ilu? Ze czterech stolarzy po drodze tutaj? – Hadrian patrzył pod stół i kołysał nim. – Jak trudne może być wypoziomowanie stołu?

Wyciągnął krótki miecz, przesunął nim wzdłuż nogi stołu, zestrugał kawałek drewna w kształcie klina i podłożył go pod stół. Sprawdził i uśmiechnął się.

– Nie rozumiem – powtórzył po raz trzeci Royce. – Dlaczego nawet nie wyszła?

– Może nie pamiętała twojego imienia – zasugerował Albert. – Poza tym mogła być zajęta.

Royce pokręcił głową.

– Dziewczyna powiedziała, że Gwen nie przyjmuje gości. Wątpię, czy ona w ogóle to robi... W każdym razie czy nadal to robi. Nigdy nie zabawiała nikogo, kiedy tam byliśmy. Myślę, że ona tylko kieruje tym domem. I jeśli była zajęta, mogła nam powiedzieć, żebyśmy zaczekali,

a nie że „nie zobaczy się z panem w żadnych okolicznościach”.

Hadrian wiedział, że to te dwa słowa na końcu zdania najbardziej rozdrażniły Royce'a. Bardzo rzadko widział, żeby coś zaskoczyło jego partnera. Royce spodziewał się najgorszego po ludziach i niestety rzadko się mylił. Jednakże to było coś innego. Widział jego twarz, kiedy Jasmine, Julie – czy jednak Jollin? – wypowiedziała te słowa. Royce po prostu stał jak ogłuszony. Szczerze mówiąc, Hadrian też był zaskoczony.

Po tym, jak dostał strzałę w plecy i stracił przytomność na podwórzu Toma Brzechwy, obudził się w wygodnym łóżku otoczony przez cudowne kobiety. Myślał, że umarł, i pożałował każdego razu, kiedy przeklinał imię Maribora. Gwen spędzała większość czasu przy Roysie, ale rozkazywała dziewczynom jak zaprawiony w bojach marszałek i dopilnowała, żeby zaspokoiono ich wszystkie potrzeby. Nie wiedział, jak tam trafili, zakładał więc, że Dom Medford to schronienie, z którego Royce korzystał już w przeszłości i że są z Gwen starymi przyjaciółmi. Jednakże w miarę upływu dni odkrył, że nigdy dotąd się nie spotkali – dopiero owej nocy na progu jej domu.

Hadrian nie był pewien, ile dni minęło, podczas gdy tracił i odzyskiwał przytomność, a Kościół Nyphrona nadal ich poszukiwał. Pojawiły się patrole w Dzielnicy Dolnej. Zadawano pytania. Gwen poczyniła przygotowania, żeby w razie czego natychmiast ich ukryć, ale nikt nawet nie próbował przeszukiwać domu. Po pierwszym miesiącu sprawy przycichły. Pod koniec miesiąca wydawało się, że o wszystkim zapomniano. Mimo to rzadko wychodzili z Royce'em na zewnątrz.

To Royce oznajmił w końcu, że czas wyjechać. Nie usłyszał żadnej sprzeczki między tamta dwójką. Gwen obu ich wyściskała, a Royce'a pocałowała na pożegnanie. Ten pocałunek zaszokował także Royce'a. Może zrobiła to, bo lubiła go straszyć. Royce często przypominał Hadrianowi kota, zwinnego i trochę zbyt pewnego siebie. To było zabawne zobaczyć, jak ktoś go zbija z pantałyku. Pożegnali się w przyjaźni i dlatego jej odmowa nie miała żadnego sensu. Gwen sprawiała wrażenie szczerze zasmuconej, kiedy odjeżdżali.

Albert siedział zwrócony plecami do baru, z dłońmi złożonymi na

stole, i zerkał tęsknie przez ramię.

– Przyszliśmy tu zjeść – przypomniał mu Hadrian. – Coś konkretnego, nie w płynie.

Albert odwrócił się z powrotem, oblizując usta.

– Jasne... Oczywiście.

Hadrian przyglądał się wicehrabiemu. Wyglądał jak ucieleśnienie biedy, z twarzy zostały mu tylko oczy spozierające spomiędzy brudnych włosów.

– Wiesz, trudno wyobrazić sobie, jak wyglądasz bez tej brody. Tam naprawdę kryje się jakaś twarz?

Albert usiadł prosto.

– Oczywiście, i to w dodatku atrakcyjna. Był ze mnie przystojniak, kiedy jeszcze było mnie na to stać.

– Po prostu nie rozumiem – wymamrotał znowu Royce.

– Czego? – Mężczyzna podszedł do stołu, ocierając brudne ręce o jeszcze brudniejszą ścierkę.

Kiedy tylko Hadrian go zobaczył, pomyślał o strachach na wróble, które często stały w gospodarstwach wzdłuż wiejskich dróg. Zwłaszcza jeden typ – z głową z dyni i wypchanym słomą kapeluszem – wyglądał jak bliźniaczy brat tego człowieka. Główna różnica polegała na tym, że mężczyzna był dużo starszy i nie tak ładny jak dynia.

– Dlaczego brakuje tu kelnerek – odpowiedział za przyjaciela Hadriana.

Miał to być żart, ale mężczyzna nachmurzył się i Hadrian nabrał wątpliwości, czy miał cokolwiek wspólnego z dynią.

– Wszystkie są po drugiej stronie ulicy – odpowiedział karczmarz, patrząc z kwaśną miną na ścianę, w której gdyby znajdowało się okno, to wychodziłoby na Dom Medford.

Tak świdrował wzrokiem ścianę, że wszyscy trzej spojrzeli w tym samym kierunku.

– Rok temu pracowała u mnie cała zgraja, ale przez nią wszystkie odeszły.

– Przez nią? – zapytał Royce.

– Aha – przytaknął karczmarz z szyderczym uśmieszkiem i machnął

lekceważąco ręką w stronę ściany. – Ta caliska dziwka, która poprowadzi tamtą budę. Kiedyś pracowała tutaj. A potem mnie zdradziła. Odeszła i zabrała ze sobą resztę. A teraz popatrzcie tylko, człowiek ledwie zarobi na utrzymanie, kiedy one są po drugiej stronie ulicy.

– Może weźmiemy po kufelku *ale*? – zaproponował szybko Hadrian, sprawiając, że Albert się rozpromienił.

– Wolałbym rum – zaznaczył jednak.

– Żadnego rumu – orzekł Hadrian. – A tak dla niego nie będzie też *ale*, tylko małe piwko, a mnie daj pintę. Co powiesz na wino, Royce?

– Nie chcę.

– No dobrze, zastanów się, a ja przyniosę ich zamówienie. W końcu mam tylko dwie ręce – powiedział karczmarz. – Nazywam się Grue, nawiasem mówiąc. Raynor Grue. Jestem właścicielem.

– Royce? – zapytał Hadrian, kiedy Grue odszedł. – O czym myślisz?

Tamten odpowiedział tylko uśmiechem.

W przypadku większości ludzi uśmiech był dobrym znakiem, ale Hadrian nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział Royce'a uśmiechającego się z radości. A może po prostu jemu co innego sprawiało przyjemność niż większości ludzi. W każdym razie Hadrian nauczył się, że uśmiech to rzadko dobry znak, zwłaszcza jeśli towarzyszą temu naciągnięcie kaptura i upiorna cisza.

– Na pewno chcecie tutaj jeść? – zapytał Albert. – Założę się, że jest tanio, ale trzeba będzie sprawdzić, czy nasza wieprzowina nie ma szurzych ogonów.

– Może mają dobrą zupę – zasugerował Hadrian.

– Nadal trzeba będzie sprawdzić, czy nie ma ogonów... I wąsików.

Royce nie zważał na nich i nie oderwał ani na chwilę oczu od Grue, który wrócił zgodnie z obietnicą.

– Zdecydowałeś już? – zapytał, stawiając szklanki na stole z przyjemnym łomotem.

– Nadal się zastanawiam – odpowiedział Royce z tym samym uśmiechem. – Może opowiesz mi więcej o tej kobiecie, która prowadzi lokal naprzeciwko?

– O Gwen DeLancy? Nie ma o czym mówić. To niewdzięczna

dziwka.

Albert rzucił Hadrianowi zaniepokojone spojrzenie.

– Kiedy przybyła do Medfordu, nikt nie chciał jej zatrudnić. Jako tolerancyjny i wyrozumiały człowiek przymknąłem oko na fakt, że pochodzi z Calisu. Do diabła, pomyślałem, to może nawet okazać się korzystne. No wiecie, egzotyka i takie tam. Dlatego przyjąłem ją, ale ona chciała tylko podawać do stołów. – Parsknął, a Hadrian nabrał ochoty, żeby mu przyłożyć. – Dość szybko ją naprostowałem. Porządny gruby pas załatwia takie rzeczy, wiecie?

– Zbiłeś ją? – zapytał Royce.

– Musiałem. Nie chciała uszczęśliwiać moich klientów. Oczywiście to nie było nic takiego jak to, co zrobił tamten gość zeszłej nocy. W tej chwili założę się, że żałuje, że ode mnie uciekła. Wynajęła człowieka, ale on niewiele zdziałał. Ludzie w okolicy mnie szanują. Wiedzą, że za zniszczony towar płaci się wysoką cenę i nigdy nie miałem tego typu problemów.

Royce przestał się uśmiechać i zmrużył oczy.

– Gwen skrzywdzono? Co się stało?

– Powiedziałem, zebrała porządne lanie zeszłej nocy od jednego z jej klientów. Wieść niesie, że nie może nawet chodzić. Możliwe, że to prawda, nie widziałem jej dzisiaj. Wątpię, żeby ktokolwiek ją widział. O ile dobrze słyszałem, potwornie ją oszpecił. Może ją pociął i teraz dziwka wstydzi się pokazać twarz. Już nie jest taka śliczna.

Royce zaczął zaciskać dłonie w pięści.

– Kto to zrobił?

Grue wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Odsypiałem ostatniej nocy. Dopiero co usłyszałem od Willarda. Powiedział, że jakiś gość, którego nie poznał, wywlekł ją na ulicę. Tyle że Willard nie jest szczególnie bystry.

– Powiadomiła szeryfa? – spytał Hadrian.

Grue zarechotał.

– Ethan nie przejmuje się, co się stanie z durną dziwką, chyba że umrze. A wtedy domaga się, żeby ciało usunięto z miasta, i dopilnowuje, żeby wypłacono odszkodowanie. Raz mi się to przydarzyło. Jest taki gość imieniem Stane, naprawdę podły typ, który

pracuje w porcie i zawsze cuchnie rybą. Zabił jedną z moich dziewczyn. – Grue zrobił minę, jakby wziął w usta coś paskudnego. – Było źle. Ale nic nie dało się na to poradzić. Oczywiście Gwen, bo to skończona wariatka, pobiegła po Ethana. Powiedziałem mu, że Stane to porządny klient i zgodził się zapłacić za szkody, całkiem hojnie, muszę dodać. I na tym sprawa powinna się zakończyć. Wtedy Gwen wściekła się i na dobre odeszła. Bała się, że Stane dopadnie i ją, ale ja pogadałem sobie z nim od serca i obiecał, że więcej tego nie zrobi. Zresztą to nie ma znaczenia. Okazuje się, że miała odłożone pieniądze i wynajęła rudere naprzeciwko.

– Siedzisz tutaj i nazywasz tamten dom rudera? – zdumiał się Albert.

– Pewnie, to była zupełna ruina. Trochę ją odremontowały. Nie bardzo wiem jakim cudem. Nie mogła mieć aż tyle pieniędzy. Podejrzewam, że obsłużyła mnóstwo gości z ulicy Rzemieślników. Wiem tylko, że przez nią nie da się już uczciwie prowadzić interesów. Próbowałem znaleźć jakieś dziewczyny, ale wszystkie idą do niej. Kiedyś jedną czwartą zarobków wyciągałem z prostytutki. Teraz zostały mi tylko *ale* i hazard.

– A jedzenie?

– Nie podajemy jedzenia.

Hadrian zerknął na Alberta, który posłał mu uśmiech.

– Może mógłbym ją zbić znowu, pewnie powinienem był, ale wątpię, żeby coś dobrego z tego wynikło. Jest zbyt uparta. W końcu przez to zginie, możecie mi wierzyć. – Odwrócił się do Royce'a. – No to mów, zdecydowałeś już? Szczerze mówiąc nie masz szczególnie dużego wyboru.

– Masz rację. W tej chwili chcę tylko dowiedzieć się, kto skrzywdził Gwen.

Grue zarechotał.

– Przez coś takiego idiota może zginąć.

Royce uśmiechnął się do niego zimno i powiedział:

– Myślę, że więcej niż jeden.

* * *

Wyszli z „Ohydneho Łba” i Royce skręcił szybko w lewo i poszedł Przekorną w stronę ulicy Rzemieślników.

– Idziesz, jakbyś miał jakiś plan – powiedział Hadrian, kiedy razem z Albertem próbował nadążyć za przyjacielem.

– Mam nadzieję, że idziemy do krawca – wtrącił Albert. – Żeby żyć w stodole, ta koszula wystarcza, ale na wietrze nijak się nie sprawdza.

– I masz świadomość, że nasze konie nadal są uwiązane przy Domu, prawda?

Royce przystanął przy ogrodzeniu, które blokowało przejście do zaułka za „Ohydny Łbem”. Kopnął w nie z całej siły, łamiąc dwie sztachetki. Kopnął znowu i złamał poziomą żerdź.

– Spokojnie, Royce – powiedział zaszokowany Hadrian.

Przez cały czas, który spędzili razem, nigdy nie widział, żeby przyjaciel w takim stopniu stracił nad sobą panowanie.

Royce podniósł żerdź i wszedł do zaułka.

– Czy to znaczy, że nie będzie krawca? – zapytał Albert, kiedy pobiegli za nim.

Royce złapał wicehrabiego za koszulę na piersi i pchnął go na stos skrzynek opartych o szopę.

– Przepraszam! – powiedział Albert. – Tylko pytałem.

– Zamknij się – rozkazał Royce, nie patrząc na niego.

Zerkał z powrotem w stronę ulicy.

Przechylił lekko głowę w stronę wylotu zaułka, a potem wskoczył do niego, mijając Alberta. Hadrian poszedł za jego przykładem. Żaden nie poruszył się ani nie odezwał słowem.

Minutę potem minął ich mężczyzna. Był chudy, ubrany w zniszczoną kurtkę z podniesionym kołnierzem, a dłonie chował w rękawach. Mógłby być kimkolwiek, tkaczem, posłańcem, farbiarzem, piekarzem. Zaskoczony próbował minąć ich szybko. Royce wyszedł i z całej siły zdzielił go deską od tyłu.

– Royce! – wykrzyknął Hadrian.

Mężczyzna padł na ziemię i zanim odzyskał oddech, Royce skoczył

mu na plecy i przycisnął żerdź do tchawicy, żeby go przydusić.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał zaszokowany Albert.

– Obserwował nas, odkąd próbowaliśmy zobaczyć się z Gwen.

Royce uderzył głową mężczyzny o kamienie, dostatecznie mocno, żeby podskoczyła. Złapał go za włosy, odciągnął mu głowę i przyłożył sztylet do wygiętej szyi.

– Nie jestem zasadniczo cierpliwym człowiekiem, a dziś mam zły dzień. Będiesz miał tylko jedną szansę. Wyjaśnij mi zadowolająco, dlaczego nas śledzisz, albo spuszczę z ciebie krew. Leżysz poniżej, więc nie zamoczę sobie butów. Jasne?

Mężczyzna z trudem wykrztusił potwierdzenie.

– No to śmiało, gadaj.

– Mam sprawdzać wszystkich, którzy odwiedzają burdel.

– Dlaczego?

– Żeby zobaczyć, dokąd pójda i z kim rozmawiają.

– Dlaczego?

– Próbujemy znaleźć dziewczynę.

– Gwen?

– Nie. Nazywa się Rose. – Mężczyzna zakaszał.

Royce zignorował to i nadal dociskał żerdź.

– To dziewczyna z Domu?

– Tak. Zaginęła zeszłej nocy.

– A kim jesteście wy, którzy jej szukacie?

Mężczyzna zawahał się i Royce zaczął ciąć sztyletem.

– Szkarłatna Ręka – wykrztusił nieznajomy.

– Gildia złodziei?

– Tak.

– A dlaczego szukacie Rose?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Po prostu wszyscy jej szukają. Mam tylko obserwować i śledzić. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

Royce skinął głową.

– Zatem nie masz już żadnej wartości.

Hadrian zobaczył, że mężczyzna napiął wszystkie mięśnie. Spodziewał się, że Royce poderżnie mu gardło. Nie byłby to pierwszy raz. Kiedy Royce powiedział, że nie jest cierpliwy, mówił serio

i Hadrian już się zastanawiał, co zrobić z ciałem, kiedy sekundę później zauważył, że mężczyzna nadal oddycha.

– Ciągle możesz ocalić życie, wykonując dla nas usługę – wyjaśnił Royce.

– Dlaczego? Potem po prostu mnie zabijesz.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków, dopóki nie usłyszysz, co mam do powiedzenia.

– Powinienem cię ostrzec, że jeśli mnie zabijesz, Dłoń cię znajdzie.

– Rzecz w tym, że zamierzam oszczędzić im zachodu. Chcę, żebyś zaprowadził mnie do swojej gildii.

Rozdział 7

Pani Kwiatów

Gwen siedziała, kołysząc się, na krawędzi łóżka z twarzą schowaną w dłoniach i płakała.

Dlaczego teraz? Dlaczego musiał wrócić właśnie teraz?

Bolało ją, kiedy płakała. Wszystko wywoływało ból, ale drzenie było szczególnie bolesne. Miała złamane dwa żebra i dokuczały jej przy każdym oddechu. Kiedy zamykała oczy, widziała Avon, jej włosy zabarwione szkarłatem, oczy otwarte, ale niewidzące, skierowane ku krokwiom „Ohydneho Łba”. To była ostatnia rzecz, jaką jej przyjaciółka widziała – te krokwie i ohydny twarz Stane’a.

Gwen zaś była przekonana, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczy w życiu, będą schody na ganek i piękna balustrada. Pomalowano je na biało tak jak w eleganckich domach w Dzielnicy Szlacheckiej. Tak jak zawsze chciała. Leżała na ulicy i patrzyła na balustradę wokół werandy, kiedy tamten ją kopał. Nie mogła już krzyczeć. Kopniaki pozbawiły ją tchu. Spodziewała się, że umrze. Cały rok po tym, jak opuściła „Ohydny Łeb”, gdy już myślała, że uciekła przed losem Avon, to znowu się stało.

Zawsze będzie się działo.

Dziewczyny tak wspaniale się sprawiły. Lepiej, niż Gwen kiedykolwiek się spodziewała. Dom Medford stał się rzeczywistością, o jakiej marzyła, aylem dla kobiet takich jak ona. Nabrały siły w ciągu minionego roku. Dom Medford zdobył reputację i mężczyźni zjeżdżali tu aż z Zachodniopola i Wschodniej Marchii. W ciągu

ostatnich kilku miesięcy klientela się zmieniła. Chociaż nadal przyciągały pracowników portu i kupców, zaczęły się pojawiać nowe twarze – mężczyźni z mieczami lub odziani w futra i jedwabie. Arystokracja odkryła Dom Medford i spodobało jej się tu na tyle, żeby wracać. Nigdy nie podawano nazwisk, w każdym razie nie prawdziwe. Klienci przedstawiali się jako Todd Druciarz albo Bill Piekarz, tyle że piekarz zjawiał się w powozie i nosił obszytą futrem opończę, a Druciarz był odziany w aksamity i srebro. Fakt, że klienci posługiwali się fałszywymi przydomkami, podsunął Gwen pomysł, żeby dziewczyny zmieniły imiona.

Zawsze miała nadzieję, że kobiety, które pracują w Domu, kiedyś go opuszczą. Że znajdą nowe, lepsze życie. Tylko jak może im się to udać, jeśli zabiorą ze sobą imiona? Jak Jollin, Mae czy nawet Etta zdołają się gdzieś osiedlić, jeżeli wszyscy będą wiedzieć, kim były? Wszystkie dziewczyny wybrały ładne, egzotyczne albo słodkie imiona. Jasmine, Daisy, Olive. Mae chciała, żeby nazywano ją Lilią Złotogłów, ale przekonały ją, żeby została przy Lily. Tylko Rose i Gwen zostały przy swoich imionach. Wydawało się niemądre, żeby Rose zmieniała imię na inne, też wywodzące się od kwiatu, a Gwen nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek opuści Dom Medford.

– Wyszli z „Ohydneho Łba” – powiedziała Abby, znana teraz jako Tulip. – Wszyscy trzej weszli do zaułka. Royce wyglądał na potwornie wściekłego. Skopał płotek.

Gwen podniosła zdrową rękę do ust, próbując powstrzymać szloch.

– Potrzebujesz czegoś? – spytała Tulip.

Z opuszczoną twarzą, by chustka zakrywała jej oczy, pokręciła głową. Tulip zwlekała chwilę z wyjściem, ale w końcu Gwen usłyszała, że drzwi zamykają się cicho, a potem rozległo się skrzypienie schodów.

Dlaczego teraz?

Codziennie od wyjazdu Royce’a i Hadriana Gwen wyglądała ich powrotu. Wieczorami siadywała na huśtawce na ganku i patrzyła w ulicę Przekorną, wyobrażając sobie, jak zobaczy nadjeżdżającego Royce’a, albo idącego, z opończę powiewającą na wietrze. Zawsze wiedziała, że nie wiadomo, czy w ogóle wróci.

Przez cały czas, kiedy leżał w jej łóżku, ani razu nie spojrzała na jego dłoń. Sam pomysł wydawał jej się kłamliwy, nieprzyzwoity. Miała mu pomóc, a nie przetrząsać kieszenie.

Całe życie Gwen zmierzało do tego jednego wydarzenia. Jej matka o tym wiedziała. Zaciągnęła córkę na zachód, zmarła po drodze, ale wcześniej zmusiła ją, żeby przysięgła, że dokończy podróż i zamieszka w Medfordzie. Nigdy nie wyjaśniła dlaczego. Gwen mogła nigdy nie dotrzeć do celu, gdyby nie tajemniczy mężczyzna, w którego oczach tak wiele ujrzała i tak mało z tego zrozumiała. Wiedziała tylko, że musiała ocalić człowieka, który przyjdzie do niej nocą odziany we własną krew. Po wielu latach czekania, nie wiedząc, czy to wszystko okaże się prawdą, czy jej wybory nie zmieniły jej przyszłości, zjawił się Royce. Ocaliła go zgodnie z przepowiednią. Po długim czasie wreszcie miała klucz do zagadki, ale nie chciała otworzyć jego dłoni, żeby poznać odpowiedzi.

Kiedy obaj mężczyźni zostali obmyci i doktor skończył pracę, Royce leżał nieprzytomny i owinięty białym płótnem. Wyglądał tak spokojnie. Dotknęła jego dłoni, delikatnej i różniącej się od dłoni innych mężczyzn. Royce Melborn był, można by rzec, elegancki. Jediną wskazówką co do jego tożsamości było piętno na ramieniu, ciemne „M”.

– Co z Hadrianem? – To były pierwsze słowa, jakie padły z jego ust, kiedy wreszcie się obudził.

Nie martwił się o siebie. Wiedziała już, że to dobry człowiek.

– Nic mu nie jest. – Zorientowała się po wyrazie jego oczu, że taka prosta odpowiedź nie wystarczy. – Śpi spokojnie. Doktor opatrzył mu rany.

– To ty byłeś na ulicy. – Wyraz jego twarzy nie wyrażał już rozpoznania, ale konsternację. – Kim jesteś? Dlaczego nam pomogłeś?

Zawsze kiedy wyobrażała sobie tę chwilę, spodziewała się, że będzie wiedział, kim jest ona i dlaczego się tam znalazł. To on miał znać wszystkie odpowiedzi i wypełnić luki w historii. Kiedy tylko zdała sobie sprawę, że on nie ma pojęcia, uśmiechnęła się do niego, wyobrażając sobie, że mogłaby mu powiedzieć: „Jestem córką wróżbitki i przebyłam cztery kraje, żeby dotrzeć do Medfordu i być tu,

kiedy ty się zjawisz, aby ocalić ci życie”. Jednakże to nie był właściwy moment; ten człowiek ledwie żył.

– Nazywam się Gwen DeLancy. Prowadzę burdel. Pomogłam wam, ponieważ mnie potrzebowaliście.

To nie zmniejszyło jego konsternacji, ale więcej nie pytał. Nadal był wyczerpany i obolały.

– Kim jesteś? – Musiała zapytać.

Czekała tak długo na przepowiedziane spotkanie i musiała się dowiedzieć. Nie odpowiadał długo, tylko na nią patrzył.

– Royce – powiedział wreszcie.

Słowo padło niechętnie, z oporami, jakby podał imię, bo czuł się zobligowany.

Dała mu potem zasnąć. Dowiedziała się dość. Znała jego imię.

Był cichy po ich pierwszej rozmowie. W ciągu następnych kilku dni pytał tylko o Hadriana i dopiero kiedy pomogła mu przejść do drugiego pokoju i zobaczyć przyjaciela, zaczął się uspokajać.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto powinien już chodzić – powiedział Hadrian z łóżka, kiedy Gwen pomogła Royce’owi doczłapać do pokoju Etty.

– Nie powinien – odpowiedziała za niego Gwen.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Royce głosem zachrypłym i nieznoszącym sprzeciwu.

Hadrian uśmiechnął się do niego krzywo.

– Ostatnie, co pamiętam, to że leżałeś w głębokiej po kolana krwawej kałuży, a ja próbowałam cię wykopać spod martwego konia podczas ulewy. I wtedy dosięgła mnie strzała. – Rozejrzał się po sypialni Etty, w której było zatrzesienie koronek i kwiatów. – Tak... Chyba czuję się lepiej.

– W porządku – powiedział Royce i z pomocą Gwen odwrócił się do wyjścia.

– Wstałeś tylko po to? – zapytał Hadrian.

– Nudziłem się.

– Tak się zamartwiał, że nie mógł spać – powiedziała Gwen.

Royce się skrzywił.

– Chciałem się upewnić, że ci ludzie... No wiesz.

– Na Mara! – Zdumiony Hadrian pokręcił głową. – Ocalili nam życie. Możesz im zaufać.

Zanim Gwen zaprowadziła Royce'a do łóżka, ten znowu krwawił i musiała zmienić mu opatrunek na boku. Wcześniej ktoś tak potwornie go pozszywał, że doktor był zmuszony założyć nowe szwy. Kiedy skończyła, złapał ją za rękę.

– Jeśli... Jeśli coś kombinujesz... Jeśli próbujesz... – Royce zawahał się, trzymając ją słabymi, dygocącymi rękami. Widziała, że walczy ze sobą. – Dlaczego naprawdę to robisz? Dlaczego nam pomogłaś?

– Już ci powiedziałam.

Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Nie wierzył jej.

Gwen się uśmiechnęła.

Royce skrzywił się.

– Nie rozumiem. Coś tu nie gra, a zaufaj mi, nie należę do ludzi, z którymi chciałabyś zdrzeć. Jasne?

Skinęła głową, nadal się uśmiechając.

– Wobec tego... Dobrze. – Puścił ją. – Pewnie powinnaś uważać, bo cały świat nas szuka.

Royce nigdy nie wyjawiał szczegółów, ale Gwen zorientowała się, że obaj są poszukiwani i uciekają. Ukrywała przestępców i groził jej za to stryczek.

Wspominając tamte miesiące, Gwen uznała, że to były najbardziej intensywne chwile w jej życiu. Nigdy nie była równie przerażona i równie rozradowana. Całymi dniami śledziła plotki, próbując zdławić wszystkie na temat człowieka, który wołał o pomoc na ulicy Przekornej w tygodniu z potworną ulewą. Nocami karmiła, obmywała i opatrywała rany Royce'a i w tym czasie odbyli kilka krótkich i zagadkowych rozmów, których nigdy do końca nie zrozumiała. Słaby jak kocię potrzebował jej pomocy we wszystkim i widziała, że to go bolało bardziej niż same rany.

Początkowo był cichy, ale mijały dni i zaczęli rozmawiać o tak poważnych kwestiach jak gotowanie, szycie, śnieg, który niedawno spadł, i zimonia.

– Pewnie obchodzicie święto ucztami i dekoracjami – powiedział Royce. Był już wtedy w stanie usiąść i we dwoje rozmawiali przy

światle świecy. – Mnóstwo krewnych i przyjaciół, tańców i śpiewów.

Gwen zauważyła smutek mimo pogardy w głosie. Pokręciła głową.

– Nigdy nie obchodziłam zimonaliów. Moja matka i ja wiecznie byłyśmy w podróży, zwykle same i nigdy nie miałyśmy pieniędzy na ucztę. Odkąd umarła... – wzruszyła ramionami – ...walczyłam o przeżycie. Trudno świętować, kiedy wybierasz między przymieraniem głodem a byciem niewolnicą.

Pamiętała, że sprawiał wrażenie zaskoczonego, wręcz podejrzliwego.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto przymierał głodem.

– Teraz nie przymieram. W końcu zdecydowałam, że nie chcę być dłużej ofiarą. Dotarłam do momentu, kiedy miałam już dość strachu.

Po raz pierwszy dotknął jej bez powodu. Położył dłoń na jej ręce i uściśnął lekko. Współczucie zastąpiło złośliwość na jego twarzy, nie litość, ale zrozumienie, przez które omal się nie popłakała.

Do tamtej pory zawsze była lojalną córką, znienawidzoną caliską emigrantką i dziwką. Nawet dziewczęta, które znały większość jej historii, widziały w niej albo bohaterkę, albo oportunistkę, zależnie od humoru. W oczach Royce'a dostrzegła odbicie własnego bólu walki o przetrwanie. Byli tacy sami, dwa kawałki drewna z różnych światów, ale których słoje pasowały do siebie. Wtedy zrozumiała, że się zakochuje.

To była najbardziej osobista rozmowa, jaką odbyli. Gwen miała nadzieję, że Royce z własnej woli opowie coś więcej o sobie, ale nigdy tego nie zrobił. Z komentarzy jego i Hadriana zgadła, że byli bandytami, może rozbójnikami, ale kim była ona, żeby osądzać innych, po tym, gdy tak wielu ją osądziło.

Nigdy nie powiedziała mu o swoim darze przepowiadania przyszłości z dłoni ani tego, że fakt, że ocali Royce'a, został przepowiedziany wiele lat wcześniej. Po tym, jak dotknął jej dłoni i uściśnął, te sprawy stały się trywialne, były częścią przeszłości, o której chciała zapomnieć. Wreszcie go miała i nie miało znaczenia, kim jest ani co zrobił.

Spadł śnieg, podczas gdy Royce i Hadrian odzyskiwali zdrowie. W miarę jak nabierali sił, schodzili do salonu i siadywali z pozostałymi

przy ogniu. Śpiewali piosenki i opowiadali historie – a w każdym razie Hadrian to robił. Royce zwykle siedział cicho obok niej, zawsze obok niej. Nie mogła nie zauważyć, jak piorunował wzrokiem Dixona.

Dixon był panem Domu jako jedyny mężczyzna – miejscowy wozak o mocnych plecach i słabości do Gwen. Zatrudniła go do dźwigania ciężarów w okresie, kiedy dopiero budowały Dom Medford. Od tego czasu Dixon stał się nieoficjalnym strażnikiem dziewczyn.

– Posłuchaj – powiedział jej Royce, a potem się zawahał.

Często to robił, jakby przy każdym zdaniu w jego głowie odbywała się debata. Minęły dwa miesiące, odkąd się zjawili. Royce z Gwen siedzieli w sypialni. Na zewnątrz znowu padał śnieg. Zbliżały się zimonia.

– Wiesz... Ehm... – Znowu się zaciął. – Nie musiałaś nam pomagać. Nie powinnaś w gruncie rzeczy. To nie ma sensu. To niebezpieczne i w żaden sposób na tym nie korzystasz. Wydałaś pieniądze na tego doktora i jeszcze więcej na żywienie nas, nie wspominając już o czasie, kiedy mogłaś... Mogłaś... Sama wiesz, czym się zajmujesz. Zatem... – Westchnął i pokręcił głową. – To nie przychodzi mi łatwo, ale... Chcę ci podziękować, w porządku?

Poczekala. Myślała, że może ją wtedy pocałuje. Miała taką nadzieję. Miała nadzieję, że obejmie ją, powie, że ją kocha i że zostanie z nią na zawsze, ale nie zrobił tego. Zamiast tego oznajmił, że o świcie odjadą z Hadrianem.

Miała wrażenie, że zabiera ze sobą jej serce w ten zimny poranek, kiedy wyjeżdżali. Mocno zaciskała zęby w obawie, że powie więcej, niż powinna, albo gorzej – zacznie płakać. Proroctwo nigdy niczego jej nie obiecywało. Fantazja, że on okaże się jej przeznaczeniem, że będą potem żyli długo i szczęśliwie, to było jej własne dzieło, ale mimo to miała nadzieję i nie porzuciła jej nawet, kiedy odjeżdżali, zostawiając dwie ścieżki śladów w świeżym śniegu.

Modliła się, żeby wrócił.

Tylko dlaczego teraz? Dlaczego teraz, kiedy nie mogę się z nim zobaczyć?

Nie chciała pokazać się Royce'owi pobita. Może to nie miałyby znaczenia. Może on naprawdę by się nie przejął. Gdyby jednak to go

poruszyło, chciałby wiedzieć, kto to zrobił, i jak głupiec zapragnąłby zemsty. Mężczyźni zawsze chcą się zemścić. Royce dałby się zabić, próbując ją chronić, a ona na to nie pozwoli. Lepiej już, żeby uznał, że jej na nim nie zależy. Lepiej, żeby nigdy nie poznał prawdy. Lepiej trzymać go z dala od tego, niż żeby skończył jak Dixon. Albo gorzej.

Dlaczego teraz? I gdzie się podziewa Rose?

* * *

Gwen usłyszała, że frontowe drzwi otworzyły się z impetem, i serce zabiło jej mocniej. Podniesione głosy przebiły się przez deski podłogowe, ale były zbyt stłumione, żeby coś zrozumiała. Wstała. Chwiała się i musiała chwycić się kolumnienki łóżka, a potem ściany, kiedy, powłócząc nogami, podchodziła do drzwi. Utrzymanie się w pionie z pomocą tylko jednej ręki było jednym wyzwaniem; wyraźne widzenie – drugim. Oczy miała zapuchnięte, prawe całkiem się zamknęło. Płacz tylko pogorszył sytuację.

Doszła do korytarza i teraz słyszała już lepiej.

– ...nie wiemy. Tylko tyle powiedział. – To był głos Williama Cieśli.

– A co z Rose? – zapytała Mae.

– Myślałem, że może wróciła. – Cisza i potem William znowu się odezwał: – Najwyższy konstabl kazał jej szukać wszystkim szeryfom. Wynajął nawet gromadę ludzi jako nowych zastępców.

Jollin weszła po schodach i zdziwiła się, widząc Gwen w korytarzu.

– Wszystko w porządku. To tylko Will.

Gwen skinęła głową i Jollin wzięła ją za rękę. Obie weszły z powrotem do sypialni.

– Powinnaś spać. – Jollin udawała, że jest zła. – Tak zalecił doktor. Zapomniałaś?

– Nie powinnam była jej puszczać – powiedziała Gwen, kiedy Jollin położyła ją z powrotem na materacu.

– Skąd mogłaś wiedzieć? To zamek. Zamierzałaś im odmówić? To było tylko przyjęcie-niespodzianka. – Jollin okryła ją kocem. – Rose jest młoda i głupia. Pewnie szaleje z jakimś giernkiem, który kupił jej za

dużo wina. A może baron zabrał ją w eleganckim powozie do swojej posiadłości na kilka dni. Pewnie właśnie zarabia fortunę, a my się zamartwiamy.

– Powinłam była przewidzieć. Po prostu nie spodziewałam się, że to nastąpi tak szybko, bo Rose jeszcze się nie...

– Nie co?

– Jeszcze się nie zakochała.

Jollin przyłożyła dłoń do czoła Gwen.

– Jesteś trochę za ciepła. Poproszę doktora, żeby wrócił.

– Nic... – Gwen chciała powiedzieć, że nic jej nie jest, ale zdała sobie sprawę, jak głupio by to zabrzmiało. – Nie mam gorączki. Nie pomieszało mi się w głowie. – Pomyślała, że mogłaby wyjaśnić, że widziała przebłysk przyszłości Rose w jej dłoni, ale wątpiła, czy to by pomogło. – Po prostu się martwię.

– Wszystkie się martwimy. Pójdę naprzeciwko i pożyczę od Grue jego pas, żeby zlać ją do nieprzytomności za to, że tak nas zamartwiła. Nie mogę uwierzyć, że jest taka nieczuła. Przecież musi wiedzieć, że zamartwiamy się tu na śmierć.

Odrobinę zbyt energicznie poprawiła poduszkę Gwen.

– Myślę, że ma kłopoty – powiedziała Gwen. – Poważne kłopoty.

Jollin pokiwała głową.

– Ja też tak myślę... Może wszystkie mamy. Nie mamy już nawet Dixona, który mógłby nas chronić.

– Zajrzałaś do niego?

– Właśnie miałam iść do doktora, kiedy znalazłam cię tańczącą w korytarzu.

– Nazywasz to tańcem?

– Nie mówiłam, że dobrze ci szło.

Gwen uśmiechnęła się mimo woli.

– Dzięki.

Jollin ją ucałowała.

– Dixonowi nic nie będzie. Nie oberwał nawet w połowie tak mocno jak Royce i Hadrian rok temu. Nie trzeba było nawet zakładać szwów. Ma tylko kilka połamanych kości, zupełnie jak z tobą, tyle że on jest silny jak wół. Musi odpocząć, a kiedy odzyska przytomność, zje tyle, że

wpędzi nas w ubóstwo.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co się dzieje z Rose.

Rozdział 8

Nowy miecz

– Przymierz teraz.

Reuben pochylił się i wciągnął przez głowę ciężką kolczugę. Koszula ze stalowych pierścieni opadła z brzękiem. Była cięższa, niż się spodziewał. Widział, jak żołnierze króla biegają, skaczą i walczą, jakby kolczuga nic nie ważyła. Teraz zastanawiał się, jak oni to robią.

– Przejdź się, zobacz, jak leży. – Kowal przyglądał mu się uważnie.

Bastion, nazywany czasem Starą Bestią przez wielu strażników z zamku, zawsze przypominał Reubenowi krasnoluda, jak w bajkach, które opowiadała mu ciotka. Niski, krępy, owłosiony, miał siwiejącą brodę i osiem krótkich palców. Dwa stracił dawno temu i żartował, że dopóki zostanie mu u każdej ręki po kciuku i jeszcze jednym palcu, nadal będzie najlepszym kowalem w Melengarze.

Reuben przeszedł się po dziedzińcu, okrążając kowadło. Na ramionach czuł ciężar, jakby niósł dwa worki jęczmienia. Kiedy się obrócił, kolczuga spowolniła go, a zaraz potem jej masa pchnęła go dalej, niż chciał.

– Co o tym myślisz, chłopcze?

Myślał, że to straszne, że oczekuje się, że będzie nosił coś, co w takim stopniu krępuje ruchy, ale uznał, że pewnie zmieni zdanie, kiedy trafi go ktoś mieczem. Poza tym nie było czasu na dyskusje. Reuben szedł na zamek, kiedy kowal odciągnął go i zmusił do przymiarek. Nie mógł odmówić; potrzebował kolczugi tego wieczoru, a odłożenie przymiarki na później wydałoby się podejrzane.

– Ciężko się w tym ruszać.

– Przywykniesz. Jak wszyscy. Niedługo będziesz czuł się nagi bez niej. A oto twój miecz.

Kowal wręczył mu długie ostrze w pochwie z pasem. Reuben spodziewał się, że dostanie używany tasak, coś podniszczonego i zardzewiałego. Ta broń wyglądała na nową.

– Rety – mruknął, wyciągając ostrze. Stary Bastion potrafił wykuwać miecze, ale ten... – Jest piękny. Nie wiedziałem, że ty...

– To nie ja. To stal z Delgosu. – Kowal zdjął jedną z wielkich rękawic i otarł nią czoło. – Większość metalu i wiele mieczy dostajemy z Trentu. Beznadziejne odpadki, górskie bobki. Głównie żelazo. Cholerstwo zaraz się tępi i wystarczy w nie puknąć, żeby się wyszczerbiło. Kowale z Trentu mają to w nosie. Muszą zrobić wymaganą ilość. Płaci się im tyle samo niezależnie od jakości pracy. Za to w Delgosie miecznicy sprzedają towar na wolnym rynku, więc opłaca im się włożyć w broń nieco pracy. Ostrze, które trzymasz, było pewnie młotkowane kilkanaście razy. Jest twardsze i ostrzejsze od wszystkiego, co jestem w stanie zrobić. Będziesz mógł się nim golić, gdy już wyrosnie ci dość włosów na twarzy. To ostrze zostało specjalnie kupione.

– Dlaczego mi je dajesz?

– Bo tak mi kazano.

– Kto ci kazał?

– Księżę Alric.

– Księżę? Powiedział, dlaczego?

– Nie.

– Nie pytałeś?

Bastion spojrział na niego z rozbawieniem.

– Księcia o nic się nie pyta, chłopcze. Kazał dać ci ten miecz, to go daję. I na twoim miejscu nie mówiłbym o tym nikomu. Takie przywileje najlepiej zachować dla siebie, w przeciwnym wypadku ludzie będą zazdrościć, a solidne lanie to kiepski początek w nowym zawodzie. Uważaj z tym mieczem. Kiedy mówię, że jest ostry jak brzytwa, to nie żartuję.

Reuben schował miecz, podziwiając dźwięk, jaki przy tym wydał.

Jest ostry jak brzytwa, pomyślał. Włożył bordowo-złoty kasak, złapał pelerynę i równie nowy hełm, po czym popędził na zamek, podzwaniając przy każdym kroku. Bieganie było trudniejsze od chodzenia. Reuben czuł, że ma zachwianą równowagę, i musiał się do tego przyzwyczaić. Wszedł wielkimi drzwiami do północnego holu, szerokiej galerii z filarami z wypolerowanego kamienia, wystawionymi zbrojami i korytarzami prowadzącymi do zakręcających schodów. Reuben nigdy dotąd nie spędzał zbyt wiele czasu w zamku. Nie czuł się tu dobrze. Jedynym miejscem poza drewnią, w którym czuł się naprawdę dobrze, były stajnie. Tam nikt poza końmi nie patrzył na niego z góry. Zamek był pełen oczu, osądzających i okrutnych oczu. To było miejsce giermków i im podobnych. Tutaj poznali życzliwość, jaką okazywali mu raz za razem. Wszystko tu było zimne i kamienne.

Niemal wszystko.

Skręcił szybko w prawo, żeby ominąć rozległe korytarze, i omal nie wpadł na Aristę Essendon. Krzyknęła zaskoczona i zatoczyła się do tyłu z ręką na piersi i przestraszonym wzrokiem. Przez nowy strój Reubenowi trudno było zatrzymać się i szybko skręcić. Nie rzucało się to w oczy, raptem pół sekundy opóźnienia, ale dość, żeby wyjść na głupka – a przynajmniej tak to odczuł.

– Cały czas wpadamy na siebie, co? – powiedziała cichym i pięknym głosem słowika.

– Przepraszam. – Skłonił się i pośpiesznie dodał: – Wasza Wysokość. Zerknęła na hełm w jego rękach.

– Lunch?

Spojrzał w dół na jabłka, ser i mięso, które upchnął w środku.

– Ach... Tak, w pewnym sensie.

– Miłego dnia – powiedziała, ale się nie poruszyła.

Reuben potrzebował chwili, zanim zdał sobie sprawę, że blokuje jej przejście, i odsunął się.

Patrzył za nią, czując się jak głupiec. Dlaczego przy niej robił wszystko nie tak? Żołądek mu się zacisnął, ramiona opadły, kiedy zdał sobie sprawę, że jego niezręczność nie ma znaczenia. Ona była księżniczką, a on pragnął czegoś, co nigdy nie może się ziścić. Ona

poślubi księcia, diuka albo króla, a on będzie mógł tylko patrzeć, jak odchodzi. Arista wyjedzie przez bramę, machając z okna powozu, i Reuben nigdy więcej jej nie zobaczy. Zawsze wiedział, że Arista jest poza jego zasięgiem. W żadnych marzeniach na jawie nigdy nie wyobrażał sobie, że jej dotyka, z wyjątkiem chwili, kiedy ich palce mogły się zetknąć przy wręczaniu kubka przy studni. Myśl o pocałunku w usta była zbyt absurdalna nawet dla marzeń. Pragnął tylko zrobić coś należyte, by go dostrzegła, ujrzała, że jest odważny, bystry albo dobry. Chciał, żeby obejrzała się przez ramię, kiedy się rozstaną, z wyrazem twarzy, który mówiłby: „gdyby tylko był arystokratą”. Uważał, że nie oczekuje zbyt wiele – jednej chwili potwierdzenia, jednego obrotu głowy i świadomości, że jeden raz dostrzegła go tak, jak on widział ją. Mógłby cierpieć w milczeniu przez resztę życia, wiedząc, że naprawdę go zauważyła i że czuła do niego to samo, co on do niej.

Czując się, jakby znowu dźgnięto go w serce, pozostałą drogę pokonał korytarzami dla służby. Wziął latarnię, zszedł schodami do lochów zamkowych. Były puste. Rzadko trzymano tu więźniów, a nawet jeśli, to krótko. W Medfordzie szybko wymierzono sprawiedliwość. Złodziejom obcinano palce lub dłonie. Dłużników bito. Zabójców wieszano. Sabotażystów rozrywano, a zdrajców ćwiartowano. Lochy były tylko poczekalnią dla wisielców, a najnowszy lord najwyższy konstabl działał sprawnie. Dzięki czemu była to idealna kryjówka.

Reuben podszedł do ostatniej celi, która była najlepszym miejscem, ponieważ korytarz układał się w literę „L”. Stąd nie można było zobaczyć więźnia przez okno. Otworzył drzwi kluczem, który normalnie wisiał na kołku u szczytu schodów, ale teraz on go nosił. Zamknął drzwi nie po to, by ją uwięzić, ale żeby nikt do niej nie wszedł. O ile się orientował, tylko on miał klucz. Nadal tam była, zwinięta w kłębek pod przeciwległą ścianą, owinięta w koc, który jej przyniósł.

– Dzień dobry, Rose. Jak się masz?

Otworzyła oczy i zerknęła, mrugając z powodu światła. Po raz pierwszy mógł przyjrzeć jej się porządnie. Była śliczna, wręcz piękna,

i wyobrażał sobie, że wyglądałaby jeszcze ładniej bez całej tej farby, zwłaszcza że większość makijażu rozmazała się od łez. Miała siniaka na policzku oraz brzydkie zadrapania na rękach i nogach po wspinaczce zeszłej nocy.

– Już jest rano?

– Tak. – Uklęknął przed nią. – Zgłodniałaś? Przyniosłem jedzenie.

Usiadła, wzięła kawałek sera i wgryzła się w niego.

– Dziękuję – powiedziała z pełnymi ustami.

Podał jej mały bukłak ze słabym winem. Napiła się i spytała:

– Co się dzieje? Król żyje?

– Królowi nic nie jest. I wygląda na to, że nic się nie stało zeszłej nocy. Poza tym, że wszyscy cię szukają.

– Dlaczego? Nic nie zrobiłam.

– Nie wiem.

– Co powiedział twój ojciec?

– Nie widziałem się z nim jeszcze. Był na służbie całą noc i jeszcze nie wrócił.

– Nie powiedziałeś nikomu, prawda?

– Nie. – Reuben pokręcił głową. – Myślałem o tym, co powiedziałaś: że nie każdy może wejść do wieży. To część skrzydła z królewską rezydencją. Tylko straż królewska i arystokraci mogą wejść wyżej niż na drugie piętro. Osoby, które słyszałaś, muszą należeć do ochrony zamku albo kogoś ważnego i boję się, że mógłbym powiedzieć o tobie niewłaściwemu człowiekowi.

– To co teraz? Będę tu siedzieć?

– Przykro mi. To musi być okropne, ale myślę, że to najbezpieczniejsze rozwiązanie. Nie wiem, co innego zrobić.

Skinęła głową, ale widział, że jest rozczarowana.

– Zawdzięczam ci życie. Dziękuję.

To nie były mądre słowa, ale czuł, że wypowiedziała je szczerze. Poczul się niezręcznie. Nie przywykł do podziękowań.

– Większość ludzi powiedziałaby, że niczego specjalnego nie zrobiłem.

Posłała mu smutny, krzywy uśmiech.

– Myślę, że większość ludzi powiedziałaby, że moje życie nie jest

wiele warte.

Reuben pomyślał znowu, jaka jest ładna – wielkie ufne oczy, maleńki nosek, okrągła twarz. To była zbrodnia zamykać ją w tak potwornym miejscu.

– Jeśli mój ojciec odkryje zdrajcę, to sam król będzie ci zawdzięczał życie. Kto wie, może nagrodzi cię posiadłością.

– Wystarczyłby mi powrót do domu i wspólny pokój w Domu Medford.

Uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech.

Naprawdę miał nadzieję, że dziewczyna otrzyma nagrodę, że ktoś się nią zajmie, by mogła zacząć inne życie. Jednakże Reuben widział już dość świata, żeby wiedzieć, że marzenia prawie nigdy się nie spełniają.

* * *

– Hilfred! – zawołał Alric, kiedy Reuben wracał do koszar w nadziei, że zastanie tam ojca.

Odwrócił się i zobaczył księcia w towarzystwie Pickeringów. Wszyscy nosili tuniki, jakich wcześniej nie widział. Reuben zastanawiał się, na ile wspaniałych szat stać arystokratów.

– Wasza Wysokość. – Skłonił się. – Wasze lordowskie mości. – Powtórzył ukłon.

– Widzę, że dostałeś nowy miecz.

– Tak, Wasza Wysokość, i dziękuję.

Alric machnął nonszalancko ręką.

– To jeden z moich mieczy do ćwiczeń.

Mauvin spojrział na nową broń.

– Mogę?

Reuben wyciągnął klingę i podał głowicą do przodu.

Starszy Pickering wziął miecz i wyciął w powietrzu kilka ósemek. Potem wypuścił rękojeść, przeturlał ją po grzbiecie dłoni i złapał z powrotem. Podrzucił miecz i złapał na przedramię w miejscu, gdzie rękojeść łączyła się z głownią. Sprawdzał wyważenie przez chwilę,

a potem znowu podrzucił broń i chwycił ją za rękojeść. Spojrzał wzdłuż główki, obrócił ją w świetle i zerknął na księcia.

– Nikt go nigdy nie używał.

Alric wzruszył ramionami.

– Nie ćwiczę tyle, ile powinienem. Dlatego potrzebuję, żeby tacy ludzie jak Hilfred byli dobrze uzbrojeni, prawda?

– Trochę przyciężki, nie jest idealnie wyważony o jakąś jedną ósmą cala, ale to całkiem przyzwoita broń – orzekł Mauvin. – Owinąłbym rękojeść porządną, szorstką skórą, bo inaczej zaczniesz się ślizgać, gdy tylko dłoń ci się spoci, a właśnie wtedy nie chcesz, żeby broń ci się wyslizgnęła.

Mauvin fachowo obrócił miecz i oddał go Reubenowi.

Księżę wyjął jabłko z małej torby u pasa i zaczął je podrzucać.

– Miałeś poważne kłopoty zeszłej nocy? – spytał.

– Ojciec miał służbę, więc jeszcze nie wiem.

– Ach, racja, słyszałem, że ogłosili jakiś stan pogotowia wśród straży czy coś takiego. Na szczęście wszystko przespałem.

Księżę rzucił jabłko między gałęzie dębu i liście. Spadając, odbiło się od konaru i poleciało w bok. Fanen złapał owoc i uniósł go w zwycięskim geście.

Alric się uśmiechnął.

– Słuchaj, myślimy o polowaniu dziś wieczorem. Zainteresowany?

– Przykro mi, Wasza Wysokość, ale nie mogę. Tego wieczoru mam służbę jako prawdziwy strażnik. Będę stał przy frontowej bramie. I dziś wieczorem jest wielkie przyjęcie na cześć nowego kanclerza. Nie będą oczekiwać tam twojej obecności?

Chłopcy zerknęli po sobie ze złowrogimi uśmieškami.

– Te imprezy są nudne. Rodzice zawsze przedstawiają nas ludziom, których nie znamy i nie chcemy znać, na przykład starym kobietom w biżuterii, co lubią całować i śmierdzą jak ser. Pomyśleliśmy, że się wymkniemy. Ponieważ wszyscy będą zajęci, a zamek będzie pełen ludzi, nikt się nie zorientuje, że zniknęliśmy.

– Z wyjątkiem strażnika przy bramie – dodał Mauvin i wskazał oskarżycielsko palcem – którym będziesz ty.

– Och... Rozumiem. Mam udawać, że nie widziałem, jak odjeżdżacie.

– Gdyby ktoś zapytał, a wątpię, żeby to zrobił.

Fanen odrzucił jabłko do księcia, który znowu je podrzucił. Poleciało wyżej, strącając obłok żółtych liści, przez co trudno było powiedzieć, gdzie jabłko zniknęło. Tym razem owoc odbił się od paru gałęzi, Fanen mężnie rzucił się po nie, ale upadło na trawę.

– Przyjęcia trwają całą noc i dużo się na nich dzieje – wyjaśnił Alric.

– Zresztą i tak nikt nas tu nie chce, więc nic nie ryzykujesz. Co powiesz?

– A co mogę powiedzieć? Jesteś księciem.

Alric się uśmiechnął.

– A nie mówiłem? Uwielbiam tego faceta. – Odwrócił się do Pickeringów. – Idę na przymiarke nowego dubletu. Chcecie popatrzeć, jak denerwuję krawca?

– Kuszące – odparł sarkastycznie Mauvin – ale chyba zostanę tutaj i udzielę naszemu nowemu strażnikowi paru wskazówek. Kto wie, może zabierzemy go ze sobą do Percepliquis.

– Jak chcesz. – Alric odbiegł pod górę, zapominając o jabłku.

Mauvin obszedł Reubena, przyglądając mu się.

– Chcesz wypróbować nowy sprzęt? – W jego oku pojawiła się szelmowska iskierka. – Obiecałem, że cię wytrenuję, pamiętasz?

Reuben czuł się, jakby wokół niego latał trzmiel, a on nie wiedział, kiedy owad go użądli. Do tej pory doświadczenia Reubena z arystokratami nie były najlepsze.

– Myślałem, że żartujesz. I musiałbym...

– Pickeringowie nie żartują na temat szermierki. Wyciągnij broń.

Przekonany, że zaraz zostanie upokorzony przez młodszego o trzy lata chłopca, Reuben wyciągnął broń. Zaśpiewała jak żaden miecz, jakiego do tej pory dotykał. Wysoki dźwięk brzmiał śmiercionośnie.

– Postawa!

Reuben uniósł ostrze. Było o wiele lżejsze od innych, z którymi ćwiczył.

– To twoja postawa? Dobry Mariborze, czego oni cię uczyli? Fanen!

Brat Mauvina stanął za Reubenem i zaczął go przestawiać jak lalkę. Ukłęknął, złapał go za kostki i przesunął mu stopy.

– Lewa stopa do tyłu i na zewnątrz – pomrukiwał. – Prawa do

przodu.

Kiedy to już załatwiono, Reuben stał bokiem i czuł się nieco niezręcznie.

– No dobrze, teraz ugnij kolana, odrobinę, i przenieś ciężar na śródstopie. Dobrze. A teraz zaatakuj mnie.

Ostry jak brzytwa.

Reuben spróbował niechętnie, a Mauvin uniósł brwi.

– Żartujesz sobie?

– Ten miecz jest ostry. Wolałbym nie ranić arystokraty...

Mauvin przewrócił oczami i pokręcił głową.

– Masz mniej więcej taką szansę, że tkniesz mnie tym ostrzem, jak na to, że ożenisz się z księżniczką. Śmiało.

Reuben wiedział, że Mauvin nie miał tego na myśli; to znaczy miał, ale nie mógł mieć pojęcia, że te słowa zranią go bardziej, niż mógłby jakikolwiek miecz. Mimo to ułatwiły Reubenowi zaatakowanie Mauvina.

Zrobił krok naprzód i dwa razy spróbował zamachnąć się, nim Mauvin go powstrzymał.

– Do diabła, to nie jest siekiera, Hilfred. Myśl o nim raczej jak o nożu. Nie waliłbyś bochenka chleba tak, jak uderzasz w drewno, nie? To ostrze. Tnij, dźgaj, posługuj się nadgarstkiem i całą ręką.

– Nawet nie trzyma rękojeści, jak należy. – Fanen wskazał jego dłoń.

Pickeringowie uczyli go razem, zaczynając od chwytu, potem skupiając się na nogach. Nauczył się przesuwac stopy, zamiast stawiac kroki. Potem przyszedł czas na pchnięcia i wreszcie parowanie. Fanen w końcu się znudził, podniósł jabłko i usiadł na kamiennej ławce obok krzewu róży. Wgryzł się w owoc i trzymając go w zębach, zaczął zapisywać coś kawałkiem grafitu w małej książeczce z kawałków pergaminu.

Mauvin przewrócił oczami.

– Znowu poezja?

Fanen udał, że go nie słyszy.

– W porządku, Hilfred, spróbuj teraz, tyle że tym razem...

– Przepraszam – powiedział Reuben. – Naprawdę to doceniam, ale mam coś ważnego do załatwienia.

Mauvin się przygarbił.

– Przykro mi, naprawdę muszę iść.

Mauvin westchnął.

– Nie zaszliśmy daleko, ale Alric będzie spał trochę lepiej, wiedząc, że przynajmniej jeden z jego strażników rozumie podstawy. Cóż... Powodzenia wieczorem.

Reuben nie wiedział, czy powinien się uklonić, czy zrobić cokolwiek innego. Wybrał uprzejme skinienie głową i popędził w dół wzgórza w stronę koszar. Ojciec musiał już wrócić. Kiedy biegł, czuł, jak nowy miecz uderza go o udo, i na usta wypłynął mu uśmiezek. Książę dał mu miecz. Książę! A Pickeringowie uczyli go fechtunku, naprawdę go uczyli, a nie złą do nieprzytomności. Jego radość osłabła, kiedy doszedł do wniosku, że wykorzystywali go tylko po to, żeby się wymknąć. Ta trójka kupiła sobie jego milczenie, udając przyjaźń. Arystokraci nie przyjaźnili się ze zwykłymi żołnierzami. Mimo wszystko miecz był ładny, może nawet będzie mógł go zatrzymać. Musiał też przyznać, że czuł się teraz trochę pewniej, posługując się nim, kiedy Mauvin wyjaśnił mu kilka spraw. W trakcie podstawowego szkolenia niewiele się nauczył. Instruktorzy poświęcali cały czas młodym arystokratom, a on mógł tylko zerkać ponad ich ramionami. Ćwiczył ze słupkiem od płotu, ponieważ nikt z pozostałych nie chciał być z nim w parze. Jego dwa sparingi z Mauvinem to była pierwsza prawdziwa nauka, jakiej doświadczył.

* * *

– Gdzie byłeś, chłopcze? – warknął Richard Hilfred, kiedy tylko Reuben wszedł do pokoju.

Reuben znał ten ton – szorstki i oskarżycielski z ostrą nutą żołnierskiego autorytetu.

Ojciec siedział przy stoliku. Zdjął koszulę, miał bose stopy, a jego rzeczy wały się po podłodze. Mundur ojca nigdy do tej pory nie tknął podłogi i Reuben spojrzał na zmiętą tunikę, jakby to było martwe ciało.

– Poszedłem po kolczugę i...

Ojciec wstał i uderzył go lewą pięścią. Uderzył na odlew, ale włożył w cios całą swą siłę. Reuben przewrócił się i przywalił głową w drzwi. Rozległ się głuchy łoskot, ale nie wiedział, czy to drzwi, czy jego własna czaszka.

– Co ci mówiłem o byciu zauważanym? Co ci mówiłem o możliwych? Durny dzieciak.

Dopiero wtedy dostrzegł, że w prawej ręce ojciec trzyma ciemną butelkę. Reuben zastanawiał się, czy dlatego uderzył lewą. Zaraz po uderzeniu pomyślał, że ojciec złagodził cios, ale teraz uznał, że może po prostu nie chciało mu się odstawić napitku. Ojciec uniósł butelkę do ust. Przechylił ją do góry dnem.

– Nie masz pojęcia, jacy są ci łajdacy – warknął. – Kiedy tylko zadasz się z nimi...

Ojciec kopnął pryczę tak, że podskoczyła i poduszka upadła na podłogę. Pociągnął nosem, otarł go ręką i usiadł, znowu popijając z butelki. Reuben zastanawiał się, skąd ją wytrzasnął. Butelki z etykietami były drogie, za drogie dla żołnierzy, nawet członków straży królewskiej.

– Nie ma czegoś takiego jak honor, Rue. Rycerskość to żart, pomysł, który przyszedł do głowy jakiemuś cholernemu poecie. Śnieżna kulka w środku lata, oto co to jest. Kurczak, który znosi złote jajka. Moźni udają, że przestrzegają zasad honoru, żeby tacy głupcy jak my myśleli, że to coś prawdziwego, ale to same kłamstwa. Zapamiętaj to, chłopcze.

Reuben wstał. Twarz go piekła i czuł smak krwi w miejscu, gdzie zęby rozcięły mu wnętrze ust. Stał na drugim końcu pokoju, przyciskając plecy do zamkniętych drzwi. Odległość nie była żadną prawdziwą ochroną. Pokój miał nieco ponad dwanaście stóp długości i wystarczyłoby, żeby ojciec zrobił krok lub dwa, żeby znowu go uderzyć.

– Bierz, co się da. Kradnij, jeśli może ci się upiec. Nie ufaj nikomu. Nie kochaj nikogo. To najgorsze. Miłość jest okropną rzeczą. Wpuszczasz ją do serca, a ona pożera cię od środka. Wywraca ci wszystko w głowie. Nagle robisz dziwne rzeczy, zdradzasz samego siebie... I po co? Po co?! Mógł coś zrobić. A ja... Codziennie ryzykuję dla

niego życie, a co on robi dla mnie? Gdzie jest, kiedy go potrzebowałem? – Obliznął usta i westchnął. – Oni wszyscy dbają tylko o siebie. I lepiej, żebyś ty też tak robił, wszyscy musimy, bo inaczej nas połkną.

Reuben czuł pod palcami szorstkie drewno drzwi, a językiem macał rozcięcie w policzku. Nie śmiał poruszyć się czy odezwać, wiedział jednak, że musi. Nawet jeśli to oznaczało kolejny cios. Nawet jeśli miało to oznaczać uderzenie prawą ręką. Nawet jeśli ojciec miałby zapomnieć, że nadal trzyma butelkę. Musiał powiedzieć mu, że życie króla jest zagrożone. Może ta wiadomość wyrwie ojca z obecnego stanu. Chociaż, widząc mundur na podłodze, jakoś w to wątpił.

Ojciec usiadł ciężko na krześle. Reuben uznał to za dobry znak. Może nie będzie chciało mu się wstawać tylko po to, żeby zabić syna.

– A ty... Coś ty sobie wyobrażał? Wychowany przez kobietę, rozpieszczony tak, że do niczego się nie nadawałeś oprócz handlu. Tylko do tego nadają się chłopcy wychowani przez kobiety. Miękkie różowe stworzenia, które za dużo myślą. Uważaj, żeby nie myśleć za dużo. To też może ściągnąć na ciebie kłopoty.

Kiedy mówił blizna na lewej połowie twarzy poruszała się wraz ze zmarszczkami, ale przez swoją sztywność reagowała z pewnym opóźnieniem, wiła się jak wąż. Według opowieści ojca wielki, oszalały pijak rzucił się na króla, zabijając po drodze trzech ludzi. Dwaj pozostali strażnicy króla uciekli. Richard Hilfred jako ostatni stanął mu na drodze. Zarobił bliznę i powiedział, że zanim się zagoiła, mógł gwizdać przez rozcięcie w policzku. Król jednak ocalał.

– Tato?

Ojciec nie podniósł wzroku. Patrzył na butelkę, trzymając ją lekko przekrzywioną, jakby oceniał resztki.

– Ktoś spiskuje przeciwko królowi.

– Zawsze ktoś spiskuje przeciwko królowi. To dlatego mam pracę.

– Myślę, że to ktoś na zamku.

Richard Hilfred przekrzywił głowę i spojrzał na niego spod zmrużonych powiek. Usta miał lekko rozchylone, widać było dziurę po wybitym dolnym zębie.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Spotkałem kogoś, kto podsłuchał rozmowę między dwoma mężczyznami.

– Co, w jakiejś oberży, kiedy hulaleś z księciem? Ostrzegałem cię...

– Nie, sir, tutaj w zamku.

Ojciec mocniej zmrużył oczy i bardziej rozchylił usta.

– Od któregoś giermka? – Pokręcił głową i machnął butelką. – Nie słuchaj tych posrebrzanych wacków. Oni tylko chcą narobić kłopotów. Powinieneś już to wiedzieć.

– To żaden z nich.

– Ktokolwiek to był, kłamał.

Ojciec dopił zawartość butelki.

– To była dziewczyna imieniem Rose. Ta, której szukają. Jest prostytutką i przyszła tu na przyjęcie. Ukrywała się w szafie na wysokiej wieży i podsłuchiwała dwóch mężczyzn, którzy mówili, że zabiją króla. Ukryłem ją, by najpierw z tobą porozmawiać. Nie wiedziałem, komu zaufać.

Ojciec patrzył na syna przez długą chwilę. Wyciągnął rękę, żeby odstawić butelkę, a ponieważ nie patrzył, nie trafił i butelka upadła. Nie roztrzaskała się. Solidne grube szkło zabrzęczało i pusta butelka przeturlała się pod łóżko. Ojciec wstał powoli. Reuben był prawie jego wzrostu, ale czuł się nieskończenie mniejszy. Dziesiątki białych linii znaczyło pierś ojca, ramiona, ręce – kolejne blizny. Cienie bólu oprawione rozciągniętą tkanką, niektóre z szeregami kropek, dziurami po szwach. Unosiły się i opadały z każdym oddechem.

– Wiesz, gdzie jest ta dziewczyna?

Ojciec mówił wyraźniej, zimniejszym głosem.

Reuben pokiwał głową.

– Gdzie ją ukryłeś?

– Ona nie wie nic nad to, co już ci powiedziałem. Nie słyszała żadnych imion.

– Gdzie?

Zrobił krok przez pokój.

– W lochach.

Ojciec pomyślał chwilę i skinął głową.

– Zatrzymaj ją tam. Trzymaj ją pod kluczem.

– Ale ona nic nie zrobiła...

– Żadnych „ale”, chłopcze! Trzymaj ją tam, aż wszystko wyjaśnię. To najlepsze miejsce. Nie mów nikomu. Nikomu nie powiedziałaś, prawda?

Reuben pokręcił głową.

– Dobrze. A teraz daj mi się zastanowić.

Ojciec schylił się i podniósł tunikę, a potem zatrzymał się i zerknął na Reubena.

– Na tobie lepiej wygląda.

Rozdział 9

Szkarłatna Ręka

Hadrian szedł za złodziejem ze Szkarłatnej Ręki. Mężczyzna odmówił podania imienia, więc Hadrian nazwał go Zagadka. Zagadka nie był ufnym człowiekiem i był równie rozluźniony jak nakręcona sprężyna. Hadrian nie znał zbyt wielu zawodowych złodziei. Do tej pory, do tego spaceru z Dzielnicy Dolnej do Dzielnicy Kupieckiej, Royce był jedynym. Hadrian dostrzegł podobieństwa, ale i różnice. Zagadka ubierał się jak opryszek. Kurtka do pasa z szerokimi mankietami i wysokim kołnierzem wraz z wełnianymi spodniami kojarzyła się z twardymi mężczyznami z nabrzeża, ale był za drobny, by to wyglądało przekonująco. Tonął w kurtce. Nie chodził też jak Royce. W jego długich krokach nie było nic z wdzięku pantery. Mowa ciała Zagadki wskazywała na szczura albo fretkę, podczas gdy Royce był jastrzębiem, co tłumaczyło, dlaczego Zagadka tak się rwał, żeby zaprowadzić ich do swojej kryjówki.

Royce szedł z przodu, a Hadrian trzymał się za nimi. Nie musieli wiązać Zagadki, który szedł między nimi i mówił, gdzie trzeba skręcić. Hadrian zawęził szanse złodzieja na ucieczkę do czegoś między niemożliwością a niewykonalnością. Gdyby mężczyzna chciał czmychnąć, Royce dałby nura prosto na niego. Zagadka zdążyłby zrobić z pięć kroków, nim szpony wbiłyby się w jego ciało. Hadrian widział już, jak Royce bawi się ofiarami. Jego partner potrafił odwrócić się, odejść albo zostawić otwarte drzwi. W takie noce Hadrian pił więcej niż zwykle. W takie noce budził się zlany potem, bo

śnił o ojcu. W takie noce kwestionował wszystko, aż po własne narodziny.

Odprowadzili Alberta do balwierza i zostawili mu dość monet, żeby doprowadził się do porządku i kupił sobie ubranie. Zaplanowali ponowne spotkanie w „Ohydny Łbie”. Sądząc po braku klienteli, wszyscy mieli podobną opinię na temat karczmy, dzięki czemu było to idealne miejsce. Albert był cały w skowronkach, kiedy Royce wręczył mu pieniądze, jakby myślał, że nigdy do tego nie dojdzie. Hadrian miał wątpliwości, czy jeszcze zobaczą wicehrabiego, ale zgodził się z Royce'em, że mają ważniejsze sprawy na głowie.

Jeśli ktoś skrzywdził Gwen, Royce nie był jedynym, który chciał znaleźć winowajcę.

Słońce stało już wysoko, kiedy przeciskali się przez Dzielnicę Kupiecką. Ulice były czyste, sklepy ozdobiono licznymi wystawami, a nad drzwiami każdego znajdowały się malowane szyldy wycięte w pomysłowy sposób. Krawiec miał wielki napałek i igłę z nicią trzepoczącą na wietrze. Adwokat powiesił perukę, która wyglądała jak prawdziwa i dopiero z bliska okazywało się, że jest zrobiona z drewna. Ulice – labirynt dróg i przejść – były równie barwne jak zamożni klienci, którzy wędrowali w ubraniach z farbowanych materiałów. Dominowały przede wszystkim żółte, pomarańczowe, zielone i czerwone i im były jaskrawsze, tym lepiej. Hadrian zastanawiał się, czy tylko przypadkiem, czy też całkiem świadomie próbowali naśladować kolory jesiennych liści. Paru klientów nosiło arystokratyczne futra, towar importowany z Dzielnicy Szlacheckiej. Nikt nie był w stanie zignorować uroku placu Kupieckiego. To było multum widoków, dźwięków i zapachów.

Obnośni handlarze krążyli z rozbudowanymi wieszakami mającymi liczne rozgałęzienia, na których wisały kapelusze, buty, tania biżuteria i portmonetki. Urocze dziewczęta nosiły kosze ze szklanymi świecidełkami, medykamentami i materiałami. Minstrele grali, żonglerzy rzucali tykwami, tancerze wyczyniali akrobacje, bazarze na skrzynkach oczarowywali słuchaczy, wszędzie uprawiano hazard w różnych postaciach. Zapach cynamonu i jabłek walczył z dymnym aromatem pieczonej świni.

Wydawało się mało prawdopodobne, żeby złodzieje mieli dom w takim miejscu. Hadrian wyobrażał sobie, że będą mieszkali w opuszczonych ruderach w takiej okolicy jak Dzielnica Dolna, w rynsztoku albo może gdzieś nad barem w portowej okolicy. Z drugiej strony myszy prędzej zagnieżdżą się w pełnym kredensie niż w pustej stodole.

– Co to za gra? – zapytał Zagadka, widząc, że przez ostatnie kilka zakrętów nie musiał kierować Royce'em. – Twój przyjaciel wie, dokąd idzie.

Hadrian był przekonany, że to nieprawda. Royce powiedział, że nigdy nie był w Medfordzie przed ich poprzednią wizytą, i Hadrian miał prawie pewność, że Royce nigdy go nie okłamał. Zawsze uważał, że to dziwne, zważywszy, że Royce był złodziejem o szczątkowej moralności, ale nie była to jedyna zadziwiająca rzecz w Melbornie. Jedną z pozostałych była umiejętność orientowania się w terenie.

Royce przystanął na końcu ulicy Papierowej przed wielką żelazną bramą między Introligatornią Faringhama a Grawerunkami u Virgila i Harringtona. Na drugim krańcu znajdował się mały cmentarz. Bramę zamykała masywna i beznadziejnie zardzewiała kłódka.

Royce spojrział na Zagadkę. Wskazał cmentarz.

– To tam, zgadza się? Jednak wchodźcie inną drogą. W jakiś prosty i szybki sposób.

Zagadka popatrzył na niego podejrzliwie.

– Do tego nie trzeba geniusza – wyjaśnił Royce. – Miejsce w sercu miasta, ale odosobnione. Nikt nie tknął tego łańcucha od dekady. Jak wchodźcie?

Złodziej zerknął przez jedno ramię, potem drugie, a później specyficzną sekwencją uderzeń wybił jeden z żelaznych prętów i prześlizgnął się przez szparę.

– Nie macie za wielu grubych ludzi, co? – powiedział Hadrian, ale złodziej już biegł, pędził między grobami.

Royce nie pobiegł za nim. Dotarli na miejsce. Złodziej oddalał się od rozlewu krwi, który jego zdaniem na pewno nastąpi.

Hadrian zastanawiał się, czy drzewa na cmentarzach różnią się od innych. Parę tych, które rosły wśród nagrobków, wyglądało jak

przedwcześnie wyłysiali mężczyźni, bo zgubiło już wszystkie liście. Ich kora była czarna, pnie powykręcane i powyginane. Dywan niedawno zmarłych liści leżał na załomach posągów, przykrywał kopce i grobowce. Posągi kobiet w powłóczystych szatach miały twarze poznaczone smugami patyny od deszczu. W najlepszym razie wyglądały, jakby płakały, a w najgorszym, jakby krwawiły z oczu. Panowała tam cisza. Za ich plecami zgiełk Dzielnicy Kupieckiej był odległym echem, samotnym dźwiękiem, który podkreślał odosobnienie. Cmentarze powinny być spokojnymi, pogodnymi miejscami spoczynku, na tym jednak roiło się od dwunogich szczurów. Szczury nie lubią gości, zwłaszcza niezapowiedzianych.

Stali pośrodku cmentarza i zwlekali jak dzieciaki, które właśnie rzuciły gniazdo pszczół i czekają, żeby się przekonać, co się stanie. Hadrian nie uważał tego za najbardziej lekkomyślną ani nawet najbardziej osobliwą rzecz, jaką ostatnio zrobił. Już takie było życie z Royce'em. Rok temu, gdyby ktokolwiek zasugerował, że nadal będą ze sobą pracować, Hadrian by go wyśmiał. No może nie wyśmiał, bo wtedy rzadko się śmiał. Cierpiał na przygnębienie, które sprawiało, że nawet najgłupszy pomysł wydawał mu się sensowny. Dlatego w ogóle zgodził się na współpracę z Royce'em Melbornem, złowrogim, bezwzględnym przestępcą, który Maribor jeden wie, czego się dopuścił. Po roku Hadrian zdołał się tylko dowiedzieć, że musi uważać, kiedy Royce podnosi kaptur, że nie lubi żadnych trunków poza pewnym tajemniczym i drogim winem, że jego sztylet ma imię, a koń nie, że porzucono go, gdy był dzieckiem, i że jest naprawdę świetnym złodziejem. Wiedział też, że Royce przywiązuje niewielką wagę do ludzkiego życia. Zwykł uważać morderstwo za najprostsze rozwiązanie wielu życiowych problemów. Normalnie był to punkt sporny w ich dyskusjach, ale nie tego dnia.

Głęboko wśród cieni pojawiły się twarze. Nikt nie odezwał się słowem. Ludzie zbierali się powoli, okrążając ich, klucząc wśród nagrobków. Po paru minutach ponownie pojawił się Zagadka; wyszedł ze zdobionego gargulcami grobowca. Razem z nim wyszło pięciu innych mężczyzn. Rozproszyli się i zaczęli podchodzić. Hadrian obstawiał, że złodzieje mają przewagę pięć do jednego.

– Ten wyskrobek mówi, że prosiliście, żeby was tu przyprowadził.

Mówca był zaskakująco niski i nosił czarny cylinder z czerwonym odciskiem ręki. Miał paskudny siniak na lewej stronie twarzy i głębokie rozcięcie na kości policzkowej, które wyglądało na niedawno zaszyte. Niespecjalnie się nim przejmował, bo zajadał właśnie kurze udko i oblizywał palce, mówiąc.

– Mamy jednak taką zasadę. Zgodnie z nią nikt nie może dowiedzieć się, gdzie mieszkamy, i żyć, jeśli do nas nie dołączy.

– Aha, widzę, że potrzebujecie zachować to miejsce w tajemnicy – powiedział Royce. – Jestem przekonany, że nikt nie wie, że tu mieszkacie.

– Dorwaliśmy bystrzyka, chłopcy. Może powinieneś mi powiedzieć, dlaczego postanowiłeś zabić się tego dnia, póki nadal masz ten przywilej.

– Szukacie dziewczyny imieniem Rose z Domu Medford. Chcę wiedzieć dlaczego.

To sprawiło, że kilka osób w kręgu gapiów zarechotało. Ten śmiech przypominał Hadrianowi wrony siedzące na płocie. Każdy członek Szkarłatnej Ręki wyglądał jak ludzki patchwork. Jeden nosił myśliwską kamizelkę na żeglarskiej koszuli, inny kombinezon malarski, kapelusz błazna i sięgające kolan wadery. Jeden jegomość nosił but jeździecki na jednej nodze i satynowy kapeć na drugiej. Bezpańskie psy mieszkające w zaułku, chude, złe, brudne i najpewniej chore.

– Ogromnie żeś wymagający, co? – powiedział Cylinder. – Dlaczego uważasz, że cokolwiek ci powiemy?

– W imię honoru wśród złodziei.

Cylinder zmrużył oczy.

– Jesteś złodziejem, tak? Wiesz, co robimy ze złodziejami, którzy pracują w naszym mieście?

– Nie i, szczerze mówiąc, mam to w nosie. Poza tym niczego nie ukradłem. Wasz człowiek może poświadczyć. Śledził nas od naszego przyjazdu.

Cylinder się odwrócił. Zagadka skinął głową.

Cylinder nucił pod nosem, odgryzając kolejny kęs udka i zasysając

długie włókno mięsa. Przeżuwał je chwilę.

– Kim w takim razie jesteście? Nikt nie pakuje się do meliny, żądając informacji, o ile nie jest szurnięty albo... – Zamilkł, podszedł jeden krok i zmrużył oczy, patrząc na Royce'a. Machając kurzą nogą, jakby to był wskaźnik, zapytał: – Dla kogo pracujesz?

– Dla nikogo.

– Byli wcześniej z jeszcze jednym gościem – wtrącił Zagadka. – Zostawili go u balwierza z sakiewką monet na zakup ubrań.

– Elegancki gość? Bogaty?

Zagadka pokręcił głową.

– Bardziej jak Roy z Rynsztoka.

Cylinder odrzucił kość z kurczaka i zaczął ich okrążyć, oblizując palce i ocierając je o spodnie. Nosił nagą szablę u boku. Widząc jednosieczne, lekko zakrzywione ostrze i wykładaną mosiądzem gardę, Hadrian zgadywał, że to broń wilka morskiego, standardowe wyposażenie żeglarzy na zachodnich statkach. Nosił też długi sztylet, także morską broń. Chociaż wszystko było możliwe, Hadrian nie potrafił wyobrazić sobie Cylindra na statku. Niemniej broń pasowała do tego scenariusza.

– Jak się nazywasz?

– Royce Melborn.

– Royce... Royce... – Zamilkł. – Dlaczego to brzmi znajomo? Przybyłeś z południa, co? Może z Colnory?

Royce nie odpowiedział.

– Pracujesz dla Diamentu, co?

– Diament ma plany co do Medfordu? – zapytał inny złodziej, ten z obuwem nie od pary.

Cylinder skrzywił się i z niesmakiem uderzył ręką o bok.

– Ach... Pewnie, że ma. Pieprzony Diament ma plany co do każdej jednej sakramenckiej rzeczy na świecie, co? Nie może znieść, że nie ma udziału w każdym jednym uczciwie zarobionym miedziaku. Nędzne mendy. Nie wystarczy, że rządzi połową świata? Powinienem od razu zabić was obu.

– Nie jestem członkiem Czarnego Diamentu.

– Teraz tak mówisz. – Cylinder zdjął nakrycie głowy i podrapał się

po rzednącej czuprynie. – W mordę kopane.

– Nie stać nas na zadzieranie z Diamentem – powiedział wstrząsająco wysoki złodziej w waderach.

Cylinder miał taką minę, jakby chciał mu przyłożyć.

– Sam na to wpadłeś, hę? – Włożył cylinder i spojrzał na Royce’a. – Może masz rację, może nie jesteś z Diamentu. – Otarł nos i wyprostował się. – Powiem ci coś, skoro już tacy jesteśmy tu honorowi, wyślę konnego do Colnory, żeby cię sprawdził. Jeśli powie, że jesteś z Czarnego Diamentu, pogadamy. Pewnie, czemu nie. Wysłucham propozycji Diamentu. – Wyraz jego twarzy zdradzał, że nie będzie to miła rozmowa. – Jeśli jesteś nikim, jak twierdzisz, będziesz miał wybór: przyłączysz się do nas albo dołożysz się do tego cmentarza. – Rozłożył ręce i obrócił się powoli, jakby popisując się wspaniałą posiadłością. – Albo – podszedł krok bliżej i pogłaskał ręką szyję – możecie odejść tak, jak przyszlście. Zważywszy, że jeździec nie od razu wróci, macie sporo czasu, żeby zniknąć.

– Jakie to uprzejme. – Royce powiedział to beznamytnie i sam zrobił krok naprzód. – Jednak nie obchodzi mnie, co myślisz, i możesz marnować czas na wysyłanie posłańców. To nie jest wizyta towarzyska. Dlaczego szukacie Rose?

Po raz pierwszy Cylinder sprawiał wrażenie skrępowanego i cofnął się. Patrzenie Royce’owi w oczy z takiej odległości wymagało bardziej stalowych nerwów, niż miał mały człowieczek z kradzioną bronią, nawet kiedy otaczała go armia.

– A co cię to obchodzi?

– Chcę wiedzieć o wszystkim, co wiąże się z atakiem na Gwen DeLancy zeszłej nocy.

– Ponownie zapytam: a co cię to obchodzi?

– DeLancy to nasza przyjaciółka i chciałbym podziękować człowiekowi, który ją skrzywdził.

Zjadliwa postawa Cylindra zniknęła i Hadrianowi wydawało się, że dostrzegł cień współczucia.

– Przykro mi to słyszeć. Jeśli mówisz prawdę, to macie tym więcej powodów do wyjazdu, i to zanim wpakujecie się w prawdziwe kłopoty. Nie chcecie mieć nic wspólnego z tym zamieszaniem.

– Dlaczego?

Cylinder odetchnął głęboko i popatrzył po twarzach wokół. Zatrzymał na chwilę wzrok na Hadrianie, zanim zwrócił się do Royce'a.

– Szukamy Rose, ponieważ szukają jej szeryfowie dzielnic, a oni szukają jej, ponieważ szuka jej najwyższy konstabl. On z paroma jego pierzastymi osobiście odwiedził nas tutaj i wypytywał o Rose. Chcą jej, i to bardzo. Zasugerowali, żebyśmy szukali naprawdę starannie. Bardzo na to... Nalegali. – Potarł rozcięty policzek. – Żeby pokazać, że nie żartuje, jego lordowska mość wziął trzech moich chłopców i powiesił na placu Szlacheckim. Nie oskarżył ich o nic, po prostu ich powiesił. – Opuścił rondo kapelusza i westchnął. – Nie, panowie, możni podeszli do sprawy poważnie i lepiej nie mieszajcie się do tego.

– Wiesz, kto pobił Gwen?

– Oczywiście, że wiem.

– Kto to?

– Nikt, z kim można zadzierać. Zaufajcie mi, to przyjęcie, na które nie chcecie dostać zaproszenia. Bogowie walczą, a my śmiertelnicy możemy tylko postarać się, żeby nas nie zauważyli.

– Nie zamierzałem dać się zauważyć – powiedział Royce, nie odrywając oczu od małego człowieka w dużym kapeluszu.

Hadrian miał wrażenie, że nie mrugnął ani razu przez całą rozmowę.

– Ten gość to nie nasza liga, rzezimieszku.

– Skąd wiesz?

– Robisz wrażenie twardziela. – Cylinder skinął głową. – Wszedłeś do mojej kryjówki, okrążyliśmy cię, nie masz drogi ucieczki, a nie wyczuwam strachu. Dostajecie za to punkty. Nie żartuję, proponując ci przyłączenie się do nas. Jemu też. – Wskazał Hadriana. – Lubię gości, którzy wiedzą, kiedy milczeć. Poza tym dopiero co straciłem trzech chłopaków. Przy moim szczęściu będzie czterech, zanim kogut zapieje. No dobra, może i jesteś zabójcą. Może nawet jesteś jednym ze słynnych skrytobójców Diamentu, upiorem z ostrzem, ale tamten gość... – Zawiesił głos, a potem pokręcił głową. – Nie. Ten gość przerasta wszystkich.

– Każdy musi umrzeć.

Cylinder potarł podbródek.

– Muszę przyznać, że nie miałbym nic przeciwko, żeby zapłacił po tym, co zrobił moim chłopakom. Łączy nas długa historia. Ale nikt nie może go tknąć.

– Kto to jest?

– Ten sam łajdak, który zlał mnie tej samej nocy i powiesił moich chłopaków bez żadnego powodu, tylko dla podkreślenia swoich słów: markiz Wschodniej Marchii, lord Simon Exeter, najwyższy konstabl Melengaru. – Cylinder pokręcił głową. – Muszę przyznać, że pochlebiło mi, kiedy jego lordowska mość osobiście się tu zjawił, ale wolałbym, żeby tego nie robił. Jeśli jesteś mądry, to zapomnisz o tym wszystkim, zanim dowiesz się, co oznaczają prawdziwe kłopoty.

* * *

– To gdzie idziemy? – zapytał Hadrian, kiedy uskoczyli przed wozem z drewnem, wracając ulicą Papierową.

– Porozmawiać z Gwen.

– Niestety ona nie chce nas widzieć.

– Szanowałem jej decyzję, ale to było, zanim poznałem powody.

– A mianowicie?

– Naprawdę musisz iść szybciej.

Royce'a często dziwiło, jak powolny potrafi być Hadrian jak na tak dużego mężczyznę z długimi nogami. Skręcili obok pracowni portrecisty i skierowali się z powrotem do Dzielnicy Dolnej.

– Dlaczego nie chce się z nami zobaczyć?

– Znowu próbuje nam ocalić życie.

* * *

Mężczyzna na werandzie Domu Medford zaśmiał się i Royce od razu go znienawidził. Czuł natychmiastową nienawiść do większości ludzi, ale kiedy podchodzili z Hadrianem, przeczuwał, że tym razem jest

usprawiedliwiony. Dwaj mężczyźni stali na werandzie. Duzi jegomości, mocno ogorzali, o rękach z odciskami. Jeden przyspilił Jasmine do futryny, trzymając ją za gardło. Drugi – ten, który się zaśmiał – właśnie spychał dziewczynę (Royce pamiętał, że nazywała się Abby) z werandy na ziemię.

Hadrian nie miał już kłopotów z nadążeniem i Royce poczuł jego dłoń na ramieniu, kiedy tamten go mijał.

– Złap parę oddechów i daj mi z nimi pogadać.

Royce nie zwolnił.

– Nie zamierzam rozmawiać...

– Dzień dobry, panowie. – Hadrian pomógł Abby wstać. – Mają panowie jakiś kłopot?

– Kradną naszą brzeczkę! – krzyknęła Abby.

– Co takiego? – zdumiał się Royce.

– Z tego robi się piwo – wyjaśnił Hadrian i wszedł po schodach na werandę.

– Zabierają całą kadź! – wychrypiała Jasmine, a mężczyzna ją spoliczkował.

Royce ruszył do schodów.

Hadrian obrócił się z uniesionymi rękami.

– Nie! Spokojnie. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Royce zawahał się, głównie dlatego, że Hadrian blokował mu przejście.

Wszyscy odwrócili się do Hadriana, kiedy ten zaczął kopać w ładnie wytoczone tralki ozdobnej balustrady wokół werandy. Jedna pękła i wypadła.

– Ej! – zaprotestowała Abby.

– Przepraszam, później to naprawię, ale potrzebuję obucha, żeby ich uderzyć.

To zwróciło uwagę mężczyzn i jeden puścił Jasmine, która uciekła do domu.

– Powiem tylko jedno: lepiej, żebyś to załatwił, jak należy – zagroził Royce. – Bo jak któryś zejdzie z werandy, to będzie mój.

– Royce, oni nawet nie są uzbrojeni.

– Mają ręce, a ja znam na to lekarstwo.

Royce uznał, że mężczyźni wyglądają na zdecydowanie mniej pewnych siebie, ale nic nie zmadrzeli, czego dowiedli, kiedy jeden zaatakował Hadriana.

Royce'a najbardziej martwiło to, że kiedy dureń zaatakował, jego własne szanse na zabicie tych dwóch baranów przepadły. Usłyszał trzask, gdy Hadrian złamał pierwszemu rękę za pomocą tralki. Potem sprawił, że tamten złożył się wpół i wreszcie powalił go ciosem w potylicę. A wszystko to, zanim drugi zdążył zrobić więcej niż dwa kroki.

Ku wielkiej radości Royce'a te dwa kroki były próbą ucieczki od Hadriana. Royce sięgnął pod płaszcz i przesunął palcami po pasie w stronę rękojeści Alversone'a. Był rozdarty – nie wiedział, czy rzeczywiście odciąć mu rękę, czy zwyczajnie poderżnąć gardło. Nie było powodu torturować biednego durnia; to był zwykły opryszek. Z drugiej strony Royce'owi nie podobało się, że inni uważają, że mogą spokojnie wtargnąć do Domu Medford. Dobry przykład mógłby zniechęcić pozostałych, a dwie dłonie przybite po obu stronach schodów na werandę mogłyby zadziałać.

Niestety Hadrian zakończył deliberacje Royce'a, kiedy zdzielił mężczyźnę w krzyż i tamten padł na kolana. Rozpędzony uderzył głową o balustradę i złamał następną tralkę, oszczędzając Hadrianowi dalszych wysiłków.

Royce się nachmurzył.

– Proszę – powiedział Hadrian. – Problem rozwiązany, a ty nie jesteś poszukiwany za morderstwo. Prawda, że miło?

– Miło jest nie być poszukiwanym za morderstwo tylko wtedy, kiedy rzeczywiście się kogoś zabije. W przeciwnym wypadku, jaki to ma sens? Poza tym, dlaczego myślisz, że nie jestem poszukiwany za morderstwo?

Weszli do salonu i zastali dwóch kolejnych mężczyzn taszczących wielką metalową kadź po schodach z piwnicy. Atakowało ich stadko kobiet. Odstawili brzemień na chwilę, żeby warknąć i odepchnąć kilka wojowniczek.

– Dość tego! – krzyknął jeden, wyciągając myśliwski nóż. – Potnę następną, która podejdzie!

Hadrian znowu podszedł błyskawicznie.

Gdzie była ta szybkość, kiedy tu szliśmy?

– A ty kto jesteś, u czorta? – zapytał mężczyzna z nożem, widząc podchodzącego Hadriana.

– Jestem przekonany, że ta kadź nie należy do was.

– Jest nasza! – krzyknęła jedna z dziewczyn. – Kradną ją dla „Ohydneho Łba”.

– Ciebie też potnę, jak nie zejdziesz nam z drogi.

Mężczyzna wymachiwał groźnie nożem.

Hadrian sięgnął za głowę i wyciągnął espadon. Royce widział do tej pory tylko raz, jak Hadrian go dobywał. Zwykle wystarczały mu krótki miecz i półtoraręczny. Tym razem chodziło o zrobienie wrażenia.

Wyciągnął czubek potężnej głowni. Stał bite osiem stóp dalej, ale miecz zajął większość odległości.

– A może po prostu wyjdiesz?

Mężczyzna schował nóż za pas i odwrócił się do drzwi.

– Niech odstawią to na miejsce – powiedział Royce – albo zacznę przybijać dłonie do słupków na werandzie.

Dwa opryszki popatrzyły na niego, na ręce, a wreszcie na miecz Hadriana.

– Ach... – mruknął jeden, zerknął na drugiego, który wzruszył ramionami. – Pewnie, czemu nie. Nie ma co szaleć. To tylko robota.

Złapali kadź i znieśli ją po schodach.

Wtedy Royce ją zobaczył. Stała na szczycie szerokich schodów i przechylała się przez poręcz. Jedną rękę miała na temblaku. Nosila chustę wokół głowy i na twarzy, tak że tylko jej oczy były widoczne. Jedno zapuchło całkowicie, ale Royce rozpoznał drugie. Należało do kobiety, która trzymała go, kiedy myślał, że umiera. To ona obiecała mu, że będzie bezpieczny, i dotrzymała obietnicy. Nikt nigdy nie zrobił czegoś takiego dla niego. Rodzice porzucili go, przyjaciele zdradzili, ale ona, nieznajoma o szmaragdowych oczach, zaopiekowała się nim, kiedy nikt inny tego nie zrobił. Jeśli na świecie naprawdę istniał ktoś taki jak dobra osoba, to właśnie na nią patrzył. A na widok siniaków i rozcięć niezastłoniętych całkowicie przez chustę wiedział też, że zabije człowieka, który jej to zrobił, i nie będzie się

przy tym śpieszył.

Wbiegł po schodach, zanim którakolwiek z dziewczyn zdążyła go powstrzymać, zanim Gwen zdążyłaby uciec.

– Dziękuję – powiedziała głosem stłumionym przez zawój. Ruszyła schodami. – A teraz odejdz, proszę.

– Wiem o Rose – powiedział Royce. – I wiem, że to był najwyższy konstabl, markiz jakiś tam, jakiś Exeter.

Zatrzymała się, ale nie spojrzała na niego. Zacisnęła dłoń na poręczy.

Czekał, a ona powoli odwróciła się, przesłaniając twarz brzegami chustki.

– Chciałam... Chciałam, żebyś wrócił. – W jej głosie pobrzmiwało coś dziwnego. Drżenie. – Odkąd wyjechałeś, wyglądałam i myślałam... Może... Jednak nigdy nie wierzyłam, nie tak do końca. Nie należysz do sentymentalnych typów, takich, co oglądają się za siebie. Chciałam jednak, żebyś... Ale... Ale nie tak... Nie teraz.

Zaczęła płakać, odwróciła się i weszła po schodach. Poruszała się powoli, wciągając się po poręczy, powłócząc słabą nogą. Poszedł za nią.

Gwen doszła do swojego pokoju i wczłogała się na łóżko. Łóżko, które Royce zajmował przez wiele tygodni. To miejsce było dla niego święte, z czego do tej pory nie zdawał sobie sprawy. To miejsce było azylem dobroci i pociechy. Spędził tam tylko dwa miesiące, ale wracając, zastanawiał się, czy to, co czuł, to nie było to samo, co inni czuli wobec miejsca, które nazywali domem.

Gwen położyła się na brzuchu, tłumiąc łzy.

– Odejdz.

Usiadł obok niej i położył dłoń na jej plecach. Miała na sobie prostą lnianą sukienkę. Poczul szorstki materiał pod palcami. Poruszał kciukiem w tę i z powrotem, delikatnie ją masując. Czuł się idiotycznie. Chciał jej pomóc, ale nie miał doświadczenia w pocieszaniu. Czuł, jak drżała, i chociaż lewą ręką delikatnie głaskał ją po plecach, to prawą zacisnął tak mocno w pięść, że aż go zabolalo.

– Przepraszam – powiedziała głosem nabrzmiałym od łez. – Nie chciałam, żebyś widział mnie w takim stanie.

– Może, ale to nie jest prawdziwy powód, dla którego nie chciałaś mnie tutaj.

Odwróciła się i spojrzała na niego ze zdziwieniem załzawionym okiem.

– Znowu mnie chronisz. Boisz się, że zrobię coś głupiego i dam się zabić.

– Mylę się?

– Tak. Nie zamierzam dać się zabić.

– Jednak zamierzasz coś zrobić.

– Powiedz mi, co się stało.

Gwen otarła twarz zdrową ręką.

– Musiało być ich z dziesięciu. Szeryfowie i chyba też straż zamkowa. Nie znam wszystkich mundurów. Chcieli wiedzieć, gdzie jest Rose. Powiedziałam im, że poszła na zamek, że zaproszono ją na przyjęcie. Jego lordowska mość uważał, że wróciła, ale się mylił. Żadna z nas nie widziała jej przez całą noc. Do dziś jej nie widziałyśmy. Lord Exeter chyba mi nie uwierzył.

Gwen urwała. Dotknęła palcami ust.

– Dixon próbował ich powstrzymać. Wtedy... Nadal jest nieprzytomny. Nie wiem, czy przeżyje. – Obróciła się znowu, chowając twarz w poduszce. – Musisz odejść. Musisz wynieść się z miasta, jak najdalej od Melengar. Wracaj, skąd przyjechałeś, i zapomnij o mnie. Nie chcę, żeby cokolwiek ci się stało. To ja mam zadbać o twoje bezpieczeństwo. To ja mam... Jeśli zostaniesz, zginiesz, a ja prędzej umrę, niż na to pozwolę.

Royce'owi żołądek się zacisnął, trudno mu się oddychało i zaczął się pocić. Ona prawie mnie nie zna. Ręka, którą jej dotykał, zaczął mu drżeć, więc ją zabrał.

– Nie martw się o mnie.

Odwróciła się do niego. Jej oczy, chociaż zawsze były ciemne, teraz poczerniały, opuchły. Osoba, która zerknęła spod chustki, nie wyglądała jak Gwen, ale to był jej głos, ten sam, który usłyszał w ciemności. Głos, który kiedyś go ocalił.

– Nie, Royce, nie rozumiesz. On jest zbyt potężny.

– Nie doceniasz mnie.

– To najwyższy konstabl. Dysponuje armią szeryfów i zastępców, jest kuzynem króla, który ma prawdziwe wojsko. Nie chcę, żeby pobito cię jak Dixona. Nie chcę, żebyś umarł.

– Gwen, nie nawykłem ufać ludziom. To nie leży w mojej naturze. Znalazłaś nas krwawiących i bliskich śmierci na ulicy, ale nigdy nie zapytałaś mnie o nic więcej niż moje imię. Większość ludzi zadałaby jakieś pytanie, jeśli nie dwadzieścia pięć. Nigdy niczego ci nie wyjaśniłem. Nigdy nic ci nie powiedziałem na swój temat, nic o mojej przeszłości.

– Powiesz mi teraz?

– Nie. Pokażę ci.

Rozdział 10

Elegant i troll

„Ohydny Łeb” nie zmienił się specjalnie od rana, tyle że zdaniem Hadriana przy barze mogło być jeszcze mniej klientów, a na podłodze jeszcze więcej suchych liści. Zgodnie z przewidywaniami Alberta nigdzie nie było, ale przy stole, przy którym siedzieli wcześniej, elegancki dżentelmen sączył szklanke jablecznika i ocierał nos koronkową chusteczką. Dopóki nie wstał i nie pomachał, ani Royce, ani Hadrian nie mieli pojęcia, że to ten sam człowiek, którego uratowali ze stodoły pod Colnorą.

Wicehrabia Albert Winslow przeszedł prawdziwą przemianę.

Broda zniknęła, a długie włosy umyto, wyszczotkowano, upudrowano, zebrano z tyłu i związane czarną aksamitną wstążką. Po raz pierwszy ujrzeli jego twarz. Była różowa, szczupła, o wyrazistych kościach policzkowych i przystojnym podbródku. Hadrian nie miał pojęcia dlaczego, ale dopiero teraz zauważył, że Albert ma olśniewające niebieskie oczy. Zamienił brudną koszulę nocną na złoty dublet z wysokim wykrochmalonym kołnierzykiem i błyszczącymi, jedwabnymi akcentami. Nowa koronkowa koszula miała marszczone, haftowane mankiety. Na nogach Albert nosił rajtuzy i buty z mosiężnymi klamrami, a na stole obok niego leżał pyszny kapelusz z szerokim rondem i przypiętym z jednej strony piórem.

– Witajcie, panowie – powiedział, poprawiając mankiety.

– Nie dałem ci aż tyle pieniędzy – zgromił go Royce.

– Nie. To, co mi dałeś, nie wystarczyłoby do tego zadania.

Najwyraźniej nie masz pojęcia, jak kosztowne jest bycie arystokratą.

– To jak sobie poradziłeś?

– Kredyt.

– Kredyt?

– Tak. Kredyt to kiedy obiecujesz zapłacić później za rzeczy, których chcesz teraz.

Royce przewrócił oczami.

– Wiem, co to jest kredyt. Tylko nie mogę uwierzyć, jakim cudem się zgodzili.

– Pierwszy balwierz z pewnością by się nie zgodził. Poszedłem do taniego i parę razy zostałem zadraśnięty w nagrodę za swoje wysiłki.

– Pierwszy balwierz?

– A, owszem. I pierwszy krawiec. Poszedłem do sklepu z używaną odzieżą w Dzielnicy Kupieckiej i kupiłem potwornie zużyty dublet. Cuchnął rybą. Kupiłem też zdarte buty, rozdartą i poplamioną koszulę (na szczęście najgorsze plamy schowały się pod dubletem) i rajtuzy. Ubrałem się, obmyłem w takim stopniu, na jaki pozwalały wasze pieniądze, i wybrałem się do najdroższych sklepów przy placu Szlacheckim. Tam przedstawiłem się jako zdrożony wicehrabia Winslow, który przyjechał właśnie do miasta na galę i desperacko potrzebuje nowego stroju. Potem zająłem się kompletowaniem nowego stroju i wybrałem się do fryzjera, a wszystko to załatwiłem na kredyt.

– I pozwolili ci?

– Szlachetne pochodzenie ma swoje plusy.

– A ile tych plusów wydałeś? – Ton Royce’a wahał się pomiędzy zdumieniem i złością, ale ostatecznie zatrzymał się na schludnie powściągniętej wściekłości.

Albert mruzczał chwilę pod nosem.

– Raptem ze trzyńście złotych tenentów.

– Trzyńście! – Royce uderzył pięścią w stół, aż Albert i świeca podskoczyli.

Wicehrabia odchylił się, pokazując dłonie w obronnym geście.

– Ubrania były bardzo tanie. Znam paru baronów, którzy wydają dwadzieścia pięć, nawet trzydzieści na sam żakiet, a ja naprawdę nie

mogłem targować się i nadal przekonująco odgrywać zamożnego arystokraty, któremu można zaufać, że zapłaci później.

Royce naburmuszył się i klapnął z powrotem na krzesło tak ciężko, że aż się zakołysało.

– Może cię zaskoczy odkrycie, że nie mamy trzynastu sztuk złota.

Albert wyprostował się i pewny siebie uśmiech wypłynął mu na twarz.

– To nie powinien być problem. Mam miesiąc na spłatę.

– Miesiąc... Cały miesiąc? Oszalałeś? Myślę, że największy zarobek, jaki wyciągnęliśmy razem z Hadrianem, to pięć złotych monet i były lokalnie bite, nie tenenty. Zwykle zarabiamy dwadzieścia do trzydziestu sztuk srebra.

– To całkiem przyzwoite pieniądze – dodał Hadrian.

– Tak... Tak, przyzwoite. Ale trzynaście złotych tenentów! – Royce porwał szklanę jabłecznika i powąchał.

– Niesfermentowany. – Albert wyszczerzył zęby.

Royce pochylił się i sprawdził oddech wicehrabiego.

– Mam nadzieję, że cieszysz się z nowych ubrań, bo cię w nich powieszą, wyślą do więzienia dla dłużników, odetną ci kciuki, czy co tam robią z arystokratami, którzy nie płacą rachunków. Nie spodziewaj się, że ci pomożemy.

– Będzie dobrze. Kiedy już ubrałem się stosownie, złożyłem niespodziewaną wizytę staremu przyjacielowi, lordowi Darefowi. Zapytałem, czy ma wolny wieczór, i zaproponowałem, że zafunduję mu noc dekadencji i rozpusty...

– Co takiego? Całkiem ci odbiło? – Royce odwrócił się do Hadriana. – Odwaliło mu. Może za szybko i zbyt gruntownie osuszyliśmy mu mózg.

Hadrian musiał się z nim zgodzić. Wicehrabia radośnie pędził na złamanie karku do skraju urwiska i najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmował.

Albert wyciągnął rękę, żeby poklepać pocieszająco dłoń Royce'a, który błyskawicznie ją cofnął.

– Spokojnie. Nie jestem idiotą. Doskonale wiedziałem, że odmówi. Jak wszyscy inni arystokraci w mieście weźmie udział w jesiennej gali.

To coroczny wieczorek z okazji żniw, tyle że w tym roku dodatkowo będą świętować wyznaczenie nowego kanclerza. Nieobecność byłaby źle widziana. Kiedy zapytał, czemu ja się nie wybieram, udałem, że nic nie wiem, mówiąc, że dopiero przyjechałem do miasta i nie mam o niczym pojęcia.

– Zaprosił cię jako swojego gościa? – zapytał Royce.

Albert się uśmiechnął.

– W rzeczy samej. Zatem tego wieczoru będę spożywał sarninę i bażanty, aż napcham się po uszy. W tym czasie rozejrzę się za ukrywanymi dziwactwami i wydobędę ciemne, złowieszcze sekreciki na święte i pijane światło świec. A potem, jak rozmawialiśmy, nonszalancko zasugeruję możliwą i nieodparcie kuszącą propozycję. Pomacham im przed nosem szansą, żeby wyrównać rachunki z rywalem bez żadnego ryzyka, za cenę jedynych, powiedzmy, dwudziestu lub pięćdziesięciu złotych tenentów.

– Pięćdziesięciu? Oszalałeś.

– Zaufajcie mi. Znam tych ludzi. Złoto niewiele znaczy, kiedy w grę wchodzi jedna chwila upokorzenia wroga, a czasem nawet przyjaciela. Jeśli wykonacie swoją część, niedługo wszyscy będziemy bogaci.

Spojrzenie Royce'a powędrowało w stronę baru. Hadrian zerknął przez ramię i zobaczył tego samego mężczyznę, którego postraszył mieczem w Domu Medford – opierał się o bar i rozmawiał z Grue, patrząc w ich stronę.

– Zauważyłem, że nie uwzględniłeś broni w nowym stroju – rzekł Royce. – Nawet małego, zdobionego klejnotami sztyletu.

– Na bogów, skądże znowu! – Albert był zbulwersowany. – Ja nie walczę.

– Myślałem, że wszyscy arystokraci uczą się fechtunku. – Royce spojrzał na Hadriana.

– Też tak myślałem.

– Może arystokraci, którzy mają kompetentnych ojców. Ja spędziłem swoje młode lata w posiadłości Huffington u ciotki. Prowadziła otwarty salon, gdzie codziennie tuzin arystokratek dyskutowała na wszelkie tematy filozoficzne, na przykład jak bardzo

nienawidzą swoich mężów. Nigdy w życiu nie trzymałem miecza, ale potrafię zasnurować najbardziej skomplikowany gorset i nałożyć farbę na twarz jak luksusowa kurtyzana.

Royce i Hadrian zarechotali. Kiedy Royce zamilkł nagle, Hadrian tym razem nie musiał się oglądać. Słyszał kroki na drewnianej podłodze.

– Dobrze się bawicie, co? – spytał Grue, oślizgły i nadskakujący jak zawsze. – Okazuje się, że wy dwaj przyjaźnicie się z tą ladacznicą. Willard mówi, że nie daliście mu zabrać ich kadzi. Mówi, że poprzytkaliście się z Twardzielem i Borsukiem. Twardziel nadal leży i oplakuje utratę przednich zębów.

– To był wypadek. Pechowo uderzył o balustradę – wyjaśnił Hadrian. – Mimo wszystko nie powinni kraść damom kadzi.

– Damom! – Grue się roześmiał. – A to dobre. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś na kurwy mówił damy. Ci chłopcy wykonywali moje polecenia. Powiedziałem wam wcześniej, że psują mi interesy, uniemożliwiają zarobek, bo kradną mi wszystkich klientów. Przetrwiałem tylko dzięki temu, że mam jedyny lokal przy Przekornej z królewskim pozwoleniem na wyszynk piwa, ale teraz okazuje się, że one też zaczynają warzyć własne. Ona dobrze dogaduje się z administratorami. Rzuciła na nich jakiś urok, więc zgadzają się na wszystko, o co poprosi. Dostanie certyfikat, a ja wylecę z biznesu. Człowiek musiałby być głupi, żeby pić tutaj, kiedy może iść naprzeciwko i wypić piwo z ładną dziewczką na swoim kolanie. Mają taki ruch, może rozdawać trunki za darmo, a ja musiałbym zamknąć interes. Nie pozwolę na to. Dlatego wysłałem chłopców, żeby zabrali jej beczkę brzezki i przyhamowali ją, zanim zdoła zrealizować plany.

– Czyli to tych ich przysłałeś – oznajmił rzecz oczywistą Royce, co było do niego niepodobne, ale w jego głosie zabrzmiała taka nuta, jakby zapadka weszła we właściwe miejsce.

– Oczywiście, że ja, tyle że wy dwaj się wtrąciliście. Nie mogę powiedzieć, żeby mnie to cieszyło.

Hadrian zdumiewał się tym, jak Grue za każdym razem, kiedy się odzywa, ciaśniej zaciska sobie pętlę wokół szyi.

– Prosisz nas, żebyśmy wyszli, czy to jest ten moment, kiedy ty

i twoi kumple dają nam nauczkę?

– Ani jedno, ani drugie. Twardziel jest potwornie wkurzony, ale to idiota. Myślałem o czymś całkiem przeciwnym. Wy, chłopcy, wiedzieliście, jak się zachować. Może mógłbym was wynająć, żebyście pracowali dla mnie.

– Wynająć nas? – spytał Hadrian.

– Przydałoby mi się dwóch gości do utrzymania porządku. Wiecie, żeby murarze nie tłukli mi kieliszków i kubków, a tacy goście jak Stane nie zabijali dziewczyn. Tego typu rzeczy. Niezależnie od tego, co wam pewnie powiedziała, uczę się na błędach. To naprawdę psuje interesy, kiedy ktoś zostaje zabity w twojej karczmie, nawet dziwka.

– Myślałem, że nie miałaś żadnych dziewczyn – powiedział Royce.

Teraz już bardziej kucał, niż siedział, pochylając się, patrząc szeroko otwartymi i skupionymi oczami. Hadrian widział, że koty tak przysiadują przed skoki.

– Cóż, może znajdę nowe. Wyświadczę wam nawet przysługę i powiem, kto ją pobił, jeśli nadal jesteście zainteresowani.

– Powiedziałeś nam, że nie wiesz – zauważył Royce.

– Jestem człowiekiem interesów. Nie oddaję niczego za darmo. – Grue wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Za późno, już wiemy, że to lord Exeter.

– Szkoda. Założę się, że mógłbym dorzucić parę szczegółów, które ona pominęła. Widziałem wszystko przez okno: jak ściągnął ją z werandy po tych ślicznych schodkach, które sobie wybudowała. Trzymał ją za włosy. Najpierw tylko ją policzkował, ale nie podobało mu się, że milczała, więc chyba wtedy złożył dłoń w pięść. Założę się, że było ją słychać aż na ulicy Rzemieślników. Zanim Dixon wybiegł, ona już klęczała, a wtedy on zaczął ją kopać. – Grue urwał.

Uśmiechał się leciutko, a Hadrian zastanawiał się, co powstrzymuje Royce'a. Nawet on chciał wbić twarz Grue w ścianę.

– Lord Exeter rządzi tym miastem, on i jego szeryfowie. Mieszka na zamku. Jest nietykalny. Prawda jest taka, że ta caliska dziwka wpakowała się w niezłe kłopoty. Nigdy nie wiadomo, co może zrobić arystokrata. Może wróci? Może następnym razem ją zabije, jeśli uzna, że ona coś ukrywa? Widzicie, szczerze mówiąc, wysłałem chłopaków

po każdą, bo ludzie splądrują ten lokal po jej śmierci. Uznałem, że będzie mądrze uprzedzić wszystkich. W gruncie rzeczy Rose wyświadczyła mi przysługę, aż chciałbym wyściskać tę dziewczynę.

– Lepiej uważaj – powiedział Royce. – Róże mają kolce.

* * *

– Jestem z małej wioski – powiedział Hadrian. Odchylił się do tyłu ku fontannie, nałapał wody w dłoń i obmył twarz – ale lord najwyższy konstabl to taki ważny szeryf, nie?

– Tak – odpowiedział Albert.

Wszyscy trzej stali w cieniu posągu króla na wspiętym koniu. Słońce przygrzewało i Albert też zanurzył dłonie w fontannie na placu Szlacheckim, spryskując kropelkami twarz w pełen gracji sposób stosowny dla mężczyzny z koronkowymi mankietami.

Hadrian westchnął.

– Co? – spytał Royce.

– Może to tylko to miasto, a może północ w ogólności. Ono nas nie lubi. Wiesz, noga dopiero niedawno przestała mnie boleć. – Spojrzał na Alberta. – Kiedy ostatni raz tu byliśmy, niemal rok temu, zostałem dźgnięty i noga rwała mnie przy każdym deszczu. Dopiero kilka tygodni temu zdałem sobie sprawę, że pada, a noga mnie nie boli. Po raz pierwszy... A teraz...

– A teraz co? – spytał Albert, sprawiając wrażenie zagubionego, ale Hadrian niczego mu nie wyjaśnił.

Royce przyglądał się zamkowi. Groty włóczy wznosiły się nad murami, rzucając popołudniowe cienie na plac. Urocza fosa była spokojną sadzawką z liliami wodnymi, ważkami, pałkami i jasnozielonym kożuszkiem. Brama stała otwarta, most spuszczone – jak otwarte usta z wysuniętym językiem. Dwóch strażników stało po obu stronach mostu, sprawdzając wszystkich, którzy nim przechodzili. Nieliczni próbowali. Wszyscy zatrzymani pokazywali zwój. Wezwanie? Zaproszenie? Dowód tożsamości? Może wszystko naraz.

– Albercie, co wiesz o lordzie Exeterze? – spytał Royce.

– Simon Exeter to syn Vincenta Exetera i Marie Essendon, ciotki króla Amratha. Exeterowie, tak jak Essendonowie, Pickeringowie, Redowie, Valinowie i Jerlowie są potomkami sygnatariuszy statutu, który powołał do istnienia królestwo w... Ehm... – Albert urwał i się zamyślił.

– Nie potrzebuję dat.

– Świetnie, bo jestem w nich kiepski. Powiedzmy tylko, że to było dawno temu. W każdym razie ta szóstka tworzy rody arystokratyczne w Melengarze. Exeterowie władają Wschodnią Marchią. To bardzo ważne lenno, ponieważ stanowi bramę do królestwa i bastion stojący na drodze inwazji ze wschodu. Właściwie wszelkich inwazji, ponieważ Marchia kontroluje główny trakt północno-południowy.

– Przejdź do samego człowieka – powiedział Royce, odrywając wzrok od zamku, żeby przyjrzeć się placowi.

Wszędzie wokół stały bok w bok dwupiętrowe domy arystokracji, tworząc wysoki mur. Przeważnie miały kamienne bramy, które prowadziły na małe dziedzińce. Każdy był inny, każdy z charakterem w ładnych oknach i pomalowanych fasadach rywalizujących z sąsiednimi. Odziani w aksamity mężczyźni sączący alkohol z kielichów patrzyli na wszystkich z góry ze swoich balkonów.

– Simon jest... pryncypialny – powiedział Albert. – Osobiście nigdy za nim nie przepadałem. Pewnie niewielu go lubi. Z pewnością jest arogancki, ale i pewny siebie w takim stopniu, że zachowuje się jak skończony dupek. On ma zawsze rację, rozumiesz. Jeśli się z nim nie zgadzasz, to obraża cię i lekceważy. Mówiąc krótko, to tyran. Nie lubi imperialistów, nienawidzi Warric, nienawidzi właściwie większości południa, może całego świata, kto wie. Wieść niesie, że nie najlepiej dogaduje się z królem.

– Jak to działa?

Albert wzruszył ramionami.

– Kiedy rozmawiałeś ze swoim arystokratycznym kumplem, wspominał jakieś niedawne wydarzenia?

– Gałę, rzecz jasna. Przykrą wiadomością, że cena brokatu wzrosła do obłąkanego poziomu. Toczy się wojna handlowa z Warric i jak zwykle

moda jako pierwsza pada jej ofiarą. Wspomniał też, że nie sposób znaleźć dobrego pokojowca. Daref przepada za młodymi mężczyznami i regularnie ich wymienia. Ach... – Albert uniósł palec, gdy coś przyszło mu na myśl. – Stary kanclerz Wainwright zmarł i zastąpił go Percy Braga, jakiś cudzoziemiec z południa. Według Darefa nominacja sprawiła, że lord Exeter wpadł w stan rozgorączkowania, jak to ujął. Nie dość, że lord sam chciał zająć to stanowisko, to jeszcze trafiło do rąk obcego, który jest mocno powiązany z kościołem. Mogę sobie tylko wyobrazić burzę, jaką to musiało wywołać.

Albert popukał się w usta.

– Co jeszcze... Och, księżniczka otrzymała w prezencie na urodziny konia z Maranonu, na którym prawie codziennie przejeżdża przez plac. Urządzono wieszanie... Ale to widzieliśmy przy wjeździe. Było coś jeszcze... – Pokręcił sfrustrowany głową.

– Jak zmarł Wainwright?

– Właściwie to okoliczności były dość tajemnicze. Oficjalna wersja mówi, że zmarł od gorączki.

– A nieoficjalna?

– Podobno gorączka pojawiła się nagle.

– Trucizna?

– Możliwe.

– Jak dawno temu?

– Jakiś miesiąc, o ile się nie mylę. Gala odbędzie się na cześć jego zastępcy, kanclerza Bragi, który właśnie zajął jego miejsce.

Dzwony odegrały skomplikowaną melodię, a Royce spojrział na bliźniacze wieże katedry dżgające błękitne niebo. Zamek i kościół stały naprzeciwko siebie przy placu, rywalizujące olbrzymi na dwóch końcach areny, na której trudziły się mrówki. Zauważył długość cieni. Czas uciekał.

– Wiesz coś o tym nowym jegomościu, tym Bradze?

Albert pokręcił głową.

– Tyle co powiedział Daref. Jest z południa, ma jakieś powiązania z kościołem i ożenił się z siostrą królowej, Clare. A tak! O to mi chodziło. Lady Clare także zmarła niedawno.

– Mnóstwo zgonów.

– Na to wygląda. – Albert spojrział na Royce’a, mrużąc oczy. – Skąd te wszystkie pytania? Co próbujesz rozgryźć?

– prostytutka poszła na zamek i zniknęła. Nikt nie wie, gdzie dziewczyna się podziewa, a lord najwyższy konstabl desperacko jej szuka. Dlaczego?

– Bo jest konstablem? – zasugerował Albert. – To jego robota.

– Myślisz, że taka gruba ryba jak lord najwyższy konstabl osobiście turbuje ludzi w środku nocy, żeby znaleźć zaginioną prostytutkę?

Albert zdecydowanie stracił przekonanie.

– Nie, kiedy ujmiesz to w ten sposób.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobił? – spytał Hadrian.

– Nie mam pojęcia. – Royce spojrział na zamek, na strażników i na wieże. – A dziewczyna najpewniej nie żyje. Ważne jest tylko to, że Exeter jej chce, i to jest jego słaby punkt.

– Słaby w jakim sensie? – zapytał wicehrabia. – O co tu chodzi?

– Będziesz miał dwa zadania do wykonania tego wieczoru, Albercie – powiedział Royce. – Po pierwsze, znajdź nam robotę, dzięki której spłacimy twoje ubrania. Po drugie, musisz mi pomóc zabić lorda Exetera.

Rozdział 11

Nowy strażnik

Reuben szedł przez zamek, czując, że zwraca na siebie uwagę. Nosił swoją nową tunikę, kolczugę, hełm i miecz. Skrzywił się, kiedy nadszedł czas włożyć hełm. Rozcięcia na twarzy nadal go bolały po ostatnim razie, kiedy nosił hełm. Jednakże nowy w niczym nie przypominał tamtego. Nie miał wyściółki, nie potrzeba było upychać w nim szmat wokół głowy. Dobrze pasował, był wygodny i nie miał wąskiej przyłbicy, która niemal całkiem go oślepiła. Nowy mundur dodawał mu pewności siebie. Tak samo jak miecz, teraz, kiedy już wiedział jak nie wyjść na głupka, gdy go wyciągnie. Nie miał szansy wygrać żadnego turnieju podczas zimonaliów, ale mógł sprawić, że ktoś dwa razy zastanowi się, nim go zaatakuje. Podejrzewał, że na tym w głównej mierze polegało zadanie straży – budzić lęk. Zastanawiał się, czy namówi Mauvina, żeby pokazał mu coś więcej. Chętnie myślał, że Pickeringowie, jeśli nie sam książę, naprawdę go lubią, ale chętnie wyobrażał sobie różne rzeczy.

Chciał wierzyć, że nic dziwnego się nie dzieje i jego ojciec miał doskonały powód, żeby upić się w środku dnia, i to w dniu ważnego wydarzenia na zamku, kiedy od całej straży oczekuje się, że pokaże się z najlepszej strony. Chciał myśleć, że Rose nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, że jego ojciec podniósł mundur z podłogi i w tej właśnie chwili podejmował działania mające na celu aresztowanie zabójców spiskujących przeciwko królowi. Chciał także myśleć, że giermkowie nie będą już dłużej mu dokuczać, odkąd został

zaprzyjęzonym strażnikiem na zamku Essendonów, albo – jeśli to nie wystarczy – że jego nowe szkolenie i nowi przyjaciele zapewnią mu bezpieczeństwo. Chciał myśleć, że teraz będzie budził w każdym szacunek, łącznie z ojcem. I chętnie myślał..

Dostrzegł błysk bordowej sukni i przystanął przy schodach obok pięknej zbroi. Obrócił się i zobaczył lady Drundiline, sekretarkę królowej. Powinien był się domyślić. Księżniczka była w swoich komnatach i nadal przygotowywała się, jak zawsze przed uroczystościami. Jej włosy upięto wysoko, odsłaniając długą szyję, i domyślał się, że pewnie włoży nową suknię. Niemal zawsze nosiła nową, a niedawno królowa pozwoliła jej na głębsze dekolty. Daleko było tym sukniom do tego, co nosiła Rose, ale nie wyglądały już tak dziecinnie jak jej dotychczasowe rzeczy. Król i królowa zaczęli popisywać się córką; niedługo zaczną aranżować jej małżeństwo.

Reuben lubił udawać przed sobą, że Arista nie zostanie zmuszona do ślubu. Że nie opuści Medfordu dla jakiegoś odległego zamku, a on nigdy więcej jej nie zobaczy. Niestety miała prawie trzynaście lat. Nie zabawi tu długo. Już sama myśl go raniła i skradła mu całą radość z nowego munduru i podarowanego przez księcia miecza. Przerazenie, jakie zrzucił z siebie, kiedy powiedział ojcu o Rose, zastąpiło teraz coś, co przypomniało wyczekiwanie nadciągającej egzekucji. Majaczyła przed nim mglista i niejasna. Tyle że śmierć była zdecydowanie zbyt nieokreślona, żeby naprawdę jej się bać. Reuben nie potrafił wyobrazić sobie, że jest martwy, za to potrafił wyobrazić sobie spacerowanie tymi korytarzami ze świadomością, że nie ma szansy dostrzec Aristy nawet przelotnie. Kiedy ją odeśła, przegnają także jego marzenie, ale póki tu była, dopóki nie wyszła za mąż, zawsze istniała nadzieja. I mając tak niewiele, tę cieniutką nitkę obietnicy, przekonywał siebie, że oddychanie to nadal coś dobrego.

Reuben lubił myśleć, że pewnego dnia weźmie w objęcia Aristę i poczuje, że przestała drżeć, bo on jest przy niej. Tego dnia, kiedy oboje będą starsi, dowie się, co to znaczy pocałować ją w usta.

Westchnął.

Lubił wyobrażać sobie wiele rzeczy, ale nic użytecznego.

Począł, aż nikt nie będzie patrzeć, i przemknął schodami do

niższych korytarzy, które prowadziły do lochów. Ogarnęła go panika, kiedy zobaczył bele siana. Dekoracje z okazji przyjęcia rozstawiono w całym zamku – bele siana, snopy zboża, dynie i kabaczki.

Ale po co ktoś stawiałby je tutaj? Może zostało im za dużo? A co ważniejsze: czy znaleźli Rose?

Popędził do ostatniej celi, zdjął latarnię z sufitu, otworzył z impetem drzwi i zerknął do środka. Wstrzymał oddech i serce biło mu jak szalone, dopóki nie zobaczył ruchu w kącie. Wszedł do środka, unosząc wyżej latarnię. Spojrzało na niego dwoje wielkich piwnych oczu.

– Reuben? – zapytała z niepokojem Rose. – Już czas? Mogę już iść?

Rozluźnił się i odetchnął.

– Nie, jeszcze nie. Jak się czujesz?

– Boję się. – Klęczała na kamieniu, ciasno obejmując się rękami. Z jednej strony miała potargane włosy; tkwiły w nich źdźbła słomy. – Powiedziałaś już ojcu?

– Tak i on wszystkim się zajmie. Powiedział, że to dobrze, że tu jesteś. – Reuben się zawahał. – Tak czy inaczej, ojciec to wszystko wyjaśni.

– Jesteś pewien?

Oczy miała zaczerwienione i podkrążone. Znowu płakała.

– Mówiłem ci, mój ojciec jest w straży przybocznej króla. Jego zadaniem jest chronić królewską rodzinę. Zaufaj mi, zajmie się tym.

– Nie podoba mi się tutaj. Jest zimno, podłoga jest twarda, a ja nic nie zrobiłam. – Spojrzała na podłogę. – Przyszłam tylko na przyjęcie. Robiłam, co mi kazano. – Zerknęła w stronę wyjścia i wskazała je ręką. – Ktoś tu wcześniej zszedł. Widziałam światło za drzwiami i słyszałam jakichś ludzi. Byłam przerażona.

– Wiem. – Reuben uśmiechnął się, powiesił latarnię na haku na suficie i wyszedł z powrotem na korytarz. Wziął kilka beli siana i wrzucił je do celi. – Trzymaj, możesz na tym siedzieć albo rozłożyć siano i się położyć. Jest całkiem miękkie i będzie ci cieplej, bo odgrodzi cię od kamienia. Muszę iść na służbę, więc nie mogę długo zostać. Pewnie będziesz musiała spędzić tu tylko jeszcze jedną noc – powiedział to najłagodniej, jak potrafił.

Usiadła na beli siana i skinęła głową. Co innego mogła zrobić? Rozpłakać się, może krzyczeć, uznał. Cieszył się, że tego nie zrobiła.

– Chciałabym mieć chociaż światło. To przerażające nie móc nic widzieć. Próbuję spać, ale nie da się za dużo spać, wiesz?

– Mógłbym przynieść ci świecę, ale najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz w ciemnościach. Nikt nie powinien tu schodzić, ale gdybyś wcześniej miała światło, zauważyliby je ludzie, którzy przynieśli siano. Wiem, że to musi być dla ciebie okropne, ale to jeszcze tylko jeden dzień. Jedna noc tak naprawdę i lepiej zachować ostrożność, nie uważasz?

Zagryzła dolną wargę i skinęła głową pokonana.

Reuben czuł się okropnie.

– Ej, co myślisz o moim nowym mundurze? Przystojniak ze mnie, co?

Chciał zażartować, żeby poprawić jej humor, podnieść ją na duchu. Ktoś inny natychmiast wyczułby jego nieszczerłość. Humor Reubena zawsze był autoironiczny.

– Ładnie wyglądasz – przyznała. – Jeszcze wspanialej niż zwykle.

Reuben oniemiał. Uznał, że Rose mówi poważnie. Natychmiast ogarnęła go chęć, żeby ją poprawić – jeszcze nikt nie powiedział o nim, że wygląda wspaniale, a on z pewnością tak się nie czuł. Odrobinę bardziej się wyprostował. Wtedy zauważył niesamowicie wąską talię jej gorsetu, piersi połyskujące jasno i gładko w migotliwym świetle latarni.

– Dopiero co kilka minut temu złożyłem przysięgę, że będę służyć królowi.

– Moje gratulacje.

– Dzięki.

Reuben zdał sobie sprawę, to pierwsza osoba w jego życiu, która mu czegoś pogratulowała. Gdy pomyślał, jaką ścieżkę obierze jego życie, zdał sobie sprawę, że pewnie będzie jedyną.

– Cóż, powinienem już iść. Chciałem tylko zajrzeć przed służbą i dać ci znać, że rozmawiałem z ojcem.

– Musisz wyjść? – zapytała. – Nie możesz dotrzymać mi przez chwilę towarzystwa? Zdziwisz się, jak nudne jest siedzenie w ciemnej celi.

Słucham tylko własnego oddechu.

Uśmiechnął się, myśląc, że zażartowała, i zakłopotał się, gdy zdał sobie sprawę, że to nie był żart. Skrzywił się, ale ona i tak się uśmiechnęła. Miała takie wielkie oczy, wielkie i ciemne. Przypominały mu konie w stajniach – przyjazne oczy.

Usiadł, a ona natychmiast przysunęła się do niego, przesuwając biodra, aż dotknęła jego boku.

– Zimno – powiedziała.

– Może powinienem postarać się o drugi koc. Mógłbym...

– Nie idź.

Złapała go za rękę i objęła.

– Co się stało?

– Nie chcę siedzieć tu sama. – Poczuł, że pociera jego rękę. – Powiedz mi, jak się żyje na zamku?

Reuben się roześmiał.

– Nie wiem. Mieszkam w maleńkim pokoiku w koszarach razem z ojcem i mnóstwem innych opryskliwych mężczyzn. Jestem na zamku tylko wtedy, gdy przynoszę drewno, wiadra wody albo wynoszę popiół. Większość czasu spędzam na dziedzińcu.

– Ale nie siedzisz tam, kiedy pada, prawda?

– Wtedy idę do stajni. Zwłaszcza gdy jest zimno. Dzięki koniom w stajni jest ciepłutko. A gdy robi się naprawdę mroźno, stoję między nimi i patrzę, jak wydychają wielkie kłęby pary. Oporządzam je i rozmawiam z nimi. Chyba lubią moje towarzystwo.

– Jeśli chociaż trochę mnie przypominają, to na pewno. – Ucisnęła jego rękę delikatnie i spojrzała na niego tymi swoimi wielkimi oczętami.

– Może powinienem następnym razem przynieść ze sobą szczotkę.

Chciał zażartować – kolejna nędzna próba bycia zabawnym. Dopóki nie usłyszał własnych słów, nie zdawał sobie sprawy, że właśnie porównał ją do konia. Spodziewał się, że teraz odsunie się od niego i obrazi. Zamiast tego oparła głowę na jego ramieniu.

– Chciałabym, żebyś czesał mi włosy.

Trąciła go nosem. Domyślał się, że udaje teraz konia, stara się być zabawna, zażartować z jego dowcipu. Jednakże odnosił inne

wrażenie. To było miłe. Naprawdę miłe. Ciepłe, pocieszające i podniecające. Dziewczeta nigdy nie były takie miłe, takie... Przyjazne.

– Nie jesteś jak inni mężczyźni, których znałam.

Jego umysł zaciął się na słowie „mężczyźni”. Większość ludzi mówiła o nim „chłopiec” albo jeszcze gorzej. Nawet księżniczka, która miała tylko dwanaście lat, mówiła o nim chłopiec. Słyszając słowa Rose, od razu poczuł się lepiej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał, lepiej niż po włożeniu munduru, lepiej niż nosząc miecz.

– Skąd wiesz? Dopiero się poznaliśmy.

Roześmiała się. To był smutny śmiech.

– Znam cię dłużej niż większość mężczyzn.

– Och, racja – mruknął.

Zapomniał. Nie licząc sukienki, nic w Rose nie sprawiało, żeby myślał o niej inaczej niż jak o ładnej dziewczynie. Teraz, kiedy większość makijażu zniknęła, dostrzegł jej słodycz, otwartość, która mu się spodobała. Nie czuł, że musi pilnować się przy niej jak przy wszystkich innych. Kiedy popełniał błąd, nie kpiła z niego. Ani razu go nie wyśmiała ani nie wyszydziła. Mógł być sobą, mógł się rozluźnić – wcześniej czuł się podobnie tylko w towarzystwie drewna i koni. Rose była niewiarygodnie miła i trudno było myśleć o niej jak o...

– Jak wygląda twoje życie?

Uśmiechnęła się do niego.

– Sam widzisz, jesteś bardzo dziwny.

Gdyby ktokolwiek inny to powiedział, Reuben skrzywiłby się, ale z tonu jej głosu i wyrazu twarzy zorientował się, że to był komplement.

– Tak? – spytał.

– Tak. Pytasz, jakbyś naprawdę był ciekawy.

– Bo jestem. Chcę wiedzieć, jak to jest być... no... tobą.

Popatrzyła na niego, a on odwzajemnił spojrzenie. Uśmiech Rose przybladł i na jej twarzy zagościł smutek.

Zrobił coś strasznego, powiedział coś okropnego. Nie mógł tylko zorientować się...

– Co? – spytał.

– Nic.

– Nie, powiedz mi. Co się stało?

Odwróciła wzrok, włosy zakryły jej twarz.

– Nie powiedziałaś „dziwką”.

Siedział, nie wiedząc, jak zareagować, nie wiedząc, co powinien powiedzieć.

– Dlaczego nie? Dlaczego nie powiedziałaś tego?

Wzruszył ramionami.

– To nie wydawało się... Sam nie wiem... Grzeczne.

Jej twarz znowu się pojawiła, policzki miała tak mokre, że pasemka włosów się do nich przyklejały.

– Widzisz! – powiedziała odrobinę za głośno. Głos jej załamał się i zakaszła. – Inni mężczyźni nie mają problemu z tym, żeby to powiedzieć, a bardzo niewielu w ogóle próbowało być wobec mnie grzecznymi. Nie musisz być grzeczny, kiedy płacisz. Nie musisz być troskliwy czy choćby delikatny. I nikt nie chce rozmawiać, a jeśli tak, to sami chcą mówić. Nie chcą niczego słuchać, a jeśli tak, to chcą, żeby mówić im okropne rzeczy, a już absolutnie nie życzą sobie słuchać żalosalnej historii jakiejś biednej dziewczyny. – Zaśmiała się znowu, nerwowym, żalosalnym śmiechem, który bardzo przypominał płacz.

– Ja chcę.

– Nie, nie chcesz. Nawet ja nie chcę tego słuchać. To przygnębiające.

Pochyliła się i schowała twarz w dłoniach. Jej ciało drżało wstrząsane szlochem. Sięgnął i chciał ją poklepać po plecach, ale to nie wydawało się właściwe. Zamiast tego położył rękę na jej ramieniu i uściśnął lekko, miał nadzieję, że pocieszająco. Odpowiedziała, odwracając się i przyciskając twarz do jego piersi. Objął ją. Siedzieli pod migoczącą lampą przez kilka minut. Chciał, żeby poczuła się lepiej, ale nie do końca – bo tulenie jej było cudowne, a gdyby poczuła się lepiej, odsunęłyby się.

– Dziękuję – powiedziała głosem stłumionym przez jego kasak.

– Za co?

– Za to, że jesteś inny. Za to, że mnie słuchasz. Że dbasz o moje bezpieczeństwo.

– Nie musisz dziękować ludziom za coś takiego. Każdy by...

Pokręciła głową.

– Żaden mężczyzna, którego znałam, nie zrobił czegoś takiego. Szczerze mówiąc, nie sądziłam, że ty w ogóle istniejesz.

– Ja?

Rose odsunęła się wtedy, oddychając głęboko i ocierając oczy.

– To znaczy ktoś taki jak ty. Silny, przystojny, pięknie odziany i lśniący jak ci rycerze z bajek.

– Jestem żołnierzem z pospólstwa. Nigdy nie będę rycerzem.

– Myślę, że już jesteś. A w każdym razie jesteś kimś, kim rycerz powinien być. Znam paru prawdziwych rycerzy. Wszyscy wyglądają tak samo bez zbroi. Żaden z nich nigdy nie był szlachetny.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała. Była delikatna. Tylko go musnęła. Jej usta były najbardziej miękką rzeczą, jaką kiedykolwiek poczuł. Jej palce przesunęły się z policzków ku jego szyi. Odsuwając się, żeby coś powiedzieć, ale nadal będąc tak blisko, że czuł jej oddech, powiedziała:

– Jeśli nie chcesz pobrudzić nowego munduru, możemy go złożyć i położyć na jednej belce siana.

– Rose – zaczął, nie bardzo wiedząc, skąd wziął powietrze, żeby coś powiedzieć, bo odebrała mu cały oddech. Zyskał chwilę, biorąc ją za rękę. – Nie mogę.

– To twój pierwszy dzień. Jak bardzo będą źli, jeśli trochę się spóźnisz?

– Nie chodzi o to. To... Niewłaściwe.

Uśmiechnęła się, próbując się nie roześmiać.

– Nie, to w porządku. Słowo. Pierwszy raz naprawdę chcę to zrobić. I będę mogła potem zasnąć, to pomaga. Naprawdę.

Pocałowała go znowu, a on się odsunął.

– Co się stało?

– Naprawdę nie mogę.

– Jeśli się boisz... Jeśli to twój pierwszy raz, to w porządku. To mi się podoba, poczuję się naprawdę specjalnie.

– W tym rzecz. To byłoby coś specjalnego i dlatego nie mogę.

Spojrzała na niego zdezorientowana, a potem powoli się odsunęła. Ręce jej opadły, a na twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Musi być niezwykłą kobietą.

– Jest.

– Jak długo jesteś w niej zakochany?

– Całe życie, chociaż poznałem ją dopiero trzy lata temu – odpowiedział, zdając sobie sprawę, że nigdy nie wyznał tego żadnej żywej duszy.

Rose spuściła wzrok i myślał, że znowu się rozpłacze. Nabrała powietrza i zmusiła się do sztywnego uśmiechu.

– Dobrze całujesz. To ona cię nauczyła?

– Nie, ale dziękuję.

Rose musnęła jego policzek palcami. Jej spojrzenie było smutne i tęskne.

– Mam nadzieję, że wie, jaką jest szczęściarą.

Reuben odwrócił wzrok, zamknął oczy i przygryzł wewnętrzną stronę ust.

* * *

Jak wielkim głupcem jestem?

Reuben wyszedł z lochów w wir świątecznych przygotowań. Jak gdyby wynurzał się z odmętów, rzeczywistość była za jasna, za głośna. Wszędzie płonęły światła – podświetlone dynie z wyciętymi twarzami, latarnie, pochodnie, świece na półkach, zwieszające się z sufitów albo zatknięte na tyczkach. Dźwięki fletów i skrzypiec rozbrzmiewały w kamiennych korytarzach, stłumione przez odgłosy kroków, kiedy nadchodzili gospodarze, ściągali goście, pędziła służba.

Taki cudowny świat. Tyle widoków i dźwięków. Tyle piękna, które zamykano, ukrywano przed tymi, co przyjaźnią się z koźmi w mroźne zimowe noce. Reuben przystanął na chwilę przed wejściem, rozglądając się wśród połaci i majestatu sukni i płaszczy, zastanawiając się, czy ją dojrzy. Co włożyła na tak wielką galę? Co pomyślałaby o jego nowym mundurze? Czy jej także nagle wydałby się wspaniały?

Znał prawdę. Gdyby księżniczka zobaczyła go teraz, nie zauważyłaby go. Jej wzrok przesunąłby się po nim, jakby był

powierzchnią nieruchomego stawu. Był jeszcze jednym strażnikiem, równie ciekawym jak stół albo kolumna.

Odwrócił się i ruszył ku wielkim drzwiom. Nie chciał jej widzieć. Nie chciał udowodnić sobie, że ma rację, nie po rozmowie z Rose. Co by pomyślała, gdyby jej powiedział? Co mogłaby powiedzieć? Jak by jej to wyjaśnił? Nikt nie mógł zrozumieć, nawet on czasem się z tym biedził.

Na dziedzińcu panował niemal taki sam ruch, jak w zamku. Służący z wiadrami i paczkami biegli, żeby je dostarczyć. Przez lata Reuben obserwował przyjęcia z dachu drewnutni albo zimą z okien stajni. Siedział w cieniu godzinami, zdumiewając się pelerynami, kapeluszami, laskami, piórami, futrami. Wszystkie przyjęcia zaczynały się paradą, wędrownym pokazem tylko dla niego. Jednakże tego dnia sam będzie pracował przy tej paradzie.

– Spóźniłeś się! – porucznik Wylin stał przy frontowej bramie z Grishamem i Bale'em.

Bale wyglądał na poirytowanego i rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie.

– Możesz już odejść, Bale.

– Tak jest, sir – odpowiedział strażnik, piorunując wzrokiem Reubena. – Najwyższy czas, do diabła.

– Kiedy nie wykonujesz swojego zadania, jak należy, Hilfred – zganił go surowo Wylin – twoi towarzysze cierpią. Zapamiętaj to sobie. Teraz jesteś częścią zespołu. Zaufaj mi, nie chcesz być najslabszym ogniwiem w łańcuchu. Straż zamkowa ma sposoby rozwiązywania swoich problemów.

Dla Reubena dziwne było to, że Wylin zwraca się do niego po nazwisku. Nigdy do tej pory tego nie robił i brzmiało to dziwnie, jakby mówił do jego ojca.

– Grisham pokaże ci, co ma być zrobione. Rób, co ci każe, a ja wrócę później. – Zamilkł i, jakby czytał w jego myślach, dodał po chwili: – Twój ojciec poświęcił wiele lat, żeby nazwisko Hilfred budziło szacunek i kojarzyło się z godnością. Pilnuj się, wykonuj swoje obowiązki z honorem i odwagą, dopełnij przysięgi, że będziesz chronił Jego Wysokość oraz jego rodzinę, a ojciec będzie z ciebie dumny. Może

pewnego dnia jak on zostaniesz sierżantem straży.

Wylin skinął krótko głową do Grishama i odmaszerował.

– To co mam robić? – spytał Reuben.

– Nic. Myślisz, że dasz sobie radę?

– To dlaczego to było takie ważne, żebym przyszedł na czas?

– Bo Bale’a bolała noga i był głodny. Postoisz w tym miejscu sześć godzin. Przekonasz się.

– Naprawdę mam tu tylko stać?

– Stoisz po stronie wychodzących – powiedział Grisham, a potem wskazał za most na plac w centrum Dzielnicy Szlacheckiej, gdzie czekała długa, zakręcająca wokół posągu Tolina Essendona kolejka powozów. – Widzisz te powozy? Przyjeżdżają moją stroną. Sprawdzam zaproszenia i wpuszczam je. Podjeżdżają pod frontowe drzwi, wysadzają gości i woźnica wraca twoją stroną. Król nie przejmuje się pustymi powozami wyjeżdżającymi z zamku. Stoisz więc tylko i pozwalasz im wyjechać. Nawet ty powinienesz sobie z tym poradzić, co?

– A jeśli ktoś nie ma zaproszenia?

– Wtedy każę mu odjechać.

– A jeżeli się nie zgodzi?

Grisham się uśmiechnął.

– Nigdy nie mamy tyle szczęścia. Jedyna zabawa, jaką mamy, to patrzenie na pijanych nocą. Czasem robią się opryskliwi i jeśli są to kupcy, to możemy kopnąć ich w tyłek. Tylko pilnuj się, żeby nie kopnąć arystokraty. Jeśli nie jest naprawdę pijany, może to zapamiętać, a wtedy stracisz nogę, którą go kopnąłeś.

Zagrano fanfary na dwóch trąbkach na murach i pierwszy powóz w kolejce podjechał. Na górze siedział typowy stangret w ciężkim czarnym stroju i tradycyjnym miękkim kapeluszu. Zatrzymał dwa niepasujące do siebie konie – karego i siwego.

– Zaproszenie, proszę. – Reuben usłyszał głos Grishama z drugiej strony.

Chłopiec w dublecie z wysokim kołnierzem i w futrze spojrział na Reubena z pogardą przez okno. Przekładał między palcami srebrny sztylet z rękojeścią w kształcie smoka.

– Witamy na zamku Essendonów – oznajmił Grisham minutę albo dwie później i powóz wjechał.

Wtedy kolejny podjechał na jego miejsce. Reuben obserwował przez długość mostu przesuwającą się linię i kolejne powozy pojawiające się na placu Szlacheckim, nadjeżdżające z różnych bocznych ulic. Większość była otwarta, wiele wyglądało identycznie. Te ostatnie miały latarnie ze świecami zawieszane w czterech rogach na ozdobnych żelaznych ramionach, które przy końcach wyginały się do góry jak winorośle. Zastanawiał się, czy identyczne powozy wynajęto z miejskich stajni, bo wszystkie były ciągnięte przez jednego konia i miały takie same odsuwane dachy, składane jak wachlarz damy. Tego wieczoru, ponieważ było bezchmurnie i jeszcze niezbyt zimno, tylko nieliczne dachy podniesiono. Reuben domyślał się, że pokazanie się przy wizycie na zamku jest równie ważne jak otrzymanie zaproszenia. Niektóre powozy ciągnęła para koni. Reuben przypuszczał, że im więcej koni, tym więcej pieniędzy. Naprawdę bogaci nie musieli wynajmować powozów i każdy taki pojazd był niepowtarzalny, większy i pięknie zdobiony. Reuben zauważył, że Grisham przepuszcza te powozy szybciej i jest przy tym bardziej oficjalny.

Kiedy większość parady przeszła, zaczęły pojawiać się luki w sznurze i powódź zmaląła do strumyczka, Grisham go zawołał:

– Zajmiesz się następnym. Może się zdarzyć, że w którymś momencie wyskoczę za potrzebą.

Zamienili się miejscami i Reuben poczekał, aż podjedzie następny powóz. To był jeden z tych otwartych, ciągniętych przez jednego konia. W środku jechało dwóch mężczyzn ubranych w peleryny z wysokimi kołnierzami. Jeden był zwalisty, a drugi chudy.

Powóz zatrzymał się przy bramie.

– Zaproszenie, proszę – powiedział Reuben tym samym monotonnym głosem, jaki słyszał u Grishama.

Zwalisty mężczyzna podał mu zwinięty pergamin; na dłoniach miał białe rękawiczki.

Reuben rozwinął pergaminie i zerknął na treść. Nie miał pojęcia, co tam napisano – nie potrafił czytać. Był przekonany, że Grisham też nie

umie. Niemniej dokument wyglądał tak samo jak pozostałe, a on tak naprawdę szukał tylko królewskiej pieczęci. Jednakże po raz pierwszy widział pismo i zachwycił się pięknymi liniami.

Oddał zaproszenie.

– A pańskie, sir?

Wyciągnął rękę do chudego mężczyzny.

– To wicehrabia Albert Winslow – wyjaśnił zwalisty mężczyzna. – Jest moim gościem tego wieczoru.

Dziesiątki powozów przejechały przez bramę i ani razu nikt tak nie powiedział. Reuben zaczął się pocić i zastanawiać, co powinien zrobić. Czując się jak głupiec i wiedząc, że zawiódł, zrobił krok w bok, żeby nawiązać kontakt wzrokowy z Grishamem.

Starszy strażnik skinął głową.

– Ehm... Dziękuję. Witamy na zamku Essendonów – powiedział Reuben i gestem wskazał, żeby przejeżdżali.

Grisham zarechotał, kiedy zamieniali się z powrotem miejscami, ale nic nie powiedział.

Wkrótce powozy przestały nadjeżdżać i Grisham kazał mu zamknąć małą furkę, spuścić żelazne sztaby i umieścić na miejscu z głośnym szczękiem. Mieli dzięki temu o co się oprzeć, ale Grisham ostrzegł go, żeby nie dał się na tym przyłapać. Sierżanci przymykali na to oko, ale Wylin i Lawrence nie lubili tego, a po niespodziewanej śmierci sierżanta Barnes, który zwykł nadzorować strażę przy frontowej bramie, najpewniej to Wylin będzie ich sprawdzał.

– Najłatwiejszą robotę skończyliśmy – oznajmił Grisham. – Teraz nadejdą długie godziny nudy. Będziemy tu tylko stać i otwierać bramę, kiedy ludzie zaczną wychodzić.

– Powozy nie wrócą?

– Wrócą, ale na razie muszą czekać na ulicy. Nie ma miejsca dla wszystkich na dziedzińcu. – Grisham spojrzał na zamek i znowu na miasto. – No dobra, muszę skoczyć na stronę. To może chwilę potrwać, trochę mnie przyblokowało, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dasz radę po prostu stać tu i nie wpakować nas w żadne kłopoty?

Reuben skinął głową.

– Zresztą nic nie powinno się dziać przez następne kilka godzin. Nie

tu na zewnątrz. Postaraj się po prostu nikogo nie zadźgać ani nie wpuścić wrogiej armii, w porządku?

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Dobry chłopak.

Grisham odszedł w stronę koszar.

Reuben spojrział wzdłuż mostu na miasto, ale nie widział go tak naprawdę. Zamiast tego przypominał sobie dotyk dłoni Rose na jego ręce, ruch jej bioder, kiedy tuliła się do niego, wyraz jej twarzy. Nikt dotąd nie patrzył na niego w ten sposób. W jej wielkich oczach był podziw, wręcz zachwyt, jakby był kimś ważnym. Wydawało się nieuczciwe pozwalać jej patrzeć na siebie w taki sposób, pozwolić jej myśleć, że jest czymś więcej, niż ma to miejsce naprawdę. Reuben zastanawiał się, jak ona to odbiera. Jak straszne musiało być sypianie z mężczyznami dla pieniędzy? Jakaś część jego duszy była wściekła. Chciał chronić Rose. Ocalić ją przed tym, co wydawało mu się zgrozą. Nie powinna musieć tego robić. Dziwki powinny być brzydkimi, brudnymi, nikczemnymi kobietami bez krztyny poczucia moralności i życzliwości, a nie takie jak Rose. To sprawiło, że pomyślał, że może nie ma o niczym pojęcia. Ona była dziewczyną, a on świeżo upieczonym zamkowym strażnikiem, ale w szerszej perspektywie Rose bardziej zasługiwała na szacunek. Widziała świat i przeżyła w nim w pojedynkę. Była wolna i mogła robić, co zechce, i wyobrażał sobie, że jako taka więcej przeżyła. Podziwiał ją i przypuszczał, że zdziwiłaby się, gdyby to usłyszała.

Mimo wszystko miło było, gdy ktoś tak na niego patrzył – zauważał go, widział w nim coś więcej niż drzewo, drzwi czy dwie ręce. To było zwyczajnie ekscytujące, że myślano o nim jako o mężczyźnie. Ten tytuł z pewnością nadała mu przedwcześnie, ale cudownie brzmiał w jej delikatnych ustach. Było w tym coś jeszcze, coś więcej niż zwykłe dostrzeżenie. Kiedy pogratulowała mu sukcesu, ogarnęła go radość i pustka zarazem. Nigdy nie zaznał takiego podziwu czy choćby wsparcia ze strony prawdziwego przyjaciela i to było tak, jakby zdał sobie sprawę z głodu, poczuwszy zapach jedzenia.

Lubił Rose. Tak, lubił ją.

Ta myśl zagnieździła się w jego głowie, jakby wcześniej snuła się po

obrzeżach pola widzenia. Kiedy wreszcie spróbował naprawdę jej się przyjrzeć, nabrała wagi stała się wręcz namacalna. Bardzo lubił Rose. Była przyjaciółką. Nigdy dotąd nie miał przyjaciela, nie był więc do końca pewien, ale nie wyobrażał sobie, żeby dała mu hełm, a potem obila go drewnianym mieczem albo upiła się i uderzyła go twarzą. Była na to za dobra, była lepsza od tamtych. Kiedy pierwszy raz zobaczył, jak podchodzi do okna, myślał, że jest duchem, ale teraz pomyślał, że może sam jest duchem – duchem, którego tylko ona widzi.

Rose. To tylko zbieg okoliczności, że nosi imię mojej matki? Że wyszła tym samym oknem?

– Hilfred!

Reuben podniósł wzrok i zobaczył nadjeżdżającego konno księcia wraz z Pickeringami.

– Szybko. Otwórz bramę.

Reuben nawet nie zawracał sobie głowy ukłonami. Złapał za korbę i uniósł sztabę, aż mógł otworzyć bramę.

Książę miał na sobie ciężką wełnę, grubą pelerynę z nasuniętym kapturem. Mauvin i Fanen ubrali się podobnie, każdy wyglądał jak nocny jeździec albo mnich. Mieli wypchane torby – może piknik skradziony z zamkowych kuchni albo z uczy? Reuben zastanawiał się, jak długo zamierzali przebywać poza murami zamku, i miał nadzieję, że nie wyjeżdżają na tak długo, jak sugerowały ich torby. Gdyby cokolwiek im się stało, jak by się wytłumaczył? A jeśli słońce wstanie, a ich ciągle nie będzie, co wtedy?

– Wracacie na Bagno Edgara? – spytał.

Najlepiej upewnić się, dokąd wysłać drużynę ratunkową, zanim go zawleką na szafot.

– Tak, robi się zimno. Dzisiaj mogę mieć ostatnią szansę pobić Mauvina i zostać nowym mistrzem polowań na żaby, więc zamierzamy zniknąć na całą noc. Kiedy spadnie śnieg, będziemy mogli urządzać wyścigi na zamku. Może przekonamy giermków, żeby obstawiali. A teraz pamiętaj, nie mów nikomu, że wyjechaliśmy. Nawet gdyby cię batożyli albo potraktowali twoje stopy szczypcami.

– Tak, przy tym całym zamieszaniu, pomyśl, że po prostu zniknęliśmy gdzieś na drugim końcu zamku i robimy coś głupiego –

dodał Mauvin.

– Bo oczywiście ganiecie za żabami w stawie w środku zimnej jesiennej nocy wcale nie jest głupie – zakpił Fanen.

– Jasne! – Mauvin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Szkoda, że nie możesz z nami jechać, Hilfred – powiedział książę.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

– Jazda, obiboki! – Alric trącił piętami boki konia i pogalopował na plac Szlachecki, a za nim podążyli dwaj bracia.

Kopyta uderzały głośno o cegłę.

Reuben zamknął bramę i popatrzył za jeźdźcami, żałując, że nie może pojechać z nimi, zniknąć wśród nocy z łopoczącym na wietrze workiem na żaby.

Rozdział 12

Jesienna gala

– Co tak długo trwa, kobieto?! – ryknął król na królową.

– Szczotkuję włosy twojej córki.

Amrath wszedł do sypialni.

Arista siedziała na stołku przed lustrem w ramie o kształcie łabędzi, a Ann, jego żona, stała za nią i zerknęła jej przez ramię. Wpatrywały się w zwierciadło, jakby obserwowały przez okno pasjonującą bitwę. Obie były ubrane we wspaniałe stroje. Ann włożyła swoją osławioną srebrną suknię z jedwabiu. Nigdy nie powinien zgodzić się na tę suknię; zbyt wiele kłótni przez nią przegrał. Delikatny jedwab, który tak idealnie, tak strategicznie zdobił jej ciało, okazał się potężniejszy od wielu zbroi.

Król oparł się o futrynę i skrzyżował na piersi potężne ramiona.

Królowa podniosła wzrok.

– Skąd ten pośpiech?

– Pić mi się chce.

– Och, chyba nie zamierzasz się dzisiaj upić?

– W końcu mamy przyjęcie, nie?

– Ale nie musisz... – Westchnęła. – Rób, co chcesz.

Król zmarszczył brwi. Wyczekiwał tej hulanki, żeby upić się z Leo i być może zapoznać nowego kanclerza z cudownym światem mocnego jabłeczniaka. Każdy powinien zrobić czasem z siebie głupca i chciał, żeby poprawny młody dżentelmen z Maranonu trochę się wydurnił. Jednakże to jedno westchnienie przekreśliło jego plany.

– Co? – spytała Ann.

– Nic.

Nadal była równie piękna jak w dniu ich ślubu. Poszczyliło mu się. Leo miał ten luksus, że poznał Belindę Lanaklin wcześniej. Wiedział, w co się pakuje. O przyszłości Amratha zdecydował jego ojciec, Eric, i ojciec Ann, Llewellyn. A może to stary Clovis zdecydował, kogo pošlubi jego wnuczka? Kogo pokocha.

Czy ona mnie kocha? Zadawał sobie to pytanie dziesiątki razy w ciągu lat, nie do końca pewien, dlaczego tak trudno było mu w to uwierzyć. Miało to wiele wspólnego z aranżowaniem małżeństwa. Ann nie miała szansy odmówić. Każdy wykorzystalby tę sytuację najlepiej, jak się da, i nie mogąc z niej uciec, udawałby szczęście i miał nadzieję, że pewnego dnia stanie się faktem.

Kiedy ojciec poinformował Amratha o porozumieniu, do jakiego doszedł z Clovisem Ethelredem w kwestii jego wnuczki Ann, Amrath zapytał, jak ona wygląda.

– Jak? – Zdziwiony ojciec spojrzał na niego, mrużąc oczy.

– Jest ładna?

– Ach... – Miał zbolalą minę. – Trudno powiedzieć. Nie pamiętam.

– Nie... Nie pamiętasz?

– Ostatni raz widziałem ją lata temu. Była dopiero dzieckiem.

Amrathowi serce wtedy zamarło. Pamiętał, jak stał przed ojcem, przypominając sobie wszystkie koszmarnie dziewczęta, jakie widział, i był święcie przekonany, że serce naprawdę mu stanęło, nawet jeśli tylko na chwilę. Nie wiedział nawet, ile ona ma lat. Clovis był potwornie stary, więc jego wnuczka mogła być jakąś starą panną po trzydziestce albo i starszą. To sprawiło, że w głowie Amratha pojawił się nowy obraz – potarganej wiedzmy, która piekła chleb, i starej ciotki Margaret, która miała na twarzy brodawki z włosami.

– Może być szkaradna. Jakaś ohydna borsuczycyca.

– Z pewnością nie przypomina borsuka.

– Nie wiesz. Skąd masz wiedzieć? Nigdy jej nie widziałeś. I jest z Ethelredów! Na Mara! Musi być paskudna! Jak możesz mi to robić?

– Niczego ci nie zrobiłem! – Ton ojca ze współczującego przeszedł w ostry głos władcy. – Umocniłem królestwo. Uratowałem tron w sali

tronowej, żebyś pewnego dnia mógł na nim usiąść. Żeby, gdy na nim kiedyś zasiądziesz, był czymś więcej niż brzydkim krzesłem. To małżeństwo nie ma nic wspólnego z tobą czy z nią. Jego wartość przedstawia się w pieniądzu i bezpieczeństwie. Oto co się liczy. Nie twoje małostkowe zmartwienie, żeby dostać ładną dziewczynę. Jesteś księciem! Będiesz królem! Będziesz miał wszystko, co królestwo może dać. Czy jesteś aż tak bardzo rozpieszczony?

– Łatwo ci mówić. Ty nie musisz z nią sypiać.

– Jeśli dobrze wykonasz zadanie za pierwszym razem, to wystarczy, że prześpisz się z nią raz. Potem możesz zmyć to wspomnienie setką dziewcząt. Możesz ustawić je w kolejce pod swoimi drzwiami.

Amrath zdał sobie sprawę, że to prawda. Będzie królem. Będzie mógł robić, co zechce, i mieć tyle kobiet, ile zechce. Wtedy tamta myśl go pocieszyła; potem pomyślał o matce i że jest jej jedynym synem. Rzadko się uśmiechała. Może właśnie odkrył przyczynę. I rada ojca nie wydawała mu się już taka mądra.

Bał się zbliżającego się ślubu i rozważał ucieczkę. Uciekłyby konno w gwieździstą noc i żyłyby z miecza, zostałyby bohaterem. Nie zrobił jednak tego i wydarzyła się zabawna rzecz. Od dnia, kiedy poznał Ann Ethelred, od chwili, kiedy wziął ją za żonę, nie chciał nikogo innego. Odkrył, że ocenia wszystkie kobiety, określając, w jakim stopniu są podobne do Ann. Żadna nie mogła jej dorównać, a kiedy patrzył, jak żona w pięknej sukni z migotliwego srebra szczotkuje włosy córki, wiedział, że to nigdy się nie zmieni.

– Co? – spytała Anna.

– Nic nie powiedziałem.

– Wiem. Stoisz tylko i patrzysz. O czym myślisz?

– Zastanawiałem się, czy mnie kochasz.

Uśmiechnęła się do lustra, magicznego świata między dwoma łabędziami. Amrath wyobrażał sobie, że to piękne miejsce, cudna kraina, gdzie troski nie mają dostępu.

– Urodziłam ci dwoje dzieci. – Pocałowała Aristę w czubek głowy.

– To twój obowiązek jako królowej, ale czy...

– Naprawdę? – Zamarła ze szczotką w ręku, nadal trzymając kilka pasm włosów córki i patrząc na niego. – Obowiązek? Tak ty to

odbierasz?

– Ja nie, oczywiście, że nie.

Ann wróciła do lustra i szczotkowania.

– Dlaczego więc pomyślałeś, że ja tak to widzę? Sprawiałam wrażenie cierpiącej? Sprawiam teraz? To taka męka być twoją żoną. Może powinieneś wezwać strażę, żeby mnie wybatożyły, gdybym przestała szczotkować włosy córki.

Arista roześmiała się i zakryła twarz dłońmi.

Amrath się skrzywił.

– Przysięgłbym, że mamy z tuzin służących zajmujących się wyglądem Aristy.

– Widzisz? Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz? Robię to, bo chcę.

– To tylko dowodzi, że kochasz nasze dzieci.

– Tak naprawdę to dowodzi, że kochasz mnie – szepnęła Arista.

Ann trzepnęła ją delikatnie w głowę i dziewczyna znowu zachichotała.

– A ty siedź cicho.

– To nie mówi o twojej miłości do mnie. – Amrath opuścił rękę, złapał Ann za ramiona i obrócił do siebie. – Kochasz mnie?

Stała w wyzywającej pozycji z kamienną twarzą, trzymając przed sobą szczotkę jak broń – drobniutkie dziewczę odpędzające wielkiego niedźwiedzia.

– Oczywiście! Jak inaczej mogłabym żyć z takim włochatym brutalem?! – Trzymał ją nadal, patrząc jej głęboko w oczy, prosząco. Stopniała. – Jak kobieta mogłaby cię nie kochać?

Amrath uniósł brew.

– Bo jestem królem?

– To także. – Uśmiechnęła się szeroko i w miarę możliwości objęła go mimo jego dużego brzucha. – Miałam na myśli to, że nie ma niczego równie atrakcyjnego, romantycznego i cudownego jak mężczyzna, który jest ewidentnie we mnie zakochany.

– Czekaj no! – zaprotestował Amrath. – Nigdy do niczego się nie przyznałem. To ty właśnie...

Odchyliła głowę, opierając podbródek na jego piersi, i spojrzała mu w twarz. Ścisnęła go mocno.

– Mężczyzna może utonąć w tych oczach, wiesz?
– Naprawdę? Ale myślałam, że mnie nie kochasz.
– Cóż... Może.
– Może.
– To zależy.
– Od czego?
– Czy jesteś już gotowa zejść na przyjęcie. Pamiętasz o przyjęciu, co? Mamy tego nowego kanclerza, którego wyznaczyłem, bo upierałaś się, żebym dał mężowi Clare jakieś stanowisko.
– Nie dlatego to zrobiłeś.
– To jeden z powodów.
– Jak na takiego niedźwiedzia, jesteś okropnie miękki. – Pomasaowała go po brzuchu.
– Nadchodzi zima, odkładam tłuszcz na czas mrozów.
Ann uśmiechnęła się kpiąco, a potem odłożyła szczotkę na toaletkę.
– Chodź, Aristo, tata chce się popisać nami przed przyjaciółmi.
– Lubię, kiedy mi zazdroszczą – powiedział król. – Gdzie Alric?
– Zszedł już z Mauvinem i Fanenem. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby tak się wyrywał na przyjęcie. Może kogoś zobaczył albo może spodobała mu się Lenare.
– Faj! – Arista skrzywiła się, wstając.
– Lenare staje się piękną młodą damą – zbeształa ją Ann. – Budzi szacunek. Nie zaszkodziłoby, gdybyś ją naśladowała.
Arista przewróciła oczami.
– Arista! – Amrath warknął na nią, rozpoznając głos własnego ojca, głos władcy, i krzywiąc się w duchu.
– Przepraszam – mruknęła.
Przeprosiny brzmiały szczerze, ale nie zdradzały słabości ani urazy. Ta dziewczyna miała kręgosłup. Potrafiła się ugiąć, ale nie dawała się złamać. Była twarda, pod tym względem przypominała jego. I bystra, to miała po Ann. Szkoda, że była dziewczyną.

* * *

Jak zwykle muzycy odegrali „Lot sokoła”, kiedy Amrath i Ann schodzili po stopniach. Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę i uniosły, żeby zobaczyć wejście rodziny królewskiej. Nikt nie odezwał się słowem i nawet najstarsi nie siedzieli, kiedy oni schodzili. Jak dobosze na polu bitwy, muzycy grali na stojąco. Amrath marzył o kieliszku. Niestety musiał poczekać, aż zjawią się ostatni goście. Ponadto musiał też zejść bez pośpiechu – w tempie, w jakim zmieniają się pory roku. Musiał iść miarowo, żeby hymn zakończył się wraz z ich zejściem. To wszystko było teatralne, ale tego oczekiwano. To część jego pracy, część roli króla, i upomniał się, że to jedno z łatwiejszych zadań.

Tylko zimonia były bardziej wystawne od jesiennej gali, ale król zawsze uważał, że w świętowaniu zimonia kryje się pewien przymus – zabawa dla odwrócenia uwagi od faktu, że ludzie stawiają czoło najdłuższej i często najzimniejszej nocy w roku. Gala z okazji żniw była inna, naprawdę radosna, o ile żniwa dopisały. Nie było nic gorszego niż silenie się na wesołość, kiedy wczesne przymrozki albo ulewne deszcze zniszczyły zbiory przed nadchodzącą zimą. Na szczęście nie musiał martwić się żadną z tych rzeczy, ponieważ żniwa były udane. Będą mieli nadwyżkę i jeśli nie liczyć śmierci siostry Ann i kanclerza Wainwrighta, przyszłość wyglądała na wartą wspaniałej fety.

Służący odpowiedzialni za przygotowanie przyjęcia w tym roku przeszli samych siebie. Amrath nigdy nie widział tylu latarni z dyń. Musieli wykupić wszystkie świece w mieście. Dzielnica Rzemieślników będzie tego wieczoru ciemna, ale szczęśliwa. A przynajmniej świecarze będą się uśmiechać, nie wspominając o hodowcach dyń. Amrath zarechotał i pokręcił głową, widząc wszystkie bele siana i słomy. Tylko uprzywilejowani wymyśliliby, żeby upodobnić zamek do stodoły. Już kilka beli pękło i po posadzce wałały się siano i sucha koniczyna. Będą sprzątać tygodniami.

Beczki piwa i tace z przysmakami stały w każdym pomieszczeniu w towarzystwie beczulek jabłeczniaka. Na beczułkach wisiały chochle, a w środku pływały kawałki owoców, które będą chętnie wyławiane pod koniec wieczoru, bo nasiąkną sfermentowanym jabłeczniakiem.

Wstążki, które naśladowały kolory jesiennych liści, opadały z belek pod sufitem i owijały poręcze. Parę prawdziwych liści leżało na podłodze – uciekinierzy z wielkiego stosu umieszczonego pośrodku sali bankietowej, w którym nurkowali młodszy goście.

Kiedy wreszcie dotarł na parter, muzyka ucichła i wszyscy przyklękali.

– Witajcie, przyjaciele, w moim skromnym domu – powiedział donośnym głosem, który dudnił i odbijał się od ścian. – Wstańcie, proszę.

W pomieszczeniu zapanowało poruszenie.

– Dziś wieczorem będziemy świętować z powodu szczodrości, jaką okazali nam w tym roku Maribor i Novron, a doprawdy byli hojni. Wszystkie nasze prowincje zgłaszają nadwyżki, i to nie tylko na polach, bo ten rok był też dobry dla lasów i mamy mnóstwo zwierzyny. Nadchodząca zima rzeczywiście będzie wesoła i bezpieczna. Jednak nasza radość jest podwójna, bo świętujemy wyznaczenie nowego kanclerza. Syna hrabiego Swanwick, który ożenił się z niedawno zmarłą siostrą mojej żony, stając się tym samym księciem, ten sam człowiek, który raptem trzy lata wcześniej wyróżnił się zdobyciem Srebrnej Tarczy i Złotego Lauru, nie wspominając już o tytule mistrza w Wielkim Turnieju Szermierczym podczas igrzysk dworskich. Człowieka, o którym moja własna żona powiedziała, że ma język Valinów, oblicze Pickeringów i śmiałą determinację Exeterów!

To wywołało salwę śmiechu.

Poprosił o kielich wina i spojrzał na tłum.

– Gdzie właściwie jest mój szwagier?

Zebrani zaczęli się rozglądać.

– Tutaj, Wasza Wysokość.

Amrath dostrzegł nowego kanclerza unoszącego rękę w morzu głów i ci, którzy nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, odwrócili się do niego. Amrath uniósł kieliszek. Goście z kieliszkami poszli w jego ślady.

– Za nowego lorda kanclerza, Jego Ekszelencję Percy’ego Bragę.

– Za Percy’ego Bragę! – odpowiedzieli zgromadzeni.

Zadzwięczały kieliszki, zgromadzeni wypili toast i zaklaskali.

Muzycy na galerii znowu zaczęli grać i król z żoną zaczął krążyć po sali. Jak zwykle zupełnie jakbym przeprowiał się przez rzekę w bród, pomyślał król. Wszyscy pragnęli jego uwagi, chcieli zamienić słowo, które zawsze zaczynało się od pochlebstwa, a kończyło na prośbie. Na szczęście gala była lokalną uroczystością. Według jego obliczeń zjawili się tylko arystokraci z Melengaru. Niewielka to pociecha, bo byli równie denerwujący, ale przynajmniej nie musiał znosić retoryki imperialistów. Gdyby musiał przesiedzieć jeszcze jedną debatę na temat potrzeby scentralizowanej władzy albo słuchać, jak to królestwa w rodzaju Melengaru są wstrętne w oczach Novrona, to chyba kogoś udusił. To jedna z dobrych stron takich przyjęć – żadnych mieczy. W pomieszczeniu pełnym nieuzbrojonych mężczyzn nie był tylko królem – był Niedźwiedziem.

Amrath i Ann dołączyli do Leo stojącego koło kominka. Pickering siedział przy stole, nogi wyciągnął i oparł na stojącej obok beczce jabłeczniaka. Między zębami miał glinianą fajkę o długim cybuchu.

– Czuj się jak u siebie w domu – warknął żartobliwie Amrath, odpychając jego nogi.

– Już o to zadbałem, Niedźwiedziu.

– Gdzie Belinda? Myślałem, że tu będzie.

Leo wstał, zanim odpowiedział królowej.

– Ona i Lenare odwiedzają matkę w Glouston. Nie czuje się dobrze.

Wyraz jego twarzy sugerował, że chodzi o coś więcej niż tylko zwykłe przeziębienie.

Za ich plecami rozległy się głosy.

– Ta tarcza należała do Cornicka – powiedział Conrad Red Heftowi Jerlowi.

Mówił głośno i coraz głośniej.

Nie znowu, pomyślał król.

Dwaj sąsiedzi, hrabia Zachodniej Marchii i hrabia Longbow stali naprzeciwko siebie nad beczką jabłeczniaka. Obaj byli po czterdziestce, stare, siwe koguty wystrojone z okazji święta. Nosili eleganckie dublety, a wyszczotkowane włosy nie pasowały żadnemu. W domu obaj siadywali na klepisku, opierając boscie stopy na grzbietach ogarów do polowań. Amrath podejrzewał, że żony miały

sporo do powiedzenia w kwestii tego, w jakim stroju pokazali się na dworze.

– Należała do Hinge’a – odpowiedział Heft Jerl, hrabia Longbow.

Mówił równie głośno jak Conrad i rozlewał jabłecznik z filiżanki, ponieważ był jednym z tych mężczyzn, którzy nie potrafią mówić bez machania rękami.

– Jest na niej góra – upierał się Conrad, nalewając sobie filiżankę jabłeczniaka i próbując wyłowić kawałek jabłka.

– Nikt nie wie, co na niej jest.

– Otwórz grób, to sam się przekonasz. – Conrad złapał jabłko i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nikt nie będzie przekopywał świętego grobu mojego przodka!

– Świętego? To tylko stare kości... I tarcza, tarcza z górą, tarcza Cornicka Reda!

– Tylko dlatego, że to powtarzasz, nie znaczy, że to prawda. Poza tym góra nie była w herbie waszej rodziny aż do...? – Heft spojrzał na Amratha.

– A wy dwaj znowu o tym samym? – zapytał król.

– Są już przy ósmej filiżance – wyjaśnił Leo. – Czego się spodziewałeś?

– Już ósmej?

– Wcześniej przyjechali.

Amrath westchnął, nie dlatego, że dwaj hrabiowie zaszli już daleko szczęśliwą jabłeczniakową ścieżką, ale dlatego, że czekając na żonę, został w tyle w jabłeczniakowym wyścigu.

– Musicie znaleźć sobie inny powód do sprzeczek, choćby dla urozmaicenia wieczoru pozostałym, którzy są zmuszeni was słuchać. Co powiecie na rzekę Wstążkę?

Heft spojrzał na niego, ocierając plamkę z dubletu z troską, jaką okazuje się, gdy ktoś ostrzegł cię, że masz nie zniszczyć ubrania. Czym się staliśmy? Amrath poczuł, że powraca stare przygnębienie. Byliśmy mężczyznami. Teraz jesteśmy wystrojonymi lalkami dla kobiet.

– Co z nią? – spytał Heft.

– Zmieniła bieg na przestrzeni wieków. Jeden z was zyskał kawałek ziemi, a drugi trochę stracił. To o wiele rozsądniejszy powód do

sprzeczek niż ten stary.

– To tylko ziemia – odparł Conrad. – A tu chodzi o honor moich przodków. To nie Cornick Red nie zdołał utrzymać flanki, ale Hinge Jerl.

– Wszystkie historie mówią, że tarcza z czerwoną górą została przegnana z pola bitwy – oznajmił Heft.

– Jedź do Pól Drondila – odparł Conrad. – Obejrzyj obraz obok statutu. To Hinge Jerl trzyma tarczę Cornicka! Cornick pożyczył mu ją, kiedy tarcza Jerla pękła. Gdybyś tylko przestał się tak piekielnie upierać, przyznał, że cała twoja rodzina od wieków była tchórzami i otworzył przekłętą grób, moi przodkowie zostaliby oczyszczeni.

– Jesteś pijany – orzekł Heft.

Amrath uśmiechnął się, widząc, jak Heft sam chwieje się na nogach.

– Bronią Hinge'a były młoty. – Conrad klepnął dłonią w symbol młota wyhaftowany na przodzie teraz beznadziejnie poplamionego dubletu Jerla.

Uderzył mocniej, niż to było potrzebne dla podkreślenia słów. Tak podziałało na niego osiem filiżanek jabłecznika.

Jerl odepchnął Conrada i nie dostrzegł tego, co widzieli wszyscy inni – którzy nie wypili ośmiu filiżanek – że Jerl był zbyt podпиты, żeby dobrze ocenić dystans, i nie miał żadnych złych zamiarów. Jerl pchnął Conrada w złym momencie, kiedy tamten akurat się zachwiał. Conrad zatoczył się do tyłu, zaczepił piętą o beczkę i padł na plecy, wylewając filiżankę pełną jabłecznika i tracąc przy okazji upragniony kawałek jabłka. Roześmiali się wszyscy z wyjątkiem leżącego.

Conrad Red zawsze był porywczy, jak wszyscy z jego rodu, i nie musiał być pijany, żeby obrazić się za to, że ktoś robi z niego głupca. Kiedy wstał, trzymał w dłoni sztylet. O ile miecze były zakazane, to sztylety uznano za element ozdobny. Conrad uważał inaczej. Skupił spojrzenie szklistych oczu najlepiej, jak zdołał, na Hefcie Jerlu.

Amrath usłyszał, jak Ann gwałtownie nabrała powietrza. To wystarczyło. Król stanął między hrabiami.

Był jak góra – Conrad nie mógł dopaść Hefta, nawet go nie widział. Potężna dłoń króla złapała go za nadgarstek.

– To jest przyjęcie, Conradzie – odezwał się cicho basowym głosem

Amrath; to było ostrzegawcze warknięcie niedźwiedzia.

Conrad zerknął na unieruchomioną rękę, a potem na brodatą twarz. Chwilę się wahał. Potem skinął głową z niewyraźną miną, jakby dopiero co się obudził.

– Miej na oku tych dwóch – szepnął do Leo król, kiedy patrzyli, jak Conrad usiłuje schować sztylet do pochwy.

– Dobrze, ale moje warknięcie nie jest tak skuteczne jak twoje. A nie mam miecza.

Amrath poczuł, że drobna dłoń wsuwa się do jego ręki. Ann uścisnęła go, mówiąc w ten sposób „dziękuję”.

Król rozejrzał się po tłumie. Fakt, że przewyższał wszystkich o głowę, ułatwiał to. Goście rozeszli się od chwili toastu, ciżba rozlała się do jadalni, sali balowej, a nawet tronowej. Kelnerzy w białych rękawiczkach lawirowali w tłumie ze srebrnymi tacami nad głowami. Percy Braga stał w kącie i rozmawiał z lordem Valinem i sir Ectonem.

– Myślę, że Percy urządził sobie własne przyjęcie – powiedział do żony Amrath.

– To dobrze, prawda? To znaczy, że jest oddany pracy.

– Albo ambitny.

– To mi przypomina Simona.

– Simon to dupek, ale bystry. Bystrzejszy ode mnie.

– Percy też jest bystry.

– Wiem... I to mnie martwi. Otaczają mnie geniusze.

– Czy to obejmuje także mnie?

– Ciebie w szczególności. – Przyjrzał jej się z udawaną podejrzliwością i uścisnął lekko jej dłoń. – Jesteś bardziej niebezpieczna od nich wszystkich.

Rozglądając się po sali, nie mógł wypatrzeć syna, za to Arista siedziała w pobliżu kominka, sama. Czytała.

Stanie się drugą Clare, jeśli czegoś nie zrobię.

– Wasza Wysokość!

Amrath odwrócił się i zobaczył biskupa Saldura pędzącego do niego w czarno-czerwonych szatach. Nie widział kapłana od kilku miesięcy, ale staruszek w ogóle się nie zmieniał. Amrath przysięgłby, że kiedy był chłopcem, kapłan wyglądał dokładnie tak samo, tyle że był niższy.

Biskup zestarzał się, a potem przestał się zmieniać. Starzy ludzie już tacy byli. Dzieci szybko dorastały, a potem zatrzymywały się na chwilę w słodkim okresie dojrzałej młodości. Wkrótce potem dopust boży w postaci starzenia nadchodził niczym choroba. Linia włosów cofała się, pojawiały się łyse placki, ciemne włosy siwiały, rosły brzuchy, skóra wiotczała, ale w jakimś momencie nic już się nie pogarszało.

– Sauly, jak się miewasz? Jak się udała podróż do Ervanonu? Patriarcha nadal żyje?

– Dziękuję, że pytasz, Wasza Wysokość. Jego świątobliwość ma się dobrze, a jazda powozem była wyczerpująca. Wróciłem raptem dwa dni temu, a cały czas pędziłem. Nie chciałem rozczarować naszego nowego kanclerza. Co się działo z... – Saldur skinął głową w stronę Conrada.

Leo wziął go właśnie pod rękę i prowadził, obiecując lepsze źródło alkoholu niż jabłecznik.

– Nic, tylko zbyt dużo świętowania, a za mało jedzenia.

Saldur obejrzał się przez ramię.

– Znowu tarcza?

Amrath się uśmiechnął.

– Co to za przyjęcie bez chociaż jednej bójki?

– Takie bójki stają się zarzewiem wojny domowej.

– Między rodem Jerłów a Redów iskrzy już od pięciuset lat. Nie zamierzam z tego powodu nie spać po nocach.

Saldur wyprostował zagniecenia na rękawach.

– Wasza Wysokość, muszę porozmawiać z tobą na osobności.

– Coś się stało?

Stary biskup zniżył głos do szeptu:

– Obawiam się, że tak, i dotyczy to ciebie i twojej rodziny.

– Mojej rodziny? O co chodzi?

– Może powinniśmy kontynuować tę rozmowę w kaplicy na górze, gdzie będę mógł swobodnie mówić.

– Zachowujesz się, jakbyśmy znajdowali się wśród wrogów.

Biskup przysunął się i zniżonym głosem powiedział:

– Jeśli mam rację, to z pewnością znajdujemy się, a oni chcą przelać królewską krew.

* * *

Amrath zawsze czuł się nieswojo w towarzystwie biskupa Saldura, jak przy większości religijnych ludzi. Rodzice Amratha byli oddanymi członkami Kościoła Nyphrona. Zważywszy, jak napięte były jego relacje z rodzicami, nic dziwnego, że Amrath wchodził do katedry Mares tylko w dni świąteczne, podczas ślubów i pogrzebów. Odpuszczał sobie także dni święte, jeśli nie musiał brać udziału w uroczystościach jako głowa państwa. Odrzucał Kościół nie tylko z powodu schedy po rodzicach. Ludzie związani z Kościołem mieli w sobie coś dziwnego. Za dużo się uśmiechali, z łatwością prawili komplementy i udzielali wsparcia, ale za rozciągniętymi ustami i łagodnymi słowami krył się osąd. Nikt nigdy nie był dostatecznie dobry, a w każdym razie aż do chwili śmierci. Zmarli byli wzorcowi.

Saldur wyglądał tak, jakby miał już nie żyć. Ile on ma lat? To była kolejna kwestia związana z członkami Kościoła – dożywali późnego wieku. Większość mężczyzn nie żyła dość długo, żeby dorobić się wielu siwych włosów, ale Saldur wyglądał jak ośnieżona góra. Amrath nie uważał za naturalne tego, że wszyscy ci biskupi i księża przeżywali dekadę po dekadzie. Ojciec i matka Amratha zmarli, a Saldur nadal wzywał go do swojej kaplicy, żeby udzielić mu lekcji. Nie było gorszego miejsca do rozmowy z biskupem niż jego kościół albo zamkowa kaplica, zwłaszcza z biskupem, który pouczał go, gdy Amrath był chłopcem. Spędzili długie godziny w tym pomieszczeniu, badając tajemnice Novrona. Tajemnice, które dla Amratha nigdy nie stały się jasne. Jako chłopiec miał całą listę wątpliwości dotyczących doktryny kościelnej, ale niewiele z tego teraz pamiętał. Przestał martwić się pytaniami, kiedy nie musiał już dłużej znosić lekcji. Jeśli Maribor istniał, to jak to możliwe, że nikt nigdy go nie widział? Kiedyś podobno go widywano, a przynajmniej jedna kobieta widywała go strasznie często i urodziła mu syna, Novrona. I co się stało z Novronem? Nauki zawsze wyjaśniały to cokolwiek powierzchownie. Umarł? Skoro mógł umrzeć, to czemu ludzie się do niego modlą? Amrath nigdy nie modlił się do zmarłego ojca. Oczywiście jego ojciec

nie ruszyłyby nawet cielesnym palcem, żeby pomóc synowi, już nie wspominając o eterycznym. Ojciec Amratha uważał, że więcej sensu ma to, by syn nauczył się, jak ściąć człowiekowi głowę, niż żeby pamiętał wszystkie siedem prób Novrona. Po dziś dzień za każdym razem, gdy Amrath widział Sauly'ego, czuł się jak chłopiec, który zaniedbał obowiązki.

Wchodząc do kaplicy, nie zamierzał powracać do roli dziecka. Był teraz królem i miał zamiar dopilnować, żeby biskup to uszanował. Kiedy tylko drzwi kaplicy się zamknęły, zapytał głośno ostrym tonem:

– O co tu chodzi?

* * *

Zastraszenie było kluczowe w takich spotkaniach i nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek zapanował bez tego nad królestwem.

– Nie chciałem nic mówić... – odpowiedział biskup, składając ręce, jakby zamierzał się modlić; nie robił wrażenia ani odrobinę przestraszonego – ...ale sumienie nie pozwala mi dłużej czekać. Rzecz w tym, że nie mam rozstrzygającego dowodu, ale gdyby do czegoś doszło, a ja nic bym wcześniej nie powiedział, to...

Gadanina. Zwykł tak nudzić, kiedy Amrath był chłopcem. Proste pytanie nigdy nie przynosiło prostej odpowiedzi.

– O czym mówisz?

– Proszę, pamiętaj, że mogę się mylić, Wasza Wysokość. Większość tego, co zamierzam powiedzieć, to tylko podejrzenie.

– Większość czego? Wykrztuś to.

Saldur zaczął kiwać głową, jego stary czerep podskakiwał, jakby szyja nie działała już, jak należy. Może nie działała, może stare mięśnie były już tylko martwymi sznurkami.

– Mam powód wierzyć, że lord Exeter może planować... Cóż, nie ma innego sposobu, żeby to powiedzieć, niż po prostu powiedzieć... Przejąć kontrolę nad królestwem.

Amrath powinien być zaszokowany i możliwe, że byłby, gdyby biskup oskarżył Leo albo nawet zwaśnionych Conrada i Hefta, ale

wskazywał Simona, a nie było dnia, żeby ktoś nie oskarżył go o zdradę. Biskup jednak wspomniał o bezpieczeństwie jego rodziny i tylko tym Amrath się martwił.

– O Simonie można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest zdrajcą. Kocha to królestwo. Tak, potrafi być bezwzględny, ale czy naprawdę oczekujesz, że uwierzę, że uciekłyby się do królobójstwa?

– Właśnie o tym mówię. To z racji swojego oddania dla królestwa czuje, że jego obowiązkiem jest zastąpić ciebie w roli króla. Żeby chronić Melengar przed zniszczeniem.

Sauly uśmiechnął się przyjaźnie, ale Amrath tego nie kupował. Nikt nie oskarżał lojalnego markiza o zdradę i nie uśmiechał się przy tym.

– Niestety musisz lepiej się wytłumaczyć. Dlaczego uważasz, że coś planuje?

– Nie wierzę, żeby śmierć kanclerza Wainwright była przypadkiem. Jestem przekonany, że lord Exeter go zabił. Oczekiwał, że otrzyma stanowisko kanclerza, a potem ciebie i Alrica spotkałby podobny los. Kiedy wyznaczyłeś Percy'ego Bragę, musiał szybko podjąć działania, zanim nowy kanclerz zdobędzie lojalnych sojuszników, dzięki którym mógłby przeszkodzić mu w zajęciu tronu. Czy to nie oczywiste, że gdybyście ty i Alric znaleźli się w grobie, on przejąłby rządy?

– To twoje oskarżenie? Że Simonowi nie odpowiada moja osoba i sposób, w jaki władam krajem? Dopiero teraz to odkryłeś, biskupie?

Celowo posłużył się tytułem zamiast imieniem. Chciał, żeby starszy rozumiał, że mówi do króla, a nie do dawnego ucznia.

Biskup wyglądał na rozczarowanego, ale otrząsnął się i wypowiedział następne słowa z pełnym przekonaniem:

– Czy masz świadomość, że Exeter zamordował strażnika zamkowego Barnes'a?

– To nie było morderstwo. Barnes spadł w trakcie śledztwa dotyczącego przyjęcia dla kapitana Lawrence'a.

– Czy wiedziałeś jednak, że Exeter zmusił sierżanta Barnes'a do wyjścia przez okno? I czy możesz wyjaśnić, dlaczego najwyższy konstabl wysłał wszystkich ludzi, którymi dysponuje, na poszukiwania dziewczyny, która ukrywała się w szafie na wysokiej wieży? Czy to możliwe, że ta dziewczyna mogłaby powiązać lorda

Exetera ze spiskiem przeciwko twojemu życiu?

– Mówisz poważnie? Do takiego wniosku doszedłeś? Że jakaś panienska, którą strażnicy przemycili na urodziny Lawrence'a, musi stanowić zagrożenie dla mojego życia, bo uciekła? Nie może po prostu chodzić o to, że Simon próbuje ją znaleźć, bo, po pierwsze, to jego praca, a po drugie, wszędzie widzi spiski? Zawsze tak było. Co do Barnes'a, w raporcie Lawrence'a zaznaczono, że Exeter rozkazał sierżantowi spróbować wspinaczki. Po prostu próbował zweryfikować hipotezę. Przesadził? Z pewnością, ale mówimy tu o Simonie Exeterze. Masz jakikolwiek prawdziwy dowód, że planuje moją śmierć? Jakikolwiek?

– Informuję cię tylko o takiej możliwości, kierując się wnioskami płynącymi z moim zdaniem bardzo podejrzanych wydarzeń.

– Jestem pewien, że zapał Simona może ci się wydawać nikczemny, ale pozwól, że pozbawię cię złudzeń, biskupie. Simon Exeter robił zdecydowanie gorsze rzeczy niż wyrzucenie strażnika przez okno wieży, a mimo wszystko nadal jestem królem.

– Powiedziałem ci na samym początku, że moje przemyślenia to jedynie spekulacje. Leży mi na sercu tylko twoje dobro.

Biskup wiedział, że za daleko się posunął, i teraz się wycofywał. Gdyby to Simon stał na jego miejscu i oskarżał Saldura o zdradę, w żadnym razie nie wycofałby się. Z drugiej strony Simon nie oskarżałby nikogo bez dowodów. Byłby w stanie poprzeć własne słowa. Simon był człowiekiem miecza, a Saldur wiary.

– ...a moje sumienie kazało mi uświadomić ci taką możliwość. Nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdyby coś się stało, kiedy ja milczałem. Chcę tylko, żebyś uważał na Simona Exetera.

Amrath spojrział w stronę drzwi, słysząc zbliżające się kroki i głosy. Straże. Rozległo się pukanie.

– Wasza Wysokość?

Richard Hilfred i jeden z jego ludzi otworzyli drzwi i skłonili się.

– Hrabia Pickering pilnie prosi, byś zjawił się w głównej sali.

– Co się stało?

– Hrabia Zachodniej Marchii i hrabia Longbow znowu zaczęli, panie.

Rozdział 13

Stangret, lady i pijacy

Powóz zatrzymał się przed oberżą „Pod Świętym Mieczem” przy placu Kupieckim. Sklepy już pozamykano i Hadrian widział, że żonglerzy oraz obnośni handlarze też zakończyli pracę i dołączyli do muzyków, którzy przenieśli się do jednej z trzech największych oberży. Święty Miecz był najładniejszym i najgłośniejszym lokalem, pełnym krzyków i piosenek. Jedyni ludzie, jacy zostali na ulicy, to członkowie patroli szeryfa. Minęli cztery takie grupy w drodze z Dolnej Dzielnicy.

– Należy się jeden srebrnik – powiedział stangret, wyciągając rękę.

– Będziemy potrzebowali powozu też w drodze powrotnej – odpowiedział Royce. – Musisz więc poczekać.

– Niestety nie mogę. Nie tego wieczoru.

– Nie?

Woźnica pokręcił głową, a długie bażancie pióro przy jego kapeluszu strzeliło jak bat.

– Na zamku jest wielka feta. Wszyscy stangreci są na placu Szlacheckim. Arystokracja hojnie płaci.

– To by tłumaczyło, dlaczego tak długo musieliśmy szukać powozu.

To było kłamstwo. Minęli pięciu stangretów gotowych ich zawieść, ale okazali się za duzi albo za mali. Szósty był za to w sam raz.

– I dlatego powinienem jechać. Srebrnik poproszę. – Pochylił się mocniej na wysokiej ławeczce powozu, jakby podsuniecie dłoni mogło pomóc Royce’owi w otwarciu sakiewki.

Melborn patrzył na niego przez chwilę.

– Posłuchaj, to moje urodziny i wpadło mi dziś rano sporo pieniędzy, mała fortuna, więc mam ochotę świętować. Zamierzam się spać i potrzebuję bezpiecznego środka transportu, dzięki któremu wrócę do domu przyjaciela. Widzę jednak, że nieprzyjemnie będzie ci siedzieć tu godzinami, więc coś ci powiem... Może wejdiesz do środka jako mój gość? Zapłacę ci srebrnika za dojazd i drugiego z góry za powrót, a póki będziesz czekał, ja stawiam kielicha. Co ty na to?

Mężczyzna spojrzał podejrzliwie.

– Albo możesz czekać na zimnie całą noc na placu Szlacheckim w nadziei na parę dobrych kursów.

– Zanosi się na zimną noc – rzucił Hadrian, owijając się peleryną i drżąc.

Stangret zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

– To moje urodziny – powtórzył Royce ze smutkiem, jakby ktoś właśnie zabił mu psa, a stangret nie chciał mu pożyczyć łopaty, żeby mógł go pochować. – Chcę świętować, ale nie znam nikogo w mieście poza tym tu panem Baldwinem. – Poklepał Hadriana po plecach. – Wyświadczysz mi przysługę. Co ty na to?

Stangret zmrużył oczy i zacisnął usta w głębokim zamyśleniu.

– Ile będzie tych kielichów?

Royce się uśmiechnął.

– Więcej, niż zdołasz wypić.

– Ha! Na to bym nie liczył. Sporo trzeba, żebym miał dość. Jestem jak beczka bez dna, tak zwykła mawiać moja żona.

– Przykro mi, zmarła?

– Uciekła z powrotem do rodziny wiele lat temu właśnie z powodu mojego picia.

– Wygląda na to, że tobie też przyda się przyjaciel.

Stangret pokiwał głową i postawił kołnierz długiego płaszcza.

– Myślę, że masz rację. I robi się pierońsko zimno.

Wnętrze Świętego Miecza było równie odświętne, jak zapowiadał to widok przez okna. Kwartet składający się z dwojga skrzypiec, fujarki i bębena usadowił się na balkonie nad barem i pracował w pocie czoła. Na dole ludzie tańczyli i uderzali w drewnianą podłogę piętami. Tancerzy otaczały stoliki zastawione pustymi kuflami i kubkami,

z których klienci ustawiali wieże. Dwie drużyny rywalizowały ze sobą i właśnie odważny chłopak stanął na swoim stole, dopił kufel i ostrożnie postawił go na szczycie chwiejnego słupa. Kiedy tylko wypuścił go z ręki, w oberży rozległy się wiwaty. Nawet rywalizująca drużyna klaskała, a potem zaraz wzięła się do szybszego picia.

Royce znalazł im stolik blisko kominka i okna. zaproponował Stangretowi krzesło z widokiem na ulicę, żeby miał oko na swój powóz. Mężczyzna uśmiechnął się, doceniając gest.

– Nazywam się Pensive Stevens – przedstawił się Royce.

Był czarujący i Hadriana zdumiewała ta przemiana. Kaptur opadł na plecy i złowieszczy upiór zmienił się w kochającego zabawę, życzliwego człowieka.

– A to mój bliski przyjaciel Edward Baldwin. A jak pan się nazywa, dobry człowieku?

– Zwą mnie Dunwoodie.

Stangret inaczej prezentował się w świetle oberży. W ciemności wyglądał jak blada twarz zagubiona w tłumoku z ciemnych ubrań. W oberży jego policzki i okrągły nos poczerwieniały. Skórę miał suchą i pomarszczoną od życia na wietrze.

Royce wyciągnął rękę. Stangret znowu był zaskoczony. Uśmiech wypłynął mu na twarz, gdy uściśnął ją, kiwając z aprobatą głową.

– Cóż, panie Dunwoodie, chciałbym...

– Żaden pan, wystarczy Dunwoodie.

– Dzisiaj jest pan moim gościem, panie Dunwoodie, szlachetny panie Dunwoodie z Powozu. – Royce mrugnął do niego, a Hadrian z trudem zachował powagę. Royce bywał zwyczajnie przedziwny. – Mówił pan, że to najlepsze miejsce w mieście na kielicha, tak? To może przyniosę nam kolejkę.

– Mają tu kelnerki, które przychodzą i podają...

– Nie mogę czekać, nie dziś! To specjalny wieczór. A pan Dunwoodie nie powinien na nic czekać.

Royce zerwał się i podszedł do baru.

– Pański przyjaciel to bardzo hojny człowiek – powiedział Stangret.

– Ma złote serce. – Hadrian nie potrafił powstrzymać uśmiechu. – Ładne miejsce.

– Jedno z najlepszych w mieście. Widz pan to ostrze nad barem? To Święty Miecz. Legenda mówi, że to broń Novrona Wielkiego, za pomocą której pokonał elfy.

– Naprawdę?

– Pewnie, że nie, ale to nie powstrzymuje nikogo przed wzniesieniem toastu każdego wieczoru. Jeszcze jeden pretekst, żeby się napić. A kto wie, może to jednak jest miecz Novrona?

Royce wrócił z trzema kubkami jabłeczniaka i rozdał je.

– Za pana Dunwoodie’ego od Kół! – oznajmił i uniósł kubek.

Hadrian nie zdziwił się, gdy się okazało, że dostał słabiutki jabłeczniak.

– Za pana Stevensa i jego urodziny! – Dunwoodie ponownie uniósł kubek.

– Za Święty Miecz! – Hadrian uniósł kubek w stronę ostrza nad barem i zaraz potem Royce poszedł po następną kolejkę.

Tego wieczoru osiem razy wzniesli toast za miecz, tak samo jak za muzyków, klacz imieniem Diament, która ciągnęła powóz Dunwoodie’ego, i za każdą warstwę, która przybywała w stosie kufla na pobliskich stołach. W końcu Dunwoodie spojrzał na nich, z trudem ogniskując wzrok.

– Jesteście cudowni – wybełkotał. – Kocham was, naprawdę. Dopiero co was poznałem, ale was kocham. I psiakość, potraficie pić.

Dziesięć minut później głowa Dunwoodie’emu opadła.

Wieża najbliższej sufitu rozpadła się z brzękiem i sala rozbrzmiała wiwatami, ale Dunwoodie niczego nie zauważył.

– Co teraz? – spytał Hadrian.

– Załatwmy mu pokój. Pan Dunwoodie od Powozu zasłużył na miękkie łóżko, żeby odespać ten wieczór.

Royce zapłacił oberżyscie, a Hadrian zaniósł Dunwoodie’ego na górę, gdzie zdjął z niego ubranie. Zgodnie z planem rzeczy dostatecznie dobrze pasowały na niego, zwłaszcza że płaszcz i spodnie noszone przez stangretów były zwykle dość luźne. Hadrian okrył Dunwoodie’ego kocem i zdziwił się, gdy Royce położył stosik srebra na nocnym stoliku.

Zeszli szybko na dół i wyszli frontowymi drzwiami, a tam czekało

już na nich pięciu znajomych chłopaków.

– Jak widzę, nadal tu jesteście. – Cylinder zahaczył kciuki o pas, odsłaniając sztylet, a kapelusz odchylił mu się do tyłu, odsłaniając niezadowoloną twarz.

Zagadka też się zjawiał. Żaden nie wyglądał na zadowolonego. Hadrian domyślał się, że z każdą godziną ich obecność w mieście coraz bardziej potwierdzała, że są z Royce'em członkami konkurencyjnej gildii i pewnie dlatego Cylinder był niezadowolony.

– Naprawdę powinniście już wyjechać. Nawet jeśli jesteście z Czarnego Diamentu. To miasto to pusta kieszeń. To nie Colnora z wytwornymi kupcami rywalizującymi ze sobą o to, który zgromadzi większą fortunę. Na południu pieniądź płynie rzeką. Tutaj sakiewki są mocno zasznurowane. Widzicie, że nie żyjemy jak królowie. Powiedzcie Diamentowi, że Melengar to pustynia, a Medford tu pusty rynsztok. Nie ma tu dość, żeby się dzielić. – Z zaciętą miną zrobił krok w przód. – Ale skoro tylko tyle mamy, będziemy o to walczyć. Możecie powiedzieć to Diamentowi.

Chciał pchnąć Royce'a, ale ten się odsunął. Cylinder nie trafił i zatoczył się do przodu.

– Już ci powiedziałem – odparł Royce. – Nie pracuję dla Czarnego Diamentu. Nie pracuję dla nikogo.

Cylinder odzyskał równowagę, odwrócił się sfrustrowany i zaczerwieniony.

– Mam nadzieję, że masz rację. Wtedy, jeśli mój posłaniec wróci i to potwierdzi, będę mógł cię zabić.

– To nie powinienes zmykać, żeby naostrzyć broń?

Cylinder i pozostali patrzyli, jak Hadrian i Royce wsiadają do powozu. Hadrian usiadł na ławce stangreta, a Royce usadowił się z tyłu jak szlachetnie urodzony lord.

– Macie cholerny powóz? – zapytał Cylinder.

– Lepsze to niż chodzić piechotą – odparł Hadrian.

Piątka popatrzyła za nimi, kiedy Hadrian strzelił lejcami, budząc czarną jak atrament klacz Dunwoodie'ego.

– Ruszaj, Diamencie.

Członkowie Szkarłatnej Dłoni spojrzeli zaniepokojeni i Hadrian

potrzebował chwili, żeby zrozumieć. Potem nie mógł przestać się śmiać.

* * *

Lepsze to niż życie w stodole.

Albert Winslow stanął w głównej sali i odetchnął głęboko, rozkoszując się smakowitymi aromatami jesiennej gali – zapachem drzewnego dymu, cynamonu, jabłek i przypalających się przykrywek dyniowych latarni. Wyobrażał sobie, że czuje mroźną woń nadchodzącej zimy, podczas której cudem uniknął śmierci. Wszystkie pory roku miały zapachy wzbogacające ich osobowość, tak jak kobiety, które znał. Jak pory roku należały do jednej z kategorii: świeżych, gorących, dojrzałych lub zimnych jak grób. Słodka muzyka unosiła się nad tłumem na ciepłych prądach wesołości. Dryfowała ponad śmiechem i miarowymi krokami tancerzy, którzy zdominowali salę. Miękki szelest wspaniałych sukni rozkloszowanych w dół od smukłych talii dam i stukot obcasów męskich butów rozlegał się w rytm melodii.

Jak bardzo brakowało mu tego wszystkiego.

Zerknął na beczkę jabłecznika. Przy każdych drzwiach ustawiono jedną i po kilka w każdym pomieszczeniu zamkowym. Na krawędziach powieszono za uszka kubki i cynowe chochelki. A pływające w cydrze kawałki jabłek wyglądały jak uśmiechy. Ślinka napłynęła mu do ust na samo wspomnienie. Nie pił od dwóch tygodni czy dłużej? Dni w stodole zlewały się ze sobą. Próbował większość przespać. Liczył na śmierć podczas snu, ale odkrył, że to nie jest ani tak przyjemne, ani takie łatwe, jak się wydawało. Ból brzucha nie dawał mu spać. Gdyby było go na to stać, zapiłby się na śmierć. Nie przychodził mu do głowy przyjemniejszy sposób odejścia – rozkoszny i w błogiej nieświadomości. Gdyby ostatnim tchnieniem towarzyszył ból, on nic by o tym nie wiedział. A najpiękniejsze było to – prawdziwie genialna rzecz w tym planie – że bez względu na to, ile by wypił, w żadnym razie nie groziłoby mu przebudzenie się z kacem.

Przyjemność bez konsekwencji i bez ceny – z pewnością nie istniał lepszy koniec.

Najbardziej szokowało Alberta to, że znowu stał w zamkowej bawialni pośród znajomej hulanki i stodoła była już tylko koszmarem, nie wydawała się prawdziwa. W jednej chwili był niemal nagi i rzucał się na słomę, prosząc o szybką śmierć, a w drugiej stał w zamku Essendonów z nogami obolałymi od tańca w nowych butach. Zdumiewał się przemianą świata, faktem, że o losie decydował kaprys bogów, którzy najwyraźniej byli niespełna rozumu.

Czy tylko ja dostrzegam tę prawdę? Czy też wszyscy myślą tak samo, ale trzymają języka za zębami?

Lord Daref był idealnym gospodarzem. Dla ślepych, głuchych i tępych koneksje z wicehrabią Winslowem mogły być sposobem podniesienia statusu zwykłego lorda. Wchodząc z wicehrabią u boku, Daref miał nadzieję poprawić swoją pozycję na dworze. Albert wolałby blondynkę z dużymi piersiami, szerokimi biodrami i pięknym śmiechem.

O ile Daref zazdrościł wicehrabiemu rangi, o tyle Albert zazdrościł mu dodatkowej warstwy tłuszczu, jaką zdobył, odkąd ostatni raz się widzieli. Lord dosłownie dygotał jak galareta przy każdym kroku. Zapytany o chudość Albert skłamał, że z miłości do pewnej damy złożył śluby wstrzemięźliwości. Nie chciała z nim rozmawiać, jak wyjaśnił, ale on stracił dla niej rozum i pościł, dopóki nie zgodziła się go przyjąć. Okazała się upartą dziewczką. Kiedy wreszcie ustąpiła, odkrył, że jest śmiertelnie nudna. Po tak długiej wstrzemięźliwości chciał sobie pofolgować. Oczywiście w pierwszej kolejności pomyślał o odwiedzeniu starego dobrego przyjaciela, lorda Darefa.

Albert pogryzał migdałowy przysmak, przyglądając się tłumowi. Miał wykonać dwa zadania tej nocy i głęboko dumiał nad skutkami obu. Powodzenie w jednym oznaczało śmierć człowieka, porażka w drugim skończy się jego własnym zgonem. Musiał zorganizować zlecenie, które pokryje jego wydatki, i przekazać wiadomość lordowi Simonowi Exeterowi. Drugie zadanie okazało się niewykonalne, ponieważ lorda nigdzie nie było.

– Albercie, to naprawdę ty? – Podeszła do niego lady Constance,

wachlując się wachlarzem nad piersiami.

– Oczywiście, że nie. Albert Winslow jest znacznie uprzejmiejszym człowiekiem ode mnie i nigdy nie czekałby równie długo, żeby powitać tak cudowną istotę jak ty. – Ukłonił się, wziął podaną dłoń i pocałował, ledwie muskając ją wargami.

Constance stanowiła kwintesencję damy dworu – prześliczna, ale poprawna do bólu. Miała idealną dykcję, co sprawiało, że jej słowa pobrzmiwały ostro, trochę jak chrupanie selera. Wielu mężczyzn chciało zaciągnąć ją do łóżka i dziesiątki twierdziły, że im się udało, ale to byli łgarze. Albert wiedział, że tylko trzem się powiodło i żaden z nich nigdy się tym nie chwalił. Wiedział to, ponieważ sam należał do tego szczęśliwego trio.

– Jesteś taki chudy. – Przyjrzała mu się przeciągle, obrzucając spojrzeniem od stóp do głów z kapryśnym, występny uśmiechem. – Chorowałeś?

– Potwornie. Z tęsknoty za tobą.

Zachichotała. Często chichotała. To była jej najbardziej denerwująca cecha, zwłaszcza w łóżku. Niewiele rzeczy potrafiło tak zniszczyć romantyczny nastrój jak chichocząca kobieta. Gorsze było tylko jej przeproszanie za chichot.

– Jak się miewasz? – Albert zręcznie zmienił temat rozmowy.

Nie chciał spędzić całego wieczoru, odbijając pytania na temat tego, co porabiał przez ostatnie dwa lata, a dawno temu nauczył się, że kobiety najchętniej mówią o sobie, kiedy tylko to możliwe, a jeszcze chętniej o innych kobietach.

– Jakich psot się dopuściłaś, odkąd ostatnio rozmawialiśmy?

Znowu zachichotała, a potem obróciła się lekko i posłała mu zmysłowe spojrzenie przez nagie ramię.

– Wiesz, że nigdy nie dopuściłabym się niczego niestosownego.

Zatrzepotała rzęsami.

– Oczywiście. Jesteś wzorem cnót.

– Żartujesz, ale niestety ostatnio taka jest prawda. Wylądowałam w kącie nudy pośród nijakiego pejzażu.

– Ty niczego nie nabroiłaś, ale z pewnością znasz jakieś przyzwoite plotki.

– Pomyślmy... Baronowa Quipple podobno kazała zabić pudła lady Brendon za zniszczenie róż. Podobno utopiła biedactwo w tej samej kryształowej misie, którą podarowała lady w ostatnie zimonia.

– Naprawdę?

– Do dziś nie widziałam psa.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

Alberta to nie ubawiło. Martwy pies nie rokował najlepiej w kwestii zatrudnienia, a on pracował na przyjęciu od wielu godzin bez powodzenia.

– Chociaż mówi się, że plotka wyleci wróblem, a wróci...

– Pudlem! – wypaliła Constance i zachichotała, zasłaniając usta dłonią. – Jestem okropna, prawda? – Zauważyła jego spojrzenie. – Co się stało?

– Miałem nadzieję, że tylko żartowałaś, kiedy mówiłaś o nudnym pejzażu.

– Chyba użyłam słowa „nijaki”.

Zawsze była tak żałośnie akurata. Zastanawiał się, czy pilnowała się, żeby zachichotać odpowiednią ilość razy. Może dlatego tak go to denerwowało. Nie tylko śmiała się za dużo, ale i nieustannie.

– Jakie rozczarowanie.

– Mną?

– Wiesz... Kiedyś trzymałaś ucho przy drzwiach każdego arystokraty i zawsze mogłem liczyć na coś... No wiesz... Naprawdę zabawnego.

– Po pierwsze, to nie ja trzymam ucha przy drzwiach, od tego mam służbę. – Znowu standardowy chichot. – Po drugie, wiesz... – Zawahała się.

– Och, proszę, musisz sprawić mi tę przyjemność. Umieram z niecierpliwości, żeby posłuchać smakowitej plotecki.

– Właściwie to... – zaczęła i zaraz urwała. Skupiła wzrok na jego dłoniach. – Och, a gdzie twój kieliszek?

– Ach, cóż, muszę przyznać, że zasiedziałem się poprzedniej nocy, jeśli mnie rozumiesz. Nadal mi szumi w głowie.

– Tym bardziej masz powód, prawda?

Stała przed nim ze złożonymi rękami i uśmiechała się.

– Och! Oczywiście, wybacz mi. Tobie też przynieść jabłecznik?

– Mógłbyś? To bardzo miłe z twojej strony.

Albert czuł, że zardzewiał, gdy przeciskał się do najbliższej beczki z jabłecznikiem. Kiedyś był w tym lepszy. Pierwszy powinien był zaproponować. Kiedyś zawsze miał koło siebie dodatkowe kubeczki, żeby móc zaoferować jabłecznik, nie chodząc po niego.

– Ponieważ to idiotyczne! – krzyknął hrabia Longbow. – Ten człowiek nie żyje od pięciuset lat!

– Jesteś tchórzem! – odkrzyknął hrabia Zachodniej Marchii.

– A ty głupcem!

Obaj stali koło wielkiego dębowego stołu i wylewali jabłecznik na siebie i hrabiego Pickeringa, który stał między nimi jak ogrodzenie między dwoma bykami. Albert nabrał szybko cydru, dbając o to, żeby wyłowić kawałek jabłka, i wrócił do lady Constance.

– Spór o tarczę? – zapytała, nie zauważając, że nie przyniósł nic dla siebie.

– Miło widzieć, że nic się nie zmieniło.

– Tym razem sprawiają wrażenie bardziej stanowczych.

– Bardziej pijanych, moim zdaniem. O czym to mówiłaś?

– A, tak. – Lady Constance wskazała przez salę. – Pamiętasz lady Lillian?

Albert spojrział na drugi koniec sali i zobaczył ładną kobietę w bladobłękitnej sukni balowej. Zachowywała się zbyt sztywno. Raczej się wpatrywała, niż patrzyła, jakby sama znajdowała się w innym świecie. Skinął głową w jej stronę.

– Lillian Traval z Oaktonshire?

– Tak, mężczyzna obok niej to jej mąż, Hubert. Czerpie spore dochody z floty statków handlowych, które wysyła z Roe. A wygląda na to, że Lillian wpakowała się w niezłą kabałę.

– Chyba nie...

– Nie, gorzej. Moim zdaniem. Och, naprawdę nie powinnam ci nic mówić.

– Ile filiżanek już wypijaś?

Constance zamilkła i przeniosła wzrok.

– Odkąd tu przyjechałam?

– Nieważne, napij się i opowiadaj dalej.

Wypełniła polecenie, tyle że nie tylko wypija łyżeczka, lecz cały haust.

– Jak pewnie wiesz, podejrzewano ją o romans z lordem Edmundem z Sansbury. Oczywiście podejrzewania były słuszne, ale przestała się z nim widywać ponad rok temu. Ponieważ nie istniał żaden dowód zdrady, jej mąż zgodził się z nią, że to tylko okrutna plotka. Jednakże... Niedawno Hubert zapytał o kolczyki, które podarował jej na rocznicę ślubu. Chciał je zobaczyć i co dziwne, bardzo przy tym obstawał. Wyjaśniła mu, że chyba je skradziono, ale mąż oskarżył ją, że zostawiła je w sypialni Edmunda.

– Zbieg okoliczności?

– Wątpię. I wtedy pokojówka stanęła w jej obronie i powiedziała, że jaśnie pani pożyczyła je lady Gertrude kilka dni wcześniej.

– A pożyczyła?

– Oczywiście, że nie.

– To czemu pokojówka skłamała?

– Bo wiedziała, gdzie naprawdę są kolczyki. Wiedziała, bo sama je ukradła. Zgarnęła je z toaletki pani i oddała baronowi McMannisowi, który, tak się składa, właśnie prowadzi zażarte negocjacje z lordem Hubertem w sprawie floty. McMannis ogromnie chciałby zerknąć do manifestów ładunkowych Huberta.

– To on namówił pokojówkę do kradzieży?

– Bez wątpienia. Zaplanował wszystko od początku. Pokojówka dostanie pracę w posiadłości McMannisa, gdzie niewątpliwie czeka na nią też kilka dodatkowych nagród. Teraz więc, żeby nie okazało się, że zdradziła męża, biedna Lillian musi naprawdę go zdradzić i przekazać manifesty, by odzyskać kolczyki. Kłopot w tym, że naprawdę kocha starego Huberta i ten postępek złamie jej serce. Sam widzisz, biedna Lillian nie jest dziś sobą i niestety nie bawi się dobrze na tym cudownym przyjęciu. Nie jest to moja psota, ale ogromnie lubię opowiadać ciekawe historie.

– Do twarzy ci z ploteczkami, milady.

– Wiem. – Wachlarz zatrzepotał szybciej.

– Lady Constance, zastanawiam się, czy lady Lillian nie wolałaby rozstać się z drobną sumką, żeby odzyskać kolczyki, zamiast oddać

manifesty męża.

– Oczywiście, że tak, ale McMannis dzięki manifestom zarobi o wiele więcej, niż Lillian zdoła mu zaoferować. Poza tym co za wstyd... McMannis nie robi tego tylko dla pieniędzy.

– Nie miałem na myśli płacenia McMannisowi. Tak się składa, że znam pewne osoby, które byłyby skłonne odzyskać skradzioną własność damy... Za rozsądną cenę. Co o tym myślisz?

– Powiedziałabym, że to niemożliwe. McMannis dobrze ukrył kolczyki. Nie zdziwiłabym się, gdyby sam zakładał je przed snem. Po prostu nie ma sposobu, żeby mu je odebrać.

– Nie jestem taki pewien. Osoby, o których mówię, są nadzwyczaj utalentowane.

Lady Constance uśmiechnęła się do niego.

– Doprawdy? A o jakich talentach mówimy?

– O takich, o jakich nie powinienem rozmawiać z tak szanowaną damą jak ty.

Zmrużyła oczy.

– Albercie Winslow, nie znałam cię od tej strony.

– Cóż, ja też mam wiele talentów.

– A ile kosztowałyby takie talenty?

– Pięćdziesiąt królewskich tenentów wystarczy.

– Naprawdę?

– Tak myślę. Musiałbym tylko dowiedzieć się, jak wyglądają te kolczyki, i prosić o drobną zaliczkę. Może dwadzieścia tenentów? Może McMannis powinien dostarczyć jeden kolczyk na dowód, że je ma. Mógłbym przekazać go współnikom i w okamgnieniu wróciłaby do niej para.

– I naprawdę możesz to załatwić? To byłoby wspaniałe. Nie dość, że pomogliśmy lady Lillian, to jeszcze byłaby mi winna przysługę, a wszyscy wiemy, ile potrafią być warte przysługi. – Lady Constance znowu zachichotała. Zerknęła na wszystkie strony, co zdradzało gorączkowy namysł. – Jak miło, że do nas wróciłeś, Albercie. Było tu tak straszliwie nudno.

– Miło jest wrócić.

Brzęk szkła i dzwonienie cyny zwróciły ich uwagę. Na drugim

końcu pokoju hrabia Longbow leżał na podłodze, a nad nim stał Conrad Red. Pozostali mężczyźni rycersko odsunęli swoje damy, a muzyka ucichła. Podszedł strażnik zamkowy. Conrad złapał za jego miecz i wyciągnął go z pochwy, odpychając żołnierza.

– Ty żałosna kreaturo! – ryknął Conrad, unosząc broń nad głowę. – Nie jesteś lepszy od swoich przodków, wy wszyscy jesteście kłamliwymi tchórzami.

– Dość tego!

Głos zabrzmiał w wielkiej sali niczym grom.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę idącego przez salę króla. Wspaniały płaszcz w kolorze królewskiej purpury unosił się za nim.

– Amrath, nie próbuj mnie powstrzymać... – Conrad właśnie mówił, kiedy król wytrącił mu broń z ręki.

– Za dużo wypiełeś, stary przyjacielu. – Jego Wysokość patrzył w dół na Hefta, któremu Leo pomagał wstać. – Obaj za dużo wypiliście.

– Zamierzam skończyć z tym raz na zawsze – oznajmił Conrad bełkotliwie. – Zabiję tego łajdaka.

– Niczego takiego nie zrobisz. To jeden z twoich najstarszych przyjaciół.

– To też szubrawiec i żmija.

– I twój kuzyn.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Weź go – polecił hrabiemu Pickeringowi król.

We czwórkę wyszli z sali z Conradem, który nadal tłumaczył, że tak przyłoży Haftowi Jerlowi, że jego praprapradziadek to poczuje.

Kiedy powróciła muzyka i tancerze zajęli swoje miejsca, Albert zorientował się, że stoi sam. Rozejrzał się szybko po sali i zobaczył lady Constance pochylającą się do ucha lady Lillian. Uniosły wachlarze, zasłaniając twarze. Potem twarz lady Lillian pojawiła się nad wachlarzem, jej wzrok skupił się na Albercie i między kolejnym machnięciami wachlarza dostrzegł jej uśmiech.

Zadanie numer jeden wykonane.

* * *

Sznur czekających powozów ciągnął się Bulwarem Króla. Konie przestępowały z nogi na nogę, machały ogonami, stukały kopytami. Stangreci gawędzili albo drzemali na ławkach przykryci grubymi kocami. Każdy miał kapelusz z bażancim piórem. Latarnie przy powozach płonęły, tworząc ładną linię migoczących światełek, które połączone wyglądały jak ognista strzała wycelowana w zamek.

– Wiesz... Oni się nie uspokoją. – Głos przeciął noc. – Wiesz przecież.

Z ławeczki stangreta na powozie Dunwoodie'ego Hadrian obserwował grupę mężczyzn w pelerynach opuszczającą zamek.

– Pewnie, że się uspokoją – odpowiedział ktoś głośniejszym, bardziej basowym głosem. – Trzeba ich tylko bardziej upić.

– Bardziej? Oszalałeś? I bez tego rzucają się sobie do gardeł.

– Tak, ale nie zdołają walczyć, jeśli nie będą mogli stanąć.

Grupa podeszła do frontowej bramy. Czterech idących było elegancko ubranymi dżentelmenami, dwóch to byli żołnierze króla. Dwaj strażnicy na służbie przy bramie stanęli na baczność i skłonili się.

– Ty jesteś Reuben, tak? Syn Richarda? – zapytał ten głośny.

– Tak, Najjaśniejszy Panie – Chłopak odpowiedział niemalże szeptem, ale w nocnej ciszy jego głos niósł się nad fosą.

– Dobrze. A teraz słuchajcie obaj. – Głośny zawahał się i westchnął.

– Hrabia Pickering i ja odwieziemy tych dwóch idiotów do domu, żeby się nie pozabijali. Ale – spojrzał przez ramię na zamek, którego wszystkie okna były jasne – gdyby ktoś pytał, macie powiedzieć, że nigdzie nie wyjeżdżałem. Mówcie, że udałem się na spoczynek. Pojawiłem się i odpracowałem swoje. Reszta wieczoru należy do mnie i zrobię z nią, co zechcę, a chcę spędzić trochę czasu ze starymi przyjaciółmi i chociaż raz uwolnić się od zobowiązań. Jasne?

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiedzieli obaj strażnicy.

– Już rozmawiałem z królową. Udaje się na spoczynek. Gdyby więc ktokolwiek mnie szukał, powiedzcie, że dołączyłem do niej. Jasne? Na Maribora, będę miał chociaż jedną spokojną noc. Wyraziłem się jasno?

– Tak, Wasza Wysokość.

Dwaj żołnierze, którzy wyszli z czterema dżentelmenami,

przyprawdzili konie ze stajni i pomogli pijanym wsiąść na wierzchowce.

– Chodź, Leo, noc jest młoda, a mój tyłek wylądował w siodle, nie na tronie. Zabawmy się, jak należy.

– Dobrze mówi! Dobrze mówi! – wtrącił jeden z pijanych.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem, Wasza Wysokość.

Grupa wyjechała za bramę, przejechała most i oddaliła się, postukując kopytami, w stronę miejskiej bramy.

– Król wyjechał – powiedział Hadrian.

– Aha.

Tylko tyle dobiegło z wnętrza powozu.

Pan Pensive Stevens zniknął i wrócił stary Royce, który skoncentrował się na obserwacji i siedział z naciągniętym kapturem.

Hadrian widział własny oddech. Postawił kołnierz płaszcz Dunwoodie’ego i spuścił boki kapelusza z bażancim piórkiem. W ciągu lat służby wojskowej musiał znosić gorsze warunki, ale zwykle miał coś więcej do roboty niż tylko siedzenie. Przed bitwą były miecze do naostrzenia i zbroja do włożenia. Z trudem wyobrażał sobie całe życie siedzenia na zimnej ławce i czekania na klientów.

Nigdy nie siedział beczynnym przez dłuższy czas. Większość życia spędził w ruchu. W ciągu sześciu lat od opuszczenia domu wędrował i nigdy nie zatrzymał się na więcej niż kilka tygodni w jednym miejscu. Widział kawał świata, ale bez szczegółów. Zdumiewał się, ilu rzeczy nikt nie zauważa poza ciepłymi stangretami i ich milczącymi końmi. Powiewał delikatny wiaterek, który w połączeniu z chłodniejszym powietrzem sprawiał, że głosy dobrze się niosły. Słyszał w oddali, jak ktoś rąbie drewno, nieuniknione przekleństwo, kiedy ostrze źle trafiło. Rozlegały się echem przypadkowe wybuchy śmiechu między budynkami i niezrozumiałe krzyki. Hadrian przypisywał je wędrującym grupom klientów piwiarni, którzy nie mogli znaleźć drogi do domu albo może do następnej karczmy. Zorientował się, które domy są najbardziej zamożne, po liczbie służących noszących wodę i drewno, które karczmy są najpopularniejsze, po tym, ile razy otwierały się i zamykały ich drzwi. „Pękniętemu Hełmowi” wiodło się zdecydowanie lepiej niż „Dzikiej

Beczułce” czy „Żelaznemu Ogrowi”. Właściwie to nie widział ani jednej osoby, która weszłaby do „Żelaznego Ogra”, i nie był pewien, czy to w ogóle jest karczma. Lokale Dzielnicy Szlacheckiej były tak schludne i uporządkowane, że „Żelazny Ogr” mógł być najładniejszą kuźnią, jaką kiedykolwiek widział albo – sądząc po nazwie – kantorem lichwiarza. Widział osoby idące szybkim krokiem do karczm, a potem wychodzące kilka godzin później w grupach, które kręciły się bez celu. Patrole szeryfów także chadzały w grupach. Domyślał się, że sporo członków patroli to zastępcy, bo nie nosili mundurów. Widział pięć takich grup, zwykle składały się z trzech, czterech osób.

Biorąc to wszystko pod uwagę, niewielu ludzi się kręciło. Może wszyscy byli na przyjęciu na zamku, a nagłe ochłodzenie sprawiło, że niezaproszeni zostali w domach. A może odstraszały ich patrole szeryfów, które zaczepiały wszystkich mijanych.

Im później się robiło, tym cichsza stawała się ulica, co odpowiadało Hadrianowi. Pracę, która ich czekała, najlepiej wykonać w godzinach małego ruchu. Im bardziej zbliżała się ta pora, tym żałośniej Hadrian się czuł. Zgodził się z Royce'em, że bez względu na jego pozycję mężczyzna, który pobił Gwen, powinien zostać ukarany. Niestety metody Royce'a nieszczególnie zestrajały się z jego własnymi. Hadrian wolałby stanąć z lordem do walki na miecze na dobrze oświetlonym polu; co prawda taki pojedynek nie byłby sprawiedliwy, ale przynajmniej sprawiałby takie wrażenie. Z pewnością najwyższy konstabl, markiz, nie zgodziłby się na coś takiego, więc mniej honorowe sposoby Royce'a były potrzebne. Jednak Hadrianowi nie podobała się myśl, że miałyby zakraść się i...

Zeskoczył z ławki i oparł się o bok powozu.

– Co właściwie zamierzasz z nim zrobić, kiedy już wyjdzie?

– Nie chcesz wiedzieć.

Hadrian spojrzał na delikatną różę, której łodyżkę włożono w kratę przy latarni powozowej. Przy każdym z czterech rogów umieszczono jeden kwiatek. Royce kupił je od ulicznego sprzedawcy. Był w poetyckim nastroju, a to nigdy nie wróżyło niczego dobrego.

Rozdział 14

Zdrajcy

– Nic mnie to nie obchodzi, młoda damo – królowa Ann sprzeczała się z córką.

Richard Hilfred stał w korytarzu królewskiej rezydencji i patrzył przez otwarte drzwi. Nora, pokojówka z zezem, pomagała królowej przy Ariście, która próbowała uwolnić się od obu.

– Mam prawie trzynaście lat! – krzyczała księżniczka. – Mogłabym już wyjść za mąż i mieć własne dzieci, a wy nadal wysyłałybyście mnie do łóżka, zanim księżyc wespnie się na niebo.

Dziewczyna była czerwona na twarzy, wściekła i kłóciła się z matką, odkąd przyprowadził ją do sypialni z rozkazu królowej. *Arystokraci*.

Hilfred nigdy nie pojął tego wieczornego rytuału. Człowiekowi, który ukradł jabłko, żeby oddalić śmierć, bez chwili zastanowienia odcięto by rękę, ale własnym dzieciom możni lekkomyślnie pobłażali. Gdyby Arista była jego córką, nigdy nie odezwałaby się do niego w ten sposób dwa razy. A na pewno za drugim nie miałyby tej samej liczby zębów.

Królowa z rękami na biodrach pochyliła się i powiedziała ostrym tonem:

– Widzisz, i tu się mylisz, Aristo. Kiedy wyjdiesz za mąż i będziesz miała własne dzieci, nie będę ci już mówić, co masz robić. To będzie rola twojego męża. I będziesz robić, co ci każe, tak jak teraz zrobisz to, co ja ci każę.

– To niesprawiedliwe.

– Jak powiedziałaś, masz prawie trzynaście lat, w zasadzie jesteś już kobietą, zgadza się? Zatem najwyższy czas, żebyś zrozumiała, co to znaczy być kobietą. Sprawiedliwość nie ma tu nic do rzeczy. Dygasz, jesteś posłuszna, uśmiechasz się i trzymasz gębę na kłódkę.

– Ty tak nie robisz. Ty i ojciec...

– Miałam szczęście. Twój ojciec jest... Cóż, jest bardzo dobry, ale wiem też, że mam robić, co każe, kiedy zaczyna warczeć. Ty też się tego nauczysz, a dzisiejszy wieczór to dobre ćwiczenie na przyszłość.

– W takim razie nigdy nie wyjdę za mąż.

– Ta decyzja naprawdę nie należy do ciebie.

– A powinna.

– Ty i te wszystkie twoje „powinno”. Nie stajesz się kobietą, Aristo. Stajesz się rozpuszczonym bachorem. A teraz marsz do łóżka.

Królowa obróciła się i wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi z większym impetem, niż to było potrzebne. Stała przez chwilę sztywno, z rękami zaciśniętymi w pięści, zaciśniętymi zębami.

– Uparta, waleczna, niezdolna pogodzić się z nieuniknionym – warknęła.

Hilfred zastanawiał się, czy mówiła do niego. Czasem po prostu mówią do siebie. Czuł się niezręcznie. Jeżeli mówiła do niego, musiał odpowiedzieć, bo inaczej obraziłby ją, a nie chciał tego, kiedy była w takim stanie, zwłaszcza że był pewien, że królowa nie okazałaby mu tyle wyrozumiałości i cierpliwości, co swojej córce.

– Trochę jak jej ojciec – odezwał się.

Królowa Ann skinęła głową, nie patrząc na niego. Potem odwróciła się i spojrzała na drzwi.

– To w niej kocham.

– Wasza Wysokość życzy sobie, żebym odprowadził ją na przyjęcie?

– Hm? – Podniosła wzrok. – Nie. Mam dość zabawy na jedną noc. Odeślę Aristę do łóżka, a potem sama się położę. Nie będę potrzebowała twoich usług przez resztę wieczoru, dziękuję.

– W takim razie Wasza Wysokość pozwoli, że odejdę. – Ukłonił się oficjalnie. – Życzę dobrej nocy.

– Dobranoc, sierzancie, dziękuję. – Królowa spojrzała na drzwi do

sypialni córki i westchnęła, zanim weszła tam z powrotem.

Richard został sam na korytarzu.

Myślał już, że te nonsensy z księżniczką nigdy się nie skończą. W innej sytuacji wymknąłby się, ale przyjęcie w równym stopniu pomagało, co utrudniało. Szkoda, że Reuben nie powiedział mu wcześniej o Rose.

Richard musiał porozmawiać z biskupem. Król będzie na dole upijał się z hrabią Pickeringiem. Dostatecznie bezpieczny we własnym zamku z Berniem i Malem jako swoją służbą przyboczną. Kiedy królowa i księżniczka wróciły do siebie, musiał się tylko martwić księciem. Nora zawsze kładła go pierwszego do łóżka. Musiał jeszcze sprawdzić kuchnię. Alric, tak samo jak Pickeringowie, miał nawyk wymykania się na dół i urządzania zakładów ze starszymi giermkami.

Tylko gdzie podziewał się Saldur?

Ostatnim razem widział go z Amrathem w kaplicy. Ponieważ znajdowała się po drodze do schodów, warto było tam zajrzeć. Przystanął przed drzwiami do kaplicy, wyciągnął rękę, żeby zapukać, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał dwa znajome głosy.

– ...ponieważ martwiłem się – wyjaśnił biskup Saldur.

– Ale dlaczego tam byłeś? – Bez wątpienia był to głos lorda Exetera, szorstki i oskarżycielski.

– Czy istnieje jakaś zasada niepozwalająca biskupowi zadawać się ze strażą zamkową? Natychmiast przeproszę króla, jeśli nieumyślnie naruszyłem etykietę, ale zapewniam cię, że nie byłem świadom takiego zakazu.

– To nie jest kwestia protokołu. To zwyczajnie dziwne. Sierżant Barnes mówił, że widział cię na schodach do wieży. Wieża to dziwne miejsce dla duchownego w środku nocy. Co tam robiłeś?

– Czy to z rozkazu króla muszę tłumaczyć się z obecności na zamku? Czy też popełniono jakąś zbrodnię, o której nie wiem, a o którą jestem podejrzewany?

– Czy jest jakiś powód, dla którego odmawiasz odpowiedzi na tak proste pytanie.

Krótką pauza.

– Właśnie wróciłem tego wieczoru z podróży do Ervanonu

i zjawiłem się na zamku, żeby zobaczyć się z królem, ale kiedy przyszedłem, był zajęty i poproszono mnie, żebym zaczekał. Nie miałem nic do roboty, a ponieważ nigdy nie widziałem widoku z wieży, uznałem, że się wespnę. Przyda mi się trochę ruchu. W moim wieku nie zażywam go dość. Zerknąłem przez okno, ale niewiele zobaczyłem, bo było ciemno. – Zarechotał. – Powinienem być chyba to przewidzieć, ale cóż... Schodziłem właśnie, kiedy wpadłem na grupę żołnierzy idących na górę. Zaciekawilo mnie, po co tak wielu wybiera się na wieżę. Okazało się, że to urodzinowe przyjęcie dla kapitana straży. Mieli beczkę piwa i tacę wędlin oraz serów. Nie miałem czasu nic zjeść, a nadal czekałem na króla, więc chwilę z nimi zostałem.

– A kiedy odkryto, że dziewczyna zaginęła, dlaczego tak nalegałeś, żeby kapitan Lawrence ogłosił alarm?

– Martwiłem się o króla. Dziewczyna mogła być kimkolwiek. Kobieta, która sprzedaje ciało, jest zdolna do wszystkiego. A co, jeśli miała sztylet i zamierzała poderżnąć królowi gardło?

– To była zwykła dziewczyna, tępa dziwka z Domu Medford. Mam uwierzyć, że bałeś się, że dotrze do króla uzbrojona w rzeźnicki nóż? Nawet gdyby do tego doszło, czy stanowiłaby poważne zagrożenie dla jego życia?

– Stałem w pomieszczeniu z kilkunastoma strażnikami, którzy przyznali, że złamali zasady, a potem jakimś cudem zgubili dziewczynę, którą przeszmyglowali na zamek. Nie byłem całkowicie przekonany, że potrafią zapewnić królowi bezpieczeństwo. Spodziewałbym się, że ze wszystkich ludzi właśnie ty zgodzisz się ze mną i staniesz po mojej stronie.

– Po twojej stronie? – Słowa ociekały pogardą. – Wiesz, co myślę, biskupie? Myślę, że ty i twoja strona nie pragniecie niczego równie mocno jak ujrzeć koniec władzy królewskiej. Myślę także, że ta wieża jest wygodnie oddalonym miejscem, mimo że stanowi część królewskiej rezydencji. Schody są długie, na górze jest zimno i podobno tam straszy, idealne miejsce na uboczu, a jednocześnie pod ręką, w sam raz, żeby knuć przeciwko królowi. Myślę, że poszedłeś tam przed przyjęciem nie dla widoków, ale żeby z kimś spiskować. Plotki mówią, że światło płonęło na wieży w noc przed śmiercią

Wainwrighta. Może regularnie spotykałeś się tam z kimś i zaniepokoiłeś się, kiedy nagle zobaczyłeś, że niespodziewanie wybierają się tam żołnierze. To, czego się dowiedziałeś, było niepokojące. Kobieta ukrywała się w szafie. Czy była tam, kiedy przyszedłeś? Czy słyszała twoją rozmowę z innymi spiskowcami? Musiałeś się tego dowiedzieć. Dlatego podniosłeś alarm. Musiałeś ją znaleźć, żeby poderżnąć jej gardło.

– Mój drogi chłopcze, to dość rozbudowana opowieść, bardzo pomysłowa, ale po co marnujesz ją na mnie? Z pewnością obmyśliłeś tę mowę, żeby król, a przynajmniej kanclerz, stracił do mnie zaufanie, i śmiem twierdzić, by odwrócić uwagę od siebie. Obaj wiemy, że to ty spiskujesz przeciwko królowi i to ty tak uparcie szukasz dziewczyny. To ty zleciłeś, by Barnes ją tam przeszmurował? Dlatego go zabiłeś? Żeby Barnes nie powiedział prawdy? Widzisz, łatwo rzucać oskarżenia, ale to nic nie znaczy. Wiem, bo próbowałem sprawić, żeby król zrozumiał. Nie chciał słuchać. Żąda faktów, nie podejrzeń. Zatem, o ile nie zamierzasz mnie aresztować, wracam teraz do katedry. Za stary jestem na przyjęcia.

Richard zapukał i poczekał.

– Kto tam?! – krzyknął Exeter. – Czego chcesz?!

– Richard Hilfred. Przyszedłem zobaczyć się z biskupem.

– Wejź, proszę, Hilfredzie – powiedział Saldur.

– Czy ty nigdy nie strzeżesz króla? – zapytał Exeter.

– Tego wieczoru przydzielono mnie do straży przybocznej królowej, wasza lordowska mość, a ona zwolniła mnie na resztę nocy.

– Coś jeszcze, konstablu? – spytał Saldur.

– Znajdę dziewczynę – odrzekł lord. – Znajdę Rose i podejrzewam, że wtedy odbędziemy inną, całkiem inną rozmowę.

Minął Richarda i wypadł na korytarz, idąc w kierunku schodów.

– Wejź, proszę, Richardzie. W czym mogę ci pomóc?

Richard zamknął za sobą drzwi na korytarz, ale nadal martwił się, że ktoś może go podsłuchać. W końcu sam dopiero co podsłuchał poprzednią rozmowę w tym pomieszczeniu.

Powiedział cicho:

– Znalazłem Rose.

Rozdział 15

Rose

Przeszli szybko niewygodnie wąskim korytarzem. Richard szedł pierwszy, trzymając latarnię wysoko, żeby oświetlić biskupowi drogę do lochów, którą pewnie pierwszy raz pokonywał. Odgłosy gali ledwie do nich docierały – stłumiona mieszanina rozmów, śmiechów i muzyki. Kiedy dotarli do ostatniej celi, Richard posłużył się kluczem, który dał mu syn.

– Reuben?! – zawołała dziewczyna, kiedy drzwi się otworzyły.

– Nie – odpowiedział Richard, wchodząc i znowu unosząc latarnię, tym razem oświetlając Rose skuloną pod drugą ścianą. – Jestem ojcem Reubena. Przysłał mnie, a ja przyprowadziłem biskupa Saldura, który chce ci zadać kilka pytań.

Weszli do wysypanej sianem celi, a biskup otaksował dziewczynę, kręcąc z lekceważeniem głową.

– Byłaś w wysokiej wieży poprzedniej nocy?

Rose skinęła głową, owinięta w uwalany sianem koc.

Richard ucieszył się, widząc, że w żaden sposób nie przypominała jego Rose. Była znacznie młodsza, mniej więcej w wieku Reubena, miała okrągłą twarz o sarnich oczach.

– Sierżant Hilfred mówi mi, że podsłuchiłaś rozmowę między dwoma mężczyznami? Co słyszałaś?

– Mówili o zabiciu króla.

– Kim byli?

– Nie mam pojęcia, proszę pana.

Saldur poszedł.

– Na pewno? To bardzo ważne.

– Ani razu nie padło żadne nazwisko.

Zbliżył się o kolejny krok.

– Jesteś pewna?

Skulona na sianie Rose wyglądała na przerażoną.

– Ehm... Tak... Jestem... Żadnych nazwisk, ale jeden zwrócił się raz do drugiego „Wasza Ekscelencjo”.

– Coś jeszcze?

Zawahała się. Richard widział, że stara się coś wymyślić, żeby zadowolić biskupa, który stał nad nią. Nagle jej oczy rozpromieniły się.

– Tak... Tak! Padło imię „Clare”.

– Clare? – naciskał Saldur.

– Słyszałam... – Spojrzała na Richarda, a potem na podłogę. Zapatrzyła się, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. – Tak! Powiedzieli, że to wielka szkoda, że Clare musiała umrzeć, bo odkryła, kto zamordował kanclerza.

Rose pokiwała z werwą głową, aż kilka źdźbeł słomy wypadło jej z włosów.

– Powiedzieli, kto to był?

Rose znowu usiłowała sobie przypomnieć, na jej twarzy malowała się frustracja.

– Nie.

– Myślisz, że zdołałabyś rozpoznać te głosy, gdybyś znowu je usłyszała?

Ponownie się zamyśliła. Przyjrzała się im obu, a potem żalnym głosem przyznała:

– Nie wiem.

Saldur popatrzył na dziewczynę jeszcze krótką chwilę, a potem wyszedł. Richard poszedł za nim. Odeszli kawałek korytarzem wśród pustych cel, a potem biskup przystanął i powiedział szeptem:

– Kto jeszcze wie, że ona tu jest?

– Nikt, tylko mój syn.

– Twój syn?

– Reuben. Dziś po raz pierwszy ma służbę przy bramie.

– Jest teraz na służbie?

– Tak.

Saldur się uśmiechnął.

– Idealnie. Musisz wyprowadzić Rose z zamku. Zrób to teraz, zanim Exeter ją znajdzie. Zajmij się nią. Znajdź jej bezpieczne miejsce, gdzie nikt nie będzie jej szukał. A potem wracaj szybko, będę potrzebował dziś w nocy twojej pomocy. W naszych rękach leży los królestwa.

* * *

Reuben zaczął rozumieć, dlaczego Bale był zły z powodu jego spóźnienia. Stanie w jednym miejscu okazało się gorsze niż rąbanie drewna i o wiele cięższe od oporządzania koni. Od wielu godzin nie wydarzyło się nic wartego uwagi, a noc robiła się zimna.

– To o co tym razem się pokłóciliście? – spytał Grisham.

Towarzysz Reubena przy frontowej bramie był siwym weteranem, którego zawsze się bał. Miał chrapliwy głos, krzaczaste brwi i wiecznie pokryty zarostem podbródek. Reuben uznał to za tajemnicze, że nigdy nie widział, żeby ten człowiek się golił, ale nigdy też nie zapuścił brody.

– O czym mówisz? – Reuben zdziwił się, że Grisham odezwał się do niego.

Rzadko się odzywał, ale może nuda wszystkim dokuczała.

– O twojej kłótni z ojcem tego ranka. Słyszałem, że znowu uderzyłeś o drzwi. Obudziłeś mnie.

– Przepraszam. – Reuben zakończył na tym, myśląc, że Grisham chciał się tylko poskarżyć.

– No więc? O co poszło?

Reuben spojrzał zdziwiony na wiarusa. Naprawdę chce wiedzieć? Może włożenie munduru zmieniło jego status nie tylko w oczach dziewcząt uwięzionych w lochach.

– Nie podobało mu się, że zadaję się z księciem i jego przyjaciółmi.

– A tak, słyszałem o tym. Masz szczęście, że wróciłeś wtedy, kiedy

wróciłeś. Już mieli wysłać po nich patrol, a wtedy musiałbyś się tłumaczyć nie tylko przed ojcem.

– A co właściwie miałem zrobić? Kiedy ksiązę mówi, żeby z nim jechać, to nie bardzo można odmówić.

– Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś ani dlaczego. Ciekawiło mnie tylko, dlaczego Richard walił twoją głową o drzwi.

– Był pijany – dodał Reuben, nie bardzo wiedząc czemu.

Ojciec wiele razy go zbił na trzeźwo i Grisham to wiedział.

Stary strażnik spojrzął ponad mostem na linię powozów z płonącymi latarniami, a potem podrapał się po zaroście. Często to robił.

– To nie jest zły facet, wiesz, twój ojciec. Po prostu jest twardy. Świat go takim uczynił, wszystkich nas tak zmienia, ostatecznie. Po prostu chce, żebyś był twardy, żebyś miał już parę odcisków, żebyś się nie wykrwawił na śmierć. Rozumiesz, co mówię? Dzięki temu przetrwasz. Świat to nieszczęsne miejsce, dzieciaku. Daj mu szansę, a zabije cię i niekoniecznie mieczem albo kaszlem. Są powody, dla których mężczyźni wolą zginąć w bitwie, życie potrafi być czasem gorsze. Nie sprawisz, że syn będzie twardy, rozpieszczając go, ale waląc jego głową o drzwi.

Grisham nigdy nie mówił aż tyle do Reubena, a skoro wpadł w taki rozmowny nastrój, Reuben postanowił to wykorzystać.

– Znałeś moją matkę?

– Pewnie, wszyscy ją znaliśmy. – Grisham szybko się pomiarkował i zaraz dodał: – Nie w takim sensie, rzecz jasna. Nie była... No wiesz... Jak mówią. To była dobra dziewczyna, miła. – Urwał i po chwili dorzucił: – To pewnie po części dlatego. Ojciec nie chce, żebyś był taki jak ona.

– To znaczy?

– Słaby.

– Bo się zabiła?

– Jak już mówiłem, niektórzy ludzie nie mają żadnego pancerza. Taka była Rose Reuben. Patrząc na nią, widziałeś, o czym myśli. Powiedziała ci wszystko, nie wiedziała, co to znaczy sekret. Kiedy była nieszczęśliwa, płakała. Kiedy była szczęśliwa, uśmiechała się.

– A jeśli miała złamane serce?

– Widzę, że zaczynasz rozumieć.

Drzwi zamkowe otworzyły się i światło przemknęło między dwiema postaciami. Jedna była owinięta w koc. Nawet z daleka Reuben rozpoznał swoją Rose i ojca. Przeszli szybko przez dziedziniec do bramy.

– Zabieram ją do domu – powiedział Richard Hilfred, zanim któryś zadał pytanie. Spojrzał na Grishama. – Ta dziewczyna, Rose, podsłuchiwała, jak dwóch mężczyzn planuje zamordowanie króla. Zgadza się?

Rose pokiwała głową.

– Jeden z nich to lord Exeter – powiedział ojciec Reubena. – Exeter szuka jej, żeby ją zabić. Muszę ją ukryć.

– Exeter? – spytał Grishama. – Zdrajcą?

– Niestety. Byłbym wdzięczny, rzecz jasna, gdybyś zapomniał, że kiedykolwiek widziałeś tę dziewczynę, i nie mówił nikomu, że opuściłem zamek.

Reuben zauważył, że Grisham rzucił mu spojrzenie, jakby mówił: „Żartujesz sobie? Znowu?”.

– Wiesz, że szeryfowie patrolują ulice – powiedział Grisham. – Szukają jej.

– Pójdę z tobą – zaproponował Reuben.

– Zostaniesz tutaj – warknął ojciec. – Tu masz służbę.

Złapał Reubena za łańcuch na piersi i pchnął na mury zamkowe.

– Załatwiłem ci tę służbę dziś wieczorem, żebyś był bezpieczny – mówił cicho. – Zostaniesz więc tutaj, rozumiesz? Nigdzie się nie ruszysz. Nie do miasta i z pewnością nie na zamek. Bez względu na powód? Jasne?

Reuben nie rozumiał, ale skinął głową.

– Słuchaj... – Richard westchnął i puścił syna. – Twoja matka chciała, żebym się tobą zajął. Zrobiłem to. Zrobiłem, co mogłem, i spłaciłem dług. Przeżyłeś. Jesteś teraz mężczyzną. Zrobiłem to, więc jutro pamiętaj tylko, że załatwiłem ci służbę przy bramie. Dobrze?

Reuben miał wrażenie, że przegapił część rozmowy, jak wtedy, gdy ojciec był pijany. Słowa, które płynęły z jego ust, układały się

w zdania, ale nie miały sensu. Znowu skinął głową, udając, że jest mądrzejszy, niż było naprawdę.

Ojciec złapał Rose za nadgarstek i pociągnął za sobą. Kiedy mijala bramę, obejrzała się za siebie przerażona. Chciał coś jej powiedzieć, może się pożegnać. Zanim znalazł słowa, ona już przepadła.

* * *

Rose byłaby przerażona, gdyby ciągnął ją ktoś inny niż ojciec Reubena. Ponury mężczyzna złapał ją za nadgarstek i poprowadził przez most. W niczym nie przypominał Reubena i dopóki nie doszli do bramy, zastanawiała się, czy nie skłamał, przedstawiając się.

Uspokoila się, gdy tylko znowu zobaczyła Reubena. Już widok jego twarzy sprawił, że poczuła się bezpiecznie. Rose znała go nieco ponad dzień, ale zdążył zrobić dla niej więcej niż jakikolwiek inny mężczyzna. Nie był taki jak inni – mężczyźni byli źli. Doszła do tego wniosku, odkąd ojciec porzucił ją i jej matkę. W ciągu następnych lat zetknęła się z wieloma przykładami, które to potwierdzały. Reuben był inny, niespodziewanie, szokująco inny. Odkrycie go było jak odkrycie, że psy potrafią mówić. Był więcej niż specjalny, był cudem. Dla Rose Reuben był jasnym światłem, a ona była cimą. W ciągu wielu godzin w ciemnej celi tylko o nim myślała. Co lubił? Czego nie lubił? Kim była dziewczyna, którą kochał? Znalezienie odpowiedzi na to ostatnie pytanie było jak igła w jej sercu. A mimo to jeszcze bardziej kochała go z tego powodu. Był wierny. Nie mogła tego powiedzieć o żadnym z mężczyzn, którzy przychodzili do „Ohydneho Łba” albo Domu. I czy nie było chwili, tej jednej chwili, kiedy coś wyczuła?

Chciał zachować dla niej czystość. Chciał, żeby jego pierwszy raz był czymś specjalnym. Czy to nie było niewiarygodne? Rose uznała, że to wzruszające i zarazem niemądre. Nie miała miłych wspomnień z pierwszego razu i starała się ze wszystkich sił nie pamiętać wszystkich następnych razów. Jej umysł miał tendencję do zapamiętywania dobrych rzeczy w życiu i zapominania złych, ale nie był w tym dostatecznie dobry. To jednak znaczyło też, że Reuben i jego

ukochana nie mieli jeszcze za sobą swojego wspólnego pierwszego razu. Wydawało się, że nawet jej nie pocałował. W jego głosie krył się ból. I w oczach. Dostrzegła to i zastanawiała się, czy dzięki temu Gwen potrafiła widzieć różne rzeczy, kiedy czytała z dłoni. Może każdy potrafi zajrzeć w duszę drugiego człowieka i dostrzec przebłysk prawdy. Gwen zwyczajnie wiedziała, jak patrzeć, a może po prostu dawała sobie dość czasu. Niektórzy ludzie nie chcą wiedzieć, większość nie chce. Jeśli jednak naprawdę ci na kimś zależy, może zdołasz spojrzeć mu w oczy i wyczytać, co go trapi, bo to będzie widoczne, jeśli naprawdę chcesz to dostrzec. Patrząc w oczy Reubena, Rose myślała, że coś odkryła na temat jego i dziewczyny, na którą czekał. Oddał jej serce, ale dar nie został przyjęty. Kimkolwiek była ta durna dziewczyna, Rose jej nienawidziła. Była też wdzięczna za jej głupotę, bo wierzyła, że sama zakochała się w Reubenie Hilfredzie.

Przechodził ją dreszcz, kiedy ojciec Reubena ciągnął ją przez miasto, ale bardziej z powodu chłodu niż myśli. Cienka sukienka nie grzała zbytnio, lecz nigdy nie miała służyć do tego celu. Trudno było utrzymać koc na ramionach, a wiatr go odwiewał. Zima pukała, jej lodowate palce wszędzie się wciskały.

Rose powinna mu podziękować. Był ojcem mężczyzny, którego kochała, i teraz miała szansę zrobić dobre wrażenie. Rozumiała, że już źle się zaprezentowała. Była prostytutką, szukał jej konstabl i poznała jego syna, uciekając z przyjęcia, na którym była prezentem. Pocieszał ją tylko fakt, że to będzie wspaniała historia dla ich wnuków. Zmarszczyła brwi. Może historię o tym, że mamusia była dziwką, lepiej przemilczeć. Mimo to wyobraziła sobie rozmowę.

„Dziękuję, że mi pomagasz, Richardzie. Nazywasz się Richard, prawda? Czy może powinnam mówić do ciebie tato? Tak, powinnam, to brzmi o wiele milej i zawsze chciałam mieć prawdziwego ojca, odkąd mój własny uciekł i zostawił mnie i moją matkę, żebyśmy umarły z głodu. Nie masz więc żadnych rywali do tego tytułu. Nie potrafisz wyobrazić sobie nas wszystkich, jak siedzimy przed kominkiem w zimonia? Upiekę gęś, którą przyniesiecie do domu z Reubenem, podczas gdy mała... Ehm... Mała Gwendolyn i mały Richard, tak, nazwę go po tobie, będą bawić się na podłodze”.

– Dziękuję, że mi pomagasz – powiedziała Rose.

– Zamknij się. – Richard Hilfred znowu szarpnął ją za rękę, wykręcając jej nieco nadgarstek, żeby zaboląło.

Był zły.

Może denerwował się, bo jej gadanie mogło ich zdradzić. Zapomniała, że jest uciekinierką, a jego obawy miały sens. Potrzebna mu była tylko gaduła, która ściągnie na nich oboje śmierć. Kolejna wpadka. Powinna ugryźć się w język. Podbicie serce ojca przyszłego męża będzie wymagało wielu napraw, ale skoro Gwen potrafiła uczynić perłę ze zrujnowanej gospody „Przekorny Podróżny”, to Rose też się uda. Reuben pomoże jej wszystko naprawić, a Richard zmięknie, kiedy da mu wnuki. Dziadkowie zawsze uwielbiają wnuki. A na razie będzie milczała.

Uśmiech wypłynął jej na twarz, kiedy wyobraziła sobie, co powie Gwen po powrocie do domu.

„Pamiętasz, co mówiłaś o tym, że się zakocham?”.

Rozdział 16

Lord najwyższy konstabl

– Rose była na zamku? – zapytał Hadrian.

Wrócił na siedzenie stangreta i nawet płaszcz Dunwoodie’ego nie wystarczał, żeby osłonić go przed chłodem.

– Nie spodziewałem się tego. – Głos Royce’a zabrzmiał pusto w ciemnym wnętrzu powozu pod Hadrianem.

– Mamy kłopoty?

– Nie sądzę. Wygląda na to, że poszczęściło nam się. Powiedział, że Exeter nadal jej szuka. Możliwe, że trafiliśmy na idealny moment.

– Nigdy w życiu nie dojdą do Dzielnicy Dolnej.

Hadrian patrzył, jak dziewczyna i strażnik idą szybko wzdłuż sznura powozów w kierunku miasta. Pamiętał ją z poprzedniego roku. Rose była dziewczyną, która regularnie przynosiła mu zupę. Raz rozlała trochę na niego i oboje nieźle się uśmieśli. Uwielbiała jego historie i raz, tuż przed ich wyjazdem, tańczył z nią przed kominkiem.

– Powinniśmy ich podwieźć.

– Czekam tu na Exetera i potrzebuję powozu. Możesz ich odprowadzić, jeśli chcesz. Nie potrzebuję tu ciebie.

Hadrian zeskoczył z siedzenia woźnicy i stanął obok okna powozu. Zasłony były zaciągnięte, ale widział palce Royce’a, którymi częściowo je rozsuwał.

Popatrzył, jak tamta dwójka weszła w cienie, i westchnął.

– Zostanę.

– Nie. Powinieneś iść.

– Royce, masz nadzieję złapać w zasadzkę wysoko postawionego arystokratę i myślisz, że nie przyda ci się pomoc?

– To znajomy teren.

– Jakim cudem?

– Nie bez powodu Czarny Diament zwrócił nam konie. Nie bez powodu ludzie w Colnorze nadal boją się mężczyzn w ciemnych kapturach. Mam w tym sporą wprawę. Nie potrzebuję twojej pomocy, ale strażnikowi przydałby się jeszcze jeden miecz. Albo nawet trzy.

– Myślałem, że nie wierzysz w ideę „dobrego uczynku”?

– Może Arcadius miał rację. Udziela mi się od ciebie.

Hadrian żałował, że nie widzi oczu Royce’a, chociaż nie zdradziłby mu zbyt wiele. Był pewien, że złodziej coś ukrywa. Zwykle przekonanie Royce’a, żeby pomyślał o kimś innym niż on sam, było jak próba przekonania wody, że nie powinna zawsze spływać w dół. Nie podobało mu się także napomknięcie, że Arcadius mógł mieć rację. Ostatni raz, kiedy widzieli starego profesora, ten niemalże wykręcił im ręce, żeby zmusić ich do współpracy. A wykręcanie ręki Royce’owi nigdy nie było dobrym pomysłem. Kiedy więc Hadrian usłyszał, że przyjaciel przyklaskuje staruszkowi, nabrał przekonania, że coś jest nie tak.

Zdjął płaszcz woźnicy i kapelusz, wyciągnął miecze spod siedzenia, gdzie je ukrył.

– Mogę jeszcze zdążyć wrócić.

– Nie ma pośpiechu – zapewnił go Royce. – Jeśli się uda, będę zajęty całą noc.

„Całą noc”.

Te słowa krążyły Hadrianowi po głowie, kiedy odszedł, i jeszcze kilkakrotnie mu się przypominały. Włożył z powrotem swoją pelerynę, kiedy wszedł w cienie, a gdy zniknął z oczu strażnikom przy bramie, pobiegł.

Minął sklepy arystokracji, a potem zwolnił, widząc cel. Zachował stosowną odległość. Nietrudno było ich śledzić. Wiedział, dokąd zmierzają. Strażnik obejrzał się kilka razy, ale nie tyle, ile Hadrian uznał, że powinien. Rok spędzony w towarzystwie Royce’a przekonał go, jak ważna jest uważność, a ostatnie godziny na ławce stangreta

pokazały mu, ile dzieje się na ulicach.

Para przemykała między domami, a potem przeszła pod Łukiem Sklepiarzy do Dzielnicy Rzemieślników. Tutaj świat był mroczniejszy, domy były mniejsze. Mieszkańcy nie mieli dość dochodów, żeby opłacić uliczne latarnie, więc całe oświetlenie składało się ze światła świec z rzadka przeciekającego przez cienkie zasłony w oknach, które osłaniały prywatne życie rzemieślników, ich żon i dzieci. W górze wzeszedł księżyc, zamieniając wąskie ulice we wzory czerni i widmowej bieli. Wśród ciasno stojących budynków głos odbijał się, pozwalając Hadrianowi słyszeć ich kroki, głośne i dźwięczne.

Zastanawiał się, co zaszło na zamku tej nocy i co nadal mogło się tam dziać. Zwykle nie pozwalał sobie na bezsensowne spekulacje na temat arystokracji, tak samo jak nie zastanawiał się, jak to jest być sokołem albo rybą. Poznanie Alberta sporo zmieniło. Wicehrabia był... Zaskakująco ludzki. Używał zbyt dużo wielkich słów, ale oddychał jak wszyscy inni. Hadrian martwił się o niego. Jeśli działo się coś złego, miał nadzieję, że Albert to wyczuje i będzie trzymał się z daleka.

Głośne szuranie i stukot obcasów szybko przesuwał się na bruku poniósł się z bocznej uliczki. Ludzie z Dzielnicy Rzemieślników ciężko pracowali. Niewielu chodziło ulicami po zmroku i nigdy w tak dużych grupach. Hadrian uskoczył do wnętrza z drzwiami do warsztatu szewca, uderzając głową w szyld w kształcie buta, kiedy pojawił się patrol. Zmierzał szybko w stronę Rose i jej towarzysza.

– Stać!

Dwójka zatrzymała się i mężczyźni podeszli do niej. Jak w przypadku pozostałych patroli i w tej grupie tylko jeden z mężczyzn był ubrany w czarno-biały mundur szeryfa. Pozostali nosili zwykłe tuniki i wełniane spodnie, ale każdy miał białe pióro przy kapeluszu.

– Jak się nazywacie? – zapytał ostro jeden z mężczyzn.

– Jestem sierżant Richard Hilfred ze straży królewskiej.

– Jesteś ze straży zamkowej? – zapytał jeden z zastępców.

Szeryf dzielnicy pokręcił głową i zmarszczył brwi.

– Tunika w bordowym kolorze ze złotym sokołem i kolczuga nie zdradziły tego, co?

Pytający wzruszył ramionami, a inny stłumił śmiech.

– A to kto? – zapytał szeryf, wskazując Rose,

– Nie wasza sprawa. Wykonuję polecenie króla, lepiej zostawcie nas w spokoju.

– Nie możemy. Otrzymaliśmy rozkaz odnalezienia młodej dziewczyny, dziwki. – Urwał, uważnie lustrując Rose, obracając ją, żeby dobrze jej się przyjrzeć. – Przez dwie noce mała armia badała każdy zaułek i sprawdzała każdą szczurzą norę, ale nikt nie natrafił na nic choćby podobnego do poszukiwanej... Aż do tej pory.

– A jednak mówię wam, że to sprawa królewskiej wagi. – W głosie strażnika nie było ani odrobiny strachu. Jeśli już, to sprawiał wrażenie poirytowanego. – Widzicie mundur, wiecie, co to znaczy. Zostawcie nas w spokoju. Nie mam dziś czasu na prowincjonalne gierki.

– Może wypełniasz królewskie rozkazy, a może nie. Jeśli wypełniasz, to nie narobisz sobie kłopotów, idąc z nami do zamku, żebyśmy zapytali lorda Exetera. Jeśli wszystko się potwierdzi, odeślę cię pod eskortą i po drodze nie zaczepi was już żaden patrol. Co powiesz na to?

– Powiedziałem już, że nie mam czasu na gierki, chłopcze.

Szeryfowi to się nie spodobało.

– Myślę, że będziesz musiał znaleźć czas, sierżancie Hilferdzie, bo nie jestem chłopcem. Jestem szeryfem dzielnicy Medfordu, a wy dwoje jesteście aresztowani.

Szeryf wyciągnął rękę po Rose, ale Richard nie tracił czasu. Szarpnął ją zdecydowanie do tyłu i dziewczyna z krzykiem przewróciła się na ulicę za jego plecami. Równocześnie wyciągnął miecz. Zanim ktokolwiek się ruszył, wbił ostrze w brzuch największego zastępcy, który nawet nie patrzył w jego stronę. Rose zaczęła krzyczeć, kiedy wielki mężczyzna padł na bruk, obracając się jak zwalniający bączek.

Richard zaatakował szeryfa w mundurze, ale wtedy już wszyscy dobyli mieczy i jego cios napotkał stal. Szczęk broni rozległ się na pustym placu, kiedy mężczyźni stanęli do walki. Ponieważ Richard skupił się na szeryfie, zastępca zyskał okazję do ataku i ciał go przez plecy. Cios zakołysał strażnikiem, ale nic więcej.

– Nosi kolczugę, idioto! – krzyknął szeryf. – Łap dziewczynę. Zabierz ją do Exetera!

Szeryf zaatakował, wymachując bronią i spychając Richarda w bok serią ciosów wymierzonych w głowę.

Nadal krzycząc, Rose odczołgiwała się, dopóki zastępca nie złapał jej za rękę i nie pociągnął, żeby stanęła. Walczyła, kopnęła mężczyznę w gołe nogi, ale tamten nie puszczał. Sfrustrowany upuścił w końcu miecz, przerzucił sobie Rose przez ramię i zaczął ją nieść w stronę zamku.

Hadrian poczekał, aż tamten zbliżył się do warsztatu szewca.

– Dobry wieczór, zastępczo szeryfa – powiedział, wychodząc z ukrycia. – Niesie pan spory ciężar. Może przyda się panu pomoc?

Mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie, a potem powiedział:

– Upuściłem miecz. Możesz go przynieść?

– Nie masz miecza, co? – powtórzył Hadrian. – To jest problem, kiedy nosi się tylko jeden.

W okamgnieniu przycisnął czubek własnego ostrza do gardła zastępcy.

– Postaw ją.

– Jestem oficjalnym zastępcą szeryfa. Pracuję dla lorda Exetera. Spójrz na kapelusz!

– Zabawne, w przypadku sierżanta ta strategia też nie podziałała.

– Zostaniesz powieszony za wtrącanie się.

Rose zrobiła coś za plecami mężczyzny, czego Hadrian nie mógł widzieć, ale zastępca krzyknął i ją upuścił.

– Do diabła! Ugryzłaś mnie!

Chciał ją znowu złapać, ale Hadrian przycisnął ostrze mocniej do jego szyi.

Trzydzieści stóp dalej Richard i szeryf tańczyli do własnej muzyki, pobrzękując mieczami. Sierżant był lepszy, a ponieważ tylko on nosił kolczugę, miał podwójną przewagę. Szeryf zachowywał bezpieczną odległość, rzucając się tylko kiedy Richard się rozpraszał.

– Terence! – krzyknął szeryf. – Uciekaj, biegnij po pomoc.

Zastępca cofnął się krok, obrócił się i pobiegł w stronę Dzielnicy Szlacheckiej. Hadrian go puścił i schował ostrze.

Sierżant wreszcie mógł w pełni skupić się na walce, przycisnął szeryfa, który cofnął się, ale nie dość szybko. Sierżant ciął go w nogę, a kiedy tamten padł, wbił mu ostrze w bok, obrócił i dopiero je wyrwał.

Hadrian się skrzywił. To było niepotrzebne. Pokonał go, trafiając w udo.

Z krwią ściekającą z ostrza Richard zaatakował Hadriana, który uniósł rękę.

– Spokojnie, jestem po twojej stronie.

Sierżant wahał się chwilę, zerknął na Rose, a potem skinął głową i schował broń.

– Dzięki. Kim jesteś?

Hadrian spojrzał na Rose.

– Przyjacielem Gwen.

– Kogo?

– Damy, która zarządza Domem Medford – wyjaśniała Rose. – Hadrian był naszym gościem.

– Domu Medford? – Richard nie rozumiał.

– No tak, tam mieszkam. No wie pan, to tam szliśmy, tam mnie pan prowadził.

– A tak, racja. – Sierżant skinął kilka razy głową. – I musimy ruszać. Dzięki za pomoc, przyjacielu.

Złapał znowu Rose i ruszyli biegiem.

Potruchtali przez centralny plac, minęli fontannę, gdzie bruk układał się w kręgi. Za dnia Hadrian ledwie zauważył fontannę wśród tłumów i ruchu, ale w ciszy chłodnej nocy bulgotała jak kocioł. Idąc za uciekinierami, Hadrian się skrzywił. Biała sukienka Rose odcinała się jasną plamą jak flaga kapitulacyjna, a wojskowe buty Richarda uderzały o bruk dostatecznie głośno, żeby wezwać do chwycenia za broń. Może to wpływ czasu spędzonego z Royce'em, ale tamta dwójka wydawała się Hadrianowi zwinna jak para wołów. Jak na ironię po roku wysłuchiwania tyrad z powodu własnej hałaśliwości i niezręczności, wreszcie zrozumiał frustrację Royce'a. Nie lepiej byłoby, gdyby od razu wrzasnęli „Tu jesteśmy! Znajdźcie nas!”?

Richard przystanął, kiedy dotarli do bramy prowadzącej do

Dzielnicy Dolnej i odwrócił się poirytowany, że Hadrian nadal im towarzyszy.

– Co tu robisz?

– Pomyślałem, że możesz potrzebować...

Przeszkodziły mu krzyki i stukot butów. Hadrian zobaczył latarnie rzucające chwiejne cienie biegnących mężczyzn.

– Zostań tutaj – powiedział mu Richard. – Zatrzymaj ich. Ja muszę zabrać ją stąd.

Hadrian skinął głową.

– Zobaczą, co zdołam zrobić.

Sierżant uśmiechnął się i, znowu łapiąc Rose za nadgarstek, pobiegł z nią w ciemne wąskie uliczki Dzielnicy Dolnej.

Hadrian odwrócił się, żeby stawić czoło zbliżającym się hałasom.

– Tutaj! To jeden z nich!

Terence, chwilę temu bezbronny zastępca, podniósł miecz w drodze powrotnej i teraz go trzymał. Towarzyszyło mu trzech innych mężczyzn w kapeluszach z białymi piórami. Żaden nie nosił munduru, ale wszyscy wyciągnęli broń.

* * *

Albert czekał w sali bankietowej, nasłuchując stłumionych dźwięków zabawy przesączających się korytarzami. Czuł zapach mięsa. Wreszcie podano kolację i miał nadzieję wypełnić zadania wyznaczone na ten wieczór, żeby wreszcie zacząć się bawić. Nie mógł się doczekać, kiedy resztę wieczoru spędzi, rozkoszując się luksusami dostępnymi dla jego klasy, stylem życia, jakiego boleśnie mu brakowało.

Stuknął butami. Były za ciasne. Zawsze tak jest z nowymi butami. Skóra, początkowo sztywna, potrzebuje czasu, żeby dopasować się do stopy właściciela i jego sposobu chodzenia. Albert ledwie pamiętał, kiedy ostatni raz miał nowe buty. Cztery, może pięć lat temu? Te były ładne. Spojrzał na palce i zdał sobie sprawę, że ma w nosie buty – chciał się napić. Może kiedy się wykaże, Royce popuści mu smyczy.

Pod pewnymi względami czuł, że sprzedał duszę, oddał wolność, ale może wolność była przeceniana. Nigdy w życiu nie miał tyle wolności co wtedy, kiedy mieszkał w stodole w Colnorze. Więcej wolności miałyby tylko po śmierci. Nie sposób było spierać się z Royce'em czy Hadrianem, że jest w stanie zachować rozsądek, pijąc. Tak niewiele o nim wiedzieli. Widzieli tylko brudnego włóczęgę bez grosza przy duszy, który sprzedałby ostatnią koszulę z grzbietu za kieliszek rumu. Nie wiedzieli, że to nie picie go do tego doprowadziło – picie pozwalało mu to jakoś przełknąć. Jak inaczej człowiek mógł pogodzić się z bezradnością i nieuniknioną śmiercią głodową? Jak człowiek urodzony w świecie zamków, powozów i królów mógł zaakceptować koniec nędzarza, jeśli nie topiąc go w alkoholu?

Kłopot w tym, że chociaż miał wątpliwości co do Hadriana, to był przekonany, że Royce nie zawahałby się go zabić, gdyby coś popsuł. Ten człowiek cuchnął śmiercią. Albert spędził wiele lat na dworach, ucząc się oceniać ludzi, widzieć, kogo można pchnąć, a kto może wyciągnąć miecz z powodu żartu. Istniały umiejętności, które dworzani albo zdobywał szybko, albo umierał w pojedynku podczas mglistego poranka. Albert nie kłamał. Był fatalnym szermierzem, ale rozwinął inne zdolności. Bojowe umiejętności na dworze to zdolność błyskawicznej oceny zamiarów drugiej osoby i celów. To sprawiało, że Albert był przekonany, że Royce był więcej niż zdolny do morderstwa; wyczuwał, że miał spore doświadczenie w zabijaniu. Poza tym nigdy się nie wahał. Royce nie dałby Albertowi szansy, żeby się wytłumaczył czy coś wyjaśnił. Na razie nie będzie picia, ale może pewnego dnia, kiedy dowiedzie swojej przydatności...

– O co chodzi? Kim pan jest?

Lord Exeter podszedł szybko. Ten człowiek robił wrażenie. Długie ciemne włosy nosił zebrane z tyłu, miał pięknie przyciętą kozią bródkę i surowe spojrzenie. Wszystko to razem wzięte tworzyło srogi wizerunek i krzyczało: „Zagrożenie!” W jednej chwili Albert zobaczył, że on też zabijał i zabiłby znowu. Potężni ludzie, ludzie mający prawdziwą władzę, zawsze byli przerażający.

Exeter tak bardzo go zaskoczył, że Albert ledwie sobie przypomniał, co miał powiedzieć.

– Wasza lordowska mość. – Ukłonił się. – Jestem wicehrabia Albert Winslow.

Exeter spiorunował go wzrokiem.

– Kto?

– Nie oczekiwałem, że słyszał pan o mnie.

– Czego pan chce?

– Poproszono mnie o przekazanie panu wiadomości od pewnego niezwykle hojnego człowieka. Szczerze mówiąc, nie wiem, co znaczy, ale brzmiała bardzo niepokojąco. Poproszono mnie, bym powiedział następującą rzecz...

Kazano mu powtórzyć także to, co już powiedział. Wstęp opracował razem z Royce'em, by zapewnić sobie bezpieczeństwo. Wypuszczał lwa, po tym, jak zatrząsł jego klatką i uznał, że potrzebuje przynajmniej krzesła. Wziął głęboki wdech, chciał przekazać całą wiadomość bez żadnej pauzy. To było ważne, żeby Exeter usłyszał całość, zanim gdzieś popędzi.

– „Znam twój plan” – wyrecytował Albert. – „Mam Rose. Może się dogadamy. Czekam w powozie od frontu. Powozie oznakowanym różą. Przyjdź sam”.

– Kim jest ta osoba? – zapytał Exeter.

– Nie mam pojęcia. Spotkałem go dopiero dzisiaj na gali. Nie wspomniał, jak się nazywa. Dziwne, nie uważa pan? Bardzo nalegał, żebym natychmiast przekazał panu tę wiadomość, mówiąc, że będzie czekał przed frontową bramą.

Lord konstabl patrzył na Alberta jeszcze chwilę. Sprawiał wrażenie zaintrygowanego i rozłoszczonego, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, ku czemu się przychyła. Brama była otwarta, ale lew nie śpieszył się do ucieczki. Odwrócił się do towarzyszącego mu strażnika.

– Vince, zatrzymaj go tutaj. – Exeter skierował się z powrotem w głąb zamku, skąd przyszedł.

Albertowi nie spodobało się to „Zatrzymaj go tutaj” i stał zakłopotany w cieniu strażnika.

Vince był jednym z tych mężczyzn, którzy, jak domyślał się Albert, byli urodzonymi zawodowymi żołnierzami. Stał za blisko jak na wrażliwość wicehrabiego, który wyczuwał smród zjełczałego potu.

Albert, który był dumny ze swojej umiejętności odczytywania ludzi, odkrył, że kiedy patrzy na Vince'a to jakby patrzył na pustą ścianę. Żadnych zawłóści, żadnej tajemnicy, żadnych kolorów – krowy miały więcej głębi. Był o całą głowę wyższy od Alberta, dużą, łysiejącą, nieprzyjemną głowę. Jego twarz stanowiła mapę blizn. Nawet bez pamiątkowych skaz swojego zawodu Vince nigdy nie zostałby uznany za przystojnego. Wicehrabia zastanawiał się, jaka biedna kobieta nazywała tego człowieka swoim dzieckiem i jakim cudem zdołała go nie utopić w kąpeli.

Exeter wrócił z porucznikiem straży i sześcioma żołnierzami. Szedł szybko.

– Trzymaj go tutaj, dopóki nie wrócę – rozkazał Vince'owi. A potem odwrócił się do porucznika i dodał: – Wylin, jakiś idiota siedzi w powozie z różą przed bramą. Idź i go aresztuj.

* * *

Simon Exeter szedł za Wylinem i jego ludźmi, ale zatrzymał się w wejściu do twierdzy, podczas gdy pozostali wyszli frontową bramą. Po drugiej stronie mostu czekał sznur powozów. Przy każdym paliła się latarnia. Niektóre konie były przykryte derkami, póki czekały na klientów albo właścicieli mających wrócić z uczyty.

Simon mógłby podejrzewać, że bogowie sprzysięgli się przeciwko niemu, gdyby nie nieoczekiwana wiadomość od wicehrabiego. Po zniknięciu dziewczyny przez całą poprzednią noc i dzień przetrząsał miasto, przesłuchując dziwki i złodziei. Wyznaczył na zastępców szeryfów dwa tuziny nowych ludzi i kazał szeryfom wziąć podwójną służbę, żeby przeszukali każdą szafę i kredens. A teraz być może rzeczywiście ją znajdzie.

Simonowi nie podobało się zachowanie strażników przy bramie. Obaj przyglądali mu się dziwnie.

Wylin nadbiegł mostem.

– Pusty, sir.

– Pusty?

– Nie ma w środku niczego z wyjątkiem tego. – Porucznik Wylin podał mu pergamin.

Powiedziałem przyjdź sam. Mówię poważnie.

Masz jeszcze jedną szansę. Wsiądź do powozu.

Każ stangretowi zabrać cię na cmentarz przy ulicy Papierowej w Dzielnicy Kupieckiej. Kiedy zobaczę, że powóz przyjechał i że jesteś sam, skontaktuję się z tobą.

Simon zmiął list w pięści i przemaszerował mostem w kierunku powozów. Mężczyźni czekali, obserwując go.

– Ej, ty tam! – krzyknął do stangreta, który się nerwowo wiercił na siedzeniu.

– Ja nic nie zrobiłem, wasza lordowska mość. Naprawdę.

– Mężczyzna, który tu był. Twój pasażer. Dokąd poszedł?

– Zmienił powóz, ale zapłacił mi, żebym na niego zaczekał, panie. Powiedział, że wróci.

– Zmienił? – Simon wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W takim razie w którym siedzi?

– W tym, który odjechał.

Uśmiech Simona zgasł.

– Którędy pojechał?

– Ach... Tamtędy, panie. – Stangret wskazał kierunek. – Skręcił na lewo z placu.

– Dzielnica Kupiecka. – Simon uderzył w bok powozu i woźnica aż podskoczył.

– Chyba nie zamierza pan jechać, wasza lordowska mość? – spytał Wylin. – To znaczy sam.

Simon przeszył go miazdzącym spojrzeniem.

– Nie zwracaj się do mnie, jakbym był jednym z podlegających tobie idiotów.

– Proszę o wybaczenie, wasza lordowska mość.

– Jest ostrożny. – Simon miał wątpliwości, kiedy wicehrabia przekazał mu wiadomość, ale gdy patrzył na ciemny plac, nabierał przekonania, że ktokolwiek to jest, rzeczywiście ma dziewczynę. – Nie

jest skończonym idiotą.

– Słucham, sir?

– Nieważne. Pojadę sam, ale chcę, żebyście ty i twoi ludzie rozdzielili się i udali na ulicę Papierową. Wyślij tuzin ludzi tym razem. Niech zdejmą mundury i kolczugi i idą różnymi drogami. Na miejscu niech rozproszą się wokół wejścia na cmentarz i czekają na moje przybycie. Kiedy usłyszycie, że gwizdzę, podejdźcie. Dasz sobie z tym radę?

– Tak jest, sir, ale skąd mam zabrać ludzi? Nie mogę zdjąć ludzi z murów, nie w wieczór, kiedy król urządza przyjęcie.

– Weź ich ze straży miejskiej z placu Szlacheckiego. Zaczynaj od szeryfów i dobierz resztę spośród zastępców. Nie muszą już patrolować miasta. To powinno wystarczyć z górką. Zbierz ich po drodze i śpiesz się. Chcę, żebyś był na miejscu, zanim ja przyjadę.

– Tak jest, sir. Natychmiast ruszamy.

– Co mam zrobić, panie? – spytał stangret.

– Poczekaj tutaj. Musisz mnie gdzieś zawieźć.

– Wedle życzenia.

Kiedy Simon wrócił do sali bankietowej, Vince nadal miał na oku wicehrabiego, który nie krył zdenerwowania.

– Vince, idź do moich komnat. Przyniesź mój miecz i pelerynę. – Odwrócił się do wicehrabiego. – Ten człowiek, który powierzył panu wiadomość. Jak wyglądał?

– Duży mężczyzna. Ciemna cera. Za to jasne włosy i cienki wąsik, który okalał mu usta, wie pan. – Arystokrata zakreślił linię wokół ust.

– Mówił nieco niewyraźnie. Rozumiem, że go pan nie widział?

– Nie, ale zobaczę. – Spojrzał na wicehrabiego. – Mówił pan, że kim jest?

– Wicehrabia Albert Winslow.

– Jaka posiadłość?

Albert uśmiechnął się nieśmiało.

– Dziadek stracił rodzinne lenno. Jestem arystokratą bez ziemi.

– Najgorszy rodzaj włóczęgi, szlachetnie urodzony. Nic nie robi, niczego nie wnosi, ale wysysa każdego właściciela ziemskiego, jakby to było mu dane przez boga prawo. Zgadza się?

– To cała ja, wasza lordowska mość.

– Zrobił pan swoje. Proszę iść, ukraść posiłek, po który pan przyszedł.

– Dziękuję, wasza lordowska mość.

Simon opuścił zamek, przeszedł przez dziedziniec i po raz kolejny wyszedł bramą, piorunowany wzrokiem przez młodocianego strażnika. Wsiadł do powozu oznakowanego różami i wrzasnął do stangreta:

– Zabierz mnie na ulicę Papierową, na cmentarz w Dzielnicy Kupieckiej!

– Wedle życzenia, mój panie.

Powóz ruszył i wyjechał na ulice miasta.

Kto to może być? Najpewniej ten głupi złodziej, którego pobitem poprzedniej nocy. Myśli, że może zarobić trochę, sprzedając mi dziewczynę. Powieszenie trójki z jego bandy najwyraźniej nie wystarczyło, żeby przebić się przez ten jego cylinder.

Simon był rozdarty między chęcią zabicia przywódcy złodziei i nagrodzenia. Domyślał się, że wszystko będzie zależeć od tego, co powie mu dziewczyna. Miał nadzieję, że nie ściga ducha. I kim był ten tajemniczy wielki blondyn, o którym wspomniał wicehrabia? Oto problem ze spiskami i zamachami stanu – nigdy nie są proste.

Powóz się zatrzymał. Zdumiony Simon wyjrzał przez okno. Nie zajechali daleko. Ciągle znajdowali się w Dzielnicy Szlacheckiej.

– Jedź dalej. Powiedziałem: ulica Papierowa. Znajduje się w Dzielnicy Kupieckiej.

Stangret zeszedł z ławki, otworzył drzwi powozu i wsiadł do środka.

– Co ty wyprawiasz? Wynoś się! Oszalałeś?

– Tak. I to bardzo. – Mężczyzna był drobny i chudy, ale w jego oczach kryło się coś niepokojącego. A jeszcze bardziej niepokojący był nacisk ostrza, które stangret przyłożył nagle do jego gardła.

– Nie mam wielu przyjaciół – powiedział stangret. – Właściwie mogę ich zliczyć na jednej dłoni i nie wykorzystałbym wszystkich palców. Jak wszystko co rzadkie, są bardzo cenni. I owszem, szaleję z wściekłości, kiedy któremuś stanie się krzywda. Ale ty na pewno nie to miałeś na myśli. Pytałeś, czy naprawdę oszalałem, czy jestem

wariatem, tak? – Mężczyzna mówił niefrasobliwie, bez odrobiny strachu czy szacunku, a jednak cicho, szeptał cicho jak kochanek. – Cóż, mówiąc szczerze, myślę, że i tu możesz mieć rację. Proszę, zagwiżdż, jeśli masz ochotę. Dzięki tobie wszyscy szeryfowie wynieśli się z Dzielnicy Szlacheckiej, a dzięki gali także wszyscy mieszkańcy. Nikt nie usłyszy twojego sygnału ani krzyków.

Rozdział 17

Kapelusze z piórem

Hadrian patrzył, jak podchodzi czterech zastępców, których jedyną namiastką munduru były zwykłe białe pióra przy kapeluszach. Jeden nosił swój tyłem naprzód, więc pióro sterczało do przodu jakby był jednorogim bykiem. Nie różnili się od poprzedniego patrolu, poza tym, że brakowało im wyszkolonego szeryfa. Podeszli niezdarnie, trzymając broń.

– To jeden z tych, co mnie zaatakowali. Mają tę dziewczynę, Rose! Szukajcie drugiego.

– Czekaście! – krzyknął Hadrian. – Nie działajmy w pośpiechu. Wy nie chcecie umierać, a ja, szczerze mówiąc, nie chcę was zabijać.

– Odłóż swój miecz, ehm, miecze, na ziemię – powiedział Terence. – A potem połóż się na brzuchu, bo inaczej my zaczniemy zabijać.

– Posłuchajcie – spróbował raz jeszcze Hadrian. – Rose niczego nie zrobiła. To tylko młoda dziewczyna. I...

– Niech któryś zadźga tego durnia.

Wszyscy dobyli broń.

Hadrian cofnął się przez bramę do Dzielnicy Dolnej, znikając im z oczu i wyciągnął dwa miecze. Pierwszy, który pokonał bramę, wbiegł na ostrza Hadriana. O jego zwinięte ciało potknął się drugi. Hadrian chwilowo go zignorował i załatwił trzeciego mieczem półtoraręcznym. Ostatni zawahał się zgodnie z przewidywaniami Hadriana. Do tego czasu drugi zastępca, który przeszedł przez bramę, jegomość z piórkiem jak róg, już się podniósł i wziął zamach.

Uderzenie było właściwie zwykłym cięciem z barku, nie zdradzało żadnych umiejętności. Hadrian zablokował je wysoko lewym mieczem, prawym pchnął.

Jego miecz przeszył mięśnie w boku przeciwnika. Hadrian nie chciał go zabijać. A co ważniejsze – nie chciał, żeby tamten padł. Wiedząc, że przeciwnik jest zajęty, czwarty mężczyzna wykorzystał okazję i zaryzykował. Hadrian obrócił przebitego zastępcę i idealnie wyczuł właściwy moment. Czwarty mężczyzna niechcący dźgnął towarzysza z kapeluszem tył naprzód. Obu wyrwały się okrzyki. Temu przy ostrym końcu miecza o wiele głośniejszy.

Gniew zastąpił przerażenie i, wyciągając zakrwawiony miecz, ostatni zastępca natarł. Krzyknął coś, może jakieś słowa, może nie – Hadrian nie bardzo wiedział. Mężczyzna stracił nad sobą panowanie. Strach i gniew tak go napełniły, że nie potrafił już myśleć, nie mówiąc o mówieniu. To był dokładnie ten rodzaj szaleństwa, któremu wojskowe szkolenie powinno zapobiegać. Był nieco większy od pozostałych, ale nie lepiej wyszkolony. Pierwszy zamach był niechlujnym, zbyt silnym ciosem, mającym na celu... Właściwie to Hadrian nie miał pojęcia, jaki cel mu przyświecał, i wątpił, żeby jego przeciwnik wiedział. Zastępca po prostu rąbał, jakby Hadrian był drzewem, które trzeba ścinać. Wystarczył krok do tyłu i obrót, żeby uniknąć trafienia. Hadrian zastanawiał się, czy go nie rozbroić i nie darować mu życia. Może miał żonę, może miał dzieci. Dla niego to była tylko praca, sposób utrzymania się. Nie wyszedł tej nocy, spodziewając się, że umrze. Hadrian nie cierpiał zabijać niewinnych ludzi. Chociaż teoretycznie nie był niewinny: zgłosił się na zastępcę szeryfa, a ta praca wiązała się z pewnym ryzykiem, ale to żadna różnica. Hadrianowi zrobiło się niedobrze, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Puścił Terence'a wolno i oto tego skutki. Jeszcze więcej ludzi zginęłoby, lepiej więc zakończyć to teraz.

– Przykro mi – powiedział i dobił przeciwnika jedynym czystym ciosem, szybkim dźgnięciem w serce.

Ostrze zanurzyło się i wynurzyło w okamgnieniu. Tak szybko, że mężczyzna spojrzał zdumiony, zanim nogi się pod nim ugięły. Wtedy po prostu usiadł bez jednego dźwięku.

Hadrian otarł ostrza. Chociaż żaden go nawet nie drasnął, cały był we krwi i czuł się, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Znajome uczucie niesmaku podeszło mu do gardła. Skrzywił się, patrząc na splątane ciała. Jedno – zastępca w kapeluszu tył naprzód – leżało patrząc nieruchomo w gwiazdy z ustami rozdziawionymi jakby w zdumieniu. Hadrian przełknął ślinę, dławiąc uczucie, wciągając rozdygotany wdech. Nie pamiętał, ile razy odebrał życie w ciągu kilku lat od opuszczenia domu, co uznawał za błogosławieństwo, ale nie rozumiał, dlaczego to nigdy nie stało się łatwiejsze. Domyślał się, że ojciec uznałby to za coś dobrego, co dowodziło, że był porządnym człowiekiem, ale Hadrian nie czuł się jak ktoś dobry.

Warto było, upomniał się. Teraz Rose będzie bezpieczna, a ona naprawdę jest niewinna.

Odwrócił się, by pobiec w tym samym kierunku, w którym zniknął sierżant i Rose, ale zatrzymał się, kiedy dostrzegł złodzieja ze Szkarłatnej Ręki, Zagadkę. Czaił się na dachu wartowni przy bramie.

Uniósł ręce.

– Niczego nie widziałem. – Głos mu trochę drżał. – O ile mi wiadomo, to był jakiś inny gość. Może nawet kilku. Pięciu, sześciu drabów, sukinsynsów z... Z Chadwick, tak, z południa, którzy zaskoczyli patrol. – Spojrzał na stos ciał. – Zresztą kto by mi uwierzył? Gdybym powiedział, że jeden człowiek... Znaczący nikt by nie uwierzył. Po prostu nikt.

– Dobrze – powiedział Hadrian i pobiegł do Dzielnicy Dolnej.

Skręcił w boczną uliczkę albo zaułek. Trudno było je odróżnić od siebie w Dzielnicy Dolnej. Nigdy tędy nie szedł, ale domyślał się, że to krótsza droga na centralny plac. W ciemnościach omal nie powiesił się na sznurze od prania, który dostrzegł w ostatniej chwili w snopie księżycowego światła. Szybko obrócił się i cienki sznur tylko otarł mu ucho. Zabolalo, ale mogło być gorzej. Zaułek zwężał się, aż Hadrian musiał precyzyjnie się wślizgnąć wśród śmieci, skąd zaniepokojona szczurza rodzina pośpiesznie wycofała się, popiskując z niezadowolenia. Pożałował tego skrótów, kiedy wreszcie precyzyjnie się przez rozchwierutane ogrodzenie na plac. Zorientował się w swoim położeniu i ruszył na ulicę Przekorną.

Kiedy dotarł do Domu Medford, był zadyszany. Zapukał do drzwi, a potem zgiął się wpół i oparł ręce na kolanach. Nogi miał mokre. Nie od potu. Dlaczego to nigdy nie jest po prostu pot? W świetle latarni na werandzie Domu zobaczył ciemnoczerwone plamy. Powinienem sprawić sobie fartuch rzeźnicki. Przynajmniej tym razem to nie była jego krew.

Jasmine otworzyła drzwi.

– Udało im się? – zapytał.

Dziewczyna popatrzyła i cofnęła się krok.

– Och... Dobry Mariborze? Nic ci nie jest?

– Jestem cały. Sierżant i Rose dotarli? Są tutaj?

– Rose? – Strach i konsternacja na jej twarzy zamieniły się w zachwyty. Cofnęła się i pełnym nadziei, szczerym głosem spytała: – Widziałeś Rose?

– Tak, szła tutaj. Gdzie jest?

Jasmine pokręciła głową.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie ma jej tutaj.

– Hadrian? – spytała Gwen, wychodząc z salonu.

Kuśtykała, opierając się na prowizorycznej kuli. Zdjęła chustkę. Twarz miała rozdętą od czarnej i sianej opuchlizny. Usta miała spuchnięte i rozcięte. Cała prawa strona jej głowy była ciemnym siniakiem, oko opuchło tak, że się zamknęło. Rozcięcia zostawiły czarne ślady zaschniętej krwi. Patrząc na nią, Hadrian przestał współczuć szeryfom i nie wstydził się już krwi na ubraniu.

– Szukam Rose – powiedział ostrzej, głośniejsze.

– Jak wszyscy – odpowiedziała Gwen.

– Nie, była ze mną. Strażnik z zamku odprowadzał ją z powrotem tutaj...

– Rose była z tobą? – Kilka kobiet przepchnęło się obok Hadriana na werandę.

– Zaatakował ich szeryf z zastępcami i wtedy ja... – Spojrzał na swoje ubranie. – Pomogłem im trochę.

– Rozumiem – powiedziała Gwen.

– Rose! Rose! – wołały kobiety na werandzie.

– Powinni byli już tu dotrzeć. Sierżant i Rose ruszyli przede mną.

Gwen spojrzała na Jasmine.

– Byłam przy drzwiach przez ostatnie dwie godziny i nikt nie przyszedł.

– Może znowu wpakowali się w kłopoty – powiedział Hadrian. – Wyglądajcie ich.

Odwrócił się.

Gwen go zatrzymała.

– Gdzie jest Royce?

Hadrian się obejrzał.

– On... Ehm...

– Nic mu nie jest?

– Nic mu nie było, kiedy go zostawiałem. On... Ehm...

Hadrian nie miał pojęcia, jak to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to strasznie. Często miał takie kłopoty z Royce'em. Zwykle nie miało to szczególnego znaczenia. Royce nigdy nie przejmował się tym, co sobie ktoś o nim pomyśli. Ale Gwen to co innego.

– W porządku – powiedziała. – Ja tylko... Przyszedłeś cały we krwi i sam. Martwiłam się, to wszystko.

– Przepraszam. Rozejrzę się. Może wpadli na inny patrol.

Hadrian zszedł po stopniach. Kobiety przestały nawoływać. Na ulicy nikt się nie poruszył. Większość uliczek odchodzących od Przekornej i wszystkie zaułki były bitymi drózkami, które biegły między niskimi budami. Tylko latarnie Domu Medford i okna „Ohydneho Łba” dawały jakieś światło. W oddali zawył pies. Hadrianowi przychodziło na myśl niewiele dźwięków, które brzmiałyby równie samotnie jak psie wycie w oddali.

Przeszedł ulicą nasłuchując, obserwując. Dokąd poszli?

U początku Przekornej minął studnię. Zatrzymywał się, żeby zerknąć do zaułków. Większość była zawalona łajnem, jak ten, którym precisnął się, żeby tu dojść. Konie potwornie zapaskudzały ulice, a w lepszych dzielnicach płacono sprzętaczom, żeby wywozili gnój. W Dzielnicy Dolnej najwyraźniej spychano go po prostu na bok. Hadrian domyślał się, że musiało tu cuchnąć latem. Nieregularne grudy i stosy tonące w mroku sprawiały, że trudno było cokolwiek wypatrzeć i gdyby nie przypadkowy promień księżyca, który zabłysł na rancie jej

sukienki, to Hadrian nigdy nie znalazłby Rose.

W wąskim zaułku między lombardem a rozpadającą się budą, wystarczyło wejść na dwa kroki, żeby nabrać pewności. Dziewczyna leżała na boku, sukienka wysoko podjechała jej na biodrze, odsłaniając nagie udo. Nie ruszała się. Oczy miała zamknięte. Mogłaby spać, gdyby nie krwawe rozcięcie na gardle. Żadnej krwi. Cała wsiąkła w gnój.

Hadrian stał i patrzył. W snopie księżycowego światła widział chmurkę własnego oddechu. Noc stawała się coraz zimniejsza z każdą sekundą. Zacisnął zęby, a ręce zaciskał w pięści i prostował. Chciał wziąć miecz w dłonie, zamachnąć się mocno, ale nie miał w kogo uderzyć. Była tam tylko piękna dziewczyna, dziewczyna, która raz oblała go zupą, która raz z nim tańczyła. Leżała w zaułku jak wyrzucony śmieć.

Rozejrzył się za sierżantem, ale Rose była sama.

* * *

Lekka, pomyślał Hadrian.

Kiedy niósł ją na rękach, prawie nic nie ważyła. Trzymał ją najlepiej, jak potrafił, starając się, żeby głowę miała prosto. Z powodu poderżniętego gardła nie chciał, żeby opadła. Dziewczyny od Gwen uprzątnęły stół, ale nie chciał jej odłożyć. Jej ciało nadal było ciepłe, nadal miękkie. Położył ją delikatnie na jadalnianym stole przykrytym obrusem, a wokół stało kilkanaście szlochających kobiet. Podniosły ręce do twarzy, niektóre klęczały i kołysały głowami.

Gwen stała u szczytu stołu, z wilgotnymi oczami, mokrymi śladami na policzkach. Patrzyła tylko z ręką opartą na stole. Położyła drżącą dłoń na czole Rose i pogłaskała je, jakby uspokajała zaniepokojone dziecko, a potem pochyliła się i je pocałowała.

– Przykro mi – szepnęła i znowu łzy popłynęły jej po policzkach. – Obmyjcie ją.

Gwen wyprowadziła Hadriana. Zabrała go do bawialni, mniejszego, przytulniejszego pomieszczenia z płonącym kamiennym kominkiem.

Miękkie fotele i delikatne meble tłoczyły się wśród ciemnego drewna i barwnej kwiecistej tapety.

– Nie rozumiem – powiedział Hadrian. – Byli bezpieczni. Znajdowali się raptem kilka przecznic stąd.

– Etta! – zawołała do jednej z dziewczyn Gwen. – Przynies Hadrianowi miskę i ręcznik. Musi się obmyć.

– A nawet gdyby ich znaleźli, dlaczego zabiliby ją w ten sposób? Pozostali nie robili wrażenia, jakby chcieli ją zabić. Chcieli ją zabrać z powrotem na zamek.

– Wiesz, kto ją zabił?

– Patrol sze... – Urwał.

Miała rację. Nie wiedział tak naprawdę, kto ją zabił. Pewnie, że po mieście krążyło mnóstwo patroli, ale nie aż tak dużo. I co się stało z sierżantem? Dlaczego mieliby ją zabić i porzucić ciało w zaułku?

Etta weszła do bawialni z ładną, porcelanową, niebiesko-białą misą z wodą i ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Śmierć Rose wszystkich wyprowadziła z równowagi. Panowała nerwowa atmosfera. Wszystko robiono pośpiesznie, chociaż tak naprawdę nic się już nie dało się zrobić. Etta posadziła go na stołku, uklękła i zaczęła obmywać mu twarz i dłonie.

Hadrian prawie jej nie zauważał. Myślami był gdzie indziej, przebiegał ulicę Przewrotną i odchodzące od niej zaułki, próbując ogarnąć sytuację. Przegapiłem ich, idąc skrótem? Czy gdybym poszedł inną drogą, uratowałbym Rose?

Przypomniał sobie, że przy bramie sierżant powiedział, że Exeter próbował ją zabić, ale szeryf, na którego się natknęli, rozkazał zastępcy zabrać ją do lorda konstabla.

„Zabieram ją do domu” – powiedział sierżant zamkowym strażnikom, ale najwyraźniej nic nie wiedział o Domu Medford i nie podobało mu się, że Hadrian mu pomaga. Dlaczego? Może wcale nie zabierał jej do domu. Może po prostu szukał odpowiednio ciemnego zaułka.

Gwen wzięła ręcznik od Etty.

– Dziękuję – powiedziała. – Ja zajmę się resztą.

Etta skinęła głową. Gdy wychodziła, Gwen dała jej znać, żeby

zamknęła drzwi.

– Nie musisz mnie obmywać – powiedział Hadrian, biorąc ręcznik od Gwen, która siadła naprzeciwko niego.

– Owszem, muszę. Musisz mieć czyste ręce.

Gwen zerknęła na niego z dziwnym wyrazem twarzy, strachem być może, podenerwowaniem, ale i niecierpliwym wyczekiwaniem. Kiedy patrzył na tę kiedyś piękną twarz, żałował, że nie został z Royce'em, choćby po to, żeby popatrzeć.

– Chcę cię prosić o przysługę, bardzo osobistą – powiedziała z powagą. Oblizwała posiniaczone usta i odgarnęła włos z twarzy. – Musisz podać mi rękę. Chcę poczytać z twojej dłoni.

– Co? Jak wróżka?

– Tak właśnie.

Robiono takie rzeczy w Calisie. We wszystkich miastach stały stragany chiromantów obok jasnowidzów czytających z kryształowych kuli i wróżbitów posługujących się kośćmi. Hadrian nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiał. Uznał, że posługiwali się ogólnikami pasującymi do każdego, ale niektórzy znani mu ludzie, naprawdę w to wierzyli.

– Ach, racja. Pochodzisz z Calisu.

Skinęła głową.

– Dziwny moment na przepowiadanie przyszłości, nie uważasz? Właśnie...

– Proszę.

Gwen, która zawsze była spokojna i podnosiła innych na duchu, wyglądała na zdesperowaną. Widok jej poobijanej twarzy łamał mu serce.

Wyciągnął rękę.

Gwen złapała go za palce. Wyglądała na przestraszoną. Czuł, jak jej ręka drży. Obróciła jego dłoń, rozłożyła mu szeroko palce i wpatrzyła się.

Czekał. Na jej twarzy malowały się strach, zaciekawienie, zdumienie, radość i znowu zmartwienie. Nowe łzy napłynęły jej do oczu. Wypuściła jego dłoń, schowała twarz i zaczęła płakać.

– Co się stało? – Sięgnął ku niej i ku jego zdumieniu, Gwen objęła go

zdrową ręką za szyję i mocno przytuliła.

Po kilku minutach rozluźniła się i wypuściła go z uścisku.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Skinęła głową, ocierając łzy. Czekał dłuższą chwilę, dając jej mnóstwo czasu, ale ona milczała.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

Przez jedną okropną, egoistyczną chwilę wyobrażał sobie, że powie coś w rodzaju: „Hadrianie, chciałam ci wyznać, że odkąd pierwszy raz was zobaczyłam, to nie Royce’a pokochałam...”. A co on powiedziałby wtedy? Wiedział, co chciałby powiedzieć. Zadurzył się w niej tak jak Royce, ale wiedział też, że zdradzenie przyjaciela byłoby nie tylko okrutne, ale i śmiertelne w skutkach.

Gwen pokręciła głową i ten jeden drobny ruch, który zakołysał jej czarnymi włosami sprawił, że Hadrian poczuł zarówno odrzucenie, jak i ulgę. Cokolwiek ją gryzło, pewnie nie miało nic wspólnego z nim ani...

Royce!

Hadrian wstał.

– Muszę pomóc Royce’owi.

– Tak... Tak, musisz... A on musi pomóc tobie.

Rozdział 18

Zmiatacz

Plac Szlachecki był pusty – za późno na dostawy, za wcześnie, żeby hulacy wracali do domu z gali. Wszystkie światła zgaszono. Royce zatrzymał powóz w pobliżu fontanny z kamiennym posągiem króla na wspiętym koniu. Nieliczni, którzy zostali w domu, zdecydowali się nie wtrącać.

Royce ściśle przywiązał mężczyznę do posągu. Jeden nadgarstek uwiązał do szyi konia, drugi do uniesionego ogona. Konstabl musiał wyciągać szyję, bo ciągnęła go lina zarzucona na głowę króla. Kostki miał szeroko rozsunięte i uwiązane do kopyt – żadne nie dotykało ziemi. Całe ciało jego lordowskiej mości wisiało kilka stóp nad sadzawką i wzburzoną wodą fontanny.

Royce spacerował wzdłuż murku wokół fontanny, oglądając swoje dzieło. Porzucił przyduży kapelusz i płaszcz stangreta, włożył własną pelerynę z kapturem, która łopotała i wzbijała się na wietrze.

– Nie wiesz, co robisz! – krzyczał lord Exeter nieco stłumionym głosem z powodu liny wokół szyi.

– Przeciwnie, myślę, że odwalilem kawał bardzo dobrej roboty. Ale nie martw się, to jeszcze nie koniec. Mam więcej ozdóbek. – Sięgnął do torby, którą trzymał na siedzeniu stangreta, i wyjął garść świeczek. – Chcę, żeby wszyscy widzieli cię w drodze do domu.

– Kim jesteś?

Bardzo często zadawał to pytanie i Royce odkrył, że z przyjemnością odmawia mu wyjaśnień, ale zbliżał się do końca

i nadszedł czas, żeby lord się dowiedział.

– Pamiętasz, jak zeszłej nocy udałeś się do burdelu w Dzielnicy Dolnej? – Royce wspiął się na posąg i umieścił świecę na wzniesionym kolanie konia.

– Tak. No i?

– Pamiętasz, jak rozmawiałeś z młodą kobietą imieniem Gwen DeLancy, właścicielką lokalu?

– Oczywiście.

– A pamiętasz też, że pobiłeś ją, kiedy nie знаła odpowiedzi na zadane jej pytanie?

– O to ci chodzi? – Exeter zaśmiał się, co poirytowało Royce’a.

– Żadnych śmiechów. – Wstrzymał się z umieszczeniem następnej świecy na koronie króla i zamiast tego odciął Exeterowi palec wskazujący u prawej dłoni.

Konstabl wrzasnął. Krew splamiła wodę w fontannie.

Royce zapalił następną świecę i znowu wspiął się na posąg.

– Gwen to bardzo specjalna osoba. Jest życzliwa i dobra, zupełnie niepodobna do mnie. Myślę jednak, że cierpiała całe życie. Cierpiała z rąk ludzi takich jak Raynor Grue i jak ten rybak, który wyciąga sieci na *Lady Banshee*. Wszyscy uznaliście, że można bezpiecznie stłuc dziwkę. Myliliście się.

Ustawił świecę i zszedł.

– Wypatroszą cię za to i poćwiartują!

Royce wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie, nie zrobią tego.

– Nie możesz napaść na mnie i spodziewać się, że ujdiesz z życiem.

Royce spojrzął na krew, która nadal kapiała z kikuta po palcu.

– Nie sądzę, żebyś stracił tyle krwi, by już cierpieć na urojenia. Musiało ci się coś pomieszczać w głowie. Ja na ciebie nie napadłem. Ja cię morduję.

Wziął sztylet i bez większego trudu, jakby przekrawał kawałek twardszego mięsa, odciął środkowy palec u prawej ręki. Exeter znowu krzyknął. Jego szarpanie się z linami zamieniło się w paniczne drżenie.

– A jeśli chodzi o złapanie mnie, obawiam się, że możesz się

rozczarować. – Na palcu widniał pierścień i Royce schował jedno i drugie do kieszeni. – Chciałeś dowiedzieć się, kim jestem. Spodziewałem się, że taki bystry gość jak ty już by się domyślił. Fakt, że znajdujemy się spory kawałek od Colnory. Chociaż nigdy do tej pory nie zabiłem wysokiego rangą arystokraty, musiałeś słyszeć o Zmiataczu.

Gdy padło to imię, zauważył, że Exeter przestał szarpać linami. Lord wytrzeszczył oczy, rozchylił nieco usta wykrzywione w strasznym grymasie. Zatem słyszał.

– Naprawdę nie powinieneś był tykać Gwen.

Przesunął ostrzem po udzie Exetera, otwierając je jak skórę na kielbasie, a potem wziął następną świecę.

– Nie możesz mnie zabić! – krzyknął Exeter, kiedy już przestał wrzeszczeć.

Royce był zajęty stawianiem następnej świecy na końskim zadku.

– Myślę, że możesz się mylić. Jak sam widzisz, twoja krew jest równie czerwona jak moja własna.

– Nie, to ty nie rozumiesz. Zawiązano spisek. – Exeter mówił teraz szybko, ale niektóre z jego słów trudno było zrozumieć, bo wyrzucał je z siebie przez zaciśnięte zęby. – Od miesięcy prowadzę dochodzenie i Rose może dostarczyć dowód, którego potrzebowałem, żeby położyć kres spiskowi. Myślę, że może wskazać Saldura jako spiskowca, i możliwe, że także innych, którzy biorą w tym udział. Jeśli mnie zabijesz, nie będę mógł go powstrzymać. Biskup Saldur i jego imperialistyczny Kościół próbują przejąć królestwo. Inni już zginęli, kanclerz Wainwright i żona nowego kanclerza. Król będzie następnym, a potem jego syn. Jeśli mnie zabijesz, króla można uznać za martwego, a Melengar, cały Avryn, może umrzeć wraz ze mną.

– A to byłoby dla mnie złe... Z jakiego właściwie powodu?

– Co... Jak...?

– Nie obchodzi mnie, kto rządzi. Nie obchodzą mnie twoi drobni królowie i głupi biskupi. To jest coś ważniejszego. Skrzywdziłeś Gwen, omal jej nie zabiłeś. Pobijeś kobietę, którą... Którą ja... Wiesz co? Mniej gadania, więcej wrzasków.

Royce zaczął rzeźbić własne dzieło.

Rozdział 19

Pożar

Richard Hilfred wrócił przez bramę z ponurą miną i nie odezwał się słowem do żadnego z nich. Sprawiał wrażenie zmęczonego, miał ciemną plamę na rękawie i rozcięcie na plecach tuniki. Obaj patrzyli, jak idzie przez dziedziniec i wchodzi do zamku. Reuben zerknął na Grishama, który tylko wzruszył niezobowiązująco ramionami.

Powozy przetasowały się w kolejce od odjazdu lorda Exetera, ponieważ z przyjęcia wyszli już pierwsi goście. Jednakże większość nadal pozostała na zamku i doskonale się bawiła, więc sznur powozów nadal czekał w zimną noc. Reuben usłyszał znajomą melodię, którą zagrano na zamku. Rozbrzmiewała na każdym przyjęciu, ale on nigdy nie poznał jej tytułu. Nie wiedział nawet, czy w ogóle jakiś ma. W ciągu trzech lat spędzonych w murach zamku Reuben nigdy nie był na żadnym przyjęciu, nigdy nie widział na własne oczy orkiestry. Wyobrażał sobie gości w wielkiej sali. Piękne damy krążą, ich suknie wirują, gdy ze swoimi partnerami poruszają się po kręgach pod światłem świec w żyrandolach. Arista powinna być wśród nich. Za każdym razem gdy słyszał stłumioną muzykę, zawsze wyobrażał ją sobie, jak tańczy. Wyobrażał sobie, że wygląda pięknie, jest pełna gracji i elegancji. Zawsze była sama, tańczyła samotnie z gorzko-słodkim wyrazem twarzy. Mogła przerwać taniec, podejść do okna i wyjrzeć w czarną noc, szukając stajni i samotnej latarni znaczącej miejsce, gdzie zwykle leżał na sianie Reuben. Może pomyślałaby o nim. Mogłaby zastanawiać się, czy jest samotny.

Wzięłaby pelerynę i...

– Któryś z was widział króla? – warknął Richard Hilfred.

Reuben podskoczył na dźwięk głosu ojca. Nie zauważył, kiedy wrócił z zamku.

– Vince mówi, że widział, jak król wychodzi z hrabią Pickeringiem, hrabią Zachodniej Marchii i hrabią Longbow. Powiedział, że dwaj ostatni byli pijani i znowu rozrabiali.

Mówił tonem nie tyle oschłym, ile wręcz jadowym.

Reuben i Grisham spojrzeli po sobie.

– Tak, król i pozostali byli chwilę temu na dziedzińcu – powiedział Reuben.

– Przeszli się trochę – dodał Grisham. – Chyba chcieli tamtych trochę otrzeźwić na chłodnym powietrzu.

– Aha – przytaknął Reuben. – Chodzili w kółko, a potem... – Spojrzał na Grishama, który nic mu nie pomógł, tylko gapił się z tępym wyrazem twarzy. – A potem trzech hrabiowie odjechali konno, a król wrócił do środka.

– Właśnie go szukałem. Jego Wysokości nie ma na przyjęciu i nie mogę znaleźć Bernie'ego ani Mala, których wyznaczono do jego straży przybocznej.

– Wspomniał, że jest zmęczony. Chyba miał migrenę czy coś takiego. Napomknął, że będzie szedł spać.

– Mal i Bernie byli z nim?

– Chyba... Ehm... Chyba tak.

Ojciec Reubena skrzywił się i odwrócił do Grishama, który skinął głową. Najwyraźniej relacja syna wymagała potwierdzenia.

Ojciec wyglądał na zdziwionego. Stał i zastanawiał się chwilę. Wtedy Reuben zauważył, że plama na prawym rękawie to krew. Nie było jej dużo i nie wyglądała, jakby wypłynęła z rany. Rękaw nie był rozdarty ani uszkodzony. Wreszcie ojciec powiedział:

– Królowa też wcześniej się położyła, tak samo księżniczka.

– Sam widzisz – powiedział Grisham z szerokim uśmiechem. – Wino i ta srebrna sukienka wprawiły króla w miłosny nastrój. Położyli dzieciaki do łóżka, a gościom zostawili przyjęcie.

Ojciec Reuben pokiwał głową.

– Zatem zgodnie z waszą wiedzą nikt z rodziny królewskiej nie opuścił zamku, zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził Reuben, a Grisham skinął głową. – Coś się stało, kiedy prowadziłeś Rose do domu?

Ojciec zauważył, że syn patrzy na jego rękaw.

– Nie – odpowiedział, obrócił się gwałtownie i wrócił do zamku.

– Twój ojczulek robi dzisiaj wrażenie nieco podenerwowanego. Zastanawiam się, co za oset gryzie go w portkach. Lepiej nie zdejmuj hełmu, jak wrócisz dziś wieczorem do koszar, na wypadek gdyby znowu postanowił przywalić twoją głową w drzwi.

* * *

Goście zaczęli wychodzić. Ci z niedużymi dziećmi jako pierwsi, tuląc małe śpiące zawiniątka, które unosiły powieki tylko na tyle, ile trzeba, żeby rzucić światu urażone spojrzenie. Grisham machał, powóz odrywał się od sznura i podjeżdżał po gości. Najpierw wsiadała kobieta, mąż podawał jej dziecko, a potem siadał obok niej. Kiedy służący zamknął drzwi, powóz zataczał kółeczko na dziedzińcu i zatrzymywał na chwilę, żeby Reuben machnął, że może przejeżdżać. Proces ten powtarzał się raz za razem i Reuben cieszył się, że ma wreszcie jakieś zajęcie.

Potem zaczęły pojawiać się pary, młode, trzymające się za ręce, i starsze, ledwie się zauważające. Większość rozmawiała głośno i często szła przekrzywiona, chociaż kiedy wchodzili, trzymali się prosto. Rozbrzmiewało o wiele więcej śmiechów, a czasem nawet śpiewy. Pewna tęga matrona zaczęła śpiewać na całe gardło na schodach zamkowych i dołączyło do niej trzech mężczyzn w dubletach, którzy nieśli peleryny niedbale przewieszane przez ręce. Nie chcieli wsiąść do powozu, dopóki nie skończyli piosenki, i Reuben, którego zimno przeniknęło już do szpiku kości, zastanawiał się, jak wytrzymują na takim chłódzie w samych dubletach i rajtuzach.

Zanim kwartety wyjechał za bramę, większość gości wyszła na dziedziniec. Stangreci wiedzieli, co do nich należy. Ustawili się przy

moście, wjeżdżali, ich powozy łykały pasażerów. Mieli praktykę i szło to sprawnie, ale mogli podjeżdżać tylko pojedynczo, a na dziedzińcu nadal czekał tłum odzianych w futra arystokratów.

I wtedy Reuben usłyszał pierwsze krzyki.

Ludzie robią głupie rzeczy po pijanemu. Śmieją się głośniejsz niż zwykle, podnoszą głos i krzyczą. Wrzaski czy piski nie były więc nie do pomyslenia, ale w tych rozbrzmiewała panika. Reuben i Grisham zerknęli w ich kierunku, czyli w stronę zamku, ale żaden za wiele się nad nimi nie zastanawiał. Potem powódź pozostałych gości wylała się głównymi drzwiami na dziedziniec. Kolejne krzyki i przepychanki. Starszego mężczyznę pchnięto na ziemię, a ten pociągnął za sobą żonę. Krzyknął oburzony, ale niewielu zwróciło na niego uwagę – wszyscy patrzyli na zamek. To było dziwne, ale nie niepokojące. A w każdym razie do chwili, kiedy zabrzmiały dzwony – wtedy Reuben zrozumiał, że coś się stało.

Spojrzał na Grishama i zobaczył, że on też się martwi.

Chwilę potem usłyszeli, że ktoś wypowiada słowo „pożar”.

Wtedy z zamku wybiegała już nawet służba z paroma strażnikami.

– Co się dzieje?! – krzyknął Grisham, kiedy Vince przepchnął się przez zebranych na dziedzińcu w kierunku bramy.

– Na zamku... – rozkaszał się okropnie – ...wybuchł pożar. Przy całej tej słomie...

– Wszyscy już wyszli? – spytał Reuben. – Księżniczka uciekła?

Rozglądał się desperacko, ale nie sposób było wypatrzeć kogokolwiek w kłębiącym się tłumie.

Vince pokręcił głową i znowu zakaszał.

– Nie możemy dostać się na górę...

Na górę...

Królowa też wcześniej się położyła, tak samo księżniczka.

Tłum na dole pisnął, kiedy płomienie buchnęły z potężnym hukiem z jednego z górnych okien.

– Kto ich ratuje? – zapytał Reuben.

– Nikt – odpowiedział Vince. – Kanclerz rozkazał wyprowadzić wszystkich na dziedziniec. Organizuje brygadę z wiadrami. Przez całe siano i słomę... To miejsce to piekło.

– Reuben! – usłyszał krzyk Grishama, gdy popędził do zamku. – Do diabła! Nie wolno ci opuszczać posterunku!

Reuben przemknął przez tłum i wbiegł po schodach do zamku. Przez otwarte drzwi buchał gęsty czarny dym. Reuben nabrał powietrza i wbiegł do środka. Kilkoro ostatnich służących, przyciskając do twarzy rękawy i spódnice, przebiegło obok niego, uciekając na zewnątrz. Wszędzie był dym, trudno było cokolwiek zobaczyć, ale nie widział płomieni ani nie czuł żaru.

Wpadł na schody i zaczął po nich wbiegać, kiedy napotkał schodzącego ojca.

– Reuben! Co robisz? Dlaczego zszedłeś z posterunku? Kazałem ci trzymać się z dala od zamku.

– Pożar... Powiedzieli, że rodzina królewska jest uwięziona i...

– Twoim obowiązkiem jest stać przy frontowej bramie! Jesteś teraz żołnierzem, a nie dzieckiem. Zostaniesz wybatożony za dezercję i najpewniej zwolniony. Możesz nawet zostać stracony. I nie oczekuj, że ci pomogę. Teraz jesteś mężczyzną. Pogódź się z konsekwencjami swoich czynów. A teraz wynoś się stąd.

– Ale księżniczka...

– Księżniczka! Opuściłeś posterunek dla... – Urwał, zbyt wściekły, żeby skończyć. – Natychmiast wracaj do bramy, chłopcze! To rozkaz!

– Ale co się robi, żeby...

– Nic. Nikt tam nie wejdzie. Rodzina królewska umrze.

Umrze?

Reuben nie mógł w to uwierzyć. Stał oszołomiony, jakby ojciec znowu go uderzył, tyle że to bardziej bolało i bardziej go przeraziło.

– Nie – mruknął w pierwszej chwili. Spojrzał na schody. Nie widział ognia, nawet dymu. Coś w nim pękło. – Nie! – krzyknął i spróbował przebiec obok ojca.

Richard go odepchnął.

– Wydałem ci rozkaz!

Reuben znowu wbiegł po schodach, ale tym razem zrobił unik, kiedy ojciec spróbował go zatrzymać, i przebiegł dalej.

– Nie idź tam!

Reuben wskakiwał po trzy stopnie. Jak w przypadku giermków,

bieganie przez lata na posyłki, kiedy Richard Hilfred stał za krzesłami, dało chłopcu teraz przewagę. Kiedy dotarł do drzwi do części rezydencjalnej, ojciec znajdował się kilka stopni niżej. Reuben szarpnął za wielkie żelazne pierścienie, ale drzwi nie otworzyły się... Poczuł opór. Potrzebował chwili, zanim zauważył łańcuch.

Dlaczego drzwi zamknięto na łańcuch... od zewnątrz?

Reuben nadal przetwarzał ten fakt, kiedy ojciec dopadł go i pchnął przez korytarz.

– Ty durny głupcze! Nie mogłeś posłuchać się ojca, co? Załatwiłem ci służbę przy bramie, żeby trzymać cię z dala od tego, ale ty uparłeś się przy samobójstwie, zupełnie jak twoja matka. W porządku. Skończyłem z tobą. Zrobiłem swoje. Teraz już jesteś mężczyzną, nie odpowiadam za ciebie.

– Ty... Ty to zrobiłeś? – Reuben popatrywał to na drzwi, to na ojca. – Ty zamknąłeś drzwi na łańcuch. To ty ich zamknąłeś! – Wytrzeszczył oczy, kiedy nagle wszystko do niego dotarło. – To ty podłożyłeś ogień! A przecież twoim zadaniem jest ich chronić... Na Maribora, dlaczego miałbyś coś takiego zrobić?

– Uprzedzałem cię, żebyś się do nich nie przywiązywał. To źli ludzie. Możesz poświęcić życie w służbie dla nich, a oni będą mieli to w nosie. Rzuciłem się dla niego na miecze. Wystarczyło, żeby król powiedział szambelanowi, że twoja matka może zostać jako pokojówka. Albo mógł zgodzić się na nasz ślub i pozwolić, żebyśmy zamieszkali w pobliżu w jakiejś opuszczonej chałupie w mieście. Ale nie, Amrath nie mógł zrobić wyjątku. Gdyby uczynił go dla mnie, musiałyby zgodzić się też w przypadku innych. Musiałem więc spojrzeć w oczy twojej matce i powiedzieć jej... Powiedzieć jej, że zawiodłem. Król ją zabił, ale to ja musiałem spojrzeć jej w oczy.

Ojciec uśmiechnął się szyderczo.

– Nie rozumiesz. Jak mógłbyś? Wszystko podano ci na talerzu... Ja ci to podałem! Zacząłem jako syn handlarza bronią. Kupca! Sam nauczyłem się walczyć. Zdobyłem zatrudnienie na zamku. Dopracowałem się rangi sierżanta. Nie musisz rozumieć, głupcze. To nie jest chwila na to. Mądry człowiek nauczył mnie, że nie musimy żyć pod ich obcasem. Mogę naprawić pewne rzeczy, żeby twoja matka nie

zginęła na próżno. To ona jest iskrą, która zapaliła ten ogień, pożogę, w której spłonie królestwo i nastanie nowa era... Era bez królów. I my będziemy tego częścią. Ważną częścią. Nie sprawiły mi radości rzeczy, które dziś zrobiłem, ale wymierzono sprawiedliwość!

– Rzeczy? Co jeszcze zrobiłeś? – Reuben skupił się na krwawej plamie na rękawie i przed oczami stanął mu obraz ojca wyprowadzającego przez bramę Rose. – Co zrobiłeś z Rose?

– To było trudniejsze, niż się spodziewałem. Te wielkie oczy, fakt, że miała takie samo imię jak twoja matka, i w ogóle.

– Co zrobiłeś z Rose?

– Zrobiłem, co musiałem. I ty zrobisz to samo. Mnóstwo ludzi zginie tej nocy. – Wskazał drzwi. – Nikt nic nie będzie wiedział, a potem nastąpi nowy świat. Ty będziesz trzymał gębę na kłódkę, a ja będę mógł zadbać o ciebie, o nas. Teraz wracaj na swój posterunek i nigdy nikomu nie mów, że w ogóle tu wszedłeś.

Jakimś cudem miecz Reubena opuścił pochwę i znalazł się w jego dłoni.

– Odsuń się od tych drzwi.

* * *

Zamek jarzył się, kiedy Hadrian się zbliżył. Cały budynek migotał jak latarnia z wydrążonej dyni ze zbyt dużą liczbą świeczek w środku. Tłum zgromadził się wokół zewnętrznych murów, zerkając w górę zza fosy na płomienie sypiące z okien iskrami, które spadały czerwonymi smugami i z sykiem gasły w wodzie. Wielki wiąz rosnący po północnej stronie twierdzy zajął się w połowie wysokości i na oczach Hadriana jedna z gałęzi odłamała się i wpadła do budynku przez okno na piętrze.

Hadrian owinał się ciaśniej peleryną, żeby zasłonić ciemne plamy od krwi, kiedy wszedł w tłum gapiów. Mnóstwo ludzi się zgromadziło i jeszcze więcej nadciągało. Obudziły ich światło i hałas. Zebrali się w nocnych strojach i wpatrywali się w zamek. Ich zaspane twarze oświetlała powódź ognia.

Hadrian doszedł do frontowej bramy i odkrył, że sznur powozów zniknął i nigdzie nie ma śladu po jego przyjacielu. Oznaczony różami powóz zniknął wraz z pozostałymi, a Hadrian nie miał pojęcia, dokąd odjechał. Royce nigdy nie ujawnił mu planu, ale Hadrian wyobrażał sobie, że obejmował zabranie Exetera w jakieś ustronne miejsce, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy szukać. A jeśli Exeter nie złapał przynęty albo Albert nie zdołał go znaleźć na przyjęciu? Czy to Royce podłożył ogień? Spalił cały zamek, żeby zabić jednego człowieka? Czy byłby zdolny do czegoś takiego?

„Jeśli robak cię gryzie, nie odpłacasz się, gryząc jego” – lubił mawiać jego przyjaciel. „Miażdżysz go, wyciskając z niego całe życie, żeby nigdy więcej ci nie dokuczał. A jeśli robisz coś takiego z robakiem, który nie może zrobić ci prawdziwej krzywdy, dlaczego miałbyś postąpić łagodniej z wrogiem, który niemal na pewno wróci i zabije cię, jeśli ty go nie uprzedzisz?”.

Najgorsze w przypadku Royce’a i jego argumentów było to, że aż zbyt często Hadrian nie potrafił wymyślić na nie odpowiedzi, chociaż często czuł, że powinna istnieć jakaś odpowiedź.

Nie mając nic do roboty, wyczerpany zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie, Hadrian dołączył do tłumu i patrzył na widowisko. Minęło sporo lat, odkąd widział płonący zamek. To był piąty, który oglądał, ale pierwszy, za którego spłonienie nie ponosił nawet częściowej winy. Zastanawiał się, ilu ludzi zginęło. I czy Albert był wśród nich.

Miał nadzieję, że w mieście nadal jest jakaś otwarta karczma. Będzie potrzebował kielicha, żeby zasnąć. Stał, wciągając zapach dymu. To zabawne, że przywoływał wrażenie ciepła i bezpieczeństwa, jak ogień w obozowisku czy przytulny kominek, ale tej nocy piekli się tylko ludzie.

* * *

– No proszę – powiedział Richard Hilfred. Uśmiezek wpełzł mu na usta na widok miecza w dłoni Reubena. – Dobrze. Najwyższy czas,

żebyś mi się postawił. Zastanawiałem się, ile czasu minie, ale to nie jest właściwy czas ani miejsce. To poważna sprawa. Teraz wracaj na swój posterunek.

Reuben, który nigdy nie podniósł głosu na ojca, uniósł miecz.

– Powiedziałem: odsuń się.

Ojciec musiał dostrzec coś nowego w oczach syna, bo wyciągnął broń.

Reuben zaatakował. Nie chciał zabić ojca; chciał tylko, żeby odsunął się od drzwi. Richard zablokował cios.

Reuben zamachnął się raz jeszcze. I znowu. Ojciec zbijał ciosy na bok.

– Uczyłeś się gdzieś. To dobrze – orzekł jego ojciec. Bez lęku, bez niepokoju.

A potem, jakby zmęczył się tą grą, uderzył mocno w klingę Reubena niedaleko rękojeści. Nagła wibracja wyrwała chłopcu miecz z ręki. Ładne ostrze, które podarował mu książę, upadło ze szczękiem na kamień, a ojciec odepchnął je kopnięciem.

– Hilfred!

Obaj obrócili się i zobaczyli kanclerza wbiegającego po schodach z mieczem w ręce. Percy Braga zerknął na drzwi, a potem na ojca i syna.

– Zamknął tam rodzinę królewską! – zawołał Reuben. – Mój ojciec jest zdrajcą!

– Widzę – powiedział Braga, patrząc na wyciągnięty miecz Richarda i ostrze leżące na ziemi.

Zbliżył się do Hilfredów.

– Lordzie Braga, ja... – zaczął Richard.

– Biegnij! Sprowadź pomoc! – krzyknął do Reubena Braga i zaatakował Richarda.

Ojciec Reubena ledwie zdążył unieść własny miecz i uratować własne życie.

Młody Hilfred nie tracił czasu i rzucił się w dół schodów. Podniósł się i popędził do fortowych drzwi. Wypadł na dziedziniec i krzyknął:

– Królewską rodzinę zamknięto w środku! Kanclerz potrzebuje pomocy! U szczytu schodów prowadzących do królewskiej rezydencji.

Tłum na zewnątrz nadal stał zbity w gromadę z powodu zimna i patrzył w górne okna, skąd buchał dym.

Nikt się nie ruszył.

– Kanclerz potrzebuje pomocy! – wrzasnął jeszcze raz Reuben.

Kiedy słowa wreszcie do nich dotarły, stojący najbliżej strażnicy, Vince i Grisham, rzucili się biegiem. Pozostali nadal się gapili. Reuben poddał się i pobiegł do drewnutni. Tam znalazł siekierę wbitą w pień, tak jak zostawił ją poprzedniego dnia. Wyrwał ją jednym szarpnięciem.

Zanim wrócił do frontowych drzwi zamku, kanclerz Braga, Grisham i Vince już wychodzili, kaszląc i zataczając się.

– Nikt więcej nie wejdzie! – rozkazał Braga. – Pożar... – Zakaszłał. – Pożar się rozprzestrzenia.

– Chłopak powiedział, że to zamach na króla! – krzyknął ktoś z tłumu.

Kanclerz skinął głową.

– Sierżant Hilfred wyznał, że podłożył ogień na rozkaz lorda Exetera. Lord Exeter współpracował z Hilfredem ze straży zamkowej, żeby zabić rodzinę królewską i przejąć tron. Jako kanclerz osądziłem zdrajcę. – Uniósł złany krwią miecz. – I dokonałem egzekucji.

Reuben przystanął. Mój ojciec... Nie żyje? Powinien coś czuć. A nie czuł.

Spojrzał na zamek. Dym buchał z okien i kłębił się przy frontowych drzwiach, gdzie Reuben dostrzegł migoczące płomienie.

– A co z królem? Z królową? – zapytał Vince.

Braga pokręcił głową.

– Drzwi do części rezydencjalnej zamknięto na łańcuch, a ogień się rozprzestrzenił. Królewskie apartamenty to śmiertelna pułapka. Płonie całe siano zebrane na zamku. Za późno, żeby ich ocalić. Nie można nawet wejść po schodach. Próba byłaby samobójstwem, a w tej chwili... – zawahał się – ...w tej chwili oni wszyscy już nie żyją.

Wszyscy nie żyją.

Rose, jego ojciec, matka, a teraz... Wszyscy nie żyją.

NIE!

Reuben rzucił się biegiem.

– Zatrzymajcie go! – krzyknął Braga, kiedy Reuben skoczył do otwartych drzwi.

Vince dopadł go i powalił. Reuben poderwał się, szarpiąc się z Vince'em, który trzymał go z tyłu.

– Nadal jest czas! Musimy tylko...

– Nie, mój chłopcze.

Wypowiedział te słowa starzec, kruchy i siwy, odziany w kapłańskie szaty. Stał razem z pozostałymi i patrzył, jak zamek płonie. Jego głos brzmiał tak ojcowsko, nie jak głos jego ojca, ale Reuben zawsze wyobrażał sobie, że tak właśnie powinien mówić ojciec.

– Już za późno. Tylko się zabijesz.

– Puść mnie! – krzyczał Reuben.

– Nie mogę, dzieciaku. – Vince trzymał go mocno.

– Nie jestem twoim dzieciakiem! Nie jestem już niczym dzieckiem.

Chociaż lepiej radził sobie z mieczem, jeśli idzie o siekiere, nadal był ekspertem. Jak wtedy, kiedy złapał go Howard i teraz uderzył z całej siły obuchem. Trafił Vince'a w żołądek. Tamtemu aż zaparło dech, a potem zgiął się wpół i puścił Reubena. Zanim ktokolwiek inny zdążyłby go złapać, Reuben rzucił się w paszczę smoka, która kiedyś była frontowymi drzwiami zamku.

Ona nie może nie żyć!

To było wyłącznie pobożne życzenie Reubena. Chciał w to wierzyć, musiał w to uwierzyć. Stracił wszystko inne. Nie chciał stracić i jej.

Schody płonęły. Stosy siana paliły się, a od nich zajmowały się długie chorągwie zwieszające się z wysokich ścian. Z nich z kolei ogień przenosił się na drewniany sufit. Lawirując wśród rozrzuconych stosów, dotarł z powrotem do zamkniętych na łańcuch drzwi. Pod nimi leżał jego ojciec w kałuży krwi. Był blady, jego twarz opierała się o podłogę.

Reuben zamachnął się siekiere i uderzył w drzwi. Uderzał raz za razem, ale niewiele działał przeciwko solidnej dębinie. W życiu się nie przebije. Zamiast tego zaczął więc uderzać w łańcuch i kłódkę. Strzelały iskry przy każdym pocałunku siekiery, ale żelazo nie pękało jak kłody drewna.

Jego wysiłki były beznadziejne.

Upuścił siekiere i kopnął drzwi. Spojrzał na ojca i wrzasnął:

– Ty łajdaku! Jak mogłeś to zrobić?!

To zrobić...

Obrócił się i spojrzał na łańcuch.

– Ty to zrobiłeś, co?

Ukląkł i obszukał ojca. Wiedział, gdzie szukać, w trzeciej sakiewce u pasa znalazł klucz. Włożył go do kłódki i modląc się do Novrona, przekręcił. Zamek szczęknął i kłódka się otworzyła. Odrzucił ją na bok, zerwał łańcuch z pierścieni i pociągnięciem otworzył drzwi.

Dym buchnął, a Reuben zgiął się wpół, zanosząc się kaszlem. Dobrze zrobił, pochylając się. Blisko podłogi było czystsze powietrze. Widział, że dym przesuwają się warstwami, najgęstszy jest pod sufitem. Położył się na płask, oddychał płytko i patrzył przed siebie. Gobeliny w korytarzu płonęły wielobarwnie.

Nabrał pełną pierś gorącego powietrza i poczołgał się przed siebie.

Nigdy dotąd nie był w królewskiej rezydencji, na pokojach, jak mówiono. Nie miał pojęcia, które drzwi dokąd prowadzą. Miało to niewielkie znaczenie, bo dym niemal całkowicie go oślepił. Natrafił na pierwsze drzwi i otworzył je. Wewnątrz zastał kieszeń czystego powietrza. To była prywatna kaplica króla. Wstał, nabrał powietrza i ruszył przed siebie. Następne drzwi, które otworzył, okazały się sypialnią.

Widział to doskonale, nie tylko z powodu małej ilości dymu, ale i dzięki temu, że na zewnątrz płonęło drzewo i światło zalewało pokój. Toaletka, szafa, suknia pieczołowicie rozłożona na wyściełanej kanapce, a na łóżku leżała postać owinięta w stos koców i kołder. Kasztanowe włosy Aristy rozsypały się na poduszce. Obudził ją, potrząsając nią, i zaczął ją wyciągać z łóżka.

Wyrwała się.

– Przestań!

Próbował ją złapać, ale ona kopała i drapała.

– Wasza Wysokość, błagam, musisz ze mną iść.

Zamrugnęła i zakaszła. Zobaczyła drzewo płonące za oknem. Chwilę potem krzyknęła.

– Zamek płonie. Musimy stąd uciekać – tłumaczył Reuben.

Na zewnątrz spory kawał konaru odłamał się i wpadł przez okno do sypialni, tryskając iskrami i płonącymi odłamkami drewna po posadzce i dywanach.

Księżniczka nadal walczyła, nadal krzyczała, uderzając go drobnymi piąstkami, ale Reuben na to nie zważał. Ściągnął koc z łóżka i zarzucił jej na głowę. Potem wziął ją na ręce i wybiegł z pokoju.

Przebiegł korytarzem, który zamienił się w tunel płomieni. Pożar na schodach przygasł, kiedy skończyło się paliwo, ale drewniany sufit – czyli podłoga następnego piętra – płonął i płomienie rozlały się na całą szerokość sali bankietowej. Zeskoczył na parter i wybiegł z zamku. Potknął się i upadł przed tłumem arystokratów, żołnierzy i służ.

Uderzając o ziemię, wypuszczona z ramion księżniczka odrzuciła koc i odczołgała się. Obejrzała się na zamek i wreszcie zrozumiała.

– Matko! – zawołała. – Niech ktoś ratuje moją matkę!

Reuben się rozejrzał.

Nikt nawet nie drgnął.

– Ratujcie ją! – wrzeszczała księżniczka z policzkami czerwonymi i błyszczącymi, kiedy klęczała na trawie w białej płóciennej koszuli nocnej.

Nadal nikt się nie ruszył.

– Nie możemy, Wasza Wysokość. Za późno. – Znowu odezwał się swoim łagodnym, pocieszającym głosem biskup i wtedy Reuben zdał sobie sprawę, że wołał surowe warknięcia ojca. Głos biskupa był skażony, zatruty. Jego gorliwość w przyznawaniu się do klęski przed bitwą przyprawiała Reubena o mdłości. Dlaczego wszystkim tak się śpieszy, żeby opłakiwać tych, którzy nadal mogą żyć?

– Przykro mi – odezwał się kanclerz Braga.

Księżniczka spojrzała na nich z ustami rozdziawionymi w szoku. Potem popatrzyła na Reubena.

– Proszę... – szepnęła cicho. – Moja matka...

– Reubenie, nie!

To mógł być Braga, mógł być biskup, możliwe, że to nawet Grisham krzyknął. Nigdy się nie dowiedział. Chwilę potem znowu był w zamku

i pędził na górę.

Braga za bardzo się pośpieszył, kiedy stwierdził, że zamek stał się śmiercionośną pułapką. Spora część budowli była kamienna, a słoma i siano szybko spłonęły. Wysuszone jak hubka dawały mało dymu. Jednakże za drugim razem jego ocena stała się prawdziwa. W końcu zajęła się drewniana konstrukcja i w głębinach rozlegał się charakterystyczny huk ognia. Pożar wydorosłał i odnalazł swój głos. Meble płonęły najjaśniej, Reuben musiał aż zasłonić oczy. Z góry sypały się iskry, resztki gobelinów spadły, czerniąc stopnie i zmuszając go do przeskakiwania nad ogniem.

Znowu dotarł do części rezydencjalnej, ale teraz korytarz pociemniał od dymu, który kłębił się i kotłował. Pamiętając to, czego się nauczył, opadł na czworaki. Przeczłogał się korytarzem, ale tym razem nie uniknął dymu. Oczy mu łzawiły, gardło płonęło, kiedy próbował oddychać w świetle pozbawionym powietrza.

Wkrótce widział już tylko posadzkę. Ogarnęła go panika, kiedy zdał sobie sprawę, że nie może odetchnąć. Położył twarz, aż docisnął nos do parkietu i odetchnął. Podziękował Mariborowi za złapany łyk płonącego powietrza i zauważył, że drży. Podłoga pod nim była gorąca i słyszał pod spodem trzask płomieni. Zdał sobie sprawę, że biskup i kanclerz mieli rację. Tym razem było już za późno.

Splonie żywcem kilka stóp od ojca.

Nie. Najpierw się uduszę.

Zamknął oczy. Musiał. Paliły go od dymu.

Ile oddechów jeszcze mi zostało?

Zakaszłał, przycisnął usta do podłogi i nabrał powietrza.

Przynajmniej jeszcze jeden.

Ocalił ją. Przynajmniej tyle dokonał. Rose nie żyła. Jego ojciec też, ale Reuben dokonał chociaż jednej dobrej rzeczy. I może tak było najlepiej. Arista wyszłaby za męża i zostawiła go ze złamanym sercem, samotnego. To była jego chwila. Może właśnie po to się urodził i dlatego Maribor poświęcił mu tak mało czasu. Wcale nie potrzebował nauczyć się, jak walczyć czy jeździć konno; po co mu przyjaciele albo matka, czy nawet ojciec, jeśli całym jego przeznaczeniem było uratować księżniczkę w zimną jesienną noc,

a potem umrzeć? Po co dawać mu prawdziwe życie?

Pomyślał o Rose.

Powinienem być zrobić coś więcej niż ją pocałować. Gdybym tylko wiedział, że zostało mi tak mało czasu. Że jej zostało tak mało czasu.

W górze pękła belka z hukiem jak grom. Począł, ale nie spadła.

Wziął kolejny wdech, dociskając usta do parkietu. Nigdy nie tulił się tak do podłogi, ani kochał jej tak bardzo, jak w tej chwili. W życiu nie dotrze do królowej. A nawet gdyby, ona mogła już nie żyć, udusić się we śnie. A gdyby nadal żyła, nigdy nie wyprowadziłby ich z zamku. Sam nie mógł już uciec. Nie miał dość powietrza.

Gdyby był mądry, zmoczyłby koszulę w wodzie ze studni, kiedy pobiegł po siekiere. Mógłby owinąć ją wokół twarzy. Może to by pomogło, ale...

Zerknął przez zmrużone oczy. Znajdował się dokładnie przed otwartą sypialną Aristy. Drzewo, które wpadło przez okno, płonęło. Wczołgał się do pokoju, zmierzając w stronę łóżka. Ono też płonęło. Czuł żar przypalający mu włosy. Wyciągnął rękę i miał wrażenie, że włożył ją w żywy ogień. Wyczuł metalowy pojemnik, złapał go za krawędź i przyciągnął nocnik księżniczki.

Czuł, że w środku chlupocze uryna.

Zdjął kasak, rozdarł na pół, zwinął garści i zanurzył w nocniku. Trzymając materiał przy twarzy, wciągnął powietrze. Cuchnęło i smakowało ohydnie, ale mógł oddychać.

Pomyślał raz jeszcze o królowej, ale miał tylko jedną szansę na ucieczkę.

– Przykro mi – szepnął zdławionym głosem.

Wylał resztki zawartości nocnika na głowę i trzymając nasiąkniętą szmatę przy ustach i nosie, pobiegł na oślep. Ufał swojej pamięci. Odbijał się od ścian i zataczał. Korytarz wydawał się za długi. A jeśli przez dym pobiegłem w przeciwnym kierunku? Możliwe, że biegł w głąb zamku, żeby zginąć razem z królową. Nadepnął na coś miękkiego. Jego ojciec. Teraz już wiedział, gdzie jest.

Musiał obrócić się i przebiec przez ciemność. Zbliżały się schody. Już powinien na nie natrafić. Trudno było nie bieć, nie spanikować. Uryna, którą wylał na włosy i twarz, już wyschła. Skóra go piekła,

skwierczała jak skórka na świniaku na rożnie. Palił się od gorąca. Niedługo stanie w płomieniach. Może już do tego doszło. Szedł przed siebie, ale nadal nie mógł natrafić na schody. Zgubił się. Ogarnęła go panika i przystanął. Zamarł, zbyt przerażony, żeby się ruszyć.

Nie, Reubenie, mój słodki chłopcze, dobrze idziesz, biegnij naprzód. Prawie już się wydostałeś. Biegnij przed siebie!

Zrobił, co mu kazano.

A teraz skręć w prawo. Już prawie jesteś na schodach! O, właśnie. Jesteś na miejscu, ale wszystko płonie. Musisz skoczyć. Skacz! Teraz! Skacz!

Reuben rzucił się przed siebie, skoczył w powietrze i kiedy spadał w krótkiej chwili nieważkości, zastanawiał się, kto mu pomaga. Kto inny był na tyle szalony, żeby znaleźć się razem z nim w płonącym zamku? Nieważne, miał tylko nadzieję, że kobieta miała rację.

* * *

Hadrian nadal patrzył na płonący zamek, kiedy tłum przed bramą zamkową gęstniał. Mieszkańcy całej Dzielnicy Szlacheckiej, jeśli nie całego miasta, zjawili się, by popatrzeć. W społeczeństwie, gdzie ludzi rozróżniało się po ubraniach, jakie nosili, zbieranina pod bramą wydawała się dziwnie jednolita. Ledwie dało się odróżnić bogatych i biednych, bo pomijając tych, którzy właśnie opuścili przyjęcie, większość wybiegła z domu, zapominając o pończochach, dubletach, tunikach czy sukniach. Zebrali się pod fosą w zwykłym białym płótnie, wyglądając jak armia duchów, ogień rzucał migotliwe blaski na ich twarze, puste i smutne jak wszystkie zagubione dusze, gdy patrzyli z niedowierzaniem.

Zamek stanął w ogniu. To, co było fosą, stało się jasnym zwierciadłem odbijającym blask. Gdzieś metal uderzył o metal. Może po prostu chochla uderzyła o kocioł, ale tyle wystarczyło. Hadrian przysiągłby, że słyszy krzyki, wołanie umierających ludzi. Trąbki i bębny, grzmot końskich kopyt pędzących po tłącym się polu. Jęki i zduszone okrzyki.

Był cały we krwi. Wiecznie był cały we krwi. To dlatego rękojeści mieczy miał owinięte szorstką skórą. Krew była jak olej. Hadriana zawsze szokowało, ile krwi kryje się w ciele. Ludzie byli raptem bukłakami, które pękały i tryskały. Wokół niego piętrzyły się mury rozczłonkowanych i wypatroszonych ciał. Otaczały go jak worki z piaskiem. Także konie, które również były napełnione krwią, ale dłużej umierały. Znajdzie zwierzęta później, leżące na bokach, dyszące, nadal wydychające obłoki pary w lodowatym powietrzu. Niezależnie od tego jak bardzo był zmęczony – a pod koniec zawsze był wyczerpany – znajdował czas, żeby wbić im miecz w gardło. Żałował, że nie zna modlitwy, którą mógłby wypowiedzieć, ale był w stanie powtarzać tylko jedno słowo, które cały czas krążyło mu po głowie: przepraszam.

Zawsze zapachowi krwi w jego nozdrzach towarzyszyła woń dymu – z koksowników i pochodni, ognisk i płonących domów, fortów, zamków. Gdy zastępy leżały pokonane na polu bitewnym, wyważone bramy stały szeroko otwarte, łupy należały do niego. Mężczyźni rzucali się, wyjąć, niemal szaleni, po tym jak otarli się o śmierć, ale przeżyli. Czuli się jak bogowie. Zasługiwali na wszystko – kto mógł im czegokolwiek odmówić? Brali, co chcieli, i zabijali każdego, kto miał odmienne zdanie.

Hadrian zwykle próbował się potem utopić w kieliszku. Ktoś wyciągał na ulicę beczkę trunku, rozbijał wieko i wszyscy zanurzali kubki, żeby spełnić toast. Hadrian nie przestawał pić. Próbował sprawić, że wszystko wokół zniknie. Chciał zmyć krew, ale nigdy nie mógł pozbyć się plam. Kiedy tak siedział obok beczki, podsuwali mu kobiety, które wyrwali z domów, ponieważ wiedzieli, że walnie przyczynił się do ich zwycięstwa. Wybrał ładną blondynkę w porwanej sukience. Przypominała mu Arbor, dziewczynę, którą kiedyś kochał w Hintindarze, dziewczynę, którą stracił na rzecz najlepszego przyjaciela. Złapał ją. Krzyczała, ale on tylko przytulił ją do piersi. Walczyła z nim, ale przestała, kiedy zdała sobie sprawę, że on płacze.

Kiedy ją puścił, klęczała obok niego i tylko patrzyła. Ani razu nie odezwała się słowem, jej blada, idealna twarz wznosiła się ku niemu

podświetlona płomieniami.

– Przepraszam – powiedział.

– Słucham?

Hadrian zamrugał. Dziewczyna zniknęła i znowu patrzył na zamek Essendonów.

– Co mówiłeś? – Obok niego stał starszy mężczyzna i dygotał.

– Nic.

– Mówią, że król nie żyje.

– Tak? – odpowiedział Hadrian, zastanawiając się, jak się wymknąć.

– Zdradził go jeden z jego ludzi, jakiś strażnik nazwiskiem Hilfred.

Hilfred? Hadrianowi już nie śpieszyło się do odejścia.

– Co się stało ze strażnikiem?

– Został stracony przez kanclerza Percy’ego Bragę. Nasz nowy kanclerz jest równie świetnym szermierzem jak hrabia Pickering.

– Słyszałem, jak jeden ze strażników mówił, że za tym wszystkim stoi lord Exeter. To on knuł przeciwko królowi, rozkazał zamknąć drzwi rezydencji na łańcuch i podłożyć ogień. Cała rodzina królewska przepadła.

– Nie cała. – Kobieta, przyciskająca dziecko do piersi, odezwała się niemalże szeptem, jakby dzieliła się niebezpiecznym sekretem. – Jedno z dzieci przeżyło.

– Które?

– Dziewczynka, Arista.

– W takim razie lord Exeter każe zabić dziecko.

– Nienawistny łajdak – zakłęła kobieta, zasłaniając dziecku uszy.

– Ostrożnie – powiedział starzec – może okazać się naszym nowym królem.

To przeraziło kobietę.

– Nowy kanclerz nie pozwoli na to. Dopilnuje, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Kanclerz Braga jest cudzoziemcem – odezwał się inny mężczyzna. Ten zdołał owinąć się kocem po drodze i włożyć bezkształtny kapelusz na czerwieniejące uszy. – Nie miał czasu zawiązać sojuszy. Lord Exeter dowodzi strażami i wszystkimi szeryfami. Mając wybór między nimi dwoma, nawet jeśli zostanie dowiedzione, że Exeter zabił

królewską rodzinę, nie wiem, po czyjej stronie stanie wojsko. Może nas czekać wojna domowa.

– To ponury, ponury dzień – mruknęła kobieta, przytulając mocniej dziecko.

Hadrian po raz ostatni zerknął na płonący zamek i wycofał się z tłumu. Wymknął się na puste ulice Dzielnicy Szlacheckiej. Z dala od zamku, z dala od żaru ognia, zrobiło się zimno. Wiatr przybierał na sile – północny wiatr, oddech zimy.

Hadrian skierował się na plac Szlachecki, uznając, że przejdzie tamtędy do Dzielnicy Kupieckiej. Spróbuje zajrzeć do Świętego Miecza. Może Royce już zwrócił powóz Dunwoodie’emu i czeka tam na niego. Kiedy wszedł na plac, zobaczył, że gromadzi się tam drugi tłum. Ze dwadzieścia osób stało wokół posągu pośrodku, unosząc latarnie i pochodnie. Kiedy podszedł, zrozumiał dlaczego.

Z posągu zwieszało się ciało mężczyzny. Potwornie okaleczone zwłoki wisiały na sznurach makabrycznie ozdobione świecami. Mężczyzna nosił czarno-biały mundur szeryfa. Brakowało mu oczu, uszu i kilku palców. Do piersi przybito mu za pomocą zdobionego klejnotami sztyletu (pewnie należał do ofiary, jak domyślał się Hadrian) tabliczkę wypisaną dużymi literami:

ARYSTOKRATA CZY NIE,
OTO CO SIĘ STANIE Z KAŻDYM,
KTO SKRZYWDZI DAMY Z DOMU MEDFORD.

Zatem Royce odnalazł lorda Exetera. Hadrian się odwrócił. Dość już zobaczył tej nocy.

Kiedy dotarł do Świętego Miecza, znalazł powóz Dunwoodie’ego i uwiązaną klacz Diament, ale Royce’a nie zastał. Sam Dunwoodie nadal spał i Hadrian postanowił zostawić go w spokoju.

Chciał się napić, ale w karczmie nikogo nie było. Wszyscy, którzy nie spali, stali pod zamkiem albo na placu.

Opuścił Dzielnicę Kupiecką, znowu przechodząc obok zamku, który nadal się palił. Płomienie strzelały dachem, jeden ze stożków przykrywających niższą wieżę zapadł się, zabierając ze sobą flagę z sokołem. Powszechnie „oooch” wyrwało się tłumowi. Brygada z wiadrami odpuściła sobie zamek i teraz nosiła wodę z fosy

i wylewała ją na budynki wokół dziedzińca, starając się ratować, co się da.

Hadrian znowu zniknął w cieniach i tym razem wszedł do Dzielnicy Rzemieślników. Ponownie natrafił na grupę ludzi na centralnym placu. Tylko pięcioro świadków stało w miejscu, gdzie zawisło kolejne ciało. Okaleczono je w podobny sposób co poprzednie. Zwłokom brakowało oczu, uszu i palców. Przybita kartka głosiła zwyczajnie:

ZABIŁ DAMĘ Z DOMU MEDFORD.

Mężczyzna w jasnoczerwonej wełnianej czapce próbował przeczytać słowa na głos na użytek tych, którzy w ogóle nie umieli czytać:

– Z-za-zabił, ehm, daaamę...

Hadrian słuchał, jak mężczyzna metodycznie duka, odczytując pięć słów.

– To Stane – powiedziała jedna z osób z małej grupki.

– Byłem tam tamtej nocy, kiedy zabił tę biedną dziewczynę – odezwał się ktoś inny.

Mężczyzna wyglądał znajomo, nosił ciesielski młotek w miejscu miecza.

– Jak się nazywała? – zapytał mężczyzna w czerwonej czapce.

– To było rok temu. Teraz już nawet nie pamiętam.

– Wiedziała, że źle skończy. – Starsza kobieta pogroziła palcem. – Zawsze tak mówiłam.

Hadrian pamiętał to imię. To on według Grue zabił przyjaciółkę Gwen, która z powodu tego morderstwa odeszła z karczmy. Hadrian spojrzał znowu na kartkę. Ściśle rzecz biorąc, była wtedy dziwką w „Ohydny Łbie”, ale wiedział, że Royce’owi zależało na klarownym przekazie. Mieszkańcom miasta najwyraźniej nie przeszkadzało, że zatarł pewne szczegóły.

Hadrian przeszedł ulicą Rzemieślników do bramy Dzielnicy Dolnej. Ciała zniknęły, jakby do walki nigdy nie doszło. Zostały jednak ciemne plamy, zapewniając, że miała miejsce. Za późno zdał sobie sprawę, że powinien był wracać okreśną drogą, żeby ominąć jatkę, ale był zbyt zmęczony. To była długa noc i miał nadzieję, że Gwen da mu łóżko. Poszuka Royce’a rano. Znając go, sam znajdzie Hadriana, o ile jeszcze

żyje.

Tym razem nie poszedł skrótem. Przeszedł główną ulicą i przez centralny plac Dzielnicy Dolnej. W każdej dzielnicy coś stało na głównym placu. Arystokraci mieli piękny pomnik, kupcy ładne ławeczki, nawet rzemieślnicy coś mieli – fontannę. W Dzielnicy Dolnej stała tylko stara publiczna studnia i tablica z ogłoszeniami. Zanim do niej podszedł, wiedział już, że tej nocy przypięto do niej nowe ogłoszenie.

Nie zawiódł się.

Jeszcze jedno ciało wisiało rozciągnięte teraz już w znajomy sposób. Krew kapiała i była dość ciepła, żeby parować na lodowatej ulicy. Nie było wokół tłumu. Plac był pusty i Hadrian stał samotnie, patrząc na makabryczną ekspozycję. Ze wszystkich ludzi, którzy zginęli tej nocy, tego jednego znał. Mimo to nie znajdował w sobie współczucia.

Royce rzeczywiście miał pracowitą noc i Hadrian cieszył się, że się rozdzielili. Ruszył dalej na ulicę Przekorną, odwracając się tyłem do placu, studni i tablicy ogłoszeniowej z okaleczonym ciałem Raynora Grue.

Rozdział 20

Przykre skutki

Lata pracy dla Raynora Grue wypaczyły wewnętrzny zegar Gwen do tego stopnia, że rzadko spała nocą. To były jej godziny pracy i nawyk ten uporczywie trwał. Jak sowa nie mogła zasnąć aż do wschodu słońca, między innymi z tego powodu była ubrana, kiedy zjawili się żołnierze.

W Dzielnicy Dolnej nigdy nie było za dużego ruchu, więc ich przybycia nie dało się z niczym pomylić. Zeszłej nocy zamieszanie skończyło się tym, że została wywleczona i pobita przez lorda najwyższego konstabla. Kiedy Gwen czekała w salonie, zauważyła, że tym razem byli głośniejsi. Gniewne okrzyki i tętent kopyt przewaliły się jak burza, słyszała także koła wozu – o wiele cięższe i wydające bardziej przytłumiony łomot niż koło powozu.

Patrząc na frontowe drzwi, spodziewała się, że zaraz zostaną wyważone, ale czekała ze stoickim spokojem. Powiedziała sobie, że wszystko będzie dobrze. Innym powtórzyła to samo. Nikt jej nie uwierzył.

Nie zapukali – nie spodziewała się niczego innego, ale mimo to zastanawiała się. Dom Medford wyglądał ostatnimi czasy na miejsce warte pewnego szacunku. Ona i dziewczyny odwały tu kawał dobrej roboty. Rudera zniknęła, a nowy budynek był wspanialszy nawet od oryginalnej gospody, która kiedyś stała w tym miejscu. Prac jeszcze nie skończono. Gwen wątpiła, czy kiedykolwiek się skończą. Zawsze znajdzie sposób, żeby udoskonalić Dom. Zamierzała ustawić ładny

płotek od frontu, dołożyć ozdobne gzymsy w sypialniach i nie porzuciła marzenia, że kiedyś pomaluje całość na niebiesko. Mimo to był to najpiękniejszy budynek w całej Dzielnicy Dolnej. Pasowałby do otoczenia nawet na placu Kupieckim. To jednak nie miało znaczenia. Żołnierze wiedzieli tylko, że to burdel.

Mimo to otworzyli drzwi, zamiast je wyważyć, i była im za to wdzięczna. Wszedł tuzin mężczyzn z pochodniami, ubranych w kolczugi i hełmy z matowego metalu. Gwen ledwie poznała Ethana pod tym żelastwem.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

To było absurdalne pytanie, ale tak samo absurdalna była cała ta sytuacja. Tuzin mężczyzn w kolczugach wpakował się do domu, a powitała ich ona jedna, stojąca o kuli, z zabandażowaną twarzą i uprzejmym pytaniem na ustach.

– Jesteś aresztowana za zamordowanie lorda Exetera, najwyższego konstabla Melengaru.

Gwen nie rozpoznała mężczyzny, który mówił. Był stary, muskularny i nosił sięgającą piersi siwą brodę. Spojrzała na Ethana, jedyne, którego znała. Był szeryfem w Dzielnicy Dolnej, odkąd Gwen tam mieszkała i chociaż nie mogła powiedzieć, że go lubi, to go szanowała. Przynajmniej starał się być sprawiedliwy. Odpowiedział spojrzeniem i widziała, że walczy ze sobą. Był zdenerwowany jak inni, ale niekoniecznie z jej powodu. W jego oczach widziała może nawet odrobinę strachu, ale tej nocy wszyscy się bali.

– Gwen? – pisnęła Mae, podbiegając do niej i przytulając się mocno.

Jollin i Abby też podeszły. Dziewczyny z drugiego pokoju zerkały, pytając, co się stało.

Mae oderwano od Gwen. Pozostałe kobiety też złapano. Gwen wzięto jako ostatnią. Wyciągnęli ją i zgubiła kulę.

Powinno być wziąć koc, pomyślała, kiedy tylko poczuła zimne nocne powietrze. A nawet kilka.

Tylne drzwi wozu otwarto i wepchnięto tam dziewczyny. Gwen się skrzywiła. Nacisk na chorej ręce i fakt, że ją ciągnięto, bo nie mogła chodzić bez kuli, wywoływał ból w całym ciele. Martwiła się, jak wejdzie na wóz. Nie miała szansy podciągnąć się i zastanawiała się,

czy znowu zostanie pobita. Niektórzy żołnierze wyglądali na dostatecznie rozeźlonych, żeby nie przejęli się, dlaczego nie może wsiąść. Jollin próbowała jej pomóc, ale ją odepchnięto. Wszystkie je popychano. Mężczyźni bali się, byli rozgniewani i nie mieli na kim się wyżyć. Przed nią Etta krzyknęła, a Mae płakała, wchodząc na wóz.

Kiedy Gwen do niego doszła, zobaczyła, że dno wozu znajduje się na wysokości jej pasa. Za wysoko, żeby uniosła kolano. Chwilę potem poczuła, że czyjeś ręce ją podnoszą. Były delikatne.

– Masz naprawdę fatalny tydzień, Gwen.

To był Ethan. Tylko tyle powiedział, ale widziała współczucie w jego oczach, może nawet smutek. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś ją zobaczy. Zabito wysoko postawionego arystokratę. Ktoś musiał za to zapłacić. Ktoś musiał zostać ukarany, stracony.

Gwen usiadła między Mae i Jollin, opierając się plecami o litą drewnianą ścianę wozu.

– Umrzemy? – spytała drżącym głosem Abby.

Nikt nie odpowiedział. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Gwen zamknęła oczy i pomodliła się, żeby to, co widziała w dłoni Hadriana, okazało się prawdą.

– Riyria – szepnęła do siebie jak magiczne zaklęcie.

* * *

Stojąc w cieniach na ulicy Przekornej, Royce obserwował przejeżdżający obok wóz. Przez jedną szaloną chwilę rozważał, czy nie spróbować jej uwolnić.

Był idiotą.

Popęłnił błąd, źle ocenił sytuację i teraz ona za to płaciła. Royce nie przywykł do ponoszenia przykrych konsekwencji. Nigdy do tej pory nie miał nic do stracenia. Powinienem był najpierw ją wywieźć, a może w ogóle nie powinien był pisać tych listów. Royce nie miał głowy do takich rzeczy. Merrick był w tym dobry.

Jego dawny partner z czasów w Czarnym Diamencie był specem od planowania i manipulacji. Royce walczył ze światem, siłując się

z wiatrem, który wiecznie wiał mu w twarz. Merrick unosił się na nim, kierując podmuchami wedle własnej woli. „Właściwe słowo wypowiedziane we właściwej chwili, może zdziałać cuda” – lubił mawiać. „Musisz tylko zrozumieć siłę, skąd się bierze i w jakim kierunku płynie”. Próbował nauczyć tego Royce’a, biorąc za przykład wodę. „Wlej wodę do lejka, a nie będziesz musiał się martwić, gdzie popłynie, a nie którądy”.

Merrick był geniuszem, może nadal jest. Royce nie widział go od lat, odkąd jego niegdyś najlepszy przyjaciel zaaranżował jego aresztowanie i uwięzienie. Royce był wtedy wodą. Kiedy wydostał się z więzienia Manzant, Merrick już nie należał do Czarnego Diamentu. Royce nigdy nie próbował go odnaleźć, ale zastanawiał się, czy zabiłby starego przyjaciela, gdyby go spotkał. Wolał myśleć, że dałoby się tego uniknąć, ale mogłoby okazać się to nieuchronne.

Merrick nigdy nie popełniłby błędów, jakich dopuścił się tej nocy Royce. Pytanie, jakie teraz musiał sobie zadać, brzmiało: co Merrick zrobiłby w takiej sytuacji? Jak Royce mógł sprawić, że woda popłynęłaby tam, gdzie chciał?

Dostrzegł Hadriana idącego ulicą od strony placu. Przynajmniej on nadal żył.

– Nie zwracaj sobie głowy wchodzeniem do Domu Medford – powiedział mu Royce.

Partner aż podskoczył na dźwięk jego słów.

– Royce... – Urwał, żeby odetchnąć. – Musisz z tym skończyć. Któregoś dnia mnie wykończysz.

– Zamknij się i chodź za mną.

Przeszli zaułkiem na tyły „Ohydneho Łba”, po deskach przerzuconych przez rów z gnojem i nieczystościami. Royce otworzył kłódkę i zakradli się tylnymi drzwiami do karczmy. Było tam pusto i ciemno. Szabrownicy mogą zjawić się za dnia, ale dekoracje, które Royce zostawił na placu Dzielnicy Dolnej, powstrzymają nawet desperatów aż do świtu. Pewnie wszyscy zostaną w zamkniętych na głucho domach tej nocy.

Podszedł do okien i sprawdził ulicę – opustoszała i ciemna. Nie chcąc przyciągać niczyjej uwagi, nie zapalał światła. Nie paliła się ani

jedna świeca. To mu odpowiadało, ale Hadrian był niemalże ślepy nawet w pełnym blasku dnia. Wpadał na każdy możliwy mebel stojący między nim a barem.

– Myślisz, że Grue miałby coś przeciwko, gdybym poczęstował się kielichem? – spytał Hadrian.

Stał za barem jak ślepiec i próbował namacać kufel.

– Coś się stało? – spytał Royce.

– Co? Bo chcę się napić?

– Nie, bo kradniesz.

– Facet nie żyje. Wątpię, żeby się zdenerwował.

– Mimo wszystko to nie w twoim stylu.

– Takim jesteś znawcą mojej natury?

– Zaczynam być.

Hadrian znalazł wielki cynowy kufel i napełnił go, aż piana wylała się brzegami. Zdmuchnął większość, dolał jeszcze trochę, aż naczynie napełniło się po brzegi. Wypił potężny haust, opróżnił kufel i znowu go napełnił, zanim ruszył po omacku z powrotem.

– Masz rację. Miałem fatalną noc.

– Co się stało z Rose?

Usiedli przy stole koło okna, jeden dalej stolik od ich zwykłego miejsca, żeby Royce miał na oku ulicę. Przekorna była ciemna. Tylko światło księżyca oddzielało przedmioty od pustki, kiedy błydy blask znaczył krawędzie i rzucał wydłużone, kanciaste cienie. Część zimnego światła wlewała się przez okno i oświetlała płaszczyzny na połowie twarzy Hadriana.

Znowu miał minę pobitego. Gdyby był dzieckiem, Royce powiedziałby, że się nadąsał. Co dziwne, często wpadał w taki nastrój po walce. Ponieważ krew na nim nie należała do niego, Royce domyślał się, że walka zakończyła się dla niego lepiej niż dla tego drugiego gościa. Powinien być szczęśliwy, ale Hadrian często inaczej patrzył na sprawy niż Royce.

– Nie żyje. – Hadrian wypił kolejny spory łyk, otarł usta i oparł łokcie na stole.

– Tamten patrol?

– Nie, patrol ich zatrzymał, ale się wymknęli. – Odsunął się

i wskazał na koszulę. – Poszedłem za nimi i dorzuciłem jeszcze czterech do swojej listy. Kłopot w tym, że to niczego nie zmieniło. I tak została zabita. Znalazłem jej ciało w zaułku.

– Inny patrol?

– Nie, myślę, że to ten gość, który ją odprowadzał do domu. Jestem przekonany, że nie zamierzał nigdzie jej odprowadzać, tylko wyciągnął ją z zamku.

– Cóż, jeśli to cię pocieszy, sprawiłeś się lepiej niż ja. Straciłeś tylko jedną dziewczynę, a ja jestem przekonany, że ściągnąłem śmierć na wszystkie.

Hadrian przestał pić.

– Słucham?

– Aresztowano wszystkie kobiety z Domu Medford.

– Z powodu liścików, które zostawiłeś?

– Tak myślę.

– Pewnie nie powinieneś był ich zostawiać.

– Tak myślisz? – Royce spiorunował go wzrokiem, ale bez przekonania.

Odsunął się, skrzyżował ręce i spojrzał w stronę baru, jakby miał nadzieję przyciągnąć uwagę kogoś z obsługi.

– Nie wściekaj się na mnie. To ty zaszalałeś z nożem. Arystokraci wkurzają się, kiedy dekoruje się ich ulice nimi samymi. – Hadrian znowu się napił, a potem zapytał: – Zatem co zamierzasz zrobić? Nie pozwolisz im jej stracić, prawda?

– Nie.

– W takim razie co zrobisz?

– Nie wiem! – warknął.

Royce nie chciał na niego spojrzeć, wędrował wzrokiem po karczmie, nigdzie nie zatrzymując się na dłużej. Wnętrze wyglądało jak chlew i zastanawiał się, jak długo Gwen była zmuszona tu pracować. Musiała czuć się jak w więzieniu. To ich łączyło. Teraz znowu ją zamknęli za coś, czego nie zrobiła. Za coś, co on zrobił. Ilu jeszcze ludzi będzie musiał zabić, żeby to naprawić?

Hadrian wstał.

– Idę po dolewkę. Też się napijesz?

- Nie.
- Wygląda na to, że przyda ci się kufelek.
- Nie.

Hadrian znowu potknął się kilka razy w drodze do baru, a Royce próbował coś wymyślić. Cokolwiek.

Mógłby spróbować wydostać Gwen. Widział pożar i wiedział, że zapanuje chaos. W końcu zabrakło najwyższego konstabla, który mógłby wydawać rozkazy. Ochrona będzie osłabiona. Znał ją jednak – Gwen nie ucieknie, o ile pozostałe dziewczyny nie będą bezpieczne, a nie miał nadziei wydostać ich wszystkich. Gdyby nawet zdołał, dokąd by je zabrał? Uciekałby z wozem pełnym kobiet. Gdyby miał miesiąc na przygotowania, to może, ale Royce podejrzewał, że kara zostanie szybko wymierzona. Domyślał się, że ma nie więcej niż dzień, może dwa, a możliwe, że tylko kilka godzin.

Musiał istnieć lepszy sposób. Wiedział, na czym polega kłopot. Nadal myślał jak on sam. A musiał myśleć jak Merrick. Musiał sprawić, że sprawy popłyną tak, jak on tego chce. Żeby tego dokonać, musiał zrozumieć, gdzie leży siła i jak ją nagiąć.

Westchnął. Myślał tylko o zabijaniu, a nie mógł zabić wszystkich. Jak Merrick by to załatwił? Z pewnością manipulując, ale jak i kim? Nie wiedział nawet, kto wydał rozkaz aresztowania dziewczyn. Istnieli szeryfowie okręgowi i pewnie główny szeryf, miejski konstabl i wreszcie lord najwyższy konstabl całego Melengararu, którego urząd chwilowo zwolnił się dzięki niemu samemu. Kogo powinien przycisnąć? Który mógł uwolnić Gwen?

– Potrzebuję punktu nacisku. Kogoś, kogo mogę szantażować albo przekupić.

– Szkoda Exetera – powiedział Hadrian. – Można było go wykorzystać, tyle że powszechnie teraz wiadomo, że próbował zabić króla i w dodatku jest cokolwiek martwy...

– Co ty wygadujesz?

– Mówię o pożarze. Wielkim ogniu na zamku? Myślałem, że może sam go podłożyłeś, żeby wypłoszyć Exetera.

– Nie, Albert zrobił swoje i Exeter wyszedł z własnej woli.

– Ach, cóż, teraz już wiem. Właściwie to zorientowałem się, słysząc

plotki koło zamku. Wszyscy mówią, że to Exeter go podpalił. Próbował przejąć władzę.

– Naprawdę? To dziwne. Exeter powiedział, że jakiś biskup... Saldur, chyba tak go nazwał... Że to on spiskował, żeby przejąć tron.

– To było, zanim czy już po tym, jak obciąłeś mu palce?

– Nie pamiętam.

– Pewnie oskarżyłby własną matkę o zabicie króla po jednym albo dwóch palcach.

Royce pokręcił głową.

– Nie, odkryłem, że ludzie są dość prawdomówni w takich chwilach. Myślę, że Exeter był niewinny.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś niewłaściwego człowieka?

Royce uśmiechnął się szyderczo.

– Mam na myśli podpalenie zamku i próbę zabicia króla. Exeter powiedział, że Rose zdołałaby zidentyfikować tożsamość spiskowców. Powiedział, że nie chciał jej zabić, tylko ją znaleźć. Miała jakiś dowód, którego potrzebował.

– Hm... – Hadrian znowu się napił.

Na zewnątrz wiatr uderzał w karczmę, gwizdząc przez liczne szpary.

– Co?

– Kiedy patrol dopadł Rose, nie próbowali jej zabić. Szeryf chciał ją zabrać do Exetera.

– Pamiętasz jego nazwisko? Strażnika, który twoim zdaniem zabił Rose?

– Richard Hilfred, sierżant królewskiej straży.

Royce wstał.

– Świetnie. Wystarczy tylko, że go zabiję.

– No to masz szczęście. Już nie żyje.

– Jesteś pewien? Jesteś całkowicie pewien?

– To on podłożył ogień. Nowy kanclerz go zabił. Co to zmienia?

Merrick dostrzegłby powiązania. Wszystkie fragmenty ułożyłyby mu się w całość i tym razem Royce też to widział. Wstał i zaczął krążyć. Coś mu przyszło do głowy i nie mógł usiedzieć. Merrick też zwykł chodzić, kiedy planował. To sprawiło, że Royce tym bardziej

poczuł, że jest na właściwym tropie.

– Hilfred to tylko pionek, osoba, która działała od środka. To ten biskup Saldur pociąga za sznurki. I gdyby go trochę przycisnąć, może pociągnąłby za nie i dla nas. Pewien mój przyjaciel zwykł mawiać „poczucie winy i strach to potężna mieszanka” i często wystarcza drobna sugestia, że ktoś inny wie o tym, co zrobiłeś, żeby uruchomić wyobraźnię. Gdybym ja spiskował przeciwko królowi, a on nie zginąłby, martwiłbym się odrobinę, że może się dowiedzieć, prawda?

– Pewnie, ale co zrobisz? Wejdiesz do katedry, przyłożysz sztylet do gardła gościa i...

– Nie – powiedział Royce, chociaż właśnie tak pomyślał.

Merrick nigdy nie działał w taki sposób. To było zbyt prostackie. Perswazja to sztuka. Zbyt duża siła pociągała za sobą niechciane skutki. Strach był dobry, panika pociągała za sobą nieprzewidywalne zachowanie.

– Potrzebujemy Alberta.

– Alberta?

– Aha.

Royce wyciągnął rękę i celowo przewrócił kufel Hadriana, rozlewając piwo po blacie i na podłodze.

Hadrian odsunął się od stołu i spojrzał zaskoczony na Royce'a.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie oblałem cię, prawda?

Miał rozbawiony wyraz twarzy.

– Nie.

Royce patrzył przez chwilę, jak piwo skapuje ze stołu.

– To dlatego, że wiedziałem, gdzie piwo spłynie. Poza tym potrzebuję, żebyś był trzeźwy, bo jeśli ten plan zawiedzie, będziemy musieli zabić mnóstwo ludzi.

Rozdział 21

Nazajutrz

Deszcz zaczął padać tuż przed świtem. Delikatne bębnienie o dach koszar powinno być kojące, nieść ulgę – dar Maribora, który wreszcie ugasi nocny ogień – ale dla kanclerza Percy’ego Bragi była to po prostu kolejna rzecz, z którą trzeba sobie poradzić. Koszary stały się nowymi komnatami rady, a to, co zostało z serca i duszy królestwa, upchnięto w dwóch wąskich pokojach. Braga w końcu zarekwiruje dom jakiegoś arystokraty w mieście, może nawet wprowadzi się do katedry Mares, chociaż biskup Saldur może się przed tym wzdragać. Na razie musiał znajdować się na scenie.

A sceną były tłące się ruiny zamku. Ogień płonął dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał. *Całe to siano*. Braga słyszał te trzy słowa przez całą noc, ale to stara dębina sprawiła, że pożar trwał. Brygada z wiadrami nie dokonała niczego poza tym, że zapobiegła rozprzestrzenieniu się ognia na zewnętrzne budynki. Forteca była nie do zdobycia, jakby smok w niej zamieszkał i nie chciał się wynieść. Budowla płonęła całą noc, czarne mury z żarzącymi się oczami i basowym gardłowym rykiem.

Tyle trzeba było zrobić i teraz zrobią to w błocie, dzięki deszczowi, który spadł za późno. Sam ogrom problemów, jaki spadł na kanclerza, był przytłaczający. Braga nabrał powietrza i wypuścił, znowu odetchnął. Nie powinien musieć przypominać sobie, że trzeba oddychać. Świat się zmieniał. Słońce znowu zaświeci, może jaśniej niż dotąd. Musiał tylko jakoś to przetrwać.

Braga siedział przy żałośnie małym stole, którego rozmiary odpowiadały małej liczbie zgromadzonych. Z pierwotnie dwunastoosobowej rady przeżyli tylko lord Valin, sir Ecton, szambelan Julius i biskup Saldur. Braga siedział u szczytu stołu zakopany pod stosem wojskowych koców, usiłując przetrwać poranny chłód, który deszcz tylko pogłębił. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w życiu był równie wyczerpany i zmarznięty. Nikt nie zaproponował rozpalenia ognia.

Braga czekał na listę ofiar. W chaosie, który zapanował, nikt nie wiedział, kto zginął, a kto mógł przetrwać, a on potrzebował tego spisu. Zwłoka była męką, ale musiał wiedzieć, zanim podejmie działania. Przynajmniej imię jednej osoby nie znajdzie się na liście. Księżniczka przeżyła, uratowana przez tego chłopca, syna Richarda Hilfreda.

Wszyscy byli umazani popiołem. Zamek Essendonów był wielką zwęgloną bryłą i wszyscy wyglądali jak górnicy, którzy dopiero co wyszli z dziury.

– Chcę wysłać zwiadowców na trakt przecinający Wschodnią Marchię – upierał się Valin z nieugiętością w głosie, jakiej wcześniej Braga nawet sobie nie wyobrażał.

Stary wojownik zawsze robił na nim wrażenie zramolałego namiestnika, grzejącego miejsce dla następnego markiza Asperu, ale teraz ten człowiek ożył, oczy mu błyszczały, a jego głos nabrał głębi.

– Siedzimy tu ślepi i głusi. Znałem Exetera od szczeniaka. Ten chłopak nie był głupi. Możliwe, że jego dowódcy i wojsko już maszerują. Chociaż on sam nie żyje, jego siły nadal stanowią zagrożenie. Musimy wiedzieć, gdzie się znajdują, jak liczne są i jak wyposażone.

– Myślę, że mamy przed sobą bardziej naglące kwestie – sprzeciwił się biskup Saldur.

Starszy kapłan fatalnie wyglądał. Przemókł na deszczu, rzadkie włosy przykleiły mu się do czaszki, a sadza na jego twarzy spływała po czole czarnymi łzami. Wyglądał jak trup, którego znaleziono w rzece.

– Zanim ruszymy którąkolwiek ścieżką, musimy zdecydować, kto

stanie u steru królestwa. Kiedy rodzina królewska nie żyje...

– Księżniczka przeżyła – zwrócił uwagę Valin, trochę za szybko i za głośno jak na gust Bragi.

Starzec siedział jak mysz pod miotłą podczas poprzednich narad, a teraz nagle odnalazł głos.

– Oczywiście, oczywiście, ale ma dwanaście lat – powiedział życzliwym, ciepłym tonem biskup, poklepując Valina po dłoni, którą markiz zaraz zabrał. Nikt nie lubi dotyku trupa, niezależnie od tego, jak przyjazny się wydaje. – Nie może rządzić. Może pewnego dnia, ale nie teraz. Musimy wyznaczyć regenta, dopóki księżniczka nie osiągnie pełnoletności.

– Lord Valin to wysoko postawiony arystokrata – odezwał się Ecton. – Jest z rodu statutowego. Z pewnością powinniście...

– Prawo mówi, że to kanclerz powinien pełnić obowiązki namiestnika, dopóki nowy król nie zostanie koronowany – oznajmił szambelan Julius. – To nie podlega dyskusji. Lord Braga jest bratem króla.

– Jedynie przez małżeństwo – odpowiedział Ecton.

– Lordzie kanclerzu?

W drzwiach, którymi wchodzili i wychodzili ludzie przez cały ranek, stanął Wylin. Pełnił obowiązki kapitana, odkąd Lawrence'a oficjalnie uznano za zmarłego – znaleziono go przygwożdżonego przez belkę w pokoju, który kiedyś był bawialnią. Wylin ociekał i był brudniejszy od nich wszystkich. Ręce miał czarne po łokcie.

– O co chodzi? – spytał Braga.

– Mamy pierwszą listę ofiar, panie. Ach, i mój panie... – urwał, patrząc po wszystkich twarzach – ...sprawy mogą nie wyglądać tak tragicznie, jak myśleliśmy. Nie znaleźliśmy króla w pogorzeliści.

– Jesteś pewien? – zapytał Saldur. – Na pewno... Pewnie spłonął i szczątków nie da się poznać.

– Nie, Wasza Ekscelencjo, nie sędzę. Odkryliśmy... – Zawahał się. – Ogień nie uczynił większych szkód w sypialni króla i w kaplicy. Królowa Anna nadal leży na łóżku nietknięta. Najpewniej zatrąła się dymem we śnie, ale króla tam nie ma. Nie znaleźliśmy też księcia. Skryba siedzi w stajni i spisuje oficjalną listę. Przekażę ją panu

bezpośrednio, ale myślałem, że chciałby pan natychmiast usłyszeć o królu.

– Tak, tak, dziękuję, poru... Ehm, kapitanie.

– Jakże podnoszące na duchu wieści – powiedział Saldur z promiennym uśmiechem.

– Co to znaczy? Gdzie może być król? – spytał lord Valin. – Ludzie Exetera go porwali?

– Wygląda na to, że możemy odłożyć na później wszelkie rozmowy o wyborze nowego władcy. – Kanclerz wstał, zrzucając większość koców, ale zostawiając jeden na ramionach. – Wybaczcie proszę, muszę zająć się chaosem.

Przecisnął się do wyjścia z koszar.

Wozy pełne ciał przejeżdżały dziedzińcem, który zamienił się w błocko. Kanclerz stanął pod okapem na werandzie koszar, przyglądając się katastrofie, jaka przypadła mu w udziale.

Dźwięki rogów zwróciły jego uwagę.

– Król! Król!

Konie wjechały przez bramę. Król Amrath jechał obok hrabiego Pickeringa. Za nimi jechał książę i młodzi Pickeringowie, wszyscy przemoczeni, wpatrujący się w poczerniały zamek. Ludzie z koszar wybiegli rozpromienieni.

– Żyjesz! – wykrzyknął Braga. – I chłopcy...

– Natrafiliśmy na nich na drodze tego ranka – wyjaśnił Leo głosem wypranym z emocji, nie mogąc oderwać wzroku od ruin zamku. – Wymknęli się na polowanie.

Amrath nie odezwał się słowem, kiedy zsiadał z konia przed kanclerzem. Deszcz kapał mu z brody.

– Co się stało, Percy? Gdzie Ann i Arista?

W tej chwili, gdyby miał wybór, Braga wolałby zamienić się miejscami z młodym Hilfredem niż musieć odpowiedzieć na to pytanie.

* * *

Albert spędził noc w domu lorda Darefa w Medfordzie, w północno-zachodniej części Dzielnicy Szlacheckiej – eleganckim dwupiętrowym budynku z cegły i kamienia wyposażonym w kominki na każdym piętrze i z wykwinnymi skrzynkami na kwiaty pod każdym oknem. Daref miał także skromną posiadłość w Asperze, ale zaglądał tam tylko dwa razy do roku, żeby sprawdzić stan rzeczy. Jak wyjaśnił „albo mieszkasz w mieście, albo wyjeżdżasz na wieś i wypadasz z obiegu”, co – jak rozumiał Albert – znaczyło, że jest tam nudno. W mieście Daref mieszkał samotnie, ale miał sześćosobową służbę. Brak żony przez lata wywoływał plotki. Przybrały na sile, kiedy zamieszkał z nim pewien jasnowłosy młodzieniec. Daref nazywał go Neddy i przedstawiał jako swojego siostrzeńca, tyle że Albert był na ślubie siostrzenicy Darefa i wiedział, że nie miała rodzeństwa. Wicehrabia uznał, że to dziwne, że jego przyjaciel aż tak się stara, kiedy większość arystokratów ma prawdziwe sekrety, ale może właśnie o to chodziło – lord Daref czuł, że wzbudza za mało kontrowersji.

Daref i Albert opuścili przyjęcie zaraz po tym, jak wybuchł pożar. Żaden z nich nie miał dość żelaznych nerwów, żeby oglądać tragedię. Podczas gdy inni stali na zimnie całą noc albo pracowali przy wiadrach, oni wygodnie spali. To był pierwszy przyzwoity nocleg, jaki Albert zaliczył w ciągu ostatnich dwóch lat. Był za to wdzięczny i rozkoszował się śniadaniem, które zjedli we trzech.

Pukanie do drzwi oznajmiło przybycie posłańca i wieść, że pożar nie był wypadkiem. Ogień podłożono z zamiarem zgładzenia rodziny królewskiej. Król i jego dzieci przeżyły, ale królowa zginęła. Jeszcze bardziej zaskakujący był fakt, że odpowiedzialny za to zdrajca, lord najwyższy konstabl Simon Exeter także zginął. Znaleziono jego zmasakrowane ciało na placu Szlacheckim. Tożsamość zabójcy pozostała tajemnicą.

Wiadomości wywołały spór między Darefem i Neddym na temat możliwych implikacji spisku i skutków, jakie będzie to miało dla członków dworu. Albert nie słyszał ani jednego słowa z ich rozmowy. Za bardzo skupił się na słowie „zmasakrowane”.

Kiedy Royce i Hadrian zaproponowali mu możliwość ucieczki przed upokarzającym ubóstwem, natychmiast skorzystał z okazji. Teraz

zastanawiał się, czy mądrze postąpił. Spodziewał się zabawnego zakłopotania, jakie zaplanował dla barona McMannisa. Ale to... Był współwinni śmierci człowieka, wysoko postawionego arystokraty.

Nie był w stanie dokończyć dokładki kielbasy z jajkami.

Czy strażnicy będą go pamiętali? Czy Vince powiedział kanclerzowi albo królowi o wicehrabim, który przekazał wiadomość Exeterowi? Przypomni sobie nazwisko Winslow? Pomyślą, że brał udział w spisku? Królobójstwo miało tendencję wywoływać histerię, a wtedy topór katowski uderzał swobodnie, wymierzając tę samą karę winnym, co pechowcom, którzy wplątali się w wydarzenia.

Wszyscy wiedzieli, że przyjechał z Darefem. Straż zamkowa mogła już być w drodze. Musiał zniknąć. Wyczuł monety w sakiewce. Lady Lillian dała lady Constance dwadzieścia pięć tenentów, żeby zorganizował wykradzenie jej kolczyków. Miał strój, złoto, na tyle pełny żołądek, na ile zdołał go napchać. Mógł opuścić miasto i zniknąć. Monety wystarczą na długo – może aż do Calisu, gdzie nikt nigdy nie słyszał o lordzie Simonie Exeterze.

– Muszę wyjechać. – Albert przerwał Neddy’emu, który zastanawiał się, czy w tym roku odbędą się uroczystości zimionaliowe.

Daref wyjrzał na deszcz i uśmiechnął się kpiąco.

– Zawsze byłeś płochliwym tchórzem.

Albertowi serce zabiło mocniej. A potem się uśmiechnął. To był tylko żart.

– Podejrzewam, że trochę ludzi opuści miasto po ostatniej nocy, jakby pożar i morderstwo były robotą zarazy. Tak jak ty schowają się w swoich posiadłościach ziemskich i przeczekają kilka następnych tygodni, żeby zobaczyć, co się wykluje.

– A ty? – spytał Albert.

– Za nic na świecie nie przegapiłbym tego. Dwór będzie ekscytującym miejscem i chcę pozostać w samym centrum wydarzeń.

Ubóstwo Alberta oznaczało, że spakowanie się sprowadzało się do ubrania się. Pożegnał się z Darefem i wyszedł na deszcz. Przechodząc placem, zobaczył resztki dzieła Royce’a. Krew była wszędzie. Woda w sadzawce fontanny miała odcień wyblakłej czerwieni, nadal wisiało kilka przywiązanych do posągu lin, po tym, jak odcięto ciało Exetera.

Widok był tak potworny, że Albert zasłonił usta dłonią, żeby nie stracić dokładki jajek na kiełbasie.

Jak Royce i Hadrian tego dokonali? Nadal jestem im winny pieniądze. Jeśli ucieknę, to czy Royce będzie mnie ścigał?

W ciągu jednego dnia Royce odkrył tożsamość Exetera, znalazł go, uknuł spisek i zabił trzeciego najpotężniejszego człowieka w Melengarze, kogoś kto dysponował armią szeryfów i to podczas królewskiej gali. Gdyby Royce postanowił go zabić, jak znikome były szanse niewiernego wicehrabiego w drodze do Calisu?

Wszystko mu się w żołądku przewróciło. Naprawdę nie miał pojęcia, co to za ludzie. Skąd mógł wiedzieć, skoro dopiero ich poznał? Hadrian sprawiał wrażenie dość przyjaznego, ale kryło się w nim coś jeszcze, coś głęboko pogrzebanego. Chodził krokiem odrobinę zbyt pewnym siebie jak na człowieka z pospólstwa, jakby nie bał się śmierci. Ojciec zawsze przestrzegał Alberta przed nonszalanckimi ludźmi. Winslowowie to był ród hazardzistów, najpewniej stąd brał się jego wrodzony dar czytania w ludziach. Pewnie, że jego dziadek stracił lenno przez hazard, a ojciec całą resztę majątku w taki sam sposób, ale to nie znaczy, że nie miał racji – w końcu hazard to hazard. Jednak z tych dwóch nowych znajomych to Royce był tym przerażającym. Nie ukrywał swojego usposobienia. Ten człowiek był zdolny do wszystkiego.

Umrzeć jako współnik, czy umrzeć w ciemności?

Albert zawsze był tchórzem, ale nadal miał we krwi rodzinną skłonność do hazardu. Jeśli pójdzie do Royce'a i wyjaśni mu, że nie jest stworzony do takich rzeczy, to może tamten pozwoli mu odejść. Uznał, że woli zaryzykować teraz niż żyć w strachu przez resztę życia. Jeśli da im dwadzieścia złotych tenentów, zwróci z nawiązką sumę, którą mu dali. Mogą być niezadowoleni, że chce zerwać współpracę, ale to powinno wystarczyć, żeby uratować mu życie. Nadal zostanie mu pięć tenentów, żeby mieć z czego żyć. Może uciec z tym złotem. Pytanie tylko, czy powinien przyznać się do pięciu monet, które zachowa, czy powiedzieć, że dostał za robotę tylko dwadzieścia? Pięć wydawało się uczciwą ceną, ale oni mogli na to patrzeć inaczej. Z drugiej strony potrzebował chociaż pięciu, żeby mieć z czego żyć. Nigdy nie będzie

mógł pokazać się w cywilizowanym towarzystwie po tym, jak wziął pieniądze od lady Lillian i nie wywiązał się ze zobowiązania, a Constance będzie skompromitowana i żadna zemsty. Żaden z niej Royce Melborn, ale furia wzgardzonej arystokratki to nie jest coś, co należy lekceważyć. Nie miałyby żadnej nadziei na powrót, byłby zmuszony zniknąć i zacząć nowe życie. Calis nadal stanowił jedną możliwość, ale mógł także udać się do Delgosu – tam nie ma arystokratów. Tak czy inaczej, miło byłoby znaleźć się w ciepłym miejscu przed nadejściem zimy. Gdzieś, gdzie sprzedają tani rum.

Kiedy zjawił się w Dzielnicy Dolnej, szedł wolno. Nie śpieszył się, chociaż deszcz przemacał mu nowe ubranie. To był fatalny dzień dla wszystkich i nie śpieszyło mu się, żeby otrzymać swoją porcję. Ruszył do karczmy, ale przystanął przy publicznej studni na placu. Raynor Grue zdobił plac, a jego makabryczna twarz wyglądała jeszcze brzydziej z powodu ran, jakby ktoś ulitował się nad wronami i pokroił im mięso. Widział też drugiego nieboszczyka, kiedy szedł przez Dzielnicę Rzemieślników. Szeryfowie byli zbyt zajęci sprawami państwa, żeby zawracać sobie głowę zdjęciem ciał dwóch kmiotków. Jak długo będą tam wisieć, zanim ktoś ich zdejmie? Obie sceny wyglądały makabrycznie i sprawiły, że Albert zaczął się zastanawiać, w jakim stanie znaleziono zwłoki Exetera. Pierwszy mężczyzna niespecjalnie go poruszył, ale Grue to co innego. Znał go. Dopiero co dzień wcześniej rozmawiał z tym człowiekiem. Ręka Alberta bezwiednie powędrowała do jego gardła i twarzy. Przypomniawszy sobie, jak nonszalancki, jak arogancki był, kiedy Royce wypytywał go o znaczną pożyczkę na ubrania. Może powinien być mniej niefrasobliwy. Jeszcze bardziej zwolnił.

Niestety żadne trzęsienie ziemi nie sprawiło, że ulica pękła i otchłań go pochłonęła, więc w końcu dotarł do Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Lbem”. Drzwi były zamknięte i przez chwilę Albert nie wiedział, co robić. Nie mógł zwyczajnie wejść, ale z pewnością nie powinien czekać na Raynora Grue, aż mu otworzy. Stał na progu, próbując obmyślić następny ruch, a większość jego myśli krążyła wokół zdania „Cóż, próbowałem się z nimi skontaktować. Nie mogą mnie o nic winić”.

Drzwi się otworzyły.

– Winslow – warknął ostro z ciemności Royce. – Wchodź do środka.

Albertowi żołądek podszedł do gardła, kiedy zmusił nogi do ruszenia. Nadal jest jeden pusty plac w mieście. Może Royce zarezerwował go dla mnie.

Kiedy tylko Albert wszedł, Royce zatrzaskał drzwi i zamknął je na zasuwkę. Minęła minuta, zanim wzrok wicehrabiego zaczął się przyzwyczajać do słabego światła. W pomieszczeniu nikogo nie było poza ich trójką. Hadrian siedział przy barze na jednym z wysokich stołków, a jego wielki miecz leżał na blacie, sięgając dalej niż za trzy stołki.

Royce rzucił Albertowi poirytowane spojrzenie.

– Gdzieś ty się podziewał? Czekaliśmy godzinami i już miałem iść cię poszukać.

Poszukać? Co to miało znaczyć? Royce nie był porywczym zabójcą. Albert spędził z nimi tylko kilka dni, ale na tyle już się zorientował. Patrząc na złodzieja, odetchnął, żeby się trochę uspokoić. Daref miał rację – był tchórzem.

– Ja tylko... Ehm...

– Nieważne. Znasz biskupa w Medfordzie?

– Maurice’a Saldura? – Albert zaskoczyło to pytanie. – Och, nie, chyba nie zamierzacie i jego zabić, co?

Royce nie zawracał sobie głowy odpowiedzią, tylko zwyczajnie wręczył mu małą sakiewkę.

– Dostarcz to natychmiast biskupowi. W tej chwili.

– Nawet nie wiem, gdzie on jest.

Royce złapał Alberta za kłapy i przyciągnął tak blisko, że mógłby go pocałować.

– Dostarcz to biskupowi do rąk własnych natychmiast albo...

– Nie ma sprawy – odpowiedział Albert i wziął sakiewkę.

* * *

Po drugiej stronie Dzielnicy Szlacheckiej w stosunku do zamku

Essendonów katedra Mares wznosiła się w swojej poważnej, godnej bujności. Oba budynki dominowały w Medfordzie, niektórzy mówili, że jak spierające się kolosy, ale biskup Saldur wolał myśleć o nich jak o rodzicach, którzy patrzą z góry na miasto wypełnione dziećmi. Zamek, jak mąż, dbał o bezpieczeństwo ciała, podczas gdy matka Kościół pielęgnowała duszę. Katedra była starsza od zamku, poprzedzała królestwo Melengaru o całe wieki. Była to pozostałość epoki postimperialnej i widać było po niej jej wiek. Ciemne smugi plamiły kamień strzelistej dzwonnicy, czarne łyzy ronione przez tysiąc lat żałoby. Reszta świata zapomniała już o smutku. Zapomnieli o dniach imperialnej chwały, kiedy drogi były bezpieczne, woda czysta, a miasta takie jak Medford nie potrzebowały murów. Kościół jednak pamiętał. Kościół czekał.

Niemal tysiąc lat Kościół Nyphrona szukał zaginionego spadkobiercy ostatniego imperatora, który cudem przetrwał ostateczne unicestwienie. Ta jedna nadzieja zachowała wiarę przy życiu w niespokojnych czasach. Kurczowo trzymając się marzenia i wspomnień wielkości, Kościół zdołał skierować ludzkość z powrotem na właściwy kurs ku oświeconemu rozwojowi i z dala od samolubnych podziałów, które sprawiały, że każdy zbior z dostateczną liczbą mieczy mógł zasiąść na tronie.

To była długa podróż przez mroczne czasy, ale czekanie prawie dobiegło końca.

Biskup zatrzymał się, żeby spojrzeć na spadające krople deszczu na wspaniałej fasadzie katedry Mares z jej dwiema strzelistymi dzwonnicy, arcydzieła, które wyglądało tak nie na miejscu w małym mieście. Potem obejrzał się przez ramię na nadal tłące się ruiny zamku i poczuł ciężar mokrych szat na ramionach. Zawiódł, ale przynajmniej to zamek spłonął, a nie on sam. Ktokolwiek zabił Exetera, zdjął styczek z szyi biskupa.

– Koszmarny dzień – mruknął Olin.

Olin zawsze wygadywał podobne bzdury.

Saldur wszedł do kościoła i natychmiast ogarnął go spokój. Mroczne wnętrza z wyniosłymi marmurowymi kolumnami, migoczącymi świecami i gryzącym zapachem salifanowego kadzidła stanowiło inny

świat, miejsce, gdzie troski z zewnątrz były zmuszone poczekać.

Biskup stał i ociekał wodą, kiedy Olin zamykał drzwi.

– Co mogę zrobić? – spytał Olin.

– Biegnij do moich komnat, rozpal ogień i przygotuj kąpiel. I przynieś mi ręcznik do otarcia. Przemarzęłem do szpiku kości.

– Oczywiście. – Olin odszedł, szurając; wydawało się, że ten pulchny mężczyzna nigdy nie unosi stóp.

Chociaż wcześniej przemoczenie nie przeszkadzało biskupowi, teraz, kiedy wszedł do środka, stało się uciążliwe. Nie chciał się ruszyć i poczuć, jak przemoczone ubranie przykleja mu się do skóry. Zmusił się do kroku w stronę komnat i skrzywił się. Musiał przejść jeszcze kawałek, a potem będzie mógł zdjąć te brudy. Wysuszy się, zwinie w łóżku i zaśnie. To była długa noc.

Zrobił jeszcze jeden krok, kiedy usłyszał, że ktoś dobija się do drzwi.

Rozejrzał się i westchnął. Był sam we frontowej części kościoła. Pchnął drzwi i zobaczył jasnowłosego arystokratę, równie przemoczonego, który czekał na zewnątrz. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, tamten się uśmiechnął.

– Wasza Ekscelencjo! – Sprawiał wrażenie zachwyconego; nie do takiej reakcji biskup przywykł ostatnimi czasy. – Tak się cieszę, że Ekscelencję znalazłem.

– Nabożeństwa nie będzie, dopóki...

– Nie po to przyszedłem. – Mężczyzna zauważył kałużę wody, jaka zbierała się wokół biskupa w poza tym suchym przedsionku. – Tylko coś przyniosłem.

Podał sakiewkę.

– Jak miło z pana strony. – Saldur wziął sakiewkę rozczarowany jej skromną wagą. – Z pewnością nasz lord Novron pobłogosławi twoją szczodrość.

– Och, to nie moja szczodrość, Wasza Ekscelencjo. Właściwie nawet nie wiem czyja. Dopiero co jakiś mężczyzna, który się śpieszył, zatrzymał mnie na ulicy i poprosił, żebym to panu dał. Powiedział, że to ważne, a ja zawsze lubię przysłużyć się Kościołowi. Wykorzystam do tego każdą pomoc, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Wszyscy się staramy – odpowiedział biskup.

– Poza tym jestem ciekawy, co jest w tej sakiewce. Mężczyzna powiedział mi, żebym pod żadnym pozorem nie zaglądał, więc od razu zachciało mi się zajrzeć.

– I zajrzał pan?

Arystokrata pokręcił głową.

– Normalnie zrobiłbym to, ale...

– Ale co?

– Szczerze mówiąc, Wasza Ekscelencjo, byłem przestraszony. Tamten mężczyzna był, powiedzmy, onieśmielający. Miałem silne wrażenie, że może mnie obserwować. – Arystokrata się rozejrzał.

– Rozumiem. Cóż, wobec tego dziękuję.

– To ja dziękuję, Wasza Ekscelencjo.

Blondyn raz jeszcze się uśmiechnął, obrócił na obcasie i wyszedł na ulewę. Saldur wyjrzał na deszcz, ale nie wypatrzył nikogo, kto mógłby go obserwować. Zamknął drzwi.

W obawie przed dalszym zawracaniem głowy, gdyby ktoś jeszcze zastukał do drzwi, biskup zignorował przywierające do skóry mokre ubranie i ruszył korytarzem, zgrzytając zębami. Po drodze otworzył mieszek i wysypał zawartość na dłoń.

Przystanął.

Trzymał na dłoni odcięty palec.

Skrzywił się i upuścił go. Rozległ się metaliczny brzęk, kiedy uderzył o posadzkę i biskup zwrócił uwagę na pierścień. Złota oprawa była jarmarczna, wstawiono w nią jeden wielgachny rubin i dwa mniejsze po obu stronach. Nie można było z niczym pomylić złotorubinowej odznaki wysokiego urzędu królestwa Melengaru – to był pierścień lorda najwyższego konstabla.

Co się stało z Simonem Exeterem, nadal stanowiło zagadkę, ale Saldur nie miał ochoty w tym grzebać. Z pewnością Novron zabił Exetera, żeby uchronić przed klęską swojego sługę, biskupa. Najwyższy konstabl nie miał jeszcze dość dowodów, żeby go oskarżyć. Jednak jako podejrzliwy człowiek poskładał fragmenty układanki znacznie szybciej, niż Saldur przewidział. Zdumiony biskup spojrział na palec z pierścieniem.

Dlaczego ktoś przesyłałby mi odcięty palec lorda Exetera?

Przyjrzał się uważniej mieszkowi i znalazł kawałeczek pergaminu w środku. Drobny, zwartym charakterem pisma napisano tylko kilka zwięzłych słów.

*Dopilnuj, aby damy z Domu Medford zostały wypuszczone i by
zapewniono im bezpieczeństwo, a zapomnę o tobie.*

Rose

Saldur trzy razy przeczytał liścik i przy trzecim ręce mu drżały.

Ta mała wielkooka dziwka jednak rozpoznała mój głos! I nadal żyje!

Biskup odwrócił się i wrócił po swoich śladach, znowu otworzył szeroko drzwi na plac Szlachecki. Jasnowłosey arystokrata zniknął i nie było widać nikogo innego. W oddali, za zasłoną deszczu, dojrzał posąg Tolina Essendona. Ciało Exetera zdjęto, a ulewa zmyła krew, ale jedna lina – może za wysoko wisiała, żeby żołnierze bezpiecznie do niej dosięgli – nadal zwieszała się z szyi króla niczym stryczek.

Dlaczego Richard jej nie zabił? Może Hilfred był bystrzejszy, niż biskup myślał. Tylko głupiec zaufałby człowiekowi, który zdradza swojego króla. Pewnie zachował ją przy życiu, żeby zabezpieczyć się na wypadek kłopotów. Może nawet zamierzał go później szantażować. Trzeba było kazać Richardowi poderznąć jej gardło w lochu, ale biskup myślał, że najlepiej będzie, jeśli jej ciało zostanie odnalezione z dala od zamku, o ile w ogóle. Gdyby zginęła na zamku, dostarczyłaby Exeterowi kolejnego elementu do układanki, a biskupowi kolejnego problemu, przed którym musiałyby się bronić.

Po raz pierwszy Saldur był zmuszony rozważyć, kto zabił konstabla i dlaczego. Mówiono, że znaleziono na nim liścik, coś o tym, że skrzywdził jakieś kobiety.

Czy naprawdę to mogło być tak proste – kobiety wynajęły jakichś oprychów do ochrony? Czy nie słyszał, że w mieście doszło także do innych morderstw? Każda ofiara w jakiś sposób skrzywdziła kobiety z tego Domu Medford. Jak na ironię drobne sprawy prostytutek z najgorszej dzielnicy miasta sprawiły, że miał teraz nóż na gardle.

Saldur zawsze był zdumiony tym, jak niewielu ludzi potrafi dostrzec otwierające się przed nimi możliwości. Ta Rose wpędziła go w pułapkę. Mogła zażądać tylu rzeczy: pieniędzy, władzy, czegokolwiek właściwie. Jeśli zaaranżowanie uwolnienia i ochrony dla garstki dziwek wystarczy, żeby zakończyć tę sprawę, to Saldur z radością to załatwi.

Zapominając o ogniu, kąpieli i czekającym łóżku, Saldur odwrócił się i ruszył z powrotem do spalonego zamku. Musiał przekonać Jego Wysokość, żeby wypuścił dziewczyny, zanim Rose zacznie wytykać winnych.

* * *

Kiedy Albert wrócił do „Ohydneho Łba”, Royce czekał w otwartych drzwiach, wciągnął go do środka i szybko zatrzasnął drzwi. Albert próbował otrzeć deszcz z oczu przemoczoną rękawem.

– No i? – spytał Royce.

– Poszło dobrze – odpowiedział Albert. – Dostarczyłem woreczek biskupowi Saldurowi i widziałem, że wrócił na zamek. Mogę zapytać, co było w środku?

– Argument – odparł Royce.

– Zatem teraz zostałem zamieszany w... szantaż, oprócz morderstwa?

– Gwen i jej dziewczyny zostały aresztowane – powiedział Hadrian.

– Przykro mi to słyszeć, ale co to ma wspólnego z biskupem Saldurem?

– Royce obmyślił plan uratowania ich.

Otarłszy oczy, Albert zobaczył, że Hadrian siedzi przy jednym ze stołów z przewróconym kuflem przed sobą i kałużą na podłodze. Jego wielki miecz leżał oparty o stół i krzesło, pendent zwieszał się swobodnie. Royce krążył niepokojąco blisko Alberta. Żaden z nich nie wyglądał, jakby w ogóle spał.

– Myślałem trochę – zaczął wicehrabia – i uznałem, że nie jestem stworzony do takiego nikczemnego życia. Poza tym poważnie martwię

się, że królewska straż może szukać pewnego wicehrabiego, który przekazał wiadomość lordowi Exeterowi tuż przed wybuchem pożaru. Może nadszedł czas, żebym opuścił Medford.

– Nigdzie się nie wybierasz – orzekł Royce z przekonaniem, które sprawiło, że Albert uwierzył. – Potrzebuję, żebyś zbierał informacje.

– Doceniam waszą wiarę we mnie, ale... Proszę. – Albert podał im sakiewkę z monetami. – Oto dwadzieścia złotych tenentów za zlecenie, które załatwiłem wam podczas przyjęcia. Są wasze i zróbcie z nimi, co zechcecie. Osoba, która mnie wynajęła, nigdy mnie nie znajdzie tam, dokąd się udaję. Nie sędzę, żebym mógł jeszcze pokazać się w Melengarze, czy nawet w ogóle w Avrynie. Myślę o wyjeździe na południe, do Delgosu albo może Calisu.

– Nigdzie się nie wybierasz – powtórzył Royce, nie zwracając uwagi na sakiewkę.

– A jeśli mnie aresztują?

– Albercie – odezwał się Hadrian – przesadzasz. Nikt cię nie szuka. Poza tym teraz jesteś jednym z nas. Nie pozwolilibyśmy cię powiesić.

Powiesić mnie? Ta myśl go zmroziła.

– Chyba nie myślisz, że naprawdę... – Ależ oczywiście, że tak. Dlaczego inaczej miałyby to powiedzieć? – I jakbyście temu zapobiegli? Wy dwaj jesteście we wszystkim tacy niefrasobliwi! Nie chcę nikogo obrażać, ale zrozumcie, proszę, że jesteście tylko dwoma mężczyznami... A oni mają armię. Przepraszam, to wszystko jest... – Albert uniósł przemoczone ręce, rozbryzgując wodę z mankietów. Był zamroczony, zabrakło mu właściwych słów, żeby opisać ogrom tego absurdu. – Odchodzę.

Royce stał kilka stóp przed twarzą Alberta, odgradzając go od drzwi, a kiedy odezwał się, mówił ledwie szeptem.

– Ludzie króla mogą cię szukać. Jeśli tak, to mogą cię przesłuchać. Jeżeli koniecznie będą musieli znaleźć kozła ofiarnego, to mogą zdecydować się przypisać zbrodnię tobie. Jeśli jednak wyjdiesz tymi drzwiami, a Gwen w efekcie zostanie stracona... – Obliznął usta, świdrując go wzrokiem, nie mrugnawszy ani razu powieką. – Może powinienes zerknąć na miejską fontannę przy wyjeździe z miasta.

Albert nawet nie drgnął. Ledwie oddychał, a Royce obserwował go

jak kot, który ma nadzieję, że mysz rzuci się do ucieczki.

– Naprawdę przydałaby się nam twoja pomoc, Albercie – powiedział Hadrian głosem tak przyjaznym i zwyczajnym, że wicehrabia był już całkowicie skołowany. To byli bardzo dziwni ludzie. – Obiecuję ci, że będziemy cię pilnować. Jeśli cokolwiek się stanie, my tu będziemy.

Kiedy Albert odpowiedział, mówił cicho, z wahaniem i nieco bardziej piskliwym głosem niż zwykle, jakby każde słowo wyciągał z siebie siłą.

– Co chcecie, żebym zrobił?

– Dobry człowiek – pochwalił go Hadrian, poklepując w plecy i odciągając od Royce'a i drzwi. – Co chcesz, żeby zrobił, Royce?

– Niech dowie się wszystkiego, czego zdoła, na temat miejsca, w którym jest przetrzymywana Gwen z jej dziewczynami. Jeśli coś usłyszysz, cokolwiek, na temat planów egzekucji lub zwolnienia, wracaj do nas tak szybko, jak zdołasz w tych butach. Rozumiesz?

Wicehrabia pokiwał głową.

– W porządku.

– Jeśli mam rację, nie będziemy musieli nic robić.

– A jeśli się mylisz? – spytał Albert, nie do końca pewny, czy chce poznać odpowiedź.

– Wtedy Hadrian i ja będziemy musieli sami ją uwolnić. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Zgadzam się – potwierdził Hadrian.

Zamierzali ją uwolnić, uratować dziwkę uwięzioną przez króla Melengaru po zamordowaniu królowej. We dwóch. Dwaj zwykli złodzieje nonszalancko rzucali wyzwanie całej potędze rozwścieczonego monarchy. Albert pracował dla szaleńców. Za kogo oni się uważali?

* * *

Nie licząc plam od sadzy, popiołu i nadal kłębiącego się dymu, pokój wyglądał tak, jak Amrath go zostawił. Nic nie spłonęło, nawet dywan

czy zwierciadło w łabędziej oprawie. Ani łóżko, w którym znalazł pod przykryciami śpiącą Ann. Gdyby jakaś armia zdobyła mury, zrozumiałby jej śmierć, dosiadłby konia, uniósł topór i wyjechał w nawałnicę. Ale to? Jakiś niewidzialny potwór zakradł się do ich sypialni i udusił jego słodką Ann. Monstrum, którego smród nadal wyczuwał, którego zatruty oddech wdychał, kiedy leżał, obejmując żonę.

– Wasza Wysokość? – Tym razem to Valin pukał cicho do drzwi.

– Odejdź! Zostaw nas samych! – próbował ryknąć król, ale z poparzonego dymem gardła dobył się chrapliwy, zdarty głos.

– Ale Najjaśniejszy Panie, to niezdrowo...

– Odejdź!

– Pozwól mi tylko wejść...

– Przysięgam, że zatłukę na śmierć każdego, kto wejdzie do tego pokoju.

Król mocniej przytulił żonę. Gdyby dostatecznie mocno zamknął oczy, byłoby prawie tak, jakby nic się nie stało. Prawie jakby nie zostawił jej tej jedynej nocy w całym życiu, kiedy naprawdę go potrzebowała.

Niewiele już widział. Nie przestawał płakać, odkąd ją zobaczył, odkąd wszedł pełen niedowierzania, podbiegł i próbował ją obudzić. Wypędził ich wszystkich z sypialni, rzucał krzesłami, stołkami, stołami. Gdyby kogoś dopadł, rozerwałby go na strzępy. Zamienił się w prawdziwego niedźwiedzia, dzikie zwierzę, ranne i niebezpieczne.

Z trudem oddychał. W piersi czuł ból, jakby jego serce zostało zmiażdżone i rozerwane z żalości. W ciszy sypialni nawet absurdy go dręczyły.

Dlaczego powiedziałem, że to zależy od tego, czy jesteś gotowa pójść na przyjęcie?

– Oczywiście, że cię kocham, Ann. Zawsze cię kochałem i zawsze będę. Powiniennem był to powiedzieć. Byłem głupcem, strojąc sobie niemądre żarty.

Łzy płynęły mu z zamkniętych oczu, spływały po policzku na jej cudne włosy.

– Wasza Wysokość.

Tym razem Leo. Drzwi otworzyły się i Alric z Aristą wpadli do środka z mokrymi policzkami i czerwonymi oczami.

– Zabijesz własne dzieci?! – zawołał Leo.

Zanim zdołał wstać, podbiegły do łóżka.

– Ojczy? – Arista była pierwsza, przed Alrikim, który nie odrywał wzroku od matki.

– Nie powinniście... – Amrath znowu zakaszłał. – Nie powinniście tu być. Powinniście... – Złożył się wpół i zaczął wymiotować.

– Wyprowadźcie go! – rozkazał Leo. – Wyprowadźcie wszystkich z tego przeklętego dymu, bo naprawdę stracimy króla!

Rozdział 22

Powrót do domu

Król Amrath wyglądał przez strzaskane okno komnaty, która niegdyś była salą rady. Teraz była wypaloną, poczerniałą jaskinią cuchnącą dymem i śmiercią. Długie czarne łzy spływały, jakby nawet kamienne ściany płakały. Deszcz nie ustawał w opłakiwaniu strat, kiedy król wyglądał ze zgliszczy domu na miasto poniżej. Król już nie miał łez do przelania.

Nadal czuł ból w piersi, potworny ucisk, jakby ktoś wybił mu dziurę w żebrach i miażdżył serce. Reszta ciała była odrętwiała. Nadal z trudem oddychał. Leo najpewniej ocalił mu życie, przysyłając dzieci, ale król nie był pewien, czy „dziękuję” było tu stosowne ani też czy kłopoty z oddychaniem miały cokolwiek wspólnego z dymem.

Niemniej nadal był królem. Nadal miał obowiązki. Leo i Braga kierowali królestwem najlepiej, jak umieli, ale wciąż go potrzebowali.

Spotkanie zaczęło się od listy ofiar. Cudem tylko nieco ponad tuzin ludzi zginął w pożarze, głównie służba pracująca na wyższych piętrach – Drundiline, ulubiona pokojówka jego żony i Nora, piastunka jego dzieci. To była tragiczna strata, ale Amrath prawie jej nie dostrzegął. Nadal dziwił się, jak to możliwe, że sypialnia Ann zachowała się niemalże nietknięta przez ogień, a z sypialni Aristy została tylko poczerniona skorupa.

– Wasza Wysokość? – zapytał cicho Leo.

– Co? Przepraszam...

Leo uśmiechnął się smutno.

– Nieważne. Proszę kontynuować, kanclerzu.

Braga skinął głową.

– To Richard Hilfred podłożył ogień, ale rozkaz wydał Exeter.

– Próbowałem cię ostrzec, Wasza Wysokość – wtrącił Saldur.

Głos biskupa go irytował. Saldur zrzucał na niego winę za śmierć Ann, bo nie wysłuchał jego rady. W tych słowach było zbyt dużo prawdy, żeby nie znienawidzić kapłana za ich wypowiedzenie.

– Na ile na razie byłem w stanie określić – mówił Braga – lord Exeter spiskował, żeby przejąć tron. Podejrzewam, że mógł zamordować kanclerza Wainwrighta, mając nadzieję otrzymać jego urząd. Kiedy wyznaczyłeś mnie na to stanowisko, najwyraźniej postanowił przedsięwziąć dalsze kroki.

– A gdzie jest teraz Exeter?

– Nie żyje. Został zmasakrowany na placu Szlacheckim.

– Kto go zabił?

– Myślimy, że został zdradzony przez kogoś, z kim spiskował.

– Tak – potwierdził to Saldur. – Na to wygląda.

– Nie było tam listu? Coś o grupie kobiet, które ponoszą za to odpowiedzialność?

– Tak, jakieś głupoty sugerujące, że w sprawę zamieszany jest dom prostytutek – powiedział Saldur. – Ewidentnie żalosna próba odwrócenia uwagi.

– Muszę się zgodzić z biskupem, Wasza Wysokość – dodał Braga. – Nadal powadzę dochodzenie, ale wspomniane w liście kobiety nie wyglądają, żeby miały z tym cokolwiek wspólnego. Dom Medford to dosłownie garstka kobiet, które próbują przetrwać w rynsztoku. Właścicielka lokalu została niedawno pobita przez Exetera w czasie prowadzonego przez niego śledztwa. Wygląda na to, że stąd wziął się pomysł szarady, ale na tym się kończy. Prawdziwy zabójca próbował nas tylko zwieść na manowce.

– Jednak kobiety z Domu Medford zostały aresztowane? – upewnił się Leo.

Braga uniósł ręce i pokręcił głową, żeby okazać swoją frustrację.

– Szeryfowie to ludzie lorda Exetera i niektórzy rzeczywiście potrafią czytać. Trudno ich obwiniać. Kiedy znaleziono jego ciało, nie

wiadomo było jeszcze o jego zdradzie. Działali pośpiesznie, nie znając faktów ani nie wiedząc o winie najwyższego konstabla. Cieszę się tylko, że nikogo nie zabili. Już wydałem rozkaz uwolnienia kobiet.

– Myślę, że musimy uczynić coś więcej – wtrącił Saldur. – Te biedne dziewczyny zostały fatalnie potraktowane, i chociaż wiemy, że nie miały nic wspólnego z morderstwem, plotki już krążą. Ludzie myślą, że są odpowiedzialne za bezsensowną śmierć arystokraty i krewnego króla.

– I zabójcy mojej żony – przypomniał Amrath.

– Oczywiście, proszę o wybaczenie. Po prostu ludzie mogą być źli, myśląc, że ktoś o ich pozycji mógł dokonać czegoś podobnego i wyjść z tego obronną ręką.

– To może powinienem nadać im tytuł szlachecki? – zapytał król, nie do końca żartem.

Saldur uśmiechnął się zakłopotany.

– Myślę, że wystarczy oznajmić, że znajdują się pod ochroną króla.

– Moglibyśmy wydać edykt i poinstruować szeryfów, żeby wymusili jego respektowanie – zaproponował Braga. – Na ile się orientuję, zbrodnie przeciwko kobietom ich profesji często są lekceważone przez tych, którym powierzamy utrzymanie ładu w dzielnicy.

– Rób, co chcesz – powiedział kanclerzowi Amrath. – Naprawdę mam to w nosie. Co z Richardem Hilfredem?

– On też nie żyje, Wasza Królewska Mość, sam go zabiłem w noc pożaru – powiedział Braga.

– Dobra robota, kanclerzu! – wykrzyknął Leo i zaraz rozległy się szczerze oklaski zebranych.

Braga skłonił głowę z szacunkiem i pokorą, ale nie krył dumy. Amrath miał rację, wyznaczając szwagra na to stanowisko. Przynajmniej jeden członek rady zrobił coś właściwego tego wieczoru.

– Richard Hilfred... – mruknął król. – Uratował mi raz życie. Trudno w to uwierzyć.

– Dobrze znałem Richarda Hilfreda – odezwał się Saldur. – Często przychodził do mnie zwierzyć się z trosk. Richard był bardzo rozdartym człowiekiem.

– Nie waż się go usprawiedliwić! – Amrath szarpał brodę, aż go

zabolała.

– W żadnym razie, Najjaśniejszy Panie. Nigdy bym nie... Jednak jako jego biskup poznałem wiele jego osobistych trosk. Często wspominał o wielkim smutku z powodu śmierci Rose Reuben, o którą oskarżał ciebie, bo jej nie zapobiegłeś. Mimo wszystko nie podejrzewałbym, że posunie się tak daleko.

– Zatem Exeter i Hilfred nie żyją – powiedział Amrath. – Jednak to nie wyjaśnia śmierci królowej. Dlaczego nikt jej nie obudził? Dlaczego nikt nie próbował jej ratować? Jak to jest, że wszyscy stoicie przed mną bez jednego zadrapania czy poparzenia?

Z każdym słowem król przemawiał coraz głośniejsze, aż powrócił niedźwiedzi ryk i jego dłoń opadła na rękojeść miecza.

Zapadło przeciągające się milczenie.

– Wasza Wysokość – zaczął cicho Braga – próbowaliśmy.

– Jak trudno jest wbiec po paru schodach?

– Przed podpaleniem Richard Hilfred zamknął na łańcuch drzwi do części rezydencjalnej. Myślał, że znajdujesz się tam ty ze swoją rodziną. Zamierzał was zabić. Próbowałem... Proszę, uwierz mi, Wasza Wysokość. Po zabiciu Richarda Hilfreda, zrobiłem, co w mojej mocy, żeby otworzyć drzwi, ale na nic się zdały moje wysiłki. Kiedy pożar przybrał na sile, zostałem wyciągnięty z tego piekła przez dwóch strażników. Po prostu nic nie dało się zrobić.

Zamknął drzwi na łańcuch?

Rozmowy trwały, ale Amrath nie słyszał ani słowa. Zupełnie jakby spadał do studni bez dna. Myślał tylko o żonie i córce, uwięzionych w płonącym zamku, i wszystkich chwilach, kiedy mówił życzliwe słowo człowiekowi, który zamknął je, by zginęły. Ktoś napomknął o jego córce, co go przywołało z powrotem.

– Co takiego?

– Pytałem, jak to się stało, że Arista przeżyła – powtórzył Leo.

– To syn Richarda Hilfreda – odpowiedział Braga. – On wyniósł księżniczkę.

– Syn Hilfreda uratował moją córkę?

– Ale jak? – spytał Leo. – Skoro drzwi zamknięto na łańcuch, jak chłopiec dokonał tego, czego żaden z was nie mógł?

– Reuben Hilfred miał klucz – wyjaśnił Braga.

Zapadło milczenie i wszyscy zamyślili się nad tymi słowami.

– Najpewniej syn knuł razem z ojcem – powiedział Saldur.

– On także zginął w pożarze? – spytał Amrath.

– Uciekł, ale odniósł poważne poparzenia i zaniecono go do uzdrowiciela – odpowiedział Braga. – Może minąć wiele dni, zanim dowiemy się, co naprawdę się stało. Jest nieprzytomny i pod strażą.

– Skoro jednak spiskował z ojcem, to czemu uratował Aristę? – zapytał Amrath.

– Nie wiemy.

– Moim zdaniem należy go stracić – orzekł Saldur. – Widziałem to wiele razy, trucizna ojca zatruwa syna. Najpewniej poczucie winy zmusiło chłopca do działania i tylko strach przed sądem Novrona kazał mu ratować księżniczkę. Co za tragedia. – Saldur pokręcił głową.

– Gdybyś tylko posłuchał mnie, Najjaśniejszy Panie, królowa mogłaby nadal żyć.

Znowu oskarżenie, że to wszystko jego wina.

Amrath wyciągnął z pochwy potężny miecz Tolina Essendona. Wielka klinga wyszła lekko, a król nie pragnął niczego innego, jak tylko ściąć głowę biskupowi.

Podszedł, unosząc ostrze i patrząc, jak oczy biskupa robią się wielkie z przerażenia, gdy cofał się pomalutku. Zaraz potem lśniąca broń Leo odsunęła na bok klingę króla.

– Amrath... Nie to miał na myśli.

Król gotował się ze złości, jego pierś unosiła się i opadała przy każdym oddechu, kiedy z sykiem wypuszczał przez zęby powietrze. Patrzył na Saldura, który cofnął się i potknął się o poczerńiałe belki. Deszcz zbryzgał mu starą twarz. Ten upadek uratował biskupowi życie.

– Śmiało, Saulu, raz jeszcze powiedz, że to moja wina! – To nie było warczenie niedźwiedzia, to był ryk. – Przetnę cię na pół i rozwieszę na placu, żeby kmiotkowie mieli nowego trupa do oglądania!

– Wybacz mi, Wasza Wysokość, ja tylko...

– Zamknij się, biskupie – odezwał się Leo, nadal blokując potężny miecz Tolina smukłym rapierem. – Jeśli chcesz żyć i wziąć kolejny

wdech, zamilcz i wyjdź.

Saldur wstał, zaskakująco szybko jak na swój wiek, i opuścił spalony pokój.

Leo schował broń, a ogromna klinga Essendona opadła, aż czubek oparł się o podłogę. W nagłym napadzie gniewu Amrath uniósł ją znowu i z wrzaskiem przeciął jedną z lepiej zachowanych dębowych belek, którą ogień pożarł tylko w części. Potężne ostrze zadzwoniło, przecinając drewno na pół. Król uderzał raz za razem w ślepej furii, rąbiąc drewno, aż Leo i Braga cofnęli się. Po kilku minutach atak skończył się i Amrath stanął zadyszany, zlany potem i deszczem. Opuścił miecz, padł na kolana i schował twarz.

– Powinienem tu być.

– Zginąłbyś razem z nią – powiedział Leo cicho jak szmer kropli deszczu.

– Powinienem być. To byłoby lepsze od tego.

– Kraj potrzebuje króla.

– Pieprzyć kraj. Mój syn będzie rządził.

– Twoje dzieci są za młode.

– Więc rządziłby Percy, aż osiągnęłyby pełnoletność, a ja... Ja nie musiałbym się tak czuć. – Spojrzał na Bragę. – Nie wiem, jak to przetrwałeś. Jak znalazłeś wolę, żeby oddychać po śmierci Clare?

– Po prostu znalazłem.

Amrath skinął głową.

– Łączy nas wiele wspólnego.

– Jestem tu, by ci służyć, Najjaśniejszy Panie. Pomogę ci we wszystkim.

* * *

Deszcz nie ustawał.

Royce bez słowa zakradł się z powrotem do „Ohydneho Łba” i stanął przy oknie przemoczony. Wprost ociekał wodą. Przez całą noc wychodził i wracał. Hadrian nie miał pojęcia, dokąd się wymykał. Może odwiedził zamek, próbując odnaleźć Gwen, może sprawdzał, co

u Alberta, a może po prostu sfrustrowany krążył po ulicach.

Na zewnątrz na ulicy Przewrotnej lało. Hadrian nie wiedział, czemu nazywano to miejsce ulicą. Nawet przy dobrej pogodzie bita droga była zaledwie ścieżką między szopami, a w tej chwili zamieniła się w jezioro.

Hadrian ani razu nie wyszedł z karczmy. Przy czterech antałkach za barem normalnie spędziłby całą noc, pijąc, a rano, śpiąc, ale nie wypił ani kropli, odkąd Royce przewrócił mu kufel. Nie powiedział ani słowa, ale wiedział, że plan przyjaciela nie wypali. Chociaż warto było spróbować. Jednakże jakie mieli szanse, że Maribor uśmiechnie się do nich? W przeszłości bogowie zawsze żądali krwi.

Było przedpołudnie i Royce zaczął krążyć, zostawiając kałuże deszczówki na i bez tego brudnej podłodze, kiedy Hadrian zobaczył Alberta. Wicehrabia biegł i Hadrian podejrzewał, że z powodu ulewy.

Nadeszła ta chwila. Bitwy zawsze zaczynają się wcześniej.

Hadrian zmarszczył czoło i przerzucił wielki miecz przez plecy, wołając:

– Idzie!

Royce zatrzymał się i odwrócił z napiętą twarzą.

Albert otworzył drzwi zdyszany i uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Udało się!

– Szczegóły! – warknął Royce.

– Heraldowie wyszli do miasta i ogłoszono edykt. Zamek ogłosił, że kobiety z Domu Medford zostały oczyszczone z wszelkich zarzutów i znajdują się teraz pod oficjalną ochroną korony. Kanclerz Percy Braga osobiście podpisał proklamację. Nie wiem, jak tego dokonałeś ani co zrobiłeś, ale to podziałało!

– Gdzie są?

Albert wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że właśnie są wypuszczane. Powiedziałeś, żeby przybiec prosto tutaj, kiedy tylko coś usłyszę.

Po raz pierwszy, odkąd Albert wyszedł z palcem lorda Exetera, Royce wreszcie usiadł. Przesunął dłońmi po twarzy. Hadrian zauważył, że drżą.

Poszedł za bar, wyciągnął butelkę rumu, butelkę wina i dwa

kieliszki. Dolał sobie świeży kufel piwa, po czym przysiadł się do Royce'a i Alberta.

– Przykro mi, że to nie montemorcey – powiedział, wyciągając korek z butelki.

Podsunał Albertowi rum.

– Na pewno? – zapytał wicehrabia, patrząc na Royce'a.

– Za Gwen! – Hadrian uniósł kufel.

– Nie mogę się z tym spierać – odparł Royce i skinął głową do Alberta, nalewając sobie wina.

– Za Gwen! – powtórzyli toast Royce i Albert, stukając się kieliszkami.

Royce wypił i odstawił kieliszek. Uśmiechając się, powiedział:

– Rety.

– Grue miał dobre wino? Naprawdę?

– Co? – Royce podniósł wzrok ze zdziwieniem. – O... Nie. Jestem zdumiony, że plan zadziałał. Nigdy... Znaczy, to po prostu było za łatwe, wiesz? Może powinniśmy częściej próbować takich rzeczy.

– Zawsze jestem za tym, co wymaga mniejszego rozlewu krwi.

Royce skinął głową, napił się znowu i skrzywił.

– Do diabła... Fakt, ten sikacz jest ohydny.

– Stąd nazwa lokalu.

Royce wstał od stołu, jakby potrzebował oddalić się od wina. Podszedł do okna, żeby wyjrzeć na ulicę.

– Widzisz je? – spytał Hadrian.

– Jeszcze nie.

– Nie martwiłbym się. Ulice są zalane, ciężko chodzi się w kieckach – zauważył Albert.

Hadrian wstał.

– Kto jest głodny?

– Od czasów stodoły wątpię, żebym kiedykolwiek odrzucił propozycję posiłku – odparł Albert, nalewając sobie drugi kieliszek rumu.

– Zobaczmy, co Grue ma w spiżarni.

Hadrian przeszukał półki.

Grue może i nie serwował posiłków, ale z pewnością miał mnóstwo

jedzenia. Hadrian znalazł trochę czerstwego chleba, kilka worków mąki, napełniony czymś kociołek. Zauważył kawał wędzonej szynki na desce do krojenia i pół krążka zalanego woskiem sera. Wziął je.

Wrócił do stołu i podał jedzenie.

Royce został przy oknie, nie odrywając oczu od ulicy.

– Albert, jeśli nadal chcesz odejść, nie będę cię zatrzymywał. Gwen jest bezpieczna i tylko o to mi chodziło.

– Cóż, teraz sam nie wiem. Nadstawiałem ucha na wieści w każdym zajeździe i karczmie w Dzielnicy Szlacheckiej i Kupieckiej tego ranka i najwyraźniej nikt nie pamięta mnie z przyjęcia. Albo nikogo nie obchodzi. To niemalże przygnębiające, jak się nad tym zastanowić. Jestem praktycznie niewidzialny. Chyba mam ten rodzaj twarzy albo osobowości. W gruncie rzeczy to wiele wyjaśnia. Nikt mnie nigdy nie zauważa. W świecie siły i wpływów to kłopot, ale w przypadku przedstawiciela dwójki złodziei, czy może istnieje lepszy talent? Poza tym muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Nie, zapomnij, jestem zdumiony. Myślałem, że sprzymierzyłem się z szaleńcami, ale wam się udało. Zabiliście ważnego arystokratę, uratowaliście dziewczyny przed lochami i nikt nawet nie wie, że to wy.

– My – poprawił go Royce.

– Jasne. – Albert się uśmiechnął. – Chyba chętnie zostanę i zobaczę, dokąd to poprowadzi. Poza tym załatwiłem wam zlecenie. Szkoda byłoby rozczarować klientkę.

Podał Royce'owi sakiewkę ze złotem, a on zaczął liczyć monety.

– Dla kogo to robota? – zapytał Hadrian.

Albert zebrał mokre włosy z powrotem w kucyk i wyjaśnił:

– Dla miłej damy szantażowanej przez pokojówkę i złego barona, który zmusza ją do zdradzenia męża.

– To mi się podoba.

– Dwadzieścia pięć? – Royce podniósł wzrok.

– Połowa teraz, połowa po robocie.

Hadrian zaniepokoił się, ale Royce pierwszy zapytał:

– A co chce, żebyśmy zrobili za pięćdziesiąt tenentów?

– Ukradli kolczyk.

– Kolczyk? – Royce nie ukrywał sceptycyzmu. – Strzegą go demony

czy co?

Albert pokręcił głową.

– Podejrzewam, że w ogóle nie jest strzeżony. Najpewniej leży w szkatułce z biżuterią barona McMannisa.

– Pięćdziesiąt sztuk złota za zwrot kolczyka? – mruknął z niedowierzaniem Royce. – Ile te kolczyki są warte?

– Och, podejrzewam, że nie są aż tyle warte. Stary Hubert nie słynie z hojności, nawet wobec własnej żony – wyjaśnił Albert. – Pieniądze dostajecie za uratowanie dobrego imienia kobiety, które jest warte o wiele więcej niż para dowolnych kolczyków.

Hadrian wypchnął dolną wargę w zamyśleniu.

– Ta cała zabawa z arystokratami może wypalić.

A potem spojrzał na przyjaciela i dodał:

– Jesteś moim dłużnikiem.

Royce się skrzywił.

– Wiem, wiem. Później to załatwimy.

– Jest twoim dłużnikiem? – spytał Albert.

– Kiedy poszedłeś na zamek w noc przyjęcia, Royce powiedział, że uciekniesz. Znikniesz w nowym ubraniu. – Hadrian zawiązał sakiewkę. – Co ponownie dowodzi, że ludzie są zasadniczo dobrzy.

– Nie, nieprawda – odpowiedział Royce z przekonaniem hazardzisty. – Albert wrócił, ponieważ nie chciał, żeby przytrafiło mu się to samo co Exeterowi, prawda?

Albert zgarbił się i pokiwał głową.

Hadrian uniósł palec.

– Powiedziałeś także, że nie przyzna się, jeśli zdobędzie jakieś pieniądze, a on od razu je oddał. Nie musiałeś nawet pytać.

Royce skrzyżował ręce na piersi.

– Albercie? Za pierwszym razem, kiedy dałeś mi sakiewkę, powiedziałeś, że jest tam dwadzieścia złotych tenentów. Jak myślisz, jaka magia sprawiła, że teraz jest ich dwadzieścia pięć?

Wicehrabia uśmiechnął się zakłopotany.

– Zapamiętałeś to sobie, co?

– Albercie? – Hadrian zmarszczył czoło i westchnął.

– To tylko pięć tenentów, a tym razem oddałem wam całość. To się

chyba liczy, nie? – Na jego twarzy malowało się przerażenie. – Spodziewałem się... Spodziewałem się, że będę ich potrzebował, no wiecie, na ucieczkę.

Royce się uśmiechnął.

– Widzisz, zawsze można liczyć, że ludzie zrobią to, co dla nich najlepsze.

– Jak ja zrobiłem? – spytał Hadrian.

Uśmiech Royce'a zgasł.

– Ty jesteś wybrykiem natury albo największym głupcem świata. Nadal nie mogę się zdecydować.

Albert ich obserwował.

– Przepraszam, że skłamałem. To się nigdy więcej nie powtórzy. Nie zabijaj mnie, proszę.

Powiedział to ledwie szeptem, ale Royce wszystko słyszał.

Złodziej omal się nie roześmiał.

– Zamierzałeś tylko ukraść swoją część naszego pierwszego zysku. To zaś znaczy, że teraz oficjalnie jesteś jednym z nas.

– To jest kim dokładnie?

Royce i Hadrian spojrzeli po sobie i unieśli brwi.

– Pewnie w którymś momencie w końcu to ustalimy.

Albert radośnie odwrócił się do jedzenia na stole.

– Właśnie odkryłem, że umieram z głodu. Mamy jakieś korniszony?

– Korniszony? – Hadrian zamarł zaskoczony słowem i wspomnieniem, jakie wywołało.

– Tak, takie małe ogórki, kwaskowe.

– Nie... Nie wiem. Idź i sam sprawdź.

Albert spojrzał zdumiony.

Zanim cokolwiek jeszcze powiedziano, Royce przebiegł obok nich i wypadł przez frontowe drzwi karczmy.

Hadrian i Albert wyszli za nim na deszcz, który chyba wreszcie ustawał. Hadrian zobaczył gromadę kobiet idącą ulicą. Wróciły wszystkie z wyjątkiem Rose. Wszystkie tłoczyły się wokół Gwen, pomagały jej iść. Jak stadko kaczek rozpierzchnęły się, kiedy nadbiegł Royce. Złapał Gwen, uniósł ją w objęciach i delikatnie nią zakręcił. Wziął ją na ręce i zaniósł do Domu Medford. Dziewczęcy śmiech

rozległ się wśród szumu deszczu.

Rozdział 23

Hilfred

Reuben obudził się w oślepiającym słońcu wlewającym się przez okno i w pierwszej chwili pomyślał, że nie żyje. Jasność światła, sposób, w jaki dzieliło się na wyraźne snopy padające pod kątem na łóżko, miały w sobie coś mistycznego. Wszystko było tak jasne, że musiał zmrużyć oczy, żeby zogniskować wzrok. Z sufitu nad nim zwieszały się najróżniejsze rośliny. Suche i kruche. Większość wyglądała jak kwiaty, pospolite, które rosną na polach, a nawet pod murami na zamkowym dziedzińcu. Reuben nie znał połowy z nich, ale rozpoznał tymianek, kapryfolium, pierwiosnek, których sporo rosło w okolicy stajni, podobnie jak starca jakubka i lnicę, które kwitły w szczelinach murów zamkowych. Słyszał głosy, mnóstwo głosów i odległe odgłosy kół i kopyt. W drugiej chwili pomyślał, że nie jest martwy, bo nie wierzył, żeby po śmierci było tyle bólu, a Reuben potwornie cierpiał. Gardło paliło go, jakby przełknął płynny ołów, a pierś miał zaciśniętą i obolałą, jakby spoczywał na niej granitowy blok.

Chciał odetchnąć i natychmiast złożył się wpół szarpany kaszlem i odruchem wymiotnym. Gwałtowny ruch sprawił, że otarł się skórą o płótno. Wyglądało na miękkie jak królicze futerko, ale drapało jak miliony igieł. Głowa go bolała, miał mdłości i czuł tylko zapach dymu. Położył się, zdając sobie sprawę, że znajduje się w jakimś łóżku. Nigdy dotąd nie leżał na materacu. Zawsze uważał, że wyglądają ładnie, ale w tej chwili równie dobrze mógłby leżeć na stole do tortur, zwłaszcza że nawet oddychanie stanowiło mękę. Nawet mruganie powiekami

bolało.

Rzeczywiście żył. Nie był tylko pewien, czy chce żyć.

Podeszła do niego kobieta i przyjrzała mu się.

– Obudziłeś się. To dobrze.

Widział ją pierwszy raz w życiu. Miała siwe, niemalże białe włosy i siateczkę pajęczych nitek wokół oczu. Była stara i przyjazna.

– Podejrzewam, że wolałbyś dalej spać. Powiem ci jednak, że ci, którzy śpią dalej... Cóż, nigdy się nie budzą. Kiedy przyniesiono cié różowiotkiego jak pieczone prosię, myślałam, że najlepsze, co można dla ciebie zrobić, to wziąć miarę na trumnę. Powiedzieli: „jest młody i silny”, ale ja nie byłam przekonana. Widziałam wielu młodych i silnych zamykanych w trumnach, a wielu z nich wyglądało lepiej od ciebie. Mimo to zachowałeś włosy, a to już coś.

Zmierzyła mu czuprynę, ale kiedy się skrzywił, zabrała rękę.

– Pewnie wszystko cię boli. Tak to jest z poparzeniami, ale lepiej czuć ból niż nic nie czuć. Ten ból jest dobry. Znaczy, że ciało nadal żyje. Gdybyś nie czuł nic, możliwe, że nigdy już byś niczego nie poczuł. Wiem, że teraz tak nie myślisz, ale jeszcze będziesz się cieszył z tego cierpienia.

– Wody? – wychrypiał łamiącym się, cieniutkim głosem.

Uniosła brwi.

– Wody, co? Myślisz, że jesteś gotowy? Może powinieneś zostać przy słabym winie?

– Poproszę wody.

Wzruszyła ramionami, podeszła do misy i naląa mu mały kubeczek. Reuben miał wrażenie, że wypiłby całe jezioro, ale po dwóch łykach przechylił się na łóżku i zaczął wymiotować.

– A co ci mówiłam?

Cały dygotał. Może cały czas się trząsł, a dopiero teraz to zauważył. Nigdy nie czuł się równie potwornie. Chciał wrzasnąć, ale za bardzo obawiał się bólu. Lepsza byłaby śmierć. Ból był przytłaczający i ogarnęła go panika, jakby tonął, zanurzył się w cierpieniu. Myśl o przetrwaniu choćby godziny w tym stanie była koszmarem, gorzej jednak, że wiedział, że cierpienie będzie trwało. Pamiętał, jak sparzył się o czajnik i jak długo poparzenie się goiło.

Co z niego zostało? Owinęli go cieniutkim płótnem. Domyślał się, że jest nagi. Może jego ubrania spłonęły. Co zostało mu z ciała? Bał się spojrzeć, przerażony tym, co mógłby zobaczyć. Dłonie i ręce miał czerwone i poparzone, bezwłose, ale poza tym wyglądały dobrze. Jak po fatalnym poparzeniu słonecznym, parę pęcherzy. Zazgrzytał zębami. To było niesprawiedliwe, że nawet płacz bolał.

A potem myśl niedotycząca jego samego zapukała do strzaskanego umysłu.

– Księżniczka... – powiedział chrapliwym szeptem. – Nic jej nie jest?

Pielęgniarka rzuciła mu zdziwione spojrzenie, a potem uśmiechnęła się szeroko.

– Powiedziano mi, że księżniczka ma się dobrze.

Osunął się na poduszki. Może mu się wydawało, ale miał wrażenie, że ból nieco zmałał.

Znajdował się w małym pokoju. Wiejski styl, drewno i kamień zdradzały, że nie jest to zamek ani żaden z budynków przy dziedzińcu. To było nowe miejsce. Może jakaś mała chata albo warsztat. Przez okno wpadały hałasy uliczne. Musiał więc znajdować się w mieście.

– Co się stało? – zapytał.

– Nie wiem. Nie było mnie tam, ale według plotek wbiegłeś wczoraj do płonącego pałacu.

– Wyniosłem księżniczkę, a potem wróciłem po królową. Nie zdołałem do niej dotrzeć.

– To wszystko?

Skinął głową niemal niezauważalnie. Nie zabolalo go bardziej. To go zaskoczyło.

– Większość ludzi mówi, że szukałeś śmierci, że chciałeś umrzeć, bo... – Odwróciła się do misy i zdjęła ręcznik z wieszaka.

– Bo co?

Obejrzała się na niego przez ramię.

– Nie sędzę, żeby to była prawda. Nie mogę sobie tego wyobrazić, zwłaszcza kiedy tak pytasz o księżniczkę. Wiesz, co myślę? – Pielęgniarka namoczyła ręcznik w misie, wyżyła i odwróciła się do Reubena. – Nazywam się Dorothy, nawiasem mówiąc. Jestem

akuszerką. Przynieśli cię do mnie zamiast do prawdziwego doktora, bo znam się na poparzeniach. Doktorzy tylko przystawiają pijawki, a ty tego nie potrzebujesz. – Zamilkła, zaciskając usta w zamyśleniu, rozważając coś. – Tak... Myślę, że jesteś bardzo odważnym mężczyzną, Reubenie Hilfredzie. – Złożyła wilgotny ręcznik. – Myślę, że wszyscy się mylą. To, co właśnie powiedziałeś, ma znacznie więcej sensu, przynajmniej dla mnie. Moim zdaniem... Cóż, to zwyczajnie szlachetne z twojej strony, że leżąc tutaj, pytasz o księżniczkę.

– Nie jestem szlachetnie urodzony.

– Nie jesteś szlachetny z urodzenia, lecz z pewnością z serca i jeśli chcesz znać moje zdanie, to najbardziej się liczy.

– Jeśli zapytasz kogokolwiek innego, powie ci coś zupełnie innego. Ludzie zabijają się dla tytułów.

– Możliwe, ale ilu ludzi zginęłoby za nich? Ilu rzuciłoby się w ogień? Nie sądzę, żeby chciwość wymagała szczególnej odwagi. – Położyła ręcznik na jego czole. Przez chwilę piekło, ale potem dotyk stał się chłodny, kojący. – Nic ci nie będzie. Wiem, że masz wątpliwości, ale widziałam już takie przypadki. Wiem, jak bardzo boli, ale masz szczęście.

– Co wszyscy o mnie mówią?

Zawahała się.

– Powiedz mi, chyba nie może już być gorzej, niż jest.

– Nie jestem tego pewna, Reubenie. Wszyscy mówią, że ty i ojciec podłożyliście ogień.

* * *

Reuben nie zdawał sobie sprawy, że zasnął, dopóki nie obudziło go głośne pukanie do drzwi Dorothy. Natychmiast powitał go ból. Namacalna, przytłaczająca ściana bólu, która wyrwała go ze snu i sprawiła, że znienawidził tego, kto pukał.

– Przepraszam – powiedziała Dorothy, przechodząc obok jego łóżka.

– Nikogo się nie spodziewam. Może znaleziono jeszcze jednego biedaka, który potrzebuje mojej pomocy, a nie doktora.

Zniknęła mu z oczu za ceglanym kominem, który przechodził przez środek dachu. Zgrubna ceglana kolumna odprowadzała dym z paleniska kuchennego, które otwierało się na dwie strony i było zdobione garnkami i poczerniałymi utensyliami. Patelnie, wiaderka, kubki i misy zwisały z niskich belek sufitowych, a nad łukiem, który dzielił pomieszczenia, gdzie ktoś inny mógłby umieścić miecz albo herb, Dorothy powiesiła starą szczotkę. Dom składał się tylko z trzech pomieszczeń: kuchni, małego pokoiku za drewnianymi drzwiami, gdzie, jak podejrzewał, Dorothy spała, i pokoju, w którym sam leżał. Zauważył półki z glinianymi naczyniami oznaczonymi kolejnymi nazwami kwiatów oraz innymi, bardziej niepokojącymi etykietkami jak „szczurze łapy” i „królicze uszy”.

Reuben usłyszał, że drzwi się otwierają.

– Wasza Ekscelencjo? – Dorothy sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Obudził się?

– Spał. Chłopak bardzo cierpi. Potrzebuje...

– Ale odzyskał przytomność, odkąd go przyniesiono?

– Tak, Wasza Ekscelencjo.

Buty zaszurały na drewnianej podłodze i drzwi się zamknęły. Stary człowiek, biskup, który stał przy pożarze, pojawił się pod łukiem. Jego bordowo-czarne szaty stanowiły barwną plamę na tle nijakich ścian, jak kaczką krzyżówka na szarym stawie.

Dlaczego biskup mnie odwiedza? Myśli, że musi udzielić ostatniego namaszczenia? Nie, wtedy zjawiłby się kapłan, nie sam biskup.

– Jak się czujesz, synu?

– Dobrze – ostrożnie odpowiedział Reuben.

Ból go rozpraszał, utrudniając myślenie. Im mniej mówił, tym lepiej.

Biskup sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Dobrze? Prawie spaliłeś się na śmierć, mój chłopcze. Cierpisz?

– Tak.

Biskup czekał, spodziewając się czegoś więcej, potem zmarszczył czoło.

– Musimy porozmawiać... Reuben, zgadza się?

– Tak.

– Co pamiętasz z nocy pożaru?

– Uratowałem księżniczkę.

– Czyżby? A wcześniej? Braga powiedział, że zastał ciebie i twojego ojca razem. Zgadza się?

– Tak, próbowałem go powstrzymać.

Biskup zacisnął usta i odchylił głowę do tyłu, patrząc na niego z góry.

– Tak mówisz, ale równie dobrze mógłbyś mu pomagać.

– Nie, walczyłem z nim.

– Znowu, to ty tak mówisz.

Starzec nie patrzył na niego, ale wpatrywał się w sufit. Reuben spojrział w to samo miejsce. Biskup miał na niego taki wpływ – Reuben czuł, że powinien patrzeć w to samo miejsce, co on. Może następne pytanie będzie dotyczyć suszonych ziół.

Biskup przysunął sobie obrotowy drewniany stołek do łóżka i usiadł.

– Coś jest nie tak? – zapytała Dorothy, wyglądając zza komina.

Reuben domyślał się, że rozmawiali za cicho, żeby słyszała z kuchni, albo przeciwnie: słyszała wszystko i zwyczajnie nie podobał jej się przebieg rozmowy. Z tonu jej głosu wnioskował, że chodzi o to drugie, i wtedy zdał sobie sprawę z tego, że ją lubi.

– Zostaw nas, proszę – warknął biskup.

Biskupa zaś nie lubił. Nie podobało mu się, jak próbował go powstrzymać przed uratowaniem księżniczki, i nie podbił jego serca szorstkim zachowaniem wobec Dorothy. Jednakże czuł się zbyt słabo, żeby żywić cokolwiek choćby zbliżonego do gniewu, a stary biskup nie wyglądał dużo lepiej. Pod oczami miał ciemne worki, twarz ściągniętą i znękaną, jakby nie spał od tygodnia.

Biskup położył rękę na kolanie Hilfreda, pochylając się.

– Reubenie, nie mogę ci pomóc, o ile nie powiesz mi wszystkiego. Co dokładnie powiedział ci ojciec? – Pochylił się jeszcze mocniej. Wpatrywał się w niego z napiętą twarzą. – Wspomniał, z kim pracuje?

Reuben się zastanowił. Zamknął oczy. Wpatrujący się w niego biskup nie pomagał mu cokolwiek sobie przypomnieć. Było mu trochę niedobrze, a skóra paliła go, jakby nadal płonęła, podczas gdy poza

tym było mu dziwnie zimno. Dolegliwości sprawiły, że nawet skupienie się na wydarzeniach poprzedniej nocy było wyzwaniem.

Pokręcił głową.

– Ale myślę, że obiecano mu coś za podłożenie ognia. Miałem wrażenie, że ojciec był zły na króla. Zły z powodu śmierci mojej matki. Powiedział, że ktoś go przekonał, że ojciec może jeszcze wszystko naprawić.

– I jak zamierzał tego dokonać?

– Nie wiem.

– Na pewno? To bardzo ważne, Reubenie. Musisz mieć całkowitą pewność.

– Nigdy nie wspomniał o niczym innym.

Biskup wyprostował się i westchnął głęboko.

– Zatem walczyłeś z własnym ojcem, żeby ocalić rodzinę królewską?

– Tak.

– Wielu ludziom trudno w to uwierzyć. Królowa zginęła w pożarze, a król oszalał z rozpaczy. Chce kogoś ukarać. Omal mnie nie zabił parę dni temu podczas spotkania rady, kiedy stanąłem w twojej obronie.

– W mojej obronie?

– Tak. Powiedziałem mu, że jesteś bohaterem, bo ocaliłeś jego córkę. Powiedziałem mu, że wbiegłeś do zamku, kiedy inni odmówili.

– I?

– Rzucił się na mnie z mieczem. Gdyby nie hrabia Pickering, już bym nie żył. Słyszysz nazwisko Hilfred i traci rozum. Twój ojciec zabił jego żonę, a ty dźwigasz winę z racji związków krwi. To stare prawo. Bliscy krewni bywali skazywani na śmierć za zbrodnie tak wielkie jak zdrada stanu.

– Dlaczego?

– Bo uważa się, że do czego jest zdolny mężczyzna, do tego jest zdolny także jego syn lub brat.

– Przecież to nie ma sensu. Ja ją uratowałem. I wróciłem po królową. Omal nie umarłem.

– Wiem. Wierzę ci. Byłem tam i chcę ci pomóc, ale musisz mi w tym pomóc.

- Jak?
 - Zastanów się dobrze. Jesteś całkowicie pewien, że ojciec nigdy nie wspomniał, kto jeszcze brał udział w spisku przeciwko rodzinie królewskiej? Kto miał mu pomóc wszystko naprawić?
 - Naprawdę nie mam pojęcia.
 - Jesteś całkowicie pewien?
 - Tak.
 - Dobrze więc.
 - Wierzy mi pan, prawda?
 - Tak, wierzę, ale czy król uwierzy? A co ważniejsze, czy zechce?
 - Co pan mówi?
- Starzec położył rękę na dłoni Reubena, który aż się skrzywił.
- Ktoś musi zapłacić za śmierć królowej, a ty nosisz nazwisko Hilfred.

* * *

Reubena dręczyły koszmary przerywane krótkimi atakami potwornie bolesnych chwil przytomności. Odpływał i powracał, aż odkrył, że nie bardzo potrafi odróżniać rzeczywistość od snu. Jedyłą stałą był ból. W snach zawsze umierał, powoli spalał się na śmierć. W jednym Ellison i Trzy Zmory przywiązali go jak świniaka do różna i powoli przypiekali. Szydźli i śmiali się, podczas gdy jego skóra pękała i skwierczała. W innym został uwięziony w pokoju Aristy, nie mogąc do niej dojść, i razem spłonęli, najpierw ona, potem on. Krzyczał do księżniczki, żeby się obudziła, żeby uciekała, ale miał za słaby, zdławiony dymem głos, więc nie usłyszała.

Dorothy zawsze była przy nim, kiedy się budził. W maleńkim domku pewnie słyszała jego koszmary, ale zaczynał podejrzewać, że zwykle czuwa przy jego łóżku. Za każdym razem gdy otwierał oczy, widział jej spojrzenie i współczujący uśmiech.

Rankiem trzeciego dnia po tym, jak odzyskał przytomność, poczuł się lepiej. W żadnym wypadku dobrze, ale znajdował się gdzieś pomiędzy nieznośnym a straszliwym bólem, co stanowiło znaczącą

poprawę. Był w stanie pić i nie zwymiotować, a Dorothy zdołała nałożyć kojący krem na jego skórę, nie musząc słuchać jego wrzasku.

W południe wyczuł zapach zupy lub potrawy i złapał się na tym, że jest głodny. Zanim nadszedł czas posiłku, usłyszał łoskot kół powozu, a potem krzyki. Głosy na zewnątrz były ostre i nieprzyjemne.

– Przejście dla króla!

Reuben usłyszał wtedy, że Dorothy upuściła rondel. Miał nadzieję, że to nie była zupa.

– Otworzyć w imieniu Jego Wysokości króla Amratha!

Drzwi nie zaskrzypiały jak zwykle przy otwieraniu, ale jęknęły przeraźliwie, jakby szarpnięto je z impetem.

– Król przyszedł zobaczyć się z Reubenem Hilfredem.

Głos brzmiał władczo.

– On nie zrobił niczego złego! – krzyknęła Dorothy.

– Z drogi, kobieto.

Reuben przygotował się na najgorsze. Sytuacja uderzyła go jako nieco zabawna, co już samo w sobie było śmieszne. Ilu ludzi potrafiło się śmiać, kiedy skazywano ich za zbrodnie, których nie popełnili? Powinien był zginąć w zamku. Pogodził się już ze swoją śmiercią, a zyskał kilka dodatkowych dni potwornego bólu. Biorąc pod uwagę cierpienie, śmierć była nie tyle wrogiem, ile raczej współczującą znajomą. Żałował tylko, że nie posmakuje zupy, która tak cudownie pachniała.

Znowu czuł zapachy! Reuben miał tylko sekundę, żeby zdumieć się tym dokonaniem, kiedy żołnierze weszli do pokoju. Jak to załatwią? Najpewniej go powieszają, a może obetną mu głowę. Byłaby to ironia losu, gdyby go spalili na stosie, ale zakładał, że wszyscy mają już dość ognia. Zmienił zdanie chwilę potem, kiedy pomyślał, że król może pragnąć zemsty. Chcieć zrobić jemu to, co jego ojciec zrobił królowej.

Żołnierze pochylili głowy i odsunęli się, kiedy wszedł król. Wraz z nim weszli książę i Arista. Wszyscy byli ubrani na czarno, księżniczka miała tę samą suknię, co po śmierci lady Clare. Żadne z nich nie wyglądało dobrze, mieli zmęczone i blade twarze, tylko wokół oczu skóra im poczerwieniała. Arista wyglądała bardziej posępnie od pozostałych, nie odrywała wzroku od podłogi.

Reuben nigdy nie widział Jego Wysokości z bliska. Był potężnym mężczyzną, a kiedy chłopiec spojrział, miał wrażenie, że to olbrzym z jeżącą się brodą. Sprawiał wrażenie równie zmęczonego jak pozostali, ale w jego oczach kłębiła się burza.

– Wasza Wysokość – odezwał się z jeden z żołnierzy stojących w kącie. – To Reuben Hilfred, syn Richarda.

Na dźwięk nazwiska król się skrzywił. Może jednak nie będzie palenia. Może król zabije go w łóżku, na miejscu. Przynajmniej mógł zobaczyć raz jeszcze księżniczkę. Była bezpieczna.

Dziękuję, Mariborze, za ten pożegnalny prezent.

– Wiesz, jaka kara grozi za okłamywanie króla?

– Śmierć? – zgadywał Reuben.

– Śmierć – potwierdził król. – Czy opuściłeś swój posterunek bez pozwolenia w noc gali?

– Tak.

– To w najlepszym razie zaniedbanie obowiązków, w najgorszym dezercja. Wiesz, jaka jest kara za dezercję?

– Śmierć. – To Reuben wiedział.

– Śmierć. – Król z powagą pokiwał głową.

– Czy ktokolwiek rozkazał ci opuścić posterunek? Kazał ci wejść do zamku?

– Nie. – Reuben dostrzegł subtelną zmianę w oczach króla, ale nie miał pojęcia, co oznaczała.

– Dlaczego więc dopuściłeś się dezercji, skoro wiedziałeś, że grozi ci za to śmierć?

– Zamek płonął. Księżniczka i królowa były w środku i nikt nie próbował ich ratować.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Wszyscy tylko stali. Kanclerz wydał rozkaz...

– Tamtej nocy panował chaos. – Reuben usłyszał głos lorda Bragi, który przepchnął się z kuchni do pokoju. – Ciemność, płomień, wszyscy próbowali się wydostać.

– Skończ, co chciałeś powiedzieć, chłopcze – rozkazał król.

– Kanclerz wydał rozkaz, zabraniający komukolwiek wchodzić do środka.

– To prawda? – zapytał Bragę Amrath.

– Tak, ale żeby zapobiec dalszym ofiarom. Drzwi zamknięto. Nie można było nic poradzić.

– Czy to prawda, że walczyłeś z własnym ojcem? – spytał król.

Reuben spuścił wzrok.

– Tak.

– Kiedy dowiedziałeś się, że twój ojciec planuje zamordowanie mojej rodziny?

– Nie dowiedziałem się. Domyśliłem się, kiedy zobaczyłem, że drzwi do rezydencji zamknięto na łańcuch. Ojciec kazał mi odejść. Powiedział, że dla mojej ochrony załatwił mi służbę przy bramie. Wtedy zorientowałem się, że to on podłożył ogień. I że to on zamknął drzwi.

– Braga twierdzi, że walczył z twoim ojcem i go zabił. To prawda?

Reuben skinął głową.

– Mów do króla – rozkazał kanclerz.

Amrath uniósł rękę.

– Nie szkodzi. Powiedz mi, chłopcze, jak zdjąłeś łańcuch z drzwi? Po zgaszeniu ognia znaleziono kłódkę, ale nie została rozcięta ani nie pękła.

– Ojciec miał przy sobie klucz. Odpiąłem go od jego pasa.

– Otworzyłeś więc drzwi i poszedłeś do pokoju księżniczki Aristy?

Reuben znowu pokiwał głową.

Król odwrócił się do córki.

– To ten chłopiec cię wyniósł?

Arista nie odpowiedziała. Nawet nie podniosła oczu.

– Zadałem pytanie. Odpowiedz.

– Może.

– Arista, spójrz na niego.

– Nie chcę.

Król pogłaskał ją po włosach.

– Dlaczego?

– Nienawidzę go.

– Nienawidzisz... Ale ocalił ci życie, tak? Wyniósł cię z zamku? Inni potwierdzają, że widzieli cię na jego rękach, gdy wychodził z zamku.

Chcesz powiedzieć, że to nieprawda?

– To prawda.

– Dlaczego więc...

– Nie ocalił matki. Pozwolił jej umrzeć! On przeżył, a ona nie żyje! Jest tchórzem, nikczemnym, podłym... – Arista rozpląkała się i król dał znać gestem, żeby ją wyprowadzono.

Reuben myślał, że już gorzej nie może się czuć, i nienawidził się za swoją naiwność. Zawsze mogło być gorzej. Poczł napływające łzy i walczył, żeby je powstrzymać. Nie chciał płakać przy tych wszystkich mężczyznach.

– Wyjść, wszyscy mają wyjść! – rozkazał król.

– Ale ojciec... – zaprotestował Alric.

Reuben zauważył, że księżę ma dwa miecze, jeden w ręku, drugi przy pasie. Ten, który trzymał, Reuben rozpoznał – ten właśnie dostał od księcia i zgubił w pożarze.

– Nie możesz jej słuchać. On jest niewinny. Ocalił Ariście życie. Próbował...

– Powiedziałem: wyjść! – ryknął król i wszyscy wyszli.

Począł, aż drzwi się zamkną. Zostali tylko we dwóch. Reuben i król. Nawet Dorothy wyszła.

Podobnie jak wcześniej biskup teraz król usiadł na stołku koło łóżka. Początkowo nic nie mówił i Reuben nie śmiał na niego spojrzeć. Wbijał wzrok w wysuszone zioła zwieszające się z powały.

– Zamek się palił – zaczął król Amrath głosem cichym i delikatnym.

– Opuszczenie stanowiska mogło pociągnąć za sobą surową karę. Raczej nie śmierć w przypadku chłopca, który odbywał pierwszą służbę, ale co najmniej chłostę. Wiedziałaś o tym. – Król zamilkł i pogłaskał brodę. – Otrzymałeś rozkaz, by nie wchodzić do zamku od kanclerza i własnego ojca. – Znowu urwał, oblizał usta i głośno wypuścił powietrze. – Pomijając wszystko inne, wbiegłeś do piekła, kiedy wszyscy uciekali. Reubenie, to mi nie wygląda na rozsądne. Zatem wyjaśnij mi, dlaczego to zrobiłeś?

– Żeby ratować Aristę.

Słowa wyrwały mu się z ust, ale narodziły się głębiej i kiedy je wypowiedział, łza popłynęła i spadła. Tym razem nie zauważył bólu.

Ból poparzeń zszedł na drugi plan wobec nowego cierpienia. Spojrzał na głowicę królewskiego miecza i pragnął, żeby monarcha go dobył i zadał śmiertelny cios. Reuben zmarnował życie. Urodził się niechciany przez oboje rodziców, zabił matkę i doprowadził ojca do morderstwa i zdrady stanu. Teraz nienawidziła go jedyna dziewczyna, którą kochał. Chciał umrzeć. Pożar go oszukał. Byłoby o wiele lepiej, gdyby spłonął, wierząc w swojej ignorancji, że wreszcie zrobił coś dobrze.

– Rozumiem.

Król pokiwał głową. Burza zniknęła. Pozostał tylko smutek.

– Próbowałem uratować królową – powiedział Reuben. – Wróciłem, ale nic nie widziałem. Nie mogłem oddychać. Myślałem, że tam umrę. Wiem, że zawiodłem. Wiem, że jestem nic niewart. Wiem, że wszyscy mnie nienawidzicie. Zatem proszę, zrób to, Najjaśniejszy Panie.

Reuben płakał otwarcie. Nie dbał już o nic.

– Co mam zrobić?

– Zabij mnie.

– Tego się spodziewasz? Myślisz, że przyszedłem cię zabić?

– A nie?

– Dlaczego miałbym karać jedyne człowieka w królestwie, który wykonał swoją pracę? Jedyne człowieka, który narażał własne życie dla mojej rodziny? Świadomie poświęcił się dla tych, których najbardziej kocham? Reubenie, nie mam zwyczaju zabijać bohaterów.

– Ale twoja córka...

– Dopiero co straciła matkę. W tej chwili nienawidzi wszystkich, nawet mnie. Nie mogę mieć jej tego za złe. Prawie zabiłem biskupa, bo mówił prawdę. Może twój ojciec był zdrajcą, ale ty nie jesteś. Mam u ciebie ogromny dług wdzięczności. Nie zamierzam cię skazać na śmierć. Zamierzam cię nagrodzić. Mógłbym pasować cię na rycerza za twoją odwagę, ale nie potrzebuję następnego rycerza. Jako rycerz opuściłbyś zamek, a ja nie mogę na to pozwolić. Obawiam się, że nadchodzące dni okażą się mroczne, i boję się o bezpieczeństwo mojej rodziny. Potrzebuję ludzi do jej ochrony. Całe złoto w moim skarbcu nie kupi lepszego obrońcy dla mojej córki.

Król wstał.

– Musisz szybko wrócić do zdrowia, Reubenie. Zapewnię ci właściwe szkolenie wojskowe, ponieważ syn mówi mi, że nie najlepiej radzisz sobie z klingą, a ja potrzebuję, żebyś walczył równie dobrze jak Pickering.

– Nie rozumiem.

– Od tej chwili, Reubenie Hilfredzie, jesteś sierżantem gwardii królewskiej i osobistym strażnikiem mojej córki. Będziesz zawsze tam gdzie ona, nigdy nie spuścisz z niej oczu. Jeśli idzie o jej ochronę, będziesz miał taką samą władzę jak król. To znaczy, że masz moje pozwolenie zabić każdego, kto zagrozi jej życiu, bez względu na jego pozycję czy rangę. Rozumiesz?

Reuben skinął głową.

– Od tej pory odpowiadasz tylko przede mną i moją córką. – Król odwrócił się do wyjścia, ale zawahał się. – Oczywiście poczekamy, aż wydobrejesz i nauczysz się władać mieczem, zanim przekażę jej tę nowinę. Arista jest dość popędliwa. – Podeszedł do drzwi, ale znowu zatrzymał się, zanim je otworzył. – Dziękuję, Reubenie.

– Wasza Wysokość?

– Tak?

– Nie byłem sam.

– Co masz na myśli?

– W pożarze. Kiedy wróciłem do królowej, nie byłem sam. Ktoś był tam ze mną. Nie mogłem zobaczyć tej osoby. Niczego nie widziałem. Słyszałem tylko głos. Powiedziała mi, którędy iść, jak się wydostać, a kiedy wreszcie dotarłem do schodów, kazała mi skoczyć. Tyle że nikt tam nie mógł być ze mną, prawda?

– Nikogo nie było. Sam rzuciłeś się w ogień.

– Myślę, że to mogła być moja matka. Myślę, że chciała mi pomóc, dopilnować, bym przeżył. I udało jej się.

Król patrzył na niego przez chwilę i wreszcie skinął głową.

– Myślę, że wszyscy nie doceniliśmy ogromu miłości, jaką obdarzyła cię twoja matka. Włącznie ze mną.

Rozdział 24

Róża i Cierń

Hadrian patrzył, jak śnieg zaczyna spadać na ziemię. Topniał szybciej na świeżo skopanym gruncie, więc grób się wyróżniał. Zgrubny prostokąt oczyszczony z liści, ciemny i żyzny, sprawiał wrażenie za małego. To mógłby być grób dziecka. Pamiętał ją z tamtej nocy – jej twarz taka młoda, taka przerażona. Była niemalże dzieckiem. Wyobraził ją sobie pod tą ziemią i żołądek mu się zacisnął. Gwen ubrała ją w białą suknię i obłożyła ostatnimi różami, jakie zostały sprzedawcom. Potem zabili gwoździami skrzynię i spuścili ją do dołu. Gwen zapłacała za kwaterę. Nigdy nie zdradziła ani słowem ile. Wszystkie kobiety złożyły się na nagrobek. Poza miastem było miejsce dla niepożądanych, ale po ogłoszeniu przez kanclerza Bragę, że panie z Domu Medford są pod bezpośrednią ochroną króla, nikt nie zaprotestował. Nie mogły posłużyć się jej imieniem, więc na nagrobku napisano „Grace Flowers”.

Gdyby tylko się nie wtrącił.

Czy Rose nadal by żyła? Czy przeze mnie znalazła się w tej trumnie pod ziemią?

Gdyby nie pomógł Richardowi Hilfredowi w walce z szeryfem i jego zastępcami, gdyby nie interweniował i nie powstrzymał Terence’a przed zabraniem Rose w bezpieczne miejsce, nadal by żyła.

Royce nie odezwał się słowem. Jaki argument jest bardziej przekonujący niż zimne ciało pięknej młodej dziewczyny? Złodziej milczał. Kiedyś Hadrian mógłby się zastanawiać czemu, ale zaczynał

poznawać Royce'a. A co w tej sytuacji istotniejsze – Royce zaczynał poznawać Hadriana, wręcz go rozumiał.

Większość żałobników zapełniła cmentarz. Długa, cicha procesja pochylonych głów i zapłakanych oczu. Większość to były kobiety i żadna nie ubrała się na czarno. Hadrian podejrzewał, że to jedyny kolor, w którym panie nie miały sukien. Kondukt z miasta na cmentarz przyciągał krzywe spojrzenia i zniesmaczone grymasy. Niejeden raz skomentowano „kolory ladacznicy”, ale Hadrian wiedział, że wszystkie ubrały się na czerwono z szacunku dla Rose.

Royce i Gwen zostali dłużej przy grobie. Chociaż raz złodziej miał najstosowniejszy strój. Gwen płakała. Stała, drżąc, z rękami przy twarzy. Minęła chwila, kilka sekund zwłoki, ale w końcu Royce niezręcznie objął ją za ramiona. Czując jego dotyk, wtuliła twarz w jego pierś i zaszlochała. Zesztywniał. Objęła go w pasie i ścisnęła. Jak na tak zręcznego człowieka, tak zwinnego i szybkiego, Royce poruszał się jak mucha w smole. Przesunął po troszku ręce wokół jej ramion i jego peleryna ją spowiła. Stali tak połączeni w jedność pośrodku cmentarza na końcu ulicy Papierowej.

Patrząc na nich, Hadrian westchnął, a jego wydech wzleciał małą chmurką, którą porwał zimny wiatr.

On na nią nie zasługuje. A potem wzruszył ramionami. A kto zasługuje?

Najpierw Arbor, teraz Gwen. Może zawsze tak będzie. Zawsze, kiedy znajdzie idealną kobietę, straci ją na rzecz najbliższego przyjaciela. Nabrał zimnego powietrza, które niosło ból.

Lepiej sobie odpuścić.

Poruszenie na prawo od niego przyciągnęło jego uwagę. Dwoje oczu zerkąło na nich sponad nagrobka. Hadrian rozpoznał czoło. To był Zagadka.

Hadriana zaskoczyło tylko to, że trwało to tak długo. Od nocy pożaru nie widział ani jednego członka Ręki. Teraz stali na ich progu i chociaż chwila mogła wydawać się nieodpowiednia, to nie mogli jej nie wykorzystać. Kolejne oczy pojawiły się wśród grobowców i nagrobków. Żadne nie wyglądały na uszczęśliwione. Musieli być świadomi obecności Royce'a i Hadriana od pewnego czasu i chociaż

w głębi duszy Hadrian docenił ich uprzejmość, bo się wstrzymali, to nie był w dobrym nastroju. Z powodu pogrzebu Rose znowu zaczął pić na umór. Często popadał w taki stan, kiedy za dużo myślał, kiedy zabierał się do inwentaryzacji i odkrywał, że półki są puste. Jego umysł zawsze opadał po spirali do kluczowych idei: ojca i pustki, pustki, którą próbował wypełnić pić. To trwało dzień albo dwa, ale w końcu zawsze udawało mu się utopić nienawiść i głęboką pogardę dla jedynej osoby, którą uważał za odpowiedzialną za swoje wszystkie porażki – samego siebie.

Oczywiście porządna walka też pomagała. Dlatego ochoczo obserwował, jak Szkarłatna Ręka wynurza się z grobowców i zbiera się wokół nich. Zastanawiał się, czy Royce ich zauważył. W tej chwili był nietypowo dla siebie zdekoncentrowany, ale nagle uniósł głowę i odsunął Gwen, ustawiając ją między nimi dwoma.

Cylinder podszedł w swoim charakterystycznym nakryciu głowy, do którego dodał długą wełnianą opończę. Zerknął na grób.

– Moje kondolencje – powiedział, uchylając kapelusza. Nawet zabrzmiało to szczerze. Spojrzał na Royce’a. – Dostałem odpowiedź z Colnory.

– Daj jej najpierw odejść – rozkazał Hadrian.

Cylinder spojrział na Gwen.

– Nie ma potrzeby. Nie ośmielę się skrzywdzić damy z Domu Medford. Nie po edykcie kanclerza. I... – Z głosu Cylindra zniknęła brawura. Mężczyzna spojrział na Royce’a. – I nie po tym, co przydarzyło się lordowi Exeterowi – odwrócił się do Hadriana – oraz ludziom szeryfa. Mówią, że to wszystko robota króla, wiecie? Że przykładnie ukarał zdrajców. Kara była stosownie makabryczna i z pewnością niezwykle publiczna, tyle że trochę dziwna. Królowie zwykle przeprowadzają egzekucje w świetle dnia, pośród tortur i wrzasków przed krzywiącym się tłumem. Zwykle jest też przy tym obecny, a nie popija właśnie ze starymi przyjaciółmi.

Cylinder urwał. Może spodziewał się, że coś powiedzą. Kiedy żaden się nie odezwał, podjął opowieść.

– Jednak podejrzewam, że to musiał być król. Nikt inny nie byłby na tyle szalony, żeby zabić Exetera, nikt nie byłby takim wariatem, żeby

powiesić go i wystawić na widok publiczny. W końcu jeśli to nie król, to kto dokonałby czegoś takiego? O ile nie nosisz korony, nie zabijasz arystokraty i nie odchodzisz, pogwizdując, prawda?

Hadrian obserwował. Zaczął oceniać przeciwników, analizować, kto stanowi największe zagrożenie, jaki dystans ich dzieli. Jednakże złodzieje nie podchodzili tak blisko jak poprzednim razem. Nie otoczyli ich kręgiem. Cylinder stał najbliżej, ale nawet on ustawił się po drugiej stronie grobu.

– Rzecz w tym, że słyszałem, że już kiedyś wydarzyło się coś podobnego na południu. W Colnorze. Jakieś dwa lata temu miało miejsce tam kilka morderstw. Sędziowie, prawnicy, wpływowi ludzie... I nikt niczego nie widział. Jednak na tym się to nie skończyło. Wygląda na to, że po sprzątnięciu śmietanki, cień zaczął mordować członków samego Czarnego Diamentu. Złodzieje ginęli, masakrowani i wieszani na miejskich placach, przekłete dzieła sztuki jak lord Exeter. I jeśli zabicie arystokraty to szaleństwo, to nie wiem, czy istnieje słowo na rzucenie wyzwania Diamentowi, jednak ktoś to zrobił. Nazywają ten czas Rokiem Strachu. To był rok, kiedy zabójca zwrócił się przeciwko swoim. Mówi się, że za wszystkim stał jeden gość i że nigdy go nie złapano. Niektórzy nadal mają koszmary.

– Brzmi to potwornie – powiedział Royce, nadal obejmując Gwen jedną ręką.

Drugą miał schowaną pod peleryną.

– Właśnie. – Cylinder zerknął na obu. – To byłoby straszne, gdyby coś podobnego wydarzyło się tutaj.

– Tę samą historię słyszałem, kiedy byłem w Colnorze – powiedział Royce. – Na ile się orientuję, zabójcę sprowokowano.

– Naprawdę?

– Poza tym to był całkiem przyjemny jegomość.

– Prawdziwy džentelmen, jak mniemam.

– Nie, nie, w żadnej mierze, ale także nie z tych, co to czepiają się sąsiadów, dopóki tamci nie zajdą mu za skórę.

To sprawiło, że Cylinder zamyślił się na kilka minut. Zerknął na grób i potem na swoich złodziei. Wreszcie znowu spojrzął na Royce'a.

– Zatem zamierzasz zostać w Medfordzie?

Na te słowa Gwen uniosła głowę i spojrzała na Royce'a.

– Nie zastanawiałem się nad tym, ale... Jak myślisz, Hadrianie?

– To w miarę miłe miejsce.

Royce spojrzał na Cylindra.

– To jakiś problem?

– To... Ehm... Nie leży w naszym zwyczaju pozwalanie praktykowania tu złodziejom nienależącym do gildii...

– Czarny Diament miał takie same ograniczenia – powiedział Royce. Mówił coraz cichszym głosem.

Cylinder oblizał usta i poprawił kapelusz.

– Doprawdy? – Przywódca gildii wyglądał jak targujący się sprzedawca, od którego coś wyłudzano. – Cóż, nigdy nie przepadałem za Czarnym Diamentem. I podejrzewam, że dwa razy się zastanowię, zanim wepchną się na nasze terytorium, wiedząc, czyj to dom. Chyba nie zaszkodzi nam, jeśli pozwolimy wam dwóm okraść parę kieszeni.

– Nawet nie zauważysz naszej obecności – zapewnił go Royce.

– To mi się podoba. Pewnie nie zamierzacie płacić mi procentu od zysków?

– Nie.

– Ani nie wstąpicie do gildii?

– Nie.

– Cóż, zawsze warto zapytać. – Cylinder spojrzał na swoją trzódkę i podniósł głos. – Od tej pory ci dwaj są naszymi gośćmi. Nikt ich nie tknie. Nawet na nich nie spojrzysz. Jasne? – Cylinder spojrzał na grób i tym razem zdjął kapelusz, ukazując łysą głowę. – Mówiłem poważnie. Lubiłem ją. Grue był dupkiem. – Wypowiedział te trzy zdania jak mowę pogrzebową, potem włożył kapelusz i cofnął się krok. – Trzymajcie się swojej strony, a my zostaniemy po swojej. Umowa stoi?

– Umowa stoi.

Cylinder zaczął odchodzić, ale się zatrzymał.

– Jak to zrobiłeś?

– Co takiego? – spytał Royce.

– Zabiłeś Exetera.

– Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

Cylinder uśmiechnął się, skinął głową i odszedł.

* * *

Koń przestąpił z nogi na nogę, kiedy Royce zaciągnął ciasniej paski od sakw, a potem przerzucił je kocem. Posiadłość barona McMannisa znajdowała się raptem trzy dni jazdy, ale zima zmusiła ich do zwiększenia ilości sprzętu. Na zajazdy nie można było liczyć, a chociaż zima dopiero się zaczęła, śnieżyce były częste. Musieli spakować się, myśląc o najgorszym, a to oznaczało, że trzeba zabrać wszystko. Bez względu na to, jak długo zastanawiał się i planował, zawsze czuł, że o czymś zapomniał. Wrażenie zwykle okazywało się słuszne, kiedy odkrywał brak ważnej rzeczy po przejechaniu dziesięciu mil.

Hadrian już się spakował i jego klacz wyglądała jak muł górnik. Był w karczmie po drugiej stronie ulicy Przekornej i pomagał dziewczynom przy ciężkich rzeczach. Gwen kupiła certyfikat na karcznię Grue i teraz przetaczali stare beczki, podczas gdy dziewczyny zamiatały i szorowały. Dixon czuł się już na tyle dobrze, żeby wrócić od doktora do Domu. Siedział na werandzie zawinięty w koce i sprawiał wrażenie sfrustrowanego. Był chudszy, niż Royce zapamiętał go z zeszłego roku, ale przynajmniej już wstał i znowu jadł.

Gwen wyszła z zakurzonych cieni karczmy. Miała brudną sukienkę i smugi na twarzy. Jedną ręką opierała się na kuli, a drugą osłaniała oczy, zerkając na budynek. Ona też wyglądała lepiej. Siniaki i rozcięcia bladły, ale widok kuli sprawiał, że Royce żałował, że nie mógł zabić Exetera dwa razy.

– Nie powinnaś zostawić pracy dziewczynom? – spytał.

– Jest tyle do zrobienia.

– Nadal dochodzisz do siebie.

– Dzięki tobie nic mi nie będzie. – Otarła ręce o fartuch. – Nam wszystkim.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Starał się zachować kamienną twarz, ale nie był w stanie powstrzymać uśmiechu, kiedy ona patrzyła.

Zdumiewało go, jak ona to robiła. Żył z kłamania. Był w tym dobry, ale nie przy niej. Chciał jej wszystko powiedzieć – zupełnie jak kiedy zdrowy na umyśle człowiek stoi na krawędzi urwiska i myśli o skoku. Świadomość, że pociągnie to za sobą katastrofę, nie wpływała na tę chęć, coś go pociągało w samym widoku. Na razie widok mu wystarczał.

Wyszedł Hadrian, odwijając rękawy.

– Na Mara, niezły bałagan, ale myślę, że z resztą poradzicie sobie beze mnie. A Royce robi się marudny, kiedy każę mu czekać.

– Dziękuję – powiedziała Gwen. – Pewnie nie przyjmiesz zapłaty?

Hadrian uśmiechnął się kpiąco. A potem uniósł brwi.

– Mogłabyś mi powiedzieć, co widziałaś w mojej dłoni... Może nie wszystko, co tam zobaczyłaś. Może tylko coś dobrego.

Zerknęła przelotnie na Royce'a, uśmiechnęła się blado, ale Hadriana dręczył jej smutek.

– O co chodzi? – spytał Hadrian. – Widziałaś moją śmierć?

– Nie.

Gwen zamilkła na chwilę, a potem uśmiechnęła się i powiedziała:

– Pewnego dnia przypomnisz sobie tę chwilę. Zostanie z niej ledwie uchwytnie wspomnienie, duch dawno zapomnianej przeszłości, ale powróci do ciebie. Będziesz miał siwe włosy i będziesz czuł swoje lata. Będziesz myślał o swoim życiu, co osiągnąłeś, czego nie zdołałeś zrobić, i będzie cię to dręczyło. Będziesz ostrzył miecz i skaleczysz się. Zobacysz krew i to przypomni ci, że przepowiedziałam ci tę chwilę. Powrócisz do niej i uśmiechniesz się, a potem zmarszczysz czoło i wreszcie w ciszy małego pokoju zapłaczesz. Zapłaczesz, bo wtedy wszystko nabierze sensu. Żona zastanie cię płaczącego, obejmie cię i zapyta, co się stało. Spojrzysz na nią i zobaczysz, że się przeraziła. Przez wszystkie wspólnie przeżyte lata, mimo licznych problemów, którym razem stawiliście czoło, nigdy nie widziała, żebyś płakał. Pokręcisz głową i powiesz tylko „Gwen”. Ona zrozumie i będzie cię obejmować. Oboje zapłaczecie i chwila minie. To będzie dobra chwila. Cokolwiek cię dręczyło, zostanie zmyte tymi łzami i przypomni ci o wielu rzeczach, o których zapomniałeś, chociaż nie powinieneś i ten dzień na tym zyska.

Zakłopotany Hadrian odwrócił się do Royce'a i powiedział:

– Słyszysz? Ożenię się.

– Zaslugujesz na to – odpowiedział przyjaciel i był zadowolony, widząc, że Hadrian i Gwen różnie zrozumieli to zdanie. Słowa rzadko bywały tak pojemne.

Gwen spojrzała na karczmę.

– Miną lata, nim zacznie wyglądać należycie. Muszę zerwać podłogi i nadal się zastanawiam, czy zdołam stąd wymazać wspomnienie Grue i Stane'a.

– Jeśli za bardzo wypucujesz ten lokal, to będziesz musiała zmienić nazwę – powiedział Hadrian, łapiąc konia za uzdę.

– Och, zamierzam zmienić nazwę. Nie będę właścicielką lokalu, który nazywa się „Ohydny Łeb”.

– To jak go nazwiesz?

– Róża – powiedziała i wszyscy się uśmiechnęli. – Zastanawiałam się, czy nie uprzątnąć spizarki przy starej kuchni dla was obu. Znajduje się na tyłach, z dala od pokoi dla klientów. Możecie załatwiać tam interesy. Przechowywać sprzęt, jeśli zechcecie. Będę się wami zajmować jak przy naszym pierwszym spotkaniu.

– Za ile? – spytał Royce.

– Co za ile?

Royce do niej podszedł.

– Ile będzie kosztował wynajem?

Gwen był zdumiona.

– Nie będę brała od was pieniędzy za wynajem pokoju.

– To nie jest mądre.

Gwen dwoma drobnymi skokami obeszła kulę, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Bez ciebie nie zdołałabym kupić certyfikatu na karczmę. Gdybyś się nie zjawił... – Odwróciła wzrok i odetchnęła. – Gdybyś się nie zjawił, Grue wypędziłby mnie stąd albo gorzej i szczerze mówiąc, bardziej wierzę w to „gorzej”. Kto wie, ile jeszcze byłoby takich dziewczyn jak Avon i Rose. – Położyła drobną dłoń na jego piersi. – Wszystko zmieniłeś. Mam u ciebie dług. Jak mogłabym brać od was czynsz?

– No dobrze. Dostaniesz procent.

– Nie chcę procentu. Szczerze mówiąc, proponuję wam pokój w egoistycznej nadziei, że wtedy będziecie wracać.

– Myślę, że nie musisz się o to martwić – powiedział Hadrian i mrugnął.

Royce chciał go dźgnąć, ale wtedy zauważył, że Gwen się uśmiecha i... Czyżby się zaczerwieniła?

– Goszczenie złodziei to ryzyko – dodał szybko. – Na Maribora, możesz zostać aresztowana, odbiorą ci majątek, odetną rękę. Nie pozwolę, żebyś tak ryzykowała bez zapłaty. Dopóki będziemy działać z twojej karczmy, będziesz dostawała procent.

– Ale...

– Inaczej tu nie zostanę.

Otworzyła usta, ale zaraz powoli je zamknęła. Royce miał ochotę zetrzeć smugę z jej policzka. Już zaczął podnosić rękę, ale się powstrzymał. Co takiego w niej jest, że czuję, że mogę się tak zachować?

– Zostaniecie? Zamieszkacie tutaj?

Royce zerknął na Hadriana i wzruszył ramionami, starając się, żeby zabrzmiało to jak najzwyczajniej:

– Miło będzie mieć dokąd wracać. Nalegam jednak, żebyś przyjęła swoją część.

Hadrian zarechotał.

– Jeśli to ma być stały dom Royce'a, to może karczma powinna nazywać się „Róża i Cierń”.

Royce spiorunował go wzrokiem, ale Gwen się rozpromieniła.

– Myślę, że tak. Tak, Róża i Cierń. Dobrze to brzmi, nie uważasz?

– Och, na szczęście was złapałem!

Albert wyszedł z Domu w szlafroku. Mrużył oczy pod jasnym niebem.

– Winslow, już prawie południe! – warknął Royce. – Zaczynasz się zachowywać jak prawdziwy arystokrata.

– Dziękuję. I zaczynam też nabierać ciała. Gdyby tylko było mnie stać na porządny płaszcz...

– Co chciałeś? – zapytał Royce, dosiadając konia i poprawiając

pelerynę.

– Jutro wieczorem jest przyjęcia u lorda Harringtona, na które powinienem się udać.

– Nic z tego. Następny strój opłacisz z własnej części zysku.

– Nie chodzi o pieniądze. Pomyślałem sobie, że, wiecie, powinienem jakoś was nazywać. To niezręczne wyjaśniać, że znam dwóch mężczyzn, którzy mogą załatwić pewne rzeczy. To brzmi amatorsko i nie mogę liczyć, że inni polecą nasze usługi znajomym. Potrzebuję tytułu, czegoś, co ludzie zapamiętają, ale oczywiście nic, co doprowadzi do was dwóch. Nie chcę też posługiwać się terminem „złodzieje”. Ludziom, z którymi mam do czynienia, to się nie spodoba. Myślałem więc, żeby nadać wam nazwę. Co powiecie na Dwa Duchy albo Widma? Coś w tym stylu?

– Dwa Duchy? – powtórzył bez przekonania Hadrian.

Gwen pokręciła głową.

– Potrzebujecie czegoś szczególnego, czegoś niespotykanego. Czegoś krótkiego.

– Co powiecie na Riyria? – zaproponował Hadrian, wsiadając na konia.

Royce uśmiechnął się znacząco.

– Arcadius miał jednak rację, nie uważasz?

Royce wzruszył ramionami.

– Tylko mu tego nie mów.

– Kto miał rację i w jakiej sprawie? – zapytał wicehrabia.

– To nieistotne, Albercie.

– To mam was nazywać Ri-y-ryja? Zgadza się?

– Mniej więcej – odrzekł Royce, kiedy obaj z Hadrianem zakręcili na koniach.

Albert zacisnął usta.

– Moim zdaniem to nie tak dobra nazwa jak Duchy, ale zawsze to coś.

– To idealna nazwa – powiedziała Gwen.

– Do zobaczenia wkrótce.

Royce pomachał im i ruszył ulicą Przekorną.

– Czeka! Co to jest?! – zawołał Albert. – Co to jest Riyria? Co to

znaczy?

– To po elficku. Znaczy „dwóch”.

Rozdział 25

Gość

– Ktoś widział, jak wchodzisz? – zapytał biskup Saldur, odsuwając się i odsłaniając wieszak.

Widząc śnieg na płaszczu gościa, biskup domyślił się, że nadal pada.

– Nie, ale czy to zbrodnia odwiedzić kościół?

– Na razie nie, a z pomocą Novrona nigdy nie będzie.

Minęły dwa tygodnie od pożaru, ale Saldur nadal miał koszmary, w których król wyciągał swój miecz. Jak śmiał zagrozić biskupowi Kościoła?! Jego zachowanie tylko ukazywało, jak daleko Melengar zapędził się w grzędawisko bezbożnej monarchii. Oto jakie rodzą się problemy, kiedy ludzie ustanawiają samych siebie monarchami, kiedy zajmują tron zarezerwowany dla potomka Novrona.

Saldur usiadł i odchylił się w krzesło przy biurku. Był biskupem Melengararu i katedrę Mares powierzył jego pieczy patriarcha i arcybiskup Avrynu, ale większość czasu spędzał w tym małym, ciasnym pokoiku przy tym nędznym biurku. Nie takie życie wyobrażał sobie, kiedy składał śluby.

– Tym razem Novron niewiele pomógł.

– Nie trać wiary – zbeształ rozmówcę Saldur.

Biskup przywykł do rozczarowań. Kościół miał za sobą długą historię czekania. Inni ludzie traktowali drobne komplikacje jak koniec świata. Nie byli w stanie pojąć skali przedsięwzięcia. Każdy widzi siebie jako bohatera własnej historii, jakby świat kręcił się wokół niego. Saldur znał prawdę. Takie myślenie to jedynie przejaw

arogancji. Jednostki nigdy nie były w stanie zaprowadzić trwałej zmiany. Prawdziwe zmiany kształtują się na przestrzeni pokoleń. Kościół działał jak krople wody na granit; niemożliwe było osiągnięcie tylko dzięki poświęceniu i upływowi czasu.

Po prostu nie nadszedł jeszcze właściwy moment.

– Nadal mamy czas – powiedział Saldur, opierając stopy na aksamitnym podnóżku, który stał przy kominku. – Ostatecznie głowy wszystkich królów spadną.

– A co z zabójcą Exetera? I tą dziewczyną, Rose, która go wynajęła? Oni nadal tam są, nadal o nas wiedzą.

– Wiedzą o mnie – sprostował Saldur. – Nikt nie wie o tobie. Nikt nie będzie ciebie podejrzewał, nie po tym, jak sprawy się rozegrały. I nie martwiłbym się zabójcą Exetera. To najpewniej jakiś najęty zbir albo zakochany szczeniak, którego oczarowała swoimi grzesznymi oczami. Nawet mnie zwiodła jej rzekoma niewinność. On i Rose najpewniej już zniknęli. Wątpię, żebyśmy jeszcze kiedyś o nich usłyszeli.

– A co z Richardem Hilfredem?

Saldur omal się nie roześmiał, ale śmiech nie przystoi biskupowi w jego kościele. Uniósł więc tylko brew.

– Ten człowiek nie żyje. W czym zmartwienie?

– Mógł powiedzieć innym.

– Nie. Richard był samotnikiem odcięty od świata. Nikomu nie ufał. Dlatego go wybrałem. Obwinił króla za śmierć kochanki i wiedziałem, że jest ambitnym człowiekiem. Nie miał też w sobie prawdziwej lojalności. Każdy to widział. Pokazałem mu tylko ścieżkę, którą sam chciał obrać.

– I dałeś mu błogosławieństwo Kościoła. Świadomość, że Novron stoi po twojej stronie, sprawia, że każdemu jest lżej na sumieniu, nawet gdy planuje czyjąś śmierć.

Saldurowi nie podobał się ten brak szacunku w głosie, ale czego spodziewał się po kimś takim?

– Zabicie nie jest morderstwem, kiedy działa się w imię Novrona. Każdy musi umrzeć i w końcu umrze, kiedy Novron albo jego ojciec Maribor to nakaże. Co za różnica, czy dłoń Novrona pokieruje gromem, czy sztyletem? Obawiałem się, czy zniesiesz burze

konieczne, żeby zająć tron i władać Melengarem. Twój wiek zawsze stanowił troskę. Jesteś bardzo młody. Może źle wybrałem?

– Nie.

Saldur wstał i dorzucił do ognia polano. Dokładanie do własnego paleniska było kolejnym upokorzeniem, jakie musiał znosić, ale z pewnością nie mógł pozwolić, żeby ktokolwiek przebywał w jego biurze podczas tego spotkania, a nie mogli już spotykać się w wieży. No i było zimno. Nienawidził zimy. Zapowiadała się długa i ciemna, zimniejsza z racji tego, że spodziewał się spędzić ją w luksusowych warunkach na zamku.

– Wydaje się, że nas pokonano – powiedział Saldur, starając się mówić z przekonaniem – ale tak naprawdę zbliżyliśmy się do celu. Bardzo.

– Może.

– Ileż sceptycyzmu.

To wywołało krzywy uśmiech.

– Następnym razem nie pomylimy się. Poczekamy kilka lat, damy sprawom przycichnąć, ludziom zapomnieć.

– Nie możemy pozwolić sobie na następny pożar. Już były dwa.

Saldur rozważył te słowa.

– I nie możemy znowu spudłować. Musimy dosłownie dźgnąć go w plecy.

– Jeśli to zrobimy, ludzie będą chcieli, żebyśmy znaleźli zabójcę.

– To nie będzie stanowiło kłopotu. – Saldur się uśmiechnął. – Po prostu zrzucimy winę na kogoś innego.

– Nie na kolejnego zdrajcę. Nie jestem pewien, czy to ludzie także przełkną.

– Nie, znajdziemy kogoś innego. Kogoś bez nazwiska, kogoś nieważnego i komu łatwo przypisać winę.

– Na przykład?

– Może parę złodziei. Taki plan jest niezawodny.

Słowniczek terminów, nazw i imion

- Abby: prostytutka z Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.
- Albert Winslow: wicehrabia bez ziemi, wynajęty przez Riyrię jako pośrednik w kontaktach z arystokracją.
- Alverstone: nazwa sztyletu Royce’a Melborna.
- Amrath Essendon: król Melengaru.
- Andrew: poganiacz koni pracujący przy barce Billy’ego Bennetta.
- Angdon Lerwick: syn barona, który studiuje na uniwersytecie w Sheridanie; lubi dręczyć słabszych.
- Apeladorn: cztery państwa ludzi – Trent, Avryn, Delgos i Calis.
- Aquesta: stolica królestwa Warric.
- Arcadius Vintarus Latimer: mistrz tradycji na uniwersytecie w Sheridanie.
- Avon: prostytutka z Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”, zamordowana przez Stane’a.
- Avryn: centralny i najpotężniejszy kraj z czterech państw Apeladornu znajdujący się między Trentem i Delgosem.
- Ba Ran Ghazel: krasnoludzka nazwa goblinów, dosłownie znaczy „morskie gobliny”.
- Barka: płaskodenna łódź holowana przez zwierzęta pociągowe i wykorzystywana do przewozu towarów oraz pasażerów rzekami.
- Bartholomew: student uniwersytetu w Sheridanie w Ghencie.
- Beecham: żołnierz pod dowództwem sir Holvina.
- Bernum: rzeka, która łączy Colnorę na północy i Vernes na południu.
- Billy Bennett: świadczy usługi przewozowe (transport barkami) na rzece między Colnorą i Vernesem.

Blackwater: nazwisko Hadriana i jego ojca, Danbury'ego.

Bremey: druciarz z Ghentu.

Bursztynowy Wodospad: ogromny wodospad na południe od Colnory.

Calis: kraj położony najdalej na południe i wschód z czterech państw Apeladornu, uważany za egzotyczny i dziwny, ponieważ większość mieszkańców północy ma niewiele do czynienia z ludźmi z tej części Elanu. Rejon ten pozostaje w stałym konflikcie z Ba Ran Ghazelami. Mieszkańcy Calisu mają śniadą skórę i migdałowe oczy. Żyją w izolacji, niewiele o nich wiadomo w północnych i wschodnich królestwach Avrynu, poza tym, że ich kobiety są jednymi z najpiękniejszych na świecie, ale pogłoski, że posługują się magią, piętnują je i czynią wyrzutkami.

Caliski: odnoszący się do Calisu.

Colnora: największe i najzamożniejsze miasto Avrynu, założone przez kupców, wyrosło w miejscu odpoczynku na centralnym skrzyżowaniu kilku głównych szlaków handlowych.

Cytadela: twierdza broniąca miasta.

Czarny Diament: międzynarodowa gildia złodziejska z siedzibą w Colnorze.

Dagastan: główny i położony najbardziej na wschód port handlowy Calisu.

Danbury Blackwater: ojciec Hadriana Blackwatera.

Daniel: zamożny kupiec z Vernesu, mąż Vivian.

Darius Seret: założyciel zakonu rycerzy Sereta.

Delgos: jedno z czterech państw Apeladornu. Jako jedyna republika w świecie monarchii Delgos zbuntował się przeciwko rządowi namiestnika po tym, jak Glenmorgan III został zamordowany, a państwo przetrwało atak goblinów bez pomocy ze strony imperium.

Dixon Taft: wozak z Medfordu.

Dom Medford: burdel w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie założony przez prostytutki, które uprzednio pracowały w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”.

Dom: zwyczajowa nazwa Domu Medford.

Dougan: właściciel karczmy w Ibertonie nad brzegiem jeziora

Morgan.

Drumindor: krasnoludzka twierdza z dwiema wysokimi wieżami w południowym Delgosie.

Dunmore: najmłodsze i najmniej wyrafinowane królestwo.

Dzielnica Dolna: część Medfordu, w której mieszkają najubożsi.

Dzielnica Kupiecka: dzielnica Medfordu, w której kwitnie handel.

Dzielnica Rzemieślników: część Medfordu, w której produkuje się większość towarów.

Dzielnica Szlachecka: część Medfordu, w której mieszkają najzamożniejsi ludzie (zwykle arystokraci lub bogaci kupcy).

Dziennik Edmunda Halla: heretycki dokument, jeden ze skarbów trzymany w Wieży Koronnej.

Dżalabija: długa szata podobna do togi, noszona na wschodzie.

Edmund Hall: profesor geometrii na uniwersytecie w Sheridanie, uznany za heretyka przez Kościół Nyphrona; pogłoski mówią, że odnalazł zaginione miasto Percepliquis.

Elan: świat.

Erebus: ojciec bogów – Ferrola (bóg elfów), Drome'a (bóg krasnoludów), Maribora (bóg ludzi), Muriel (bogini natury) i Uberlina (bóg ciemności).

Ervanon: miasto w północnym Ghencie, siedziba Kościoła Nyphrona, niegdyś stolica imperium namiestnika ustawiona przez Glenmorgana.

Espadon: długi dwuręczny miecz o zwężającej się głowni, której tępa część poniżej rękojeści (ricasso) umożliwia wykonywanie różnych manewrów w trakcie walki. Dzięki długiemu trzonowi rękojeści i ricassu osłanianemu zakrzywionymi występami można go chwycić na różne sposoby, co pozwala uderzać nim jak kosturem lub potężną bronią sieczną. Espadon to tradycyjna broń wyszkolonego rycerza.

Essendon: ród królewski Melengaru.

Ethan: szeryf Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Etta: najmniej atrakcyjna prostytutka z Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Eugene: młody jubiler, który wybiera się do Colnory, żeby otworzyć

tam nowy sklep; siostrzeniec Sebastiana.

Fallon Mire: miasto, które Merton ocalił przed szerzącą się straszliwą zarazą.

Farlan: sternik zatrudniony w przedsiębiorstwie przewozowym Billy'ego Bennetta.

Fartowny Kapelusze: karczma w Vernesie o rozsądnych cenach.

Galewyr: rzeka wyznaczająca południową granicę Melengaru i północną królestwa Warric, wpada do morza w pobliżu wioski rybackiej Roe.

Ghent: ziemie należące do Kościoła Nyphrona.

Giermek: chłopiec na posyłki albo służący rycerza.

Glenmorgan: postać historyczna i mieszkaniec Ghentu, który ponownie zjednoczył cztery państwa Apeladornu trzysta dwadzieścia sześć lat po upadku imperium novrońskiego. Założył nowe imperium namiestnika, ufundował uniwersytet w Sheridanie, wybudował wielki trakt północno-południowy i wznosił pałac w Ervanonie (z którego zachowała się jedynie Wieża Koronna).

Gospoda „Przekorny Podróżny”: nieistniejący już przybytek, który działał kiedyś na końcu ulicy Przekornej w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Gretchen: kurczak, którego dostał w dzieciństwie pod opiekę Hadrian.

Gur Em: najgęstsza dżungla w Calisie przylegająca do wschodniego krańca Calisu.

Gwen DeLancy: caliska prostytutka, która opuszcza Karczmę z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”, żeby otworzyć własny burdel, Dom Medford.

Gwendolyn: imię Gwen DeLancy.

Hadrian Blackwater: pochodzi z Hintindaru, opuścił dom w wieku lat piętnastu, przez dwa lata był żołnierzem (w różnych armiach), a przez trzy lata walczył na arenie w Calisie.

Harding: kapłan Kościoła Nyphrona w Ibertonie.

Hilda: niegdyś prostytutka w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie, która została zabita po tym, jak odeszła, żeby samodzielnie zarabiać.

Hintindar: mała lenna osada w Rhenyddzie, rodzinna wioska

Hadriana Blackwatera.

Hobart: żołnierz pod dowództwem sir Holvina.

Holvin, sir: rycerz Sereta działający w Ghencie.

Iberton: mała wioska rybacka w Ghencie, w pobliżu Ervanonu.

Illia DeLancy: matka Gwen DeLancy, jasnowidz.

Jezioro Morgan: jezioro w Ghencie znane jako doskonałe łowisko.

Jollin: prostytutka z Dzielnicy Dolnej pracująca w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”.

Karczma z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”: burdel i karczma prowadzona przez Raynora Grue w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Katedra Mares: siedziba Kościoła Nyphrona w Melengarze.

Klecha: pogardliwie o kapłanie Kościoła Nyphrona.

Korniszon: ulicznik z Vernesu.

Kościół Nyphrona: dominujący Kościół ludzi. Czci Novrona i Maribora.

Królewskie pozwolenie: dokument prawny zezwalający na prowadzenie określonego interesu.

Kufija: nakrycie głowy, zawój z kwadratowego kawałka cienkiego materiału noszony zwykle na wschodzie.

Lady Banshee: duża łódź rybacka pływająca w okolicy Medfordu.

Lerwick, baron: baron z Ghentu, który jest w dobrych stosunkach z Kościołem Nyphrona.

Mae: prostytutka z Dzielnicy Dolnej pracująca w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydnym Łbem”.

Malet: szeryf w Colnorze.

Mandalin: miasto w Calisie, niegdyś stolica wschodniego imperium.

Manzant: niesławne więzienie i kopalnia soli znajdujące się w Manzarze, w królestwie Maranonu.

Maranon: królestwo w Avrynie, obfituje w ziemię uprawne i słynie z hodowli najlepszych koni.

Marbury, lord: tytularny arystokrata z Ghentu; początki jego rodu sięgają czasów Glenmorgana.

Maribor: bóg ludzi, trzeci syn Erebusa.

Medford: stolica Melengararu. Miasto dzieli się na cztery dzielnice: Rzemieślników, Kupiecką, Szlachecką i Dolną.

Melengar: małe, ale stare i szanowane królestwo Avrynu, którym

władca król Amrath.

Merrick Marius: niegdyś najlepszy przyjaciel Royce'a Melborna, znany ze strategicznego myślenia.

Merton: pobożny kapłan Kościoła Nyphrona, który podobno powstrzymał zarazę.

Montemorrey: doskonałe wino importowane przez Vandońską Kompanię Korzenną.

Muriel: bogini natury, jedyna córka Erebusa.

Nidwalden: rzeka wyznaczająca wschodnią granicę Avrynu i początek królestwa elfów.

Novron: zbawca rodzaju ludzkiego, półbóg, syn Maribora, pokonał armię elfów w wielkich wojnach elfickich, założyciel imperium novrońskiego.

„Ohydny Łeb”: zwyczajowa nazwa Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”.

Owanda: tenkińskie plemię, z którego wywodzą się Illia i Gwen DeLancy.

Packer Rudzielec: druciarz, jeden z nielicznych ludzi odwiedzających Hintindar.

Patriarcha: głowa Kościoła Nyphrona, mieszka w Wieży Koronnej.

Percepliquis: starożytne miasto i stolica novrońskiego imperium, zniszczone i zaginione po upadku starego imperium.

Ratibor: zubożała stolica królestwa Rhenyddu, rodzinne miasto Royce'a Melborna.

Raynor Grue: właściciel Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Reginald Lampwick: asesor Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Rehn: pracownik Arcadiusa.

Rhenydd: najbiedniejsze z królestw Avrynu.

Rose: prostytutka z Dzielnicy Dolnej pracująca w Karczmie z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem”.

Royce Melborn: złodziej, płatny zabójca, dawniej więzień w więzieniu Manzant.

Samuel: jubiler z Vernesu, kuzyn Sebastiana.

Sebastian: odnoszący sukcesy jubiler z Vernesu.

Seret: rycerz Nyphrona. Zbrojne ramię Kościoła, zakon założony przez lorda Dariusa Sereta, dowodzony przez wartowników.

Stane: rybak pracujący przy sieciach na *Lady Banshee*.

Tancerka: imię kłaczy Hadriana Blackwatera.

Tawerna „Czarny Kot”: przybytek cieszący się złą sławą w Vernesie.

Tenent: najpopularniejsza forma na poły standardowej waluty międzynarodowej. Monety ze złota, srebra i miedzi z podobizną króla królestwa, w którym wybito monetę; 1 złoty tenent = 100 srebrnych tenentów, 1 srebrny = 100 miedzianych.

Tenkinowie: najbardziej tajemniczy lud Calisu, żyjący w głębokich dżunglach. Pogłoski mówią, że są mieszańcami ludzi i goblinów.

Tilinerski rapier: doskonała pomocnicza broń biała, często używana przez najemników w Avrynie.

Tom Brzechwa: farmer i były łucznik na służbie u lorda Marbury’ego.

Trent: północne górzyste królestwo Apeladornu, oddalone i odizolowane.

Tribian DeVole: mieszkaniec wschodu wynajęty przez Arcadiusa w celu odnalezienia Hadriana Blackwatera w Calisie.

Ulica Przekorna: droga prowadząca do najuboższej części Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Uniwersytet w Sheridanie: prestiżowa instytucja naukowa znajdująca się w Ghencie.

Vernes: miasto portowe u ujścia rzeki Bernum.

Vivian: żona zamożnego kupca Daniela z Vernesu.

Warric: najpotężniejsze królestwo Avrynu władane przez króla Ethelreda.

Wartownicy: generałowie-inkwizytorzy Kościoła Nyphrona, którym powierzono zadanie wykorzenia herezji i odnalezienia zaginionego spadkobiercy Novrona.

Widzenie: zdolność widzenia przyszłości, którą zwykle posiadają caliskie kobiety.

Wieża Koronna: siedziba patriarchy i Kościoła Nyphrona.

Wilki: dziecięcy gang uliczny z Ratiboru.

Willard: pracownik Karczmy z Wyszynkiem „Pod Ohydny Łbem” w Dzielnicy Dolnej w Medfordzie.

Willy: pasterz z Ibertonu.

Windham: mała wioska na brzegu Galewyru.

Wozak: człowiek, który zarabia na życie, przewożąc towary na wozie zwykle ciągniętym przez konia.

Wschodnia Gwiazda: duży żaglowiec przewożący pasażerów między Vernesem a Dagastanem.

Zamek Essendonów: siedziba władców Melengaru.

Zefir: nazwa łuku Toma Brzechwy.

Zimonia: główne święto obchodzone w środku zimy; z jego okazji urządza się uczyty i turnieje.

Zmiatacz: osoba (lub osoby) odpowiedzialna za serię makabrycznych morderstw pewnego lata w mieście Colnora.

O autorze

Michael J. Sullivan to jeden z nielicznych pisarzy, który odniósł sukces wydawniczy trzema drogami: w małej oficynie wydawniczej, publikując samodzielnie i w wielkiej szóstce. Jego serię „Odkrycia Riyrii” przetłumaczono na czternaście języków, w tym niemiecki, rosyjski, francuski i japoński. Trafił na publikowaną przez io9 listę *Most Successful Self-Published Sci-Fi and Fantasy Authors* oraz zajął szóste miejsce na *EMG’s 25 Self-Published Authors to Watch*. W styczniu 2013 roku jego książki pojawiły się na ponad sześćdziesięciu pięciu listach pozycji „najlepszych” i „najbardziej wyczekiwanych”, w tym:

- *Fantasy Faction Top 10 Most Anticipated Books* w roku 2013;
- *Goodreads Chose Awards Nominees for Best Fantasy* w 2010 i 2013 roku;
- *Audible’s 5-star The Best of Everything List* w 2012 roku;
- *Library Journal’s Best Book for SF/Fantasy* w 2011;
- *Barnes & Nobles Blog’s Best Fantasy Releases* w 2011;
- *Fantasy Book Critic’s 1 Independetn Novel* w 2010 roku.

Jak w przypadku wielu pisarzy droga Michaela do wydania książki była długa. Po dwudziestce został tatą zajmującym się dziećmi w domu i pisał, kiedy latorośle spały lub były w szkole. Ukończył dwanaście powieści w ciągu dziesięciu lat i nie znajdując żadnego odzewu, porzucił pisanie. W ciągu następnej dekady historie nadal powstawały, ale Michael nigdy nie przelał ich na papier. W końcu poddał się i znowu zaczął pisać, ale pod warunkiem, że nie będzie próbował ich wydać. Postanowił pisać historie, które sam chciałby czytać, i spodziewał się, że będzie się nimi dzielił tylko z rodziną

i bliskimi przyjaciółmi. Jego żona Robin miała inne plany.

Po przeczytaniu pierwszych trzech powieści z cyklu „Odkrycia Riyrii”, postanowiła sobie, że wypuści je w świat. Ponieważ Michael nie chciał z powrotem wskakiwać w kołowrót próśb i odmów, wzięła to na siebie i po ponad stu odmowach wreszcie znalazła agenta. Po roku rozsyłania prac, nie widząc żadnego odzewu, przerzuciła się na poszukiwania wśród małych oficyn i tak „*Królewska krew*” trafiła do Aspiration Media Inc. Oficyna zainteresowała się także „*Wieżą elfów*”, ale kiedy zabrakło im funduszy na druk, zwrócili prawa i Robin zaczęła wydawać książki w półrocznych odstępach własnym nakładem. Kiedy zaczęły nadchodzić propozycje od zagranicznych wydawnictw, zatrudniła Teri Tobias, żeby wybrała właściwych wydawców i negocjowała umowy. Przy publikacji piątej książki Robin poprosiła Teri, żeby jeszcze raz spróbowała w Nowym Jorku, i tym razem cykl spotkał się z zupełnie inną reakcją. Z siedemnastu wydawnictw, do których się zwrócono, niemal połowa wyraziła zainteresowanie i w niecały miesiąc podpisano umowę z Orbit (wydawnictwem należącym do wielkiej szóstki Hachette Book Group).

Ukończywszy „Odkrycia Riyrii” i czekając na reakcję na cykl, Michael napisał dwie samodzielne powieści „*Hollow World*” (powieść science fiction) i „*Antithesis*” (urban fantasy). Praca nad nimi została chwilowo zawieszona, ponieważ odbiorcy domagali się kolejnych książek o Roysie i Hadrianie. W odpowiedzi Michael napisał „*Kroniki Riyrii*”, które sprzedano wydawnictwu Orbit. „*Wieżę Koronną*” opublikowano w sierpniu 2013 roku, a „*Różę i Cierń*” we wrześniu tego samego roku. Więcej informacji o autorze znajdziecie na stronie www.riyria.com.

Aby dowiedzieć się więcej o Michaleu J. Sullivanie i innych pisarzach wydawnictwa Orbit, zarejestrujcie się na stronie www.orbitbooks.net, żeby otrzymywać co miesięczny darmowy biuletyn informacyjny.